

DENNIS LEHANE

THRILLER, KTÓRY CHĘTNIE SFILMOWAŁBY SAM HITCHCOCK,
MRO CZNY NICZYM FILMY NOLANA, DIABOLICZNY JAK DZIEŁA LYNCHA

POKOCHAĆ NOC

Prószyński i S-ka

**DENNIS
LEHANE**
POKOCHAĆ
NOC

PRZEŁOŻYŁA
MACIEJKA MAZAN

Prószyński i S-ka

Pamięci Davida Wickhama,

Księcia Providence i prawdziwego gościa

Zamaskowany, idę naprzód.

Kartezjusz

PROLOG

PO „SCHODACH”

W pewien majowy wtorek trzydziestosiedmioletnia Rachel strzeliła do swojego męża. Zatoczył się do tyłu z dziwnym wyrazem twarzy, jakby od zawsze wiedział, że tak będzie.

A jednocześnie wyglądał na zaskoczonego. Ona chyba także.

Jej matka by nie była.

Jej matka, która nigdy nie wyszła za mąż, napisała poczytną książkę o tym, jak dbać o trwałość małżeństwa. Nazwy poszczególnych etapów, jakie doktor Elizabeth Childs zidentyfikowała we wszystkich relacjach zaczynających się od wzajemnej fascynacji, wprowadzały do kolejnych rozdziałów, a całość nosiła tytuł *Schody*. Książka odniosła taki sukces, że matka dała się namówić (sama określała to dosadniej: „zaszantażować”) do napisania kolejnych części: *Ponowne wejście po schodach* i *Stopnie schodów: podręcznik*, z których każda następna sprzedawała się gorzej niż poprzednia.

Prywatnie matka uważała wszystkie trzy książki za niedojrzałe emocjonalnie brednie, ale do *Schodów* zachowała pewien sentyment, bo podczas ich pisania nie zdawała sobie sprawy z rozmiarów swojej niewiedzy. Przyznała się do tego, gdy Rachel miała dziesięć lat. Tego samego lata, wypełnionego popołudniowymi koktajlami, powiedziała córce: „Mężczyzna jest historią, jaką o sobie opowiada, przeważnie kłamliwą. Nigdy nie analizuj jej zbyt dokładnie. Jeśli zdemaskujesz jego kłamstwa, upokorzysz was oboje. Najlepiej przymknąć oko na te bujdy”.

Potem pocałowała ją w czubek głowy i pogłaskała po policzku. Zapewniła ją, że jest bezpieczna.

Gdy *Schody* trafiły do rąk czytelników, Rachel miała siedem lat. Pamiętała niekończące się telefony, szereg podróży, kolejne uzależnienie matki od papierosów i ten niepokojący urok, który stał się jej udziałem. Pamiętała uczucie – wtedy nie potrafiła go sprecyzować – że jej matkę, która nigdy nie była w pełni szczęśliwa, sukces uczynił jeszcze bardziej zgorzkniałą. Wiele lat później Rachel zaczęła podejrzewać, że sława i pieniądze sprawiły, że matka nie widziała powodu, by czuć się nieszczęśliwa. Matka, tak genialnie analizująca cudze problemy, nigdy nie potrafiła zdiagnozować samej siebie, więc przez całe życie szukała leku na problemy, które się w niej rodziły, rozwijały, żyły i ginęły. Oczywiście w wieku lat siedmiu – a nawet siedemnastu – Rachel nie mogła tego wiedzieć. Czuła tylko, że matka jest nieszczęśliwa, więc i ona taka była.

Gdy Rachel strzeliła do męża, znajdowała się na łodzi w Zatoce Bostońskiej. Po tym, jak dosięgła go kula, stał jeszcze przez bardzo krótką chwilę – jakieś siedem, dziesięć sekund – po czym przewalił się przez sterburkę i runął do wody.

Ale w tych ostatnich sekundach targają nim zmienne emocje. Przerażenie. Żal. Strach. Poczucie samotności niezwykle dojmujące, nagle poczuł się tak jak bezradny dziesięciolatek, a nie dorosły mężczyzna. Gniew, naturalnie. Oburzenie. Niepohamowana determinacja, jakby – choć krew wypływała mu z serca i zalewała dłoń, którą podstawiał pod pierś – wszystko jeszcze mogło być dobrze, wszystko mogło się jakoś ułożyć, jakby mógł wyjść z tego cało. Przecież był silny i to, co miało w jego życiu jakąś wartość, stworzył wyłącznie dzięki sile woli, dlatego także teraz siłą woli się z tego wyratuje. A potem nagle olśnienie: nie, jednak nie.

Spojrzał jej prosto w oczy i nagle te wszystkie uczucia zniknęły wyparte przez najdziwniejsze z nich: miłość.

Nieosiżliwe.

A jednak...

Bez wtpienia. Dzika, bezradna, czysta. Kwitnca i wychlustuca z niego wraz z krwi, plamic mu koszul.

Wypowiedzia te sowa tak, jak to robi czsto, stojc daleko od niej w zatoczonym pomieszczeniu: „Kocham. Ci”.

Potem wypad z łodzi i znikn w ciemnej wodzie.

Gdyby dwa dni temu kts spyt Rachel, czy kocha swojego mża, odpowiedziaaby: „tak”.

Co wicej, gdyby kts zada jej to samo pytanie, gdy naciska spust pistoletu, powtrzyaby to samo.

Jej matka powicia temu cay rozdzia – trzynasty pod tytuem „Rozdzwiek”. A moe czternasty, bardziej odpowiedni: „mier dawnej narracji”. Rachel nie bya pewna. Czasem jej si myliy.

I

RACHEL W LUSTRZE

1977–2010

SIEDEMDZIESIĘCIU TRZECH JAMESÓW

Rachel urodziła się w Pioneer Valley w zachodnim Massachusetts. Jest znany jako Region Pięciu Uczelni – Amherst, Hampshire, Mount Holyoke, Smith i Uniwersytetu Massachusetts – w których zatrudniano dwa tysiące wykładowców mających uczyć dwadzieścia pięć tysięcy studentów.

Rachel wychowała się w świecie drewnianych domków z werandami i dusznymi strychami i przestronnych trawników. Często bywała w kawiarniach i restauracjach. Jesienią góry liści przykrywały ulice i chodniki, zatykały dziury w płotach. Czasem w zimie śnieg otaczał dolinę ciszą tak gęstą, że sama stawała się dźwiękiem. W lipcu i w sierpniu listonosz jeździł na rowerze z dzwonkiem na kierownicy. Zjawiali się też turyści przyjeżdżający na letnie przedstawienia i podrywy.

Ojciec Rachel miał na imię James. Poza tym niewiele o nim wiedziała. Przypominała sobie jego ciemne faliste włosy i uśmiech, nagły i niepewny. Co najmniej dwa razy zabrał ją na plac zabaw, na którym była ciemnozielona zjeżdżalnia; chmury wisiały tak nisko, że musiał wytrzeć huśtawkę z wilgoci, zanim posadził na niej córeczkę. Podczas jednej z tych wycieczek rozbawił ją czymś, ale nie pamiętała już, co to było.

James uczył w jednym z college'ów. Rachel nie wiedziała, czy był adiunktem, asystentem profesora, czy praktykantem. Nie miała nawet pojęcia, czy pracował w którejś z pięciu tutejszych uczelni, a może był z Berkshire, Springfield, Greenfield, Westfield bądź też z którejkolwiek z dziesiątek szkół w okolicy.

Gdy zostawił ją i jej matkę, ona wykladała na Mount Holyoke. Rachel miała wkrótce skończyć trzy lata i nigdy nie potrafiła stwierdzić z całą pewnością, czy widziała, jak ojciec opuszcza dom, czy też sobie to wyobraziła, żeby zasklepić ranę, którą po sobie zostawił. Przez ścianę domku, który wynajmowali w tym roku na Westbrook Road, dobiegł do jej uszu głos matki: „Słyszysz? Jeśli przejdziesz przez te drzwi, wykreślę cię”. Wkrótce rozległ się łomot, z jakim ciężka waliza staczała się po schodach, a potem trzask zamykanego bagażnika. Rzęzenie hałaśliwie ożywającego zimnego silnika, następnie szelest liści i zamarznętej ziemi pod oponami, a potem... nastąpiła cisza.

Może matka nie wierzyła w jego odejście. Może wmawiała sobie, że on wróci. A kiedy nie wrócił, jej przerażenie zmieniło się w nienawiść, a nienawiść zapuściła korzenie bardzo głęboko.

– Odszedł – oznajmiła, gdy Rachel miała pięć lat i zaczęła się natarczywie dopytywać o jego miejsce zamieszkania. – Nie chce mieć z nami nic wspólnego. I nie szkodzi, skarbie, bo nie mamy zamiaru pozwolić na to, żeby nas definiował. – Uklękała przed córką i założyła jej za ucho niesforne pasemko włosów. – I już nigdy nie będziemy o nim wspominać. Dobrze?

Ale oczywiście Rachel wspomniała o nim jeszcze nie raz. Początkowo jej pytania doprowadzały matkę do desperacji; nie umiała ukryć paniki, która odbijała się w jej oczach i rozdymała jej nozdrza. Z czasem zastąpił ją dziwny zagadkowy półuśmiech. A może było to tylko lekkie drgnięcie prawego kącika ust wyrażające jednocześnie tak nieprzystające odczucia jak zadowolenie, gorycz i triumf.

Dopiero po latach Rachel zrozumiała, że pojawienie się tego uśmiechu oznaczało decyzję matki (nigdy się nie dowiedziała, czy świadomą, czy też nie), by uczynić tożsamość ojca

głównym polem bitwy w wojnie, która nadała barwy całej młodości Rachel.

Matka obiecała, że zdradzi jej nazwisko Jamesa w dniu jej szesnastych urodzin, o ile Rachel wykaże się dostateczną dojrzałością, by udźwignąć ciężar tej informacji. Ale tego lata, tuż przed ukończeniem szesnastego roku życia, Rachel została aresztowana w skradzionym samochodzie wraz z Jarodem Marshalllem, chociaż obiecała, że już nigdy nie będzie się z nim spotykać. Następny termin został wyznaczony na dzień ukończenia liceum, ale po incydencie z ecstazy podczas szkolnej imprezy Rachel miała szczęście, że w ogóle została dopuszczona do egzaminów. Może jeśli pójdzie na studia – najpierw do państwowego college’u, żeby się podciągnąć w nauce, potem do „prawdziwego”, oświadczyła matka.

Nieustannie o to walczyły. Rachel krzyczała i rzucała przedmiotami, matka uśmiechała się coraz zimniej i powściągliwiej. „Po co ci to?”, pytała raz po raz. „Dlaczego chcesz wiedzieć? Po co ci spotkanie z obcym człowiekiem, który nigdy nie chciał uczestniczyć w twoim życiu ani zadbać o twoje bezpieczeństwo finansowe? Czy nie powinnaś najpierw zająć się tymi cechami, które tak cię unieszczęśliwiają, zanim wyprawisz się na poszukiwanie mężczyzny, a on i tak niczego ci nie wyjaśni ani nie da ci spokoju?”.

– To mój ojciec! – krzyczała Rachel.

– To nie jest twój ojciec – odpowiadała matka z obłudnym współczuciem. – To mój dawca spermy.

Rzuciła to na koniec jednej z ich najstraszniejszej kłótni, Czarnobyla wśród domowych awantur. Rachel osunęła się po ścianie i szepnęła:

– Zabijasz mnie.

– Chronię cię – odparła matka.

Rachel spojrzała na nią i z przerażeniem zrozumiała, że matka w to wierzy. Co gorsze, ta wiara określała ją jako osobę.

Gdy Rachel była w Bostonie na pierwszym roku – przedmiot „Wstęp do analizy literatury angielskiej od 1550 roku” – matka przejechała w Northampton na czerwonym świetle i jej saab został rozszczępiony przez ciężarówkę z paliwem jadącą z przepisową prędkością. Początkowo obawiano się, że zbiornik z paliwem został przeбитy, ale okazało się, że do tego nie doszło. Strażacy i sanitariusze, którzy jechali aż z Pittsfield, przyjęli z ulgą to, że ciężarówka tylko się przewróciła, zwłaszcza że skrzyżowanie znajdowało się w ruchliwym punkcie w pobliżu domu starców i przedszkola.

Kierowca ciężarówki zerwał sobie więzadło prawego kolana i doznał lekkiego urazu szyjnego odcinka kręgosłupa. Elizabeth Childs, autorka niegdyś poczytnej książki, zmarła na miejscu. Jednakże jeśli nawet kraj już o niej zapomniał, jej status miejscowej gwiazdy pozostał niezagrożony. Zarówno „Berkshire Eagle”, jak i „Daily Hampshire Gazette” zamieściły ogłoszenie o jej śmierci na pierwszej stronie, tuż pod tytułem, a na jej pogrzebie zjawilo się sporo osób, choć na stypie było ich już mniej. Większość jedzenia, które zostało z konsolacji, Rachel oddała miejscowemu schronisku dla bezdomnych. Rozmawiała ze znajomymi matki, głównie kobietami i jednym mężczyzną, Gilesem Ellisonem, który uczył nauk politycznych w Amherst i który – jak od dawna podejrzewała – bywał kochankiem matki. Potwierdziła swoje przypuszczenie, widząc, że kobiety traktują go z wyjątkową troską, a on sam niewiele się odzywa. Ten zwykle towarzyski człowiek co jakiś czas rozchyłał usta, jakby chciał przemówić, i zawsze w ostatniej chwili zmieniał zdanie i rozglądał się po domu, jakby chłonał jego widok. Wydawało się, że zna jego wnętrze i czerpie z niego ulgę. Tak jakby dotarło do niego, że tylko tyle zostało mu po Elizabeth, a on chciał oswoić się z tym, że już nigdy nie zobaczy ani tych przedmiotów, ani jej. Tego deszczowego kwietniowego dnia stał w salonie przy oknie wychodzącym na Old Mill Lane, a Rachel poczuła, że wzbiera w niej ogromna litość dla Gilesa

Ellisona, który szybko osuwał się w starość i zniechęcenie. Sądził, że odbędzie ten rytuał przejścia, mając u swego boku lwicę o ostrym języku. Teraz musiał to zrobić samotnie. Szansa na to, by znalazł inną partnerkę tak promieniejącą inteligencją i wściekłością jak Elizabeth Childs, była raczej znikoma.

Bo naprawdę promieniała – na swój gwałtowny, jadowity sposób. Nie wchodziła do pokoju, lecz zdobywała go szturmem. Nie znajdowała przyjaciół i znajomych – ona ich podbijała. Nigdy nie uciwała sobie drzemki, rzadko bywała zmęczona i nikt nie pamiętał jej chorej. Gdy Elizabeth Childs opuściła jakieś pomieszczenie, jej brak odczuwali nawet ci, którzy przybyli tam już po jej odejściu. Podobnie było, gdy opuściła świat.

Rachel z zaskoczeniem odkryła, że nie jest gotowa na utratę matki. Przedtem myślała o niej różnie, przeważnie mało pozytywnie, ale zawsze czuła jej dojmującą obecność. A teraz matka całkowicie – i tak bardzo gwałtownie – odeszła.

Ale dawne nurtujące ją pytanie pozostało. A dostęp do łatwej odpowiedzi zniknął wraz z matką. Elizabeth mogła nie spieszyć się z jej wyjawieniem, ale z całą pewnością ją znała. I chyba tylko ona.

Niezależnie od tego, jak dobrze Giles, przyjaciółki, agent i wydawca znali Elizabeth Childs – a wszyscy zdawali się znać jakąś jej wersję, która lekko, lecz zasadniczo różniła się od kobiety znanej Rachel – nikt nie przyjaźnił się z nią przed przyjściem jej córki na świat.

– Chciałabym wiedzieć coś o Jamesie – powiedziała Ann Marie McCarron, najdawniejsza miejscowa przyjaciółka Elizabeth, gdy z Rachel podpłyły sobie wystarczająco, by ta mogła poruszyć kwestię tożsamości swojego ojca – ale spotkałam się z twoją matką po raz pierwszy wiele miesięcy po ich rozstaniu. Pamiętam, że uczył w Connecticut.

– Connecticut? – Siedziały na ganku na tyłach domu, zaledwie dwadzieścia dwie mile na północ od granicy Connecticut. Rachel jakoś nigdy nie pomyślała, że jej ojciec nie musiał wcale uczyć w żadnej z Pięciu Uczelni czy w piętnastu innych college'ach w Massachusetts, lecz pół godziny drogi na południe. – Uniwersytet Hartford?

Ann Marie wydeła wargi.

– Nie wiem. Możliwe. – Otoczyła Rachel ramieniem. – Pragnę ci pomóc. I chciałabym, żebyś o nim zapomniała.

– Dlaczego? – spytała Rachel (ciągle to „dlaczego”, przyszło jej do głowy). – Był aż taki zły?

– Nic o tym nie wiem – odparła Ann Marie, trochę niewyraźnie i ze smutkiem w głosie. Spojrzała przez siatkę ganku na szare wzgórza, nad którymi zalegała mgła w kolorze kamienia, i powiedziała z mocą: – Kochanie, słyszałam tylko, że poszedł dalej ze swoim życiem.

Rachel odziedziczyła cały majątek po matce. Było tego mniej, niż się wydawało, ale więcej, niż potrzebowała dwudziestojednolatka. Gdyby żyła oszczędnie i mądrze inwestowała, spadek wystarczyłby jej na dziesięć lat.

W zamkniętej na klucz szufladzie w gabinecie matki znalazła dwa albumy szkolne – z liceum w North Adams i college'u Smith. Matka zrobiła doktorat na uczelni Johnsa Hopkinsa (w wieku dwudziestu dziewięciu lat, uświadomiła sobie Rachel, o rany boskie), ale jedynym świadectwem tego faktu były oprawione w ramki dyplomy wiszące na ścianie nad kominkiem. Rachel trzykrotnie przejrzała albumy, za każdym razem zmuszając się do wyjątkowej uwagi. Znalazła w sumie cztery zdjęcia matki, dwa oficjalne portrety, dwa grupowe. W albumie ze Smith nie było żadnych Jamesów ani innych przedstawicieli jego płci, bo na uczelni przyjmowano tylko dziewczęta, ale zauważyła dwóch nauczycieli, z których żaden nie był w odpowiednim wieku i nie miał czarnych włosów. W albumie liceum North Adams namierzyła sześciu chłopców noszących to imię. Dwaj z nich mogli być jej ojcem – James McGuire i James

Quinlan. Po półgodzinie korzystania z komputera biblioteki South Hadley dowiedziała się, że James McGuire z North Adams jeszcze na studiach miał wypadek podczas spływu tratwą, w wyniku którego był sparaliżowany. James Quinlan natomiast skończył zarządzanie na Uniwersytecie Wake Forest i rzadko opuszczał Karolinę Północną, gdzie stworzył odnoszącą sukcesy sieć sklepów z tekowymi meblami.

Rachel latem sprzedała dom, ale zanim to zrobiła, odwiedziła agencję Berkshire Security i Wspólnicy i spotkała się z prywatnym detektywem Brianem Delacroix. Był tylko o parę lat starszy od niej i poruszał się ze zwinnością biegacza. Spotkali się w jego gabinecie na piętrze w dzielnicy przemysłowej Chicopee. Pomieszczenie bardziej niż na gabinet nadawało się na pudełko po butach – zmieściło się w nim tylko biurko, dwa komputery i rząd szafek katalogowych. Gdy Rachel spytała o wspólników, których istnienie sugerowała nazwa firmy, Brian wyjaśnił, że wspólnikiem jest tu on. Główna siedziba firmy znajdowała się w Worcester. Jej filię w Chicopee można było wziąć we franczyzę, a on stawia dopiero pierwsze kroki. Zaproponował Rachel, że skieruje ją do bardziej doświadczonego pracownika, ale nie chciało jej się pakować z powrotem do samochodu i tłuc aż do Worcester, więc postanowiła zaryzykować i wyjaśniła, o co jej chodzi. Brian zadał parę pytań, zrobił notatki w żółtym notesie i na tyle często spoglądał jej w oczy, że dostrzegła jego cichą czułość, bardziej pasującą do kogoś starszego. Wydał się jej na tyle szczery, że gwarantował uczciwość – co potwierdziło się dwa dni później, gdy poradził jej, żeby nie wynajmowała ani jego, ani nikogo innego. Powiedział, że mógłby wziąć jej sprawę i pewnie policzyć jej za to najmniej czterdzieści godzin pracy, by przedstawić jej tę samą opinię co w tej chwili:

– Nie ma pani dość informacji, by znaleźć tego gościa.

– Dlatego chcę zatrudnić pana.

Brian poprawił się na krześle.

– Po naszym pierwszym spotkaniu trochę się rozejrzałem. Nie za długo, nie policzę za to...

– Zapłacę.

– ...ale wystarczająco. Gdyby facet, który dwadzieścia lat temu uczył w którejś z ponad dwudziestu uczelni w Massachusetts czy Connecticut, miał na imię Trevor albo choćby, nie wiem, Zachary, moglibyśmy liczyć, że go znajdziemy. Ale zrobiłem dla pani szybką analizę komputerową i przez tych dwadzieścia lat przez dwadzieścia siedem szkół, które wydają się prawdopodobne, przewinęło się siedemdziesięciu trzech... – skinął głową, widząc jej zaskoczoną minę – adiunktów, nauczycieli na zastępstwie, docentów i profesorów o imieniu James. Niektórzy uczyli przez semestr, inni krócej, a jeszcze inni otrzymali stały etat.

– Czy może pan zdobyć akta pracowników ze zdjęciami?

– Niektórych na pewno, może połowy. Ale jeśli nie będzie go w tej połowie – nawiasem mówiąc, ciekaw jestem, jak zamierza go pani rozpoznać? – musielibyśmy odszukać pozostałych trzydziestu pięciu Jamesów, którzy – jeśli się kierować badaniami demograficznymi – rozpiechli się po wszystkich pięćdziesięciu stanach, a następnie znaleźć ich zdjęcia sprzed dwudziestu lat. Wtedy nie płaciłaby pani za czterdzieści, tylko za czterysta godzin pracy. Bez gwarancji, że go znajdziemy.

Rachel wstrząsały kolejne emocje – niepokój, gniew, bezradność, ta znowu zrodziła gniew, i w końcu wściekłość na tego fiuta, któremu nie chce się pracować. Dobrze, w takim razie znajdzie kogoś innego.

Brian wyczytał to wszystko w jej spojrzeniu i w geście, jakim przycisnęła do siebie torebkę.

– Jeśli pójdzie pani do kogoś innego, a on zobaczy młodą kobietę, która niedawno się

wzbogaciła, wydusi z pani te pieniądze, a efekt będzie ten sam. Takie oszustwo – bo uważam, że to oszustwo – jest całkowicie legalne. Wtedy będzie pani nadal bez ojca, a w dodatku biedna. – Pochylił się do niej i spytał cicho: – Gdzie się pani urodziła?

Skinęła głową w stronę okna wychodzącego na południe.

– W Springfield.

– Widziała pani swoją metrykę?

Przytaknęła.

– Ojciec nieznany.

– Ale byli wtedy razem, Elizabeth i James.

Znowu przytaknęła.

– Kiedyś, gdy za dużo wypła, powiedziała mi, że w nocy, gdy zaczęła rodzić, pokłócili się i ojciec wyjechał z miasta. Ona mnie urodziła, a ponieważ nie było go przy tym, z zemsty nie wpisała jego nazwiska do mojej metryki.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Nie weźmie pan więc mojej sprawy? – spytała w końcu Rachel.

Brian Delacroix pokręcił głową.

– Niech mu pani odpuści.

Wstała – ramiona jej drżały – i podziękowała za poświęcony jej czas.

W domu zebrała fotografie – z szafki nocnej w sypialni matki, z szuflady w jej gabinecie, z pudełka na poddaszu. Zdecydowana ich większość, jakieś osiemdziesiąt pięć procent, przedstawiała je obie. Rachel zaskoczyło to, że w jasnych oczach jej matki było wyraźnie widać miłość do niej, choć nawet na zdjęciu wydawała się ona skomplikowana, jakby matka się nad nią zastanawiała. Na pozostałych zdjęciach byli koledzy i znajomi z uczelni i wydawnictwa. Większość fotografii zrobiono podczas przyjęć i letnich pikników. Dwa zdjęcia przykuły jej uwagę, bo zrobiono je w barze, którego Rachel nie знаła, lecz najwyraźniej znajdował się na kampusie.

Na żadnym nie dostrzegła mężczyzny o ciemnych falistych włosach i niepewnym uśmiechu.

Pamiętnik matki znalazła dopiero po sprzedaniu domu. Zdążyła już skończyć Emerson i wybierała się właśnie na uczelnię w Nowym Jorku. Stary wiktoriański dom w South Hadley, gdzie mieszkała z matką od trzeciej klasy szkoły podstawowej, przywodził na myśl niewiele dobrych wspomnień i zawsze wydawał jej się nawiedzony. („Ale to duchy uczonych”, mawiała matka, kiedy w głębi korytarza rozlegało się nieuzasadnione skrzypnięcie lub coś upadało na poddaszu, na którym nikogo nie było. „Pewnie siedzą tam, czytają Chaucera i popijają ziółka”).

Pamiętników matka nie schowała na poddaszu, lecz w piwnicy, w skrzyni, pod niestarannie spakowanymi zagranicznymi wydawnictwami *Schodów*. Szkolne zeszyty były zapisane tak niesystematycznie, jak niesystematyczna była matka na co dzień. Połowa wpisów nie została opatrzona datami, a rozdzielało je wiele miesięcy, raz nawet rok. Matka najczęściej pisała o swoich lękach. Przed wydaniem *Schodów* obawy dotyczyły spraw finansowych – jako profesor psychologii nie zarabiała wystarczająco dużo, by spłacić studencką pożyczkę, nie mówiąc już o posłaniu córki do przyzwoitego prywatnego liceum, a potem na studia. Po tym, jak jej książka znalazła się na krajowej liście bestsellerów, matka, wolna od trosk materialnych, zaczęła się martwić tym, że nie zdoła napisać kolejnej równie dobrej części książki, a jeśli znowu wyda książkę, zostanie zdemaskowana jako oszustka i poczuje się jak bohater bajki o nowych szatach cesarza. Tu, jak się okazało, miała rację.

Ale najbardziej martwiła się o Rachel. Na stronach pamiętnika opisała jej przemianę z energicznego, radosnego, czasem irytującego powodu do dumy („Ma jego upodobanie do

zabawy... Ma tak cudowne i dobre serce, że boję się, co świat z nim zrobi...” w zrozpaczoną i autodestrukcyjną malkontentkę („To, że się tnie, martwi mnie trochę mniej niż jej przedwczesna dojrzałość – ma dopiero trzynaście lat, na miłość boską... Rzuciła się na głęboką wodę, a potem narzeka, że była głęboka, ale o to, że w nią wskoczyła, obwinia mnie”).

Piętnaście stron dalej Rachel przeczytała zdanie: „Muszę stawić czoło tej hańbie – byłam mierną matką. Nigdy nie miałam cierpliwości do niedorozwiniętego płata czołowego. Za szybko się denerwuję, przechodzę do sedna sprawy, kiedy powinnam się zdobyć na cierpliwość. Niestety, Rachel wychowała się z opryskliwą redukcjonistką. I bez ojca. A to sprawiło, że ma w sobie wyrwę”.

Parę stron dalej matka wróciła do tematu. „Boję się, że zmarnuje sobie życie, szukając czegoś, co wypełni tę wyrwę: rzeczy nietrwałych, błyskotek dla duszy, nowomodnych terapii, amatorskiego leczenia. Myśli, że jest buntowniczką o mocnym charakterze, ale ma rację tylko w połowie. Tak wiele potrzebuje”.

W innym wpisie Elizabeth Childs zanotowała: „Teraz leży w obcym łóżku, chora i jeszcze bardziej niż zwykle domaga się uwagi. Powraca to uparte pytanie: »Kim on jest, mamo?«. Wydaje się taka krucha – krucha, słaba, marudząca. Ma wiele wspaniałych zalet, moja najukochańsza Rachel, ale nie jest silna. Jeśli powiem jej, kim jest James, odnajdzie go, a on ją zrani. Dlaczego miałabym mu dać tę moc? Dlaczego po tylu latach dawać mu sposobność, by znowu ją skrzywdził? By do końca spieprzył jej to piękne, już poturbowane serce? Widziałam go dzisiaj”.

Rachel, siedząca na przedostatnim stopniu piwnicznych schodów, wstrzymała oddech. Zaciśnęła zeszyt w dłoni, a świat zawirował jej przed oczami.

Widziałam go dzisiaj.

„Nie zauważył mnie. Zaparkowałam trochę dalej. On stał na trawniku obok domu, w którym zamieszkał po odejściu od nas. Byli przy nim oni – zastępcza żona, zastępcze dzieci. Stracił sporo włosów, a brzuch i podbródek mu obwisły. Mała pociecha. Jest szczęśliwy. Boże, zlituj się nade mną. Jest szczęśliwy. Czy to nie najgorsza opcja? Ja nawet nie wierzę w szczęście – ani jako ideał, ani jako autentyczne doznanie. To dziecięce złudzenie – a jednak on jest szczęśliwy. Gdyby Rachel stanęła na jego drodze, uznałby, że ona, córka, której nie chciał od samego początku, a jeszcze bardziej po jej przyjeździe na świat, zagrozi temu szczęściu – bo będzie mu przypominała mnie. A także to, jak bardzo mnie znienawidził. I dlatego ją skrzywdzi. Byłam w jego życiu jedyną osobą, która go nie uwielbiała. Nigdy nie wybaczy tego Rachel. Założy, że opowiadałam jej o nim niepocholebne rzeczy, a on – jak wszyscy wiemy – nigdy nie zezwala na krytykę swojego bezcennego szczerego charakteru”.

Rachel była przykuta do łóżka tylko raz w życiu – w drugiej klasie liceum. Tuż przed świętami zachorowała na mononukleozę. Trzeba przyznać, że choroba wybrała sobie całkiem niezły moment. Rachel przez trzynaście dni leżała w łóżku, a przez pięć odzyskiwała siły, by wrócić do szkoły. Ostatecznie przepadły jej tylko trzy dni nauki.

To wtedy matka musiała widzieć Jamesa. Był to jednocześnie czas, gdy odwiedziła profesora w Wesleyan College. Wynajęła wtedy dom w Middletown w Connecticut i to tam znajdowało się to obce łóżko, do którego była przykuta Rachel. Przypomniała sobie teraz z zażenowaniem i dumą, że matka zostawiła ją wtedy samą zaledwie raz, gdy poszła kupić jedzenie i wino.

Rachel właśnie włączyła wideo i zaczęła oglądać *Pretty Woman*. Matka wróciła, zanim film się skończył, zmierzyła jej temperaturę i wyraziła opinię, że szeroki uśmiech Julii Roberts wydaje się jej kosmicznie irytujący. Następnie poszła do kuchni, żeby wypakować zakupy.

Gdy wróciła do Rachel z kieliszkiem wina w jednej ręce i wilgotnym kompresem

w drugiej, rzuciła córce spojrzenie, w którym samotność mieszała się z nadzieją, i spytała:

– Dobrze sobie radziłyśmy, prawda?

Rachel położyła sobie kompres na czole i spojrzała na matkę.

– Oczywiście – powiedziała, bo w tej chwili tak właśnie czuła.

Matka pogłaskała ją po policzku i spojrzała na ekran. Film dobiegał końca. Richard Gere, niczym księżę na białym koniu, pojawił się z kwiatami, by uratować księżniczkę-prostytutkę, Julię. Gdy wyciągnął w jej stronę rękę z bukietem, Julia śmiała się i płakała, a muzyka jeszcze potęgowała nastrój.

– No dobrze, starczy tego szczęścia – zdecydowała matka.

To znaczyło, że ten wpis w pamiętniku musiał pochodzić z grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Albo z początków stycznia kolejnego roku. Osiem lat później siedząca na schodach w piwnicy Rachel uświadomiła sobie, że jej ojciec musi mieszkać gdzieś w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od Middletown. Na pewno nie dalej, skoro matka była na ulicy, na której mieszkał, widziała go z rodziną, po czym zrobiła zakupy i wstąpiła do sklepu z alkoholem, a zdążyła zrobić to wszystko w niespełna dwie godziny. Wynika z tego, że James uczy gdzieś w okolicy, najprawdopodobniej na Uniwersytecie Hartford.

– Jeżeli nadal uczy – powiedział Brian Delacroix, do którego zadzwoniła.

– Fakt.

Ale zgodził się, że to, co odkryła Rachel, jest wystarczającą przesłanką do tego, by przyjąć jej zlecenie, zainkasować pieniądze i nadal móc patrzeć na siebie w lustrze. I tak pod koniec lata dwa tysiące pierwszego roku Brian Delacroix z agencji Berkshire Security i Wspólnicy rozpoczął dochodzenie w sprawie ojca Rachel.

Jak się miało okazać, nie dało ono żadnych rezultatów.

W tamtym czasie na wyższych uczelniach w północnym Connecticut nie wykładał nikt o imieniu James, kto pasowałby do opisu jej ojca. Jeden miał jasne włosy, drugi dwadzieścia siedem lat, a trzeci był Afroamerykaninem.

Raz jeszcze Rachel usłyszała, że powinna odpuścić.

– Ja się zwijam – oznajmił Brian.

– Z Chicopee?

– Z tego interesu. Więc także z Chicopee. Po prostu nie chcę być dłużej prywatnym detektywem. To zbyt dołujące, wiesz? Nic, tylko rozczarowuję ludzi, nawet kiedy dostarczam im tego, za co zapłacili. Przepraszam, że nie mogłem ci pomóc.

Jego słowa coś jej odebrały. Kolejna strata. Kolejna osoba, choćby marginalna, nieszczególnie istotna, która odejdzie z jej życia bez pytania jej o zdanie. Ona nie miała tu prawa głosu.

– Co zamierzasz? – spytała.

– Chyba wrócę do Kanady – powiedział zdecydowanie, jakby dotarł w miejsce, w którym miał zamiar spędzić resztę życia.

– Jesteś Kanadyjczykiem?

Brian roześmiał się cicho.

– A jestem.

– Do czego wracasz?

– Do rodzinnej firmy zajmującej się obrotem drewnem. A co z tobą?

– Uczelnia jest świetna. Nowy Jork... trochę mniej.

Był koniec września dwa tysiące pierwszego roku, od zniszczenia bliźniaczych wież World Trade Center minęły zaledwie trzy tygodnie.

– No tak – powiedział poważnie Brian. – No tak. Mam nadzieję, że sytuacja się poprawi.

Życzę ci samych dobrych rzeczy, Rachel.

Zaskoczyło ją, jak ciepło zabrzmiało jej imię, kiedy je wymówił. Wyobraziła sobie jego oczy, malującą się w nich czułość, i z lekkim rozdrażnieniem uświadomiła sobie, że Brian ją pociąga, czego dotąd nie zauważyła.

– A więc Kanada? – spytała.

Ten jego cichy śmiech!

– Kanada.

Potem się pożegnali.

W październiku po jedenastym września siedziała w popiele i kopciu w swoim piwnicznym mieszkanku na Waverly Place w Greenwich Village, tak blisko uniwersytetu, że na większość wykładów mogła chodzić piechotą. W dniu zamachu na bliźniacze wieże na jej parapetach zebrał się gruby kożuch kurzu, drobinek włosów, kości i tkanek tworzących zaspę podobne do śnieżnych. W powietrzu rozchodził się swąd. Po południu wyszła i zawędrowała aż do pogotowia w St. Vincent, gdzie łóżka na próżno czekały na pacjentów. W następnych dniach na ścianach i ogrodzeniu szpitala zaczęły się pojawiać zdjęcia, najczęściej z prostym pytaniem: „Czy widzieliście tę osobę?”.

Nie, nie widziała. Wszyscy zginęli.

Wokół niej rozgrywała się tragedia o wiele większa niż ta, którą sama przeżyła prywatnie. Gdziekolwiek spojrzeła, dostrzegała rozpacz, słyszała modlitwy, które nie miały zostać wysłuchane, obserwowała chaos, który dotykał wszystkich sfer życia – seksualnej, emocjonalnej, psychicznej, moralnej – aż w końcu stał się czymś, co zjednoczyło wszystkich.

Wszyscy jesteśmy zagubieni, zrozumiała i postanowiła opatrzyć własne rany najdokładniej, jak mogła, a potem już nigdy więcej nie rozdrapywać ani nie dotykać strupów.

Tej jesieni natknęła się w pamiętniku matki na dwa zdania, które przez wiele tygodni powtarzała sobie przed pójściem spać jak mantrę.

James nie był dla nas, napisała matka.

Ani my dla niego.

BŁYSKAWICA

Pierwszy atak paniki zaliczyła jesienią dwa tysiące pierwszego roku, tuż po Święcie Dziękczynienia. Gdy szła przez Christopher Street, minęła kobietę, swoją rówieśniczkę, która siedziała na czarnym metalowym ganku pod łukowatym wejściem do kamienicy. Kobieta szlochała, kryjąc twarz w dłoniach – wtedy nie był to rzadki widok w Nowym Jorku. Ludzie płakali w parkach, łazienkach i pociągach, niektórzy bezgłośnie, inni na całe gardło. Te przygnębiające odgłosy rozlegały się wszędzie. Ale i tak poczuła, że powinna się tym zainteresować.

– Wszystko w porządku? – Rachel wyciągnęła rękę, żeby dotknąć kobiety, która cofnęła się gwałtownie.

– Co pani robi?

– Sprawdzam, czy wszystko z panią w porządku.

– Tak. – Kobieta miała suche oczy. Paliła papierosa, którego Rachel wcześniej nie zauważyła. – A z panią?

– Jasne – powiedziała Rachel. – Ja tylko...

Kobieta bez słowa podała jej kilka chusteczek.

– Już dobrze, popłacz sobie.

Miała suche policzki i nieprzekrwione oczy. Nie zamierzała zasłaniać twarzy. Paliła papierosa.

Rachel wzięła od niej chusteczkę. Gdy tylko dotknęła nimi twarzy, poczuła strumień wilgoci, lzy spływające jej pod nosem, skapujące z nosa i brody.

– Już w porządku – powtórzyła kobieta.

Patrzyła jednak na Rachel, jakby nie było w porządku, i to wcale a wcale. Patrzyła najpierw na nią, a potem na ulicę za nią, jakby w nadziei, że ktoś ją wybawi.

Rachel wymamrotała parę razy podziękowanie i powlokła się dalej. Dotarła na róg Christopher i Weehawken. Na światłach stała czerwona furgonetka. Kierowca bladymi oczami gapił się na Rachel. Odstąpił w uśmiechu zęby pożółkłe od nikotyny. Teraz Rachel zmagala się już nie tylko ze łzami, ale i potem. Gardło jej się zacisnęło. Nie mogła oddychać. Nie mogła, kurwa, zaczerpnąć oddechu. Gardło nie chciało jej się rozluźnić, usta otworzyć. Musiała otworzyć usta...

Kierowca wysiadł z furgonetki. Podeszedł do niej, bladooki, o bladej zapadniętej twarzy okolonej rudymi krótko przyciętymi włosami, a kiedy do niej dotarł...

...był czarny. I tęgawy. Jego zęby nie były żółte, lecz białe jak papier do drukarki. Ukląkł przy Rachel, przysiadła teraz na krawężniku, i spojrział wielkimi i przestraszonymi oczami.

– Wszystko w porządku? Zadzwoń do kogoś? Może pani wstać? Już, już. Niech mnie pani weźmie za rękę.

Chwyciła jego dłoń, a on postawił ją na nogi. Słońce już zachodziło, rzeka zmieniła się we wstęgę jasnego bursztynu. Okrągły mężczyzna, który wydał jej się teraz sympatyczny, przytulił Rachel, a ona zmoczyła łzami jego koszulę. Nie mogła przestać płakać. Kazała mu obiecać, że z nią zostanie, że nigdy jej nie opuści.

– Jak się nazywasz? – pytała. – Jak się nazywasz?

Nazywał się Kenneth Waterman i oczywiście nigdy więcej go nie zobaczyła. Odwiózł ją do domu swoją czerwoną furgonetką, która nie była tą wielką ciężarówką śmierdzącą smarem i brudną bielizną, jak to sobie wyobraziła, ale minivanem z fotelikiem dla dziecka w środkowym rzędzie i okruszkami chrupek na podłodze. Kenneth Waterman miał żonę i trójkę dzieci, z którymi mieszkał w Queens na Fresh Meadows. Zajmował się robieniem szafek kuchennych. Odprowadził Rachel pod drzwi jej mieszkania i zaproponował, że po kogoś zadzwoni, ale ona go, że czuje się już lepiej, właściwie nawet całkiem dobrze. I że to tylko to miasto czasem tak na nią działa.

Kenneth rzucił jej pełne troski przeciągłe spojrzenie. Za jego furgonetką zaczęły już przystawać samochody, a wokół powoli zapadał zmrok. Rozległ się klakson, potem drugi. Kenneth podał jej wizytówkę – „Kenny od Szafek” – i powiedział, że może do niego zadzwonić, kiedy tylko zechce. Podziękowała i wysiadła z minivana. Kiedy odjechał, uświadomiła sobie, że jego samochód nie był wcale czerwony, ale brązowy.

W następnym semestrze zrobiła sobie urlop. Z mieszkania wychodziła tylko na spotkania z psychoterapeutą w Tribeca. Nazywał się Constantine Propkop i ujawnił jej na swój temat tylko tyle, że rodzina i przyjaciele uparli się nazywać go Connie. Dokładał wszelkich starań, by przekonać Rachel, że poważnie sobie szkodzi tym, że próbuje zagłuszyć prywatną traumę narodową tragedią.

– W moim życiu nie ma nic tragicznego – oznajmiła Rachel. – Czy czasem bywało smutnie? To jasne, wszyscy tego doświadczamy. Ale byłam zadbana, dobrze odżywiona i wychowałam się w ładnym domu. Nic, tylko rwać włosy z głowy, nie?

Connie spojrzał na nią z drugiego końca małego gabinetu.

– Matka odmówiła ci jednego z najbardziej podstawowych praw – prawa do poznania ojca. Tyranizowała cię emocjonalnie, żeby cię do siebie przywiązać.

– Chroniła mnie.

– Przed czym?

– No dobrze – poprawiła się Rachel – sądziła, że mnie chroni przed mną samą, przed tym, co mogłabym zrobić, gdybym znała swojego ojca.

– Naprawdę?

– A jaki jeszcze mogła mieć powód? – Rachel nagle zapragnęła wyskoczyć przez okno, które znajdowało się za plecami Conniego.

– Gdyby ktoś miał coś, czego nie tylko chcesz, ale naprawdę potrzebujesz, czego nigdy byś mu nie zrobiła?

– Chyba nie chodzi o nienawiść, bo nienawidziłam jej że nie wiem.

– Nigdy byś od niego nie odeszła.

– Nie znam bardziej niezależnej osoby od mojej matki.

– Mogła się taka wydawać, dopóki cię zmuszała, żebyś była przy niej. A co się wydarzyło, gdy odeszłaś? Czy poczuła, że się oddalasz?

Wiedziała, do czego to zmierza. Jej matka była psychologiem.

– Wal się, Connie. Nawet tego nie próbuj.

– Czego?

– To był wypadek.

– Kobieta, którą opisałaś jako nadaktywną, superswiadomą, hiperkompetentną? Która w dniu śmierci nie miała w organizmie ani śladu narkotyków czy alkoholu? Taka kobieta

przejeżdża na czerwonym na suchej jezdni w środku dnia?

– Czyli w dodatku zabiłam własną matkę.

– Sugeruję coś dokładnie odwrotnego.

Rachel wstała, wzięła płaszcz i torbę.

– Moja matka nigdy nie prowadziła praktyki, ponieważ nie chciała być kojarzona z takimi niewydarzonymi partaczami jak ty. – Rzuciła okiem na dyplomy na ścianie. – Rutgers – prychnęła i wyszła.

Jej następna terapeutka, Tess Porter, stosowała łagodniejsze metody i miała bliżej położony gabinet. Powiedziała Rachel, że dojdą do prawdy o jej relacji z matką w tempie podyktowanym przez nią, nie przez terapeutkę. Rachel czuła się przy niej bezpiecznie. Connie zawsze wydawał się gotowy do ataku. Dlatego ona także zawsze była spięta, jakby szykowała się do odparcia ciosu.

– Co byś mu powiedziała, gdybyś go odnalazła? – spytała pewnego popołudnia Tess.

– Nie wiem.

– Boisz się?

– Tak, tak.

– Jego?

– Nie. – Rachel przez chwilę się nad tym zastanowiła. – Nie. Nie jego. Tylko sytuacji. No bo jak zacząć? „Cześć, tatku. Gdzieś ty się szlajał przez całe moje życie?”

Tess zachichotała.

– Wyczułam pewne wahanie... Kiedy spytałam, czy się go boisz.

– Naprawdę? – Rachel przez moment patrzyła w sufit. – No bo matka czasem plątała się w tym, co o nim mówiła.

– W jaki sposób?

– Na ogół opisywała go jako kogoś zniewieściałego. „Biedny, słodki James”, mawiała. Albo: „Kochany wrażliwy James”. I często przewracała oczami. Była pozornie zbyt postępową, by przyznać, że okazał się dla niej niewystarczająco męski. Pamiętam, że parę razy powiedziała: „Odziedziczyłaś tę podłość po swoim ojcu”. – Rachel znów spojrzała na sufit. – „Poszukaj siebie w jego oczach”.

– Słucham? – Tess pochyliła się w jej stronę.

– Powtórzyła to dwa razy. „Poszukaj siebie w jego oczach. Powiedz, co znalazłaś”.

– W jakim kontekście?

– Alkoholowym.

Tess uśmiechnęła się lekko.

– Ale jak sądzisz, o co jej chodziło?

– W obu sytuacjach była na mnie wkurzona. Tyle pamiętam. Zawsze rozumiałam z tego, że... że gdyby mnie zobaczył... – Pokręciła głową.

– To co? – spytała Tess łagodnie. – To co by zrobił?

Zapanowanie nad sobą zajęło jej minutę.

– Poczulby się rozczarowany.

– Co?

Rachel wytrzymała wzrok terapeutki.

– Poczulby odrazę.

Ulice za oknami pociemniały, jakby coś ogromnego i pozaziemskiego zasłoniło słońce i rzuciło cień na całe miasto. Nagle spadł deszcz. Grzmot zabrzmiał jak odgłos TIR-a przejeżdżającego przez stary rozklekotany most. Gdzieś w oddali błysnął piorun.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zagadnęła Tess.

– Uśmiecham się?

Terapeutka skinęła głową.

– Przypomniam sobie coś innego, co mawiała moja matka, zwłaszcza w takie dni jak ten. – Rachel podwinęła pod siebie nogi. – Mawiała, że tęskni za jego zapachem. Kiedy po raz pierwszy spytałam, co to znaczy i jak on pachniał, zamknęła oczy, wciągnęła powietrze i oznajmiła: „Jak błyskawica”.

Oczy Tess lekko się rozszerzyły.

– Tak go zapamiętałaś?

Rachel pokręciła głową.

– Pachniał kawą. – Spojrzała za okno, za którym szemrał deszcz. – Kawą i sztruksem.

Późną wiosną dwa tysiące drugiego roku doszła do siebie po tym pierwszym ataku paniki i łagodnej agorafobii. Wtedy przypadkiem spotkała chłopca, który chodził w zeszłym semestrze na zajęcia z zaawansowanych technik zbierania materiałów. Nazywał się Patrick Mannion i lubił się troszczyć o innych. Był trochę tęgawy i miał dość niefortunny zwyczaj: krzywił się, gdy czegoś nie dosłyszał – a zdarzało się to często, bo w dzieciństwie wskutek wypadku na sankach stracił pięćdziesiąt procent słuchu w prawym uchu.

Pat Mannion nie mógł uwierzyć, że Rachel nadal z nim rozmawia, choć wyczerpał się już temat dotyczący tych jedynych wspólnych zajęć. Nie mógł uwierzyć, że zaprosiła go na drinka. A wyraz jego twarzy, gdy parę godzin później w jego mieszkaniu dotknęła klamry jego paska, można by porównać do spojrzenia człowieka, który chciał sprawdzić, czy niebo jest zachmurzone, i ujrzał przelatujące nad nim anioły. Właściwie nie zmienił tego wyrazu twarzy przez cały ich dwuletni związek.

Gdy w końcu z nim zerwała – bardzo delikatnie, niemal udało się jej wmówić mu, że to wspólna decyzja – spojrzał na nią z dziwną miną, w której malowała się urażona godność, i powiedział:

– Nigdy nie rozumiałem, co we mnie widziałaś. Przecież jesteś wspaniała, a ja... zupełnie nie.

– Jesteś...

Uciszył ją gestem ręki.

– Aż raz, jakieś pół roku temu, w końcu mnie olśniło – to nie miłość jest najważniejsza, ale poczucie bezpieczeństwa. I zrozumiałem, że wcześniej czy później mnie rzucisz, odejdziesz pierwsza, bo – i to jest ważne – ja bym cię nigdy nie rzucił. – Spojrzał na nią z pełnym bólu pięknym uśmiechem. – I to przez cały czas było moim celem.

Po studiach Rachel mieszkała rok w Wilkes-Barre w Pensylwanii. Pracowała w redakcji „Times Leadera”. Potem wróciła do Massachusetts i szybko znalazła posadę w dziale reportaży w „Patriot Ledger” w Quincy, gdzie jej tekst o uprzedzeniach rasowych na posterunku policji w Hingham zyskał pewne uznanie i taki rozgłos, że otrzymała mejla od – ni mniej, ni więcej – Briana Delacroix. Podróżował w interesach i znalazł „Ledgera” w poczekalni dystrybutora desek w Brockton. Chciał sprawdzić, czy to ta sama Rachel Childs, która kiedyś była jego klientką, i był ciekawy, czy udało się jej znaleźć ojca.

Rachel odpisała, że tak, ta ona, i że nie, nie znalazła. Może Brian chciałby ponownie zająć się tym zleceniem?

„Nie mogę. Masa roboty. Podróże, podróże, podróże. Uważaj na siebie, Rachel. Nie

będziesz długo tkwić w »Ledger«. Czeka Cię świetlana przyszłość. Uwielbiam Twój styl pisania”.

Miał rację – rok później udało jej się wspiąć na wyższy szczebel i zaczęła pracować w „Boston Globe”.

Tam znalazł ją doktor Felix Browner, ginekolog jej matki. W rubryce „temat” mejla napisał „Dawny przyjaciel Twojej mamy”, ale kiedy mu odpowiedziała, okazało się, że Elizabeth Childs była jego pacjentką. Doktor Browner już nie leczył matki, kiedy Rachel zaczęła potrzebować lekarza tej specjalności. Gdy wkroczyła w wiek dojrzewania, Elizabeth zaprowadziła ją do doktor Veeny Rao, do której chodziła większość ich znajomych. Rachel nigdy nie słyszała o Feliksie Brownerze. Ale on zapewnił ją, że był lekarzem jej matki, gdy Elizabeth przybyła do zachodniego Massachusetts, i że to właśnie on pomógł Rachel zaczerpnąć pierwszy łyk tlenu. „Bardzo się wierciła”, napisał.

W kolejnym mejlu oznajmił, że wie o jej matce coś ważnego, co na pewno ją zainteresuje, i chętnie się tym podzieli, ale tylko w cztery oczy. Postanowili spotkać się w połowie drogi między Bostonem a Springfield, w którym mieszkał doktor, i umówili się w kawiarni w Millbury.

Przed spotkaniem Rachel sprawdziła doktora Brownera. Obraz, jaki wyłonił się na podstawie uzyskanych wiadomości, nie był pochlebny – tak jak podpowiadała jej intuicja. Rok wcześniej, w dwa tysiące szóstym, Browner został pozbawiony prawa wykonywania zawodu w związku z licznymi oskarżeniami o napaść seksualną lub molestowanie pacjentek. Najwcześniejsze zgłoszenia pochodziły z siedemdziesiątego szóstego roku, swój niecny proceder zaczął zaledwie tydzień po ukończeniu studiów.

Doktor Browner zjawił się w kawiarni z dwiema walizami na kółkach pełnymi dokumentów. Na oko był już po sześćdziesiątce, a dzięki gęstej, już posrebrzonej siwizną fryzurze niemal w stylu lat osiemdziesiątych, z nastroszonym przodem i dłuższym tyłem, sprawiał wrażenie kogoś, kto jeździ sportowym samochodem i chodzi na koncerty Jimmy’ego Buffetta. Miał na sobie jasnoniebieskie dzinsy, hawajską koszulę i czarny lniany kardigan, a na bosych stopach – mokasy. Z piętnastoma kilogramami nadwagi, skumulowanymi głównie na brzuchu, obnosił się jak z symbolem sukcesu. Życzliwie gawędził z kelnerką i z jej pomocnikami. Wydał się jej mężczyzną raczej lubianym i jednym z tych, którzy się dziwią, gdy ktoś nie śmieje się z ich żartów.

Kiedy już wyraził Rachel współczucie z powodu śmierci jej matki i wspomniął, jak bardzo ona sama wierciła się jako noworodek – „jak wysmarowana olejkim” – nieco zdławionym głosem nadmienił, że jego pierwsza oskarżycielka – „nazwijmy ją Kit, i to nie dlatego, że wstawiała kit, dobrze?” – знаła inne kobiety, które go oczerniły. Wymienił ich imiona, a Rachel natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy są zmyślane, czy też doktor z brawurową obojętnością gwałci ich prawo do zachowania prywatności: Tonya, Marie, Ursula, Jane i Patty, oznajmił, to wszystko jedna sitwa.

– No, to mały rejon – odparła. – Ludzie się znają.

– Naprawdę? – Doktor potrząsnął saszetką z cukrem, zanim ją rozdarł, i rzucił Rachel zimny uśmiech. – Naprawdę? – Wsywał cukier do kawy i sięgnął do jednej z waliz. – Okazało się, że wstawiająca kit Kit miała licznych kochanków. Dwa razy się rozwiodła i...

– Doktorze...

Uniósł rękę, żeby ją uciszyć.

– I w sprawie rozwodowej została przedstawiona jako ta druga. Patty pije w samotności, Marie i Ursula mają na koncie narkotyki, a Tonya – o ho, ho – Tonya pozwała kolejnego lekarza za napaść seksualną. – Doktor wytrzeszczył oczy w udawanej zgrozie. – Najwyraźniej w Berkshires działa szajka napastujących lekarzy! Coś takiego!

Rachel знаła w Berkshires jedną Tonyę – Tonyę Fletcher, kierowniczkę Minute Man Inn. Zawsze wyglądała na trochę nieobecną i czymś znękaną.

Doktor Browner rzucił na stół stos dokumentów wielki jak blok betonu. Uniósł triumfalnie brew.

– Co, nie uznaje pan pendrive'ów? – spytała Rachel.

Zignorował to.

– Mam teczkę na każdą z nich. Widzisz?

– Widzę. I co mam z tym zrobić?

– Pomóc mi – powiedział, jakby to była jedyna możliwa opcja.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Bo jestem niewinny. Bo nic złego nie zrobiłem. – Położył na blacie dłonie odwrócone wewnętrzną stroną do góry. – Te ręce przynoszą życie na świat. Przyniosły ciebie, Rachel. To te ręce pierwsze cię trzymały. Te ręce. – Spojrzał na nie jak na swoje dwie wielkie miłości. – Tamte kobiety odebrały mi dobre imię. – Splótł palce i spojrział na nie. – Straciłem moją rodzinę z powodu stresu i niesnasek spowodowanych tą bezpodstawnie rozpętaną aferą. Straciłem pracę. – W jego oczach błysnęły łzy. – A nie zasłużyłem na to. O nie.

Rachel rzuciła mu uśmiech – miała nadzieję, że współczujący, choć podejrzewała, że wyglądał raczej na nieszczerzy.

– Nie bardzo rozumiem, o co mnie pan prosi.

Browner usiadł prosto.

– Napisz o tych kobietach. Ujawnij, że miały złe intencje, ukryte zamiary, że wybrały mnie, żeby te zamiary zrealizować. Postanowiły mnie zniszczyć i dopięły swego. Muszą za to odpowiedzieć. Muszą odpokutować. Należy je zdemaskować. Teraz podały mnie do sądu cywilnego. Czy wiesz, młoda damo, że za adwokata trzeba zapłacić średnio ćwierć miliona? Za samą obronę? Bez względu na to, czy wygra, czy przegra, traci się dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wiedziałaś o tym?

Uwaga Rachel zatrzymała się na tej „młodej damie”, ale skinęła głową.

– No więc, więc, więc ten... sabat mnie zgwałcił. Nie ma na to innego słowa. Te czarownice zabrały mi moje dobre imię, zniszczyły więź z rodziną i przyjaciółmi. Ale czy to im wystarczyło? Nie. Teraz chcą mnie pożreć w całości. Chcą tych resztek pieniędzy, jakie mi zostały, żebym schyłek życia przeżył w nędzy. Żebym umarł w jakimś przytułku, jak kompletne zero, opuszczony, pozbawiony przyjaciół. – Położył dłoń na stosie dokumentów. – Na tych kartkach znajdują się wszystkie wstrętne fakty o tych wstrętnych kobietach. Opisz je. Pokaż światu, kim są. Daję ci szansę na Pulitzera, Rachel.

– Nie przyjechałam tu dla Pulitzera – oznajmiła Rachel.

Doktor zmrużył oczy.

– Więc po co?

– Powiedział pan, że ma informacje o mojej matce.

Pokiwał głową.

– Potem.

– Po czym?

– Po tym, jak napiszesz artykuł.

– To tak nie działa. Jeśli ma pan informacje o mojej matce, proszę mi je przekazać i zobaczymy...

– Nie o twojej matce, tylko o ojcu. – Oczy mu błysnęły. – Sama powiedziałaś, że to mały rejon. Ludzie plotkują. A o tobie, moja droga, powiedzieli, że Elizabeth nie zdradziła ci, kim jest twój ojciec. Litowaliśmy się nad tobą, wiesz, wszyscy dobrzy obywatele tego miasta. Ktoś by ci

pewnie powiedział, ale nikt nic o nim nie wiedział. No, ja wiedziałem. Całkiem nieźle znałem twojego ojca, lecz tajemnica lekarska nie pozwalała mi na ujawnienie jego tożsamości wbrew życzeniu twojej matki. No ale teraz twoja matka nie żyje, a ja nie mogę praktykować. – Upił łyk kawy. – To jak, Rachel, chciałabyś poznać tatusia?

Rachel nie od razu odzyskała głos.

– Tak.

– Słucham?

– Tak.

Doktor przyjął to do wiadomości z szybkim mrugnięciem.

– Więc napisz ten jebany artykuł, złotko.

Im dłużej Rachel grzebała w aktach sądowych i materiałach, które przyniósł Browner, tym gorzej to wyglądało. Jeśli doktor Felix Browner nie był seryjnym gwałcicielem, to od dawna nie słyszała o nikim, kto by go lepiej udawał. Nie siedział w więzieniu tylko dlatego, że kobieta, która wniosła oskarżenie mogące go pogrążyć, przedawkowała oxycontin akurat w ostatnim tygodniu procesu, tuż przed tym, gdy miała składać zeznania. Przeżyła, ale w dniu, w którym miała się stawić przed sądem, leżała na odwyku, a prokurator zgodził się na wyrok z pozbawieniem praw do wykonywania zawodu, sześć lat nadzoru sądowego, minus odsiedziane pół roku aresztu, oraz zakaz publicznego wypowiadania się na temat tej sprawy – bez odsiadki.

Mimo to Rachel napisała ten artykuł. Przyniosła go ze sobą do kawiarni w Millbury, wyjęła z torebki, gdy usiadła naprzeciwko doktora Feliksa Brownera. Spojrzał na cienki stosik kartek, ale nawet nie drgnął.

– Co, nie uznajesz pendrive'ów?

Uśmiechnęła się blado.

– Wygląda pan radośnie.

Tak właśnie było. Zrezygnował ze stylu Jimmy'ego Buffetta na rzecz wykrochmalonej białej koszuli i ciemnobrązowego garnituru. Włosy miał zaczesane do tyłu i mocno nażelowane. Nawet przystrzygł sobie brwi, które poprzednio wyglądały jak włochate gąsienice. Jego oczy lśniły nadzieją, na twarzy miał rumieńce.

– Bo czuję radość. Ty też wyglądasz olśniewająco.

– Dziękuję.

– Ta bluzka podkreśla zieleń twoich oczu.

– Dziękuję.

– Czy twoje włosy zawsze są tak jedwabiste?

– Ułożyłam je na szczotce.

– Do twarzy ci w nich.

Uśmiechnęła się promiennie. Oczy mu zamigotały.

– O Boziu – powiedział, śmiejąc się cicho do siebie.

Nie odpowiedziała, tylko pokiwała głową znacząco, nie odwracając wzroku.

– Zdaje się, że czujesz zapach tego Pulitzera.

– Nie uprzedzajmy faktów – odparła. Podała mu kartki.

Browner usadowił się wygodnie.

– Powinniśmy zamówić drinki – rzucił z roztargnieniem i zaczął czytać.

Po pierwszej stronie spojrział na nią, a ona uśmiechnęła się zachęcająco. Wrócił do lektury i jego zmarszczone w radosnym oczekiwaniu czoło nagle zaczęło wyrażać konsternację, potem rozpacz, w końcu furję.

– Tu jest napisane – rzucił, odprawiając gestem kelnerkę – że jestem gwałcicielem.

– No, tak jakby.

– Że uzależnienia tych kobiet od alkoholu, substancji psychoaktywnych i seksu są spowodowane przeze mnie.

– Bo są.

– Tu jest napisane, że chciałem cię namówić, żebyś po raz drugi zrujnowała tym

kobietom życie.

– Bo tak było. – Kiwnęła głową. – I zniesławił je pan w mojej obecności. Zakładam się, że gdybym rozpytała w miejscowych barach, znalazłabym dowody na to, że zniesławił je pan przed połową męskiej populacji w zachodnim Massachusetts. A to pogwałcenie zasad zwolnienia warunkowego, co oznacza, Feliksie, że kiedy „Globe” opublikuje ten artykuł, wyładujesz w pierdłu.

Wyprostowała się i przyjrzała jego osłupiałej twarzy. Gdy wreszcie spojrzął na nią, w jego oczach malowało się niedowierzanie i męczeństwo.

– Te ręce – uniósł dłonie – sprowadziły cię na ten świat.

– Wal się pan razem ze swoimi rękami. Mamy nową umowę, tak? Nie opublikuję tego artykułu.

– Niech cię Bóg błogosławi. – Od razu się wyprostował. – Wiedziałem od pierwszej chwili...

– Nazwisko mojego ojca.

– Chętnie, ale najpierw zamówmy drinka i porozmawiajmy.

Odebrała mu kartki.

– Nazwisko mojego ojca, w tej chwili, albo przedyktuję ten artykuł – wskazała bar – przez tamten telefon.

Browner opadł na krzesło i spojrzął w zadumie na zardzewiały wentylator, który z piskiem obracał się powoli nad jego głową.

– Mówiła na niego JJ.

Rachel włożyła artykuł do torby, żeby ukryć drzenie, jakie opanowało jej ręce od palców po łokcie.

– Dlaczego akurat JJ?

Browner złożył dłonie na stole jak znękaný człowiek, który chce przebłagać los.

– Co mam teraz zrobić? Jak będę żyć?

– Dlaczego nazywała go JJ? – Zorientowała się, że zaciska zęby.

– Jesteście wszystkie takie same – szepnął. – Wysysacie mężczyzn do ostatniej kropli. Dobrych mężczyzn. Jesteście szkodnikami.

Wstała.

– Siadaj. – Powiedział to tak głośno, że dwie osoby obejrzały się w ich stronę. – Proszę. Nie, nie. Usiądź. Już będę grzeczny. Będę grzecznym chłopcem.

Usiadła.

Doktor Felix Browner wyjął z kieszeni marynarki kartkę, starą i złożoną na czworo. Otworzył ją i przesunął po stole w stronę Rachel. Ręce zdrząły jej jeszcze bardziej, ale przestało ją to obchodzić. W nagłówku kartki znajdowała się nazwa: Klinika Zdrowia Kobiecego doktora Brownera. Poniżej: „Historia medyczna ojca”.

– Zjawiał się w moim gabinecie tylko dwa razy. Odniosłem wrażenie, że bardzo się kłóć. Cięża przeraża niektórych mężczyzn. Odczuwają ją jak stryczek.

W rubryce „nazwisko” widniały schludnie wypisane niebieskim atramentem drukowane litery „JAMES”.

Dlatego nie mogli go znaleźć. „James” było jego nazwiskiem.

Na imię miał Jeremy.

TYP B

Jeremy James pracował na pełny etat w Connecticut College, małej uczelni sztuk wyzwolonych w New London w Connecticut od września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku. W tym samym roku kupił dom w Durham, miasteczku liczącym siedem tysięcy mieszkańców, sto kilometrów autostradą I-91 w prostej linii od South Hadley, w którym dorastała Rachel, i jakieś dziesięć minut drogi od domu, który matka wynajęła w Middletown, gdy ona chorowała na mononukleozę.

Jeremy James ożenił się z Maureen Widerman w lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku. Ich pierwsze dziecko, Theo, urodziło się we wrześniu osiemdziesiątego czwartego roku, drugie – Charlotte – na Gwiazdkę osiemdziesiątego szóstego. Mam przyrodnie rodzeństwo, pomyślała Rachel, prawdziwych krewnych. I po raz pierwszy od śmierci matki poczuła, że coś ją zakotwicza w tym wszechświecie.

Dzięki temu, że знаła nazwisko i imię ojca, Rachel w niespełną godzinę poznała całe życie Jeremy'ego Jamesa, a w każdym razie tę jego część, która znajdowała się w dostępnych publicznie dokumentach. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku został docentem historii sztuki, a pięć lat później otrzymał tytuł profesora oraz etat. Gdy jesienią dwa tysiące siódmego roku Rachel w końcu go namierzyła, uczył w Connecticut College od dwudziestu pięciu lat, a obecnie pełnił funkcję dziekana wydziału. Jego żona, Maureen Widerman-James, była kuratorem wystawy sztuki europejskiej w Wadsworth Atheneum w Hartford. Rachel znalazła w internecie kilka jej zdjęć. Kobieta miała tak sympatyczne spojrzenie, że wydała się jej właściwym pośrednikiem w jej trudnej sprawie. Rachel wyszukała też zdjęcia Jeremy'ego Jamesa. Był teraz łysy, z gęstą brodą i aurą imponującej erudycji.

Gdy przedstawiła się przez telefon Maureen Widerman-James, ta odpowiedziała po najkrótszej z możliwych pauz:

– Od dwudziestu pięciu lat zastanawiałam się, kiedy zadzwonisz. Nie potrafię wyrazić, jaka to ulga... w końcu usłyszeć twój głos.

Rachel odłożyła słuchawkę i zapatrzyła się w okno, powstrzymując łzy. Zagryzła wargę aż do krwi.

Do Durham pojechała w jedną z październikowych sobót. W okolicy, w której od zarania dziejów mieszkali przeważnie rolnicy, dominowały wąskie wiejskie drogi, potężne stare drzewa, spłowiełe czerwone stodoły, gdzieś tam było widać kozy. W powietrzu unosił się dym z pieców opalanych drewnem oraz woń pobliskiego sadu jabłkowego.

Maureen Widerman-James otworzyła drzwi skromnego domu na Gorham Lane. Była niebrzydką kobietą w dużych okrągłych okularach, które podkreślały spokojne, lecz przenikliwe spojrzenie jej jasnobrązowych oczu. Kasztanowe włosy były rude przy skórze, a na skroniach i wokół czoła – siwe. Związała je w niestaranny kucyk. Była bosa, ubrana w czerwono-czarną kraciatą koszulę, wyrzuconą na czarne legginsy, a kiedy się uśmiechnęła, jej twarz jakby rozświetlił snop światła.

– Rachel – powiedziała z tą samą mieszanką ulgi i poufałości co podczas rozmowy telefonicznej. To umocniło Rachel w niepokojącym przekonaniu, że przez minione dekady ta

kobieta nieraz wypowiadała jej imię. – Wejdz.

Odsunęła się na bok i Rachel wkroczyła do wnętrza, które robiło wrażenie zamieszkanego przez dwoje uczonych – biblioteczek w korytarzu, pod ścianami salonu, pod oknem w kuchni; ściany pomalowane na soczyste kolory, gdzieniegdzie z odpryskami farby, których nie zatuszowano; posążki i maski z krajów Trzeciego Świata, haitańskie obrazy na ścianach. Za życia matki Rachel bywała w dziesiątkach podobnych domów. Wiedziała, jakie płyty znajdują się we wbudowanej w ścianę szafce w salonie, jakie pisma zapełniają koszyk w łazience, wiedziała nawet, że radio w kuchni jest nastawione na stację NPR. Natychmiast poczuła się tu jak w domu.

Maureen zaprowadziła ją do podwójnych rozsuwanych drzwi w głębi domu. Położyła rękę na szczelinie między nimi i obejrzała się przez ramię.

– Jesteś gotowa?

– Kto byłby gotowy na coś takiego? – Rachel zachichotała desperacko.

– Dasz radę – powiedziała Maureen ciepło, ale Rachel dostrzegła w jej oczach również cień smutku. Coś się zaczęło, ale coś się i skończyło. Nie wiedziała, czy z tej świadomości zrodził się smutek, ale tak podejrzewała. Teraz ich życie nie będzie już takie jak kiedyś.

Zobaczyła go stojącego pośrodku pokoju. Odwrócił się na odgłos otwieranych drzwi. Był ubrany podobnie jak żona, choć zamiast legginsów miał szare dżinsy. Jego koszula, niebiesko-czarna, rozpięta i narzucona na biały podkoszulek, także była kraciasta i wypuszczona na wierzch. Uwadze Rachel nie uszło kilka artystycznych akcentów – małe srebrne kółko w lewym uchu, trzy bransoletki z ciemnego sznurka na lewym nadgarstku, masywny zegarek z bransoletką z grubej czarnej skóry na przegubie drugiej dłoni. Jego broda była schludniejsza niż na zdjęciach w internecie. Wyglądał starzej, oczy bardziej mu się zapadły, a twarz obwisła. Był wyższy, niż spodziewała się Rachel, ale się garbił. Uśmiechnął się, gdy wyciągnęła do niego rękę, i to był uśmiech z jej wspomnień: coś, co miała pamiętać nie tylko do dnia śmierci, ale i dużo później. Miał niepewny uśmiech mężczyzny, który na pewnym etapie życia był zmuszony prosić o pozwolenie na okazanie radości.

Wziął Rachel za ręce i patrzył na nią tak, jakby chciał pożreć ją wzrokiem.

– Boże – odezwał się wreszcie. – Patrzcie ją. No, patrzcie ją – szepnął. Przyciągnął Rachel do siebie niezdarnie i zapalczywie.

Odwzajemniła uścisk. Jeremy z upływem lat stał się masywny, zwłaszcza w brzuchu, ramionach i na plecach, ale przytuliła go tak mocno, że poczuła, jak ich kości się ze sobą stykają. Zamknęła oczy i usłyszała bicie jego serca, które było niczym fala uderzająca w ciemnościach o brzeg.

Nadal pachnie kawą, pomyślała. Sztruksem już nie. Ale kawą tak. Ciągle jeszcze.

– Tato – szepnęła.

A on bardzo delikatnie odsunął ją od siebie.

– Siadaj. – Machnął niedbale ręką w stronę kanapy.

Pokręciła głową, przygotowując się na kolejny cios.

– Postoję.

– To się napijmy. – Podeszedł do barku na kółkach i zaczął robić drinki dla całej trójki. – Byliśmy za granicą, kiedy umarła... twoja matka. Przebywałem na urlopie naukowym we Francji. Nie wiedziałem o jej śmierci przez kilka lat. Raczej nie mieliśmy wspólnych przyjaciół, którzy by mnie powiadomili o jej odejściu. Szczerze ci współczuję straty.

Spojrzał jej prosto w oczy i głębia tego współczucia uderzyła ją jak pięść.

Z jakiegoś powodu do głowy przyszło jej tylko jedno:

– Jak się poznaliście?

Jeremy wyjaśnił, że po raz pierwszy ujrzał jej matkę w pociągu z Baltimore, którym

wracał z pogrzebu swojej matki latem siedemdziesiątego szóstego roku. Elizabeth, która niedawno zdobyła tytuł doktora na uczelni Johnsa Hopkinsa, jechała na wschód, by objąć pierwszą posadę nauczycielską w Mount Holyoke. Jeremy od trzech lat pracował jako docent w Buckley College, dwadzieścia pięć kilometrów na północ. Tydzień później zaczęli się regularnie spotykać, a po miesiącu zamieszkali razem.

Zanim Jeremy nalał sobie szkockiej, poczęstował nią Rachel i Maureen.

– To był pierwszy rok twojej matki w pracy w wyjątkowo liberalnej okolicy liberalnego stanu w czasie liberalnej dekady, więc niezalegalizowany związek był akceptowany. Cięża niezamężnej kobiety nawet bardziej, niektórzy uważali to za akt godny podziwu, plucie w twarz narzuconym standardom i tak dalej. Ale zwyczajna wpadka z nieznanym facetem? Wtedy twoja matka wyszłaby na idiotkę niezdolną wznieść się ponad własną klasę społeczną. To tego się obawiała.

Rachel zauważyła, że Maureen, która wypija już połowę szkockiej, uważnie ją obserwuje. Jeremy zaczął mówić z większym pośpiechem, trochę się jękając.

– Ale przedstawienie tego w ten sposób ogółowi, jej współpracownikom i tak dalej było, było, było... jedną rzeczą, a zupełnie inną – sprzedanie tego w domu. Bo... co prawda nie jestem profesorem matematyki, ale liczyć potrafię. A twoja matka urodziła dwa miesiące przed czasem.

No i już. Powiedział to, pomyślała Rachel i pociągnęła duży łyk alkoholu. A ja jakoś tego nie usłyszałam. Wiem, co powiedział, i jednocześnie nie wiem. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

– Chciałbym, nawet bardzo, uczestniczyć w umacnianiu tej iluzji, ale nie zamierzałem podtrzymywać tego kłamstwa w kuchni, sypialni, w życiu codziennym. To wydawało mi się odrażające.

Rachel poczuła, że jej wargi lekko drżą, choć nie wydostały się z nich żadne słowa. Powietrze w pokoju stało się rozrzedzone, Rachel miała wrażenie, że zbliżają się do siebie.

– Zrobiłem badanie DNA – dodał Jeremy.

– DNA – powtórzyła powoli Rachel.

– Najbardziej podstawowe – powiedział, kiwając głową. – Takie, które nie może bezsprzecznie udowodnić ojcostwa, ale może bezsprzecznie mu zaprzeczyć. Masz krew typu B, prawda?

Ogarnęło ją odrętwienie, jakby podano jej zewnątrzoponowo nowokainę. Skinęła głową.

– Elizabeth miała grupę A. – Jeremy dopił szkocką i odstawił szklanekę na krawędź biurka. – Ja też.

Maureen postawiła krzesło za Rachel, która na nim usiadła. Jeremy nadal mówił.

– Rozumiesz? Jeśli twoja matka miała grupę A, ja też, a ty B, to...

Rachel machnęła ręką w nieokreślonym kierunku.

– To nie ma takiej możliwości, żebyś był moim ojcem. – Dopła drinka. – Rozumiem.

Dopiero teraz zauważyła zdjęcia na jego biurku, biblioteczkach i szafkach. Zawsze przedstawiały tę samą parę – dzieci jego i Maureen, Theo i Charlotte. Jako niemowlęta, na plaży, podczas przyjęć urodzinowych i rozdania dyplomów. Ważne momenty w życiu, a także te, o których by zapomniano, gdyby nie uwiecznił ich fotograf. Były jak systematycznie prowadzona kronika, sięgająca od narodzin aż po studia. Przez minione siedemdziesiąt dwie godziny – mniej więcej – sądziła, że ma przyrodnie rodzeństwo. A teraz były to tylko cudze dzieci. A ona znowu stała się jedynaczką.

Zauważyła spojrzenie Maureen i rzuciła jej bolesny uśmiech.

– Takich rzeczy nie mówi się przez telefon, tak? Nie, rozumiem, naprawdę.

Wstała, Maureen podniosła się z krzesła, a Jeremy zrobił dwa szybkie kroki w jej stronę. Najwyraźniej bali się, że zemdleje.

– Nic mi nie jest. – Uświadomiła sobie, że patrzy w sufit. Był miedziany, no naprawdę. – Tylko mi naprawdę... – Zastanowiła się nad odpowiednim słowem. – Smutno? – odpowiedziała sama sobie i kiwnęła głową. – Tak. Smutno. I jestem zmęczona. Wicie? To były długie poszukiwania. No, to ja już pójdę.

– Nie – rzucił Jeremy. – Nie.

– Proszę – dodała Maureen. – Nie odchodź. Przygotowaliśmy pokój gościnny. Zostań dziś z nami. Zdrzemnij się. Zostań. Rachel, proszę.

Zgodziła się, choć nie przypuszczała, że zdoła zasnąć. Nie po takim upokorzeniu, po tym, jak się nad nią litowali. Unikali tej rozmowy, jak długo mogli, bo nie chcieli spychać jej do roli, którą musiała teraz przyjąć: sieroty. Z daleka dobiegał warkot silnika. Zamknęła oczy i właśnie ten dźwięk przesycił sen, którego nie zdołała zapamiętać. Gdy półtorej godziny później się ocknęła, czuła się nawet jeszcze bardziej zmęczona. Podeszła do okna, rozsunęła ciężkie kotary i wyjrzała na podwórko Jamesów oraz drugie, przy domu sąsiadów, zarzucone zabawkami, z małą zjeżdżalnią z twardego plastiku i różowo-czarnym wózkiem. Dalej znajdował się domek pokryty jasną dachówką, a za nim pole. Stał tam traktor, którego warkot słyszała we śnie. Rachel myślała, że wie, co to samotność, ale się myliła. Miała do towarzystwa iluzję, wiarę w fałszywego bożka. Mitycznego ojca. Odkąd skończyła trzy lata, wmawiała sobie, że gdy znowu go zobaczy, poczuje się kompletna. Ale teraz, gdy po latach zdołała go odnaleźć, nie miał dla niej większego znaczenia niż ten traktor.

Zeszła na dół. Czekali na nią w małym salonie. Gdy zatrzymała się w drzwiach, znowu zauważyła litość w ich oczach. Poczowała się, jakby żebrała o uczucie, jakby przez całe życie pukala od drzwi do drzwi, prosząc kompletnie obcych ludzi, by ją nakarmili. Żeby przestała czuć tę pustkę. Żeby znowu się nasyciła.

Jestem jak naczynie bez dna. Napelnijcie mnie.

Spojrzała Jeremy'emu w oczy i przyszło jej na myśl, że może to nie litość, lecz wstyd.

– Rozumiem, że nie jesteśmy krewnymi – powiedziała.

– Rachel, wejdz – poprosiła Maureen.

– Ale jak mogłeś mnie zostawić?

– Nie chciałem. – Jeremy wyciągnął ręce. – Nie ciebie. Nie moją Rachel.

Weszła do pokoju. Stała za krzesłem, czekającym na nią przed sofą, na której siedzieli.

Jeremy opuścił ręce.

– Ale kiedy już raz uznała mnie za wroga – a zrobiła to pierwszego dnia, gdy wyraziłem niechęć do podtrzymywania jej złudzeń o tym, kto ją zapłodnił – nie było wyjścia.

Rachel usiadła.

– Znasz swoją matkę lepiej niż ktokolwiek, więc na pewno dobrze wiesz, jak wyglądała jej wściekłość. Gdy znalazła sobie cel, nie można było jej powstrzymać. Na pewno nie za pomocą prawdy. A kiedy zrobiłem badanie krwi, zmieniłem się z wroga w rakową narośl na ciebie domu. Twoja matka rzuciła się na mnie ze skoncentrowanym... – zastanowił się nad właściwym słowem – szaleństwem. Uznała, że musi mnie sobie całkowicie podporządkować albo się mnie pozbyć.

– Wykreślić.

Drgnął.

– Co powiedziałaś?

– Krzyknęła to do ciebie. „Wykreślę cię!”.

Jeremy i Maureen wymienili wstrząśnięte spojrzenia.

– Pamiętasz to?

Rachel skinęła głową.

Nalała sobie wody z karafki stojącej na stoliku między nimi.

– I tak zrobiła. Gdyby cię wyrzuciła, Jeremy, nie byłoby tak źle dla żadnego z nas. Ale kiedy cię wykreśliła, zostałeś wymazany. Zmarli mają imiona, nagrobki. Wykreśleni nigdy nie istnieli. – Napiła się i powiodła wzrokiem po książkach, zdjęciach, adapterze i płytach, które były dokładnie takie, jak przewidywała. Zauważyła robione na drutach narzuty, wypaczony fragment kanapy, rysy na drewnianych panelach na ścianach i panujący wszędzie lekki nieporządek. Pomyślała, że pewnie miło dorasta się w takim domu, że fajnie być dzieckiem Jeremy’ego i Maureen. Opuściła głowę, zamknęła oczy i w tej ciemności zobaczyła swoją matkę, plac zabaw z chmurami sunącymi nisko po niebie i mokre huśtawki, na które zabrał ją kiedyś Jeremy. Zobaczyła dom na Westbrook Road i sterty wilgotnych liści tego ranka, gdy Jeremy odszedł. Zobaczyła alternatywne życie, w którym nie odszedł i był jej ojcem pod każdym względem z wyjątkiem genetycznego; wychował ją, otaczał opieką i był trenerem jej drużyny futbolowej. A w tym alternatywnym życiu matka nie zmuszała wszystkich bliskich, żeby dopasowali się do popierdolonej narracji jej życia, była osobą, którą się stawiała jako pisarka i nauczycielka – obiektywną, racjonalną, zdystansowaną, zdolną do miłości nieskomplikowanej, bezpośredniej i dojrzałej.

Ale ona i Jeremy dostali coś innego. Dostali skonfliktowany, agresywny, toksyczny zlepek rozdętej inteligencji, rozdętego strachu i rozdętej wściekłości, a wszystko w pozornie kompetentnej, chłodnej i spokojnej nordyckiej oprawie.

„Wykreślę cię”.

Wykreśliłaś go, mamo. A przy okazji wykreśliłaś mnie i siebie z rodziny, którą mogliśmy się stać, którą tak łatwo i radośnie moglibyśmy się stać. Gdybyś tylko raz zrezygnowała ze swoich cholernych wymagań, ty koszmarna suko z piekła rodem.

Uniosła rękę i odgarnęła włosy wpadające jej do oczu. Maureen już podawała jej pudełko chusteczek, którego Rachel się tu spodziewała. Jak się nazywa ten rodzaj opiekuńczości? A, matkowanie komuś. Więc tak to wygląda.

Jeremy przeniósł się na podłogę, usiadł przed Rachel z uniesioną głową, otaczając rękami kolana, a jego twarz rozświetlały dobroć i żal.

– Maureen, mogę przez chwilę porozmawiać z Rachel sam na sam? – spytał.

– Pewnie, pewnie. – Maureen odstawiła pudełko na kredens, ale po chwili zmieniła zdanie i umieściła je na stoliku do kawy. Nalała wody do szklanki Rachel. Przez moment wyglądała róg dywanika. W końcu posłała im obojgu uśmiech, który miał być kojący, ale jakby się zwarzył i zmienił w nieprzyjemny grymas. Wyszła.

– Kiedy miałaś dwa lata, twoja matka i ja kłóciliśmy się właściwie przez cały czas. Wiesz, jak to jest, codziennie się z kimś kłócić? Z kimś, kto twierdzi, że nie lubi konfliktów, ale kto tak naprawdę nimi żyje?

Rachel przechyliła głowę.

– Naprawdę mnie o to pytasz?

Jeremy się uśmiechnął, a potem spoważniał.

– To wypala duszę, niszczy serce. Czujesz, że umierasz. Mieszkanie z twoją matką – w każdym razie od czasu, gdy uznała mnie za wroga – było jak życie w strefie wojny. Pewnego razu wracałem z pracy do domu i nagle zwymiotowałem. Po prostu rzygnąłem na śnieg na trawniku. A akurat nie działo się nic szczególnie złego. Po prostu wiedziałem, że kiedy tylko przekroczę próg domu, ona do czegoś się przyczepi. Do czegokolwiek – mojego tonu, krawata, który tego dnia włożyłem, do czegoś, co powiedziałem trzy tygodnie temu, do czegoś, co ktoś o mnie powiedział, do jakiegoś swojego przeświadczenia, które naszło ją ot tak sobie, jakiegoś przecucia, że coś jest ze mną nie tak, jakiegoś snu, który to potwierdził... – Pokręcił głową

i jęknął cicho, jakby zaskoczony świeżością tych wspomnień po trzydziestu latach.

– Więc dlaczego zostałeś tak długo?

Jeremy ukląkł przed nią. Ujął jej dłonie, przytulił do swojej górnej wargi i odetchnął ich zapachem.

– Dla ciebie. Byłem gotów zostać dla ciebie i rzygać przed domem co wieczór, potem dostać wrzodów żołądka, wczesnego zawału i wszelkich innych chorób, gdybym w zamian za to mógł cię wychowywać.

Puścił jej dłonie i usiadł na niskim stoliku przed nią.

– Ale... – wykrztusiła.

– Ale twoja matka o tym wiedziała. Wiedziała, że nie mam żadnych praw do ciebie, ale wiedziała też, że pozostałbym w twoim życiu, czy jej się to podoba, czy nie. Więc pewnego wieczora – wieczora, kiedy nawet się kochaliśmy, dobrze to pamiętam – obudziłem się, a jej nie było. Pobiegłem do twojego pokoju. Spałaś mocno. Obszedłem cały dom. Nie znalazłem ani jej, ani żadnej wiadomości. Wtedy nie było jeszcze telefonów komórkowych, a my nie mieliśmy przyjaciół, do których mógłbym zadzwonić.

– Mieszkaliście tam dwa lata i z nikim się nie zaprzyjaźniliście?

Jeremy pokiwał głową.

– Dwa i pół roku. – Pochylił się ku niej. – Twoja matka torpedowała wszelkie próby nawiązywania kontaktów. Wtedy tego nie dostrzegałem – byliśmy tak pochłonięci pracą i ciążą, a potem noworodkiem i wszystkimi pracochłonnymi etapami... no, rodzicielstwa. Dlatego nawet nie wiem, czy aż do tej nocy zauważyłem, jak bardzo byliśmy osamotnieni. Wtedy wykładałem w Worcester, w Holy Cross. Dojazdy mnie wykańczały, a twoja matka z pewnością nie zamierzała się z nikim zadawać. Ale kiedy zaproponowałem, żeby spotykała się ze swoimi znajomymi z pracy i tak dalej, odpowiadała: „Taki-a-taki skrycie nienawidzi kobiet”, „Taka-a-taka jest strasznie pretensjonalna” albo, opcja nuklearna: „Taki-a-taki dziwnie patrzy na Rachel”.

– Na mnie?

Jeremy skinął głową.

– Jak miałem na to zareagować?

– Tak samo robiła z moimi znajomymi – powiedziała Rachel. – Te uwagi rzucane zniechęca... „Jennifer jest całkiem miła... jak na kogoś z takimi kompleksami”. Albo: „Chloe mogłaby być bardzo ładna, ale dlaczego się tak ubiera? Nie rozumie, co w ten sposób sygnalizuje?”. – Rachel wzruszyła ramionami, ale poczuła ukłucie gdzieś pod żebrami na myśl, jak wielu przyjaźni pozbawiła ją matka.

– Czasem nawet się umawiała z grupą współpracowników i wszyscy byliśmy gotowi do wyjścia. A potem, dosłownie w ostatniej chwili, coś się psuło. Opiekunce nawalał samochód, Elizabeth zaczynała czuć się niedobrze, ty wyglądałaś, jakbyś miała zachorować... – „Zobacz, JJ, nie jest rozpalona?” – ta druga para rzekomo odwoływała spotkanie, choć nie przypominałem sobie, żebym słyszał dzwonek telefonu. Te powody zawsze wydawały się całkiem rozsądne. Dopiero z perspektywy czasu zauważyłem, że było ich za dużo. No więc nie mieliśmy znajomych.

– I tej nocy zniknęła?

– O świcie wróciła. Pobita. – Jeremy spuścił wzrok. – I gorzej. Wszystkie widoczne obrażenia znajdowały się na jej ciele, nie na twarzy. Została zgwałcona.

– Przez kogo?

Jeremy spojrział jej w oczy.

– Oto jest pytanie. Była na policji. Zrobiono jej zdjęcia. Zgodziła się na obdukcję. –

Wciągnął powietrze tak mocno, że coś zabulgotało mu w gardle. – Zeznała, że nie potrafi opisać napastnika. W każdym razie w tamtej chwili. Ale kiedy wróciła do domu i powiedziała mi o wszystkim, zapewniła, że jeśli nie oprzytomnieję i się nie przyznam...

– Zaraz – przerwała Rachel. – Do czego miałbyś się przyznać?

– Że ją zapłodniłem.

– Ale to nie była prawda.

– Właśnie.

– Więc...

– Więc Elizabeth chciała, żebym skłamał. Powiedziała, że możemy być razem tylko wtedy, gdy będę z nią całkowicie szczerzy i przestanę kłamać, że nie jestem twoim ojcem. Oznajmiłem: „Powieм światu, że Rachel jest moją córką. Podpiszę wszystkie potrzebne dokumenty. Jeśli się rozwiedziemy, będę płacić alimenty aż do jej osiemnastki. Ale nie mogę przyznać – i nie przyznam, a ty najwyraźniej oszalałaś, jeśli tego ode mnie wymagasz – przed tobą, jej matką, że to ja cię zapłodniłem. Tego nie można wymagać od nikogo”.

– I co ona na to? – spytała Rachel, choć chyba się orientowała.

– Spytała, dlaczego uparłem się tak kłamać. I co mnie opętało. Czemu staram się jej wmówić, że domaganie się czegoś takiego jest nierozsądne. Chciała, bym przyznał, że usiłuję zrobić z niej wariatkę. – Złożył dłonie jak do modlitwy i dodał bardzo cicho, prawie szeptem: – O ile rozumiałem, chodziło o to, że nie mogła uwierzyć w moją miłość, jeśli nie zgodzę się na ten absurdalny układ, na to nieracjonalne żądanie. Na tym polegał cały trik – spotkaj się ze mną w jaskini mojego szaleństwa albo nie spotykaj się w ogóle.

– I wybrałaś „w ogóle”.

– Wybrałem prawdę. – Jeremy usiadł prosto. – I moje zdrowe zmysły.

Rachel poczuła, że kąciki jej ust unoszą się w gorzkim uśmiechu.

– A to jej się nie spodobało, co?

– Powiedziała mi, że skoro postanowiłem wieść tchórzliwe życie w kłamstwie, nigdy więcej was nie zobaczę. Wychodząc z tamtego domu, opuszczałem was na zawsze.

– I odszedłeś.

– I odszedłem.

– Nigdy nie próbowałaś szukać z nami kontaktu?

Jeremy pokręcił głową.

– Na tym polegał jej szach i mat. – Pochylił się, lekko oparł palce na jej kolanach. – Ostrzegła mnie, że jeśli kiedykolwiek będę próbował to zrobić, ona powie policji, że to ja ją zgwałciłem.

Rachel usiłowała zrozumieć, co usłyszała. Czy jej matka naprawdę posunęłaby się do czegoś takiego, by wykluczyć ze swojego życia Jeremy’ego Jamesa czy kogokolwiek innego? To byłoby chyba przesadą nawet dla niej, prawda? Ale potem przypomniała sobie, jaki był los innych ludzi, którzy narazili się Elizabeth Childs. Pewien dziekan, przeciwko któremu matka powoli zbuntowała całe grono pedagogiczne; znajomy profesor psychologii, z którym nie podpisano umowy na kolejne lata; woźny, którego zwolniono; pracownik miejskiej piekarni, który stracił pracę. Wszyscy ci ludzie i jeszcze paru innych wyrzadzili Elizabeth Childs krzywdę – prawdziwą lub urojoną – a ona zemściła się na nich w wyrachowany, zimny sposób. Rachel aż za dobrze wiedziała, że matka zawsze planowała wszystko strategicznie.

– Myślisz, że została zgwałcona? – spytała.

Jeremy pokręcił głową.

– Myślę, że odbyła ze mną stosunek, a potem albo komuś zapłaciła, albo przekonała go, żeby ją pobił. Zastanawiałem się nad tym całe lata i taki scenariusz wydaje mi się najbardziej

prawdopodobny.

– Bo nie chciałeś kłamać we własnych czterech ścianach?

Jeremy przytaknął.

– I ponieważ dostrzegłem rozmiary jej obłędu. A tego nie mogła mi wybaczyć.

Rachel zastanawiała się nad tym dłuższą chwilę. W końcu zwróciła się do człowieka, który powinien być jej ojcem:

– Kiedy o niej myślę – a za często to robię – czasami nie wiem, czy ona nie była wcielonym złem.

– Nie była. Była tylko najbardziej skrzywdzonym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. A jeśli ktoś ją wkurzył, jej nienawiść nigdy nie zasypiała, to na pewno. Ale miała też w sercu wielkie pokłady miłości.

Rachel parsknęła śmiechem.

– Do kogo?

Jeremy spojrzał na nią z gorzkim zdziwieniem.

– Do ciebie, Rachel. Do ciebie.

O LUMINIZMIE

Po spotkaniu z mężczyzną, którego niesłusznie uważała za ojca, wydarzyło się coś zaskakującego – Rachel zaprzyjaźniła się z Jeremym Jamesem.

Nie zwlekali z tym długo; rzucili się w to uczucie raczej jak przed laty rozdzielone rodzeństwo niż sześćdziesięcioletni mężczyzna i trzydziestoletnia kobieta, których nie łączyły więzy krwi.

W czasie, gdy Elizabeth Childs umarła, Jeremy przebywał z rodziną w Normandii, gdzie wykorzystywał urlop naukowy na badania nad od dawna fascynującym go tematem – możliwym powiązaniem luminizmu z ekspresjonizmem. Teraz, gdy na horyzoncie pojawiła się emerytura, Jeremy biedził się nad książką o luminizmie, amerykańskim stylu malarskim, często mylonym z impresjonizmem. Jak wyjaśnił Rachel, która o sztuce wiedziała mniej niż zero, luminizm miał korzenie w szkole Hudson River. Jeremy uważał, że obie te szkoły łączyło wspólne ogniwo, nawet jeśli obowiązująca teoria – raczej dogmat, mówił Jeremy z przekąsem – twierdziła, że rozwinęły się one niezależnie od siebie, po przeciwnych stronach Atlantyku, pod koniec dziewiętnastego wieku.

Niejaki Colum Jasper Whitstone, wyjaśnił Jeremy, pracował jako pomocnik dwóch najślynniejszych luministów – George’a Caleba Bingham’a i Alberta Bierstadta – ale w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku zniknął z biura Western Union, w którym pracował, zabierając ze sobą ogromną kwotę. Ani o pieniądzach, ani o Columie Jasperze nie słyszano więcej w żadnej z Ameryk, ale madame de Fontaine, bogata wdowa i normandzka mecenaska artystów, w lecie tysiąc osiemset sześćdziesiątego piątego roku dwa razy wspomina w pamiętniku o Whitstone, nazywając go amerykańskim dżentelmenem o nienagannych manierach, wyrafinowanym guście i niejasnym pochodzeniu. Gdy Jeremy po raz pierwszy opowiedział o tym Rachel, oczy zaświeciły mu się jak dziecku na widok prezentu, a niski barytonowy głos stał się o parę oktaw wyższy.

– W tym samym roku Monet i Boudin malowali normandzkie wybrzeże. Codziennie rozstawiali sztalugi tuż koło letniego domku madame de Fontaine.

Jeremy uważał, że tych dwóch gigantów impresjonizmu musiało się spotkać z Columem Jasperem Whitstone’em, że Whitstone stanowił wręcz brakujące ogniwo między amerykańskim luminizmem a francuskim impresjonizmem. Teraz musiał to tylko udowodnić. Rachel pomagała mu w badaniach. Razem z tym swoim nieojcem szukała człowieka, który zniknął bez śladu sto pięćdziesiąt lat temu, choć nie udało im się zidentyfikować mężczyzny, który spłodził ją nieco ponad trzydzieści lat temu. Miała świadomość, że to ironiczne...

Jeremy często ją odwiedzał podczas wypraw naukowych do MFA, Boston Athenaeum i Bostońskiej Biblioteki Publicznej. W tamtym okresie Rachel porzuciła już „Globe” na rzecz telewizji i wprowadziła się do Sebastiana, producenta z Channel 6. Czasem Sebastian towarzyszył im przy kolacji lub pił z nimi, ale na ogół pracował albo pływał na łodzi.

– Jesteście bardzo atrakcyjną parą – powiedział pewnego razu Jeremy, gdy siedzieli w jej mieszkaniu, i słowo „atrakcyjna” zabrzmiało w jego ustach bardzo nieatrakcyjnie. Jeremy nauczył się mówić o Sebastianie – podkreślając jego inteligencję, ironiczne poczucie humoru, pociągający wygląd i to, że sprawiał wrażenie człowieka kompetentnego – tak jakby ani jednego słowa nie traktował poważnie. Przyjrzał się zdjęciu ich dwojga wykonanemu na ukochanej łodzi

Sebastiana. Odstawił je na kominek i rzucił Rachel ciepły roztargniony uśmiech, jakby bezskutecznie usiłował wymyślić, co jeszcze pozytywnego mógłby powiedzieć na ich temat. – Na pewno dużo pracuje.

– O tak – zgodziła się.

– Zakładam się, że zamierza pewnego dnia przejąć całą stację.

– Więcej, on chce kierować całą siecią stacji telewizyjnych.

Jeremy zachichotał i podszedł z kieliszkiem wina do biblioteczki. Zatrzymał się przy fotografii przedstawiającej Elizabeth z córką. Rachel całkiem zapomniała, że Sebastian, który nie przepadał ani za tym zdjęciem, ani za ramką, wcisnął je za rząd książek, w głęboki cień *Historii Ameryki na przykładzie stu jeden przedmiotów*. Jeremy delikatnie chwycił zdjęcie i przechylił książkę tak, żeby się nie przewróciła. Przez jego twarz przemknęły rozmarzenie i smutek.

– Ile masz tu lat?

– Siedem.

– To dlatego nie masz zębów.

– Mhm. Sebastian uważa, że wyglądam tu jak hobbit.

– Tak powiedział?

– W żartach.

– Tak to się teraz nazywa? – Jeremy poszedł ze zdjęciem na kanapę i usiadł obok Rachel.

Siedmioletnia Rachel nie uśmiechała się do zdjęć, ponieważ straciła obie górne jedynki i jedną dolną. Matka nie zamierzała na to pozwolić; wytrzasnęła skądś gumowe wampirze kły i zamalowała czarnym flamastrem jeden górny i jeden dolny. Pewnego deszczowego popołudnia Ann Marie zrobiła im serię zdjęć w domu na South Hadley. Na tym – jedynym, które ocalało – Elizabeth ścisnęła córkę i obie szczerzyły do kamery szczerbate zęby, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Zapomniałem już, jaka była ładna. Ojej. – Jeremy rzucił Rachel ironiczny uśmiech. – Wygląda całkiem jak twój chłopak.

– Cicho bądź – mruknęła Rachel, ale niestety miał rację. Dlaczego do tej pory tego nie zauważyła? Sebastian i jej matka wyglądali jak ideał Aryjczyków – włosy o kilka odcieni jaśniejsze od wanilii, kości policzkowe zaznaczone tak wyraźnie jak linia szczęki, tęczęwki oczu przypominające arktyczny lód, a wargi tak drobne i wąskie, że zawsze wyglądały tajemniczo.

– Wiedziałem, że mężczyźni poślubiają osoby przypominające ich matki, ale to... – powiedział Jeremy.

Rachel trąciła go łokciem w brzuch.

– Dość.

Roześmiał się i pocałował ją w głowę, po czym odstawił zdjęcie na miejsce.

– Masz więcej?

– Fotek?

Przytaknęła.

– Nie widziałem, jak dorastasz.

Znalazła w szafie całe pudełko. Wytrzasnęła fotografie na mały kuchenny stół. Jej życie przybrało postać chaotycznego kolażu, co wydawało się aż nazbyt trafną alegorią. Piąte urodziny; dzień na plaży, gdy była nastolatką; szkolny bal w pierwszej klasie liceum; ona w stroju futbolowym, w czasach liceum; w piwnicy z Caroline Ford – mogła mieć wtedy jedenaście lat, bo tylko w tym roku ojciec Caroline pracował na uniwersytecie jako profesor wizytujący. Elizabeth, Ann Marie i Don Klay na koktajlu; Rachel i Elizabeth na koniec gimnazjum; Elizabeth, Ann Marie, Richard – pierwszy mąż Ann Marie – i Giles Ellison na festiwalu w Williamstown Theatre, a potem na grillu. Na tym drugim zdjęciu wszyscy z trochę bardziej

przerzedzonymi i bardziej siwymi włosami. Rachel w dniu, gdy zdjęto jej aparat ortodontyczny; dwa zdjęcia Elizabeth z sześciorgiem niezidentyfikowanych znajomych w barze. Matka była dość młoda, pewnie jeszcze przed trzydziestką, a Rachel nie znała jej towarzyszy ani baru, w którym się zebrali.

– Co to za ludzie? – spytała Jeremy’ego.

– Nie mam pojęcia – odparł, rzuciwszy okiem.

– Wyglądają na naukowców. – Wzięła zdjęcie i drugie, leżące pod nim, zrobione chyba minutę po pierwszym. – Jest taka młoda... Sądziłam, że tę fotkę ktoś pstryknął tuż po jej przyjeździe do Berkshires.

Jeremy zastanowił się nad zdjęciem w jej prawej ręce – tym, na którym matka Rachel nie zdawała sobie sprawy z wycelowanego w nią obiektu i patrzyła na butelki za barem.

– Nie, nie znam tych ludzi. Nie znam nawet tego miejsca. To nie w Berkshires. Przynajmniej ja nigdy tam nie byłem. – Poprawił okulary i pochylił się nad zdjęciem. – Colts.

– Hm?

– Patrz.

Podążyła wzrokiem za jego palcem. W rogu obu zdjęć, tuż za barem, przy drzwiach prowadzących do wyłożonego boazerią korytarzyka, takiego, który zwykle prowadzi do łazienek, wisiał proporzycyk. Widać było tylko jego połowę, tę z logo drużyny: białym kaskiem z ciemnoniebieską podkową na środku. Logo Colts z Indianapolis.

– Co ona robiła w Indianapolis? – spytała Rachel.

– Colts przeprowadzili się tam dopiero w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku. Przedtem mieli siedzibę w Baltimore. To może być zdjęcie z czasów, kiedy twoja matka była na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, przed twoim przyjściem na świat.

Rachel odłożyła zdjęcie, do którego matka nie pozowała, bo nie wiedziała, że jest fotografowana, na wierzch kolażu i razem przyjrzeni się temu, na którym wszyscy obecni patrzyli w obiektu.

– Czego tak wypatrujemy? – spytała w końcu Rachel.

– Pamiętasz, żeby twoja matka uległa kiedyś sentymentom albo nostalgii?

– Nie.

– Więc dlaczego zachowała te dwa zdjęcia?

– Słuszne spostrzeżenie.

W kadrze uchwycono trzech mężczyzn i trzy kobiety, w tym jej matkę. Zebrali się po jednej stronie baru i przysunęli do siebie stołki. Mieli szerokie uśmiechy i szkliste oczy. Najstarszy był tęgi mężczyzna pierwszy z lewej, około czterdziestki, z obfitymi bakami, w kraciastej kurtce i szerokim dzianinowym krawacie poniżej rozpiętego kołnierzyka. Tuż przy nim siedziała kobieta w fioletowym golfie, z ciemnymi włosami ściągniętymi w kok. Miała tak mały nos, że trzeba go było szukać wzrokiem, i prawie nieistniejący podbródek. Szczupła czarna kobieta z afro, która siedziała obok niej, miała na sobie białą marynarkę z postawionym kołnierzem, gorsetową czarną bluzkę, a przy uchu trzymała jeszcze niezapalonego długiego papierosa. Lewą rękę opierała na ramieniu wysportowanego czarnego mężczyzny w brązowym garniturze z kamizelką, w okularach o grubych kanciastych oprawkach, zza których wyzierało szczere, jasne spojrzenie. Dalej siedział mężczyzna w białej koszuli i czarnym krawacie pod welurowym swetrem zapinanym na suwak. Brązowe włosy miał uczesane z przedziałkiem na środku, wygładzone i wycieniowane na skroniach. Spojrzenie jego zielonych oczu było zawadiackie, może trochę lubieżne. Otaczał ramieniem matkę Rachel, ale to nie musiało nic znaczyć, bo przecież wszyscy się obejmowali, pozując do zdjęcia. Elizabeth Childs była ostatnia; miała na sobie bufiastą bluzkę w prążki z rozpiętymi górnymi trzema guzikami. Rachel nigdy

w życiu nie widziała, żeby matka obnosiła się z takim dekoltem. Jej włosy, które w czasach Berkshires nosiła zawsze krótko obcięte, tutaj sięgały jej niemal ramion i zgodnie z ówczesną modą miały wycieniowane boki. Ale siła osobowości matki zaćmiła nawet te modowe koszmarki. Elizabeth ze zdjęcia zdawała się patrzeć na Rachel tak, jakby wiedziała, że pewnego dnia, jakieś trzy dekady później, jej córka i mężczyzna, za którego omal nie wyszła, pochyla się nad tym zdjęciem wpatrzeni w jej twarz, by zrozumieć, co się wtedy działo w jej duszy. Ale, podobnie jak w życiu, jej twarz niewiele zdradzała. Uśmiech był olśniewający, ale nie znajdował odbicia w wyrazie jej oczu. Uśmiechała się, bo tego od niej wymagano, a nie dlatego, że czuła taką potrzebę. To wrażenie jeszcze bardziej pogłębiało drugie ujęcie, które wyglądało na zrobione parę sekund po pierwszym lub przed nim.

Rachel doszła do takiego wniosku, ponieważ na drugim zdjęciu czubek papierosa czarnej kobiety jarzył się już świeżą czerwienią. Matka przestała się uśmiechać i odwróciła się w stronę baru, spoglądając na butelki po prawej stronie kasy. Butelki whisky, zauważyła Rachel z lekkim zaskoczeniem, a nie wódki, która, jak podejrzewała, bardziej interesowałaby matkę. Elizabeth już się nie uśmiechała, ale właśnie dlatego wydawała się szczęśliwsza. Jej twarz przybrała wyraz skupienia, które Rachel określiłaby jako napięcie erotyczne, gdyby jego obiektem nie były butelki whisky. Wyglądało to tak, jakby matka pogrążyła się w zadumie, czekając na spotkanie z kimś, z kim chciała opuścić ten bar.

A może po prostu patrzyła na butelki i zastanawiała się, co zje jutro na śniadanie? Rachel uświadomiła sobie z niemalym wstydem, że dopuściła się niemal niewybaczalnej projekcji, chcąc znaleźć w zdjęciach wartość, której nie posiadały.

– To śmieszne. – Poszła po butelkę wina, którą zostawili na blacie.

– Co w tym śmiesznego? – Jeremy ułożył zdjęcia obok siebie.

– Mam wrażenie, że szukamy tu jego.

– Bo go szukamy.

– To dwie fotografie zrobione podczas jakiegoś wieczoru spędzonego w barze w czasach, gdy matka była na studiach. – Rachel napełniła oba kieliszki i postawiła butelkę na stole. – Nic więcej.

– Mieszkałem z twoją matką trzy lata. Nie miała żadnych zdjęć z wyjątkiem twoich. Ani jednego. Teraz przekonuję się o istnieniu tych dwóch, które chowała przede mną przez cały czas, gdy byliśmy razem. Nigdy mi ich nie pokazała. Dlaczego? Zastanawiam się, jaką tajemnicę w sobie kryją. Powiedziałbym, że twojego ojca.

– Może po prostu ciepło wspominała ten wieczór.

Jeremy uniósł brew.

– Albo zapomniała, że ma te zdjęcia.

Brew pozostała uniesiona.

– Dobrze – skapitulowała Rachel. – Strzelaj.

Jeremy wskazał mężczyznę znajdującego się najbliżej matki, Pana Aksamitnego z nastroszonymi brązowymi włosami.

– Ma oczy takiego samego koloru jak ty.

Słusznie. Rzeczywiście, miał zielone oczy jak Rachel, choć o wiele intensywniejsze w odcieniu; jej tęczęwki były tak jasne, że prawie szare. I, tak jak Rachel, miał brązowe włosy. Podobieństwo było też widoczne w kształcie głowy i nosa. Podbródek mężczyzny był bardziej spiczasty, a jej – kanciasty, tak jak matki, więc można by stwierdzić, że ma go po niej, a po ojcu – oczy i włosy. Był przystojny mimo tego wąsa rodem z pornosów, ale miał w sobie jakąś płochość – a jej matka nie słynęła z zamiłowania do tej cechy. Jeremy i Giles może nie byli najbardziej męskimi samcami świata, ale obaj mieli kręgosłup ze stali i rzucającą się w oczy

wybitną inteligencję. Natomiast Pan Aksamitny wyglądał trochę jak wodzirej.

– Naprawdę jest w jej typie? – spytała Rachel.

– A ja?

– Ty masz w sobie powagę. Matka na to leciała.

– No, to na pewno nie ten gość. – Jeremy położył palec na masywnym facecie w paskudnej kurtce. – Ani ten. – Wskazał czarnoskórego mężczyznę. – Może ten, który zrobił zdjęcie.

– Ta, która zrobiła zdjęcie. – Rachel pokazała mu odbijającą się w lustrze nad barem kobietę z burzą brązowych włosów, spływających spod wielobarwnej włóczkowej czapki. Kobieta trzymała w obu rękach aparat.

– Ach...

Rachel przyjrzała się pozostałym osobom, które przypadkiem znalazły się w kadrze. W połowie baru siedzieli dwóch starszych panów i para w średnim wieku. Barman wydawał resztę. A jakiś młody mężczyzna w czarnej skórce zastygł w pół kroku, gdy wchodził do lokalu.

– No co? – spytała Rachel. Jeremy poprawił okulary i pochylił się nad zdjęciem.

– Nie widzę dobrze. Zaraz, zaraz, zaraz. – Wstał i podszedł do płóciennego plecaka, z którym nie rozstawał się podczas wypraw badawczych. Wyjął z niego przycisk do papieru, mogący służyć jako szkło powiększające, i unosił go nad twarzą mężczyzny w skórzanej kurtce. Facet miał zaskoczoną minę kogoś, kto niemal wszedł w kadr i zepsuł zdjęcie. Był także smaglejszy, niż się początkowo wydawało – Latynos albo rdzenny Amerykanin. Ale Rachel w niczym go nie przypominała.

Jeremy przeniósł szkło powiększające nad Pana Aksamitnego. Mężczyzna miał z pewnością ten sam kolor oczu co Rachel. Co powiedziała jej matka? Szukaj siebie w jego oczach. Rachel patrzyła w powiększone tęczówki Pana Aksamitnego tak długo, aż wydały się jej zamglone. Odwróciła wzrok, żeby dać mu odpocząć, i znowu spojrzała.

– Czy to moje oczy? – spytała.

– Twój kolor – odparł Jeremy. – Kształt jest inny, ale i tak masz rysy po Elizabeth. Chcesz, żebym zadzwonił do paru osób?

– Jakich osób?

Jeremy odłożył przycisk na stół.

– Przyjmijmy kolejną hipotezę: że to jej koledzy, którzy w tym roku robili doktorat. Jeśli to założenie okaże się słuszne, wszystkich obecnych na zdjęciu da się zidentyfikować. Jeśli nie jest słuszne, zadzwonię do paru znajomych, którzy pracują na uczelni.

– Dobrze.

Jeremy sfotografował komórką oba zdjęcia, sprawdził, czy wyszły ostro, i schował telefon do kieszeni.

W drzwiach jeszcze się obejrzał.

– Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze. Bo co?

– Nagle tak jakoś posmutniałaś.

Szukała słów przez całą minutę.

– Nie jesteś moim ojcem.

– Nie.

– Ale chciałabym. Wtedy wszystko by się skończyło. I miałabym za ojca superfaceta.

Jeremy poprawił okulary – to był gest, który nauczyła się rozpoznawać jako sygnał skrępowania.

– Nikt nigdy nie nazwał mnie superfacetem.

– Dlatego jesteś taki super – odparła i pocałowała go w policzek.

Potem, po raz pierwszy od dwóch lat, Brian Delacroix napisał do niej mejla. Krótkiego – trzy linijki – w którym chwalił ją za serię felietonów o domniemanej korupcji wśród kuratorów sądowych w Massachusetts. Zwierzchnik kuratorów Douglas „Dougie” O’Halloran rządził swoim wydziałem jak udzielny władca, ale teraz, dzięki wysiłkowi Rachel i niektórych jej dawnych kolegów z „Globe”, prokuratura okręgowa zamierzała to ukrócić.

„Gdy Dougie dowiedział się, że po niego idziesz – napisał Brian – o mało się nie zesrał z wrażenia”.

Rachel uświadomiła sobie, że uśmiecha się od ucha do ucha.

„Dobrze wiedzieć, że jesteś, panno Childs”.

Omali nie odpisała „Ty też”.

Ale potem dostrzegła jego PS:

„Przekraczam południową granicę. Wracam do Nowej Anglii. Coś polecasz?”.

Natychmiast go wygooglowała, od czego aż do tej chwili świadomie się powstrzymywała. Znalazła tylko jedno jego zdjęcie, trochę niewyraźne, z opublikowanego w dwutysięcznym roku w „Toronto Sun” artykułu o balu dobroczynnym. No ale to był on, w jakimś niedorzecznym fraku, z głową odwróconą w bok, podpisany jako „Potomek króla drewna, Brian Delacroix III”. W artykule opisano go jako „unikającego reflektorów” i „nieuleczalnego odludka”, absolwenta Brown z dyplomem z Wharton. Który potem zrobił jeszcze trzy dyplomy i został...

Prywatnym detektywem w Chicopee w stanie Massachusetts?

Rachel uśmiechnęła się, wspominając, jak wyglądał w tym biurze wielkości dziupli. Złoty chłopiec, który uciekał przed losem wybranym dla niego przez rodzinę, choć najwyraźniej nie miał przekonania co do własnego wyboru. Tak szczerzy i uczciwy... Gdyby przekazała swoją sprawę innemu detektywowi, spotkałoby ją dokładnie to, przed czym ostrzegał ją Brian – zostałaby ograbiona do cna.

A Brian nie chciał tego zrobić.

Spojrzała na jego zdjęcie i wyobraziła sobie, że mógłby mieszkać w jej dzielnicy lub tuż obok. A może nawet w sąsiednim domu.

– Jestem z Sebastianem – powiedziała głośno. – Kocham Sebastiana.

Zamknęła laptop.

Obiecała sobie, że na mejla Briana odpowie następnego dnia, ale jakoś się nie złożyło.

Dwa tygodnie później zadzwonił do niej Jeremy James i zapytał, czy siedzi, czy stoi. Nie siedziała, ale powiedziała, że tak, i oparła się o ścianę.

– Udało mi się zidentyfikować prawie wszystkie osoby ze zdjęcia. Ta czarna para nadal jest razem. Oboje pracują w St. Louis. Druga kobieta zmarła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Ten masywny facet był nauczycielem; on także zmarł parę lat temu. A ten w aksamitnym swetrze to Charles Osaris, psycholog kliniczny z praktyką w Oahu.

– Na Hawajach – powiedziała.

– Jeśli okaże się, że to twój tata, będziesz miała świetną miejscówkę na wyjazdy. Spodziewam się zaproszenia.

– Ależ oczywiście.

Z telefonem do Charlesa Osarisa zwlekała trzy dni. Nie chodziło o strach. Przyczyna tkwiła w rozpaczce. Wiedziała, że to nie jej ojciec, czuła to w żołądku i we wszystkich elektromagnetycznych falach gadziego mózgu. A jednak coś w niej miało nadzieję, że jest inaczej.

Charles Osaris potwierdził, że robił doktorat z psychologii klinicznej razem z Elizabeth Childs. Pamiętał parę wieczornych wypadów do baru Milo’s we wschodnim Baltimore, gdzie

rzeczywiście na ścianie na prawo wisiał proporczyk Baltimore Colts. Wiadomość o śmierci Elizabeth go zasmuciła; uważał ją za interesującą kobietę.

– Mówiono mi, że byliście parą – zaczęła Rachel.

– Na miłość boską, kto opowiada takie rzeczy? – Charles Osaris parsknął śmiechem, który brzmiał jak szczeknięcie. – Dziecko, wyautowałem się w latach siedemdziesiątych. Nigdy nie miałem złudzeń co do mojej seksualności. Pogubienie – tak, złudzenie – nie. Nigdy nie umawiałem się z żadną kobietą, nigdy żadnej nie pocałowałem.

– Najwyraźniej wprowadzono mnie w błąd – powiedziała Rachel.

– Najwyraźniej. Dlaczego pani pyta, czy umawiałem się z jej matką?

Rachel nie ukrywała, że szuka ojca.

– Elizabeth nie zdradziła pani jego tożsamości?

– Nie.

– Dlaczego?!

A Rachel podała mu wyjaśnienie, które z każdym mijającym rokiem wydawało się bardziej absurdalne.

– Z jakiegoś powodu uważała, że w ten sposób mnie chroni. Brak informacji pomylił jej się z brakiem ryzyka.

– Elizabeth, którą znałem, nigdy w życiu niczego nie pomyliła.

– Więc dlaczego zrobiła tajemnicę z czegoś takiego?

Charles Osaris milczał przez chwilę, a kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiał smutek.

– Znałem pani matkę przez dwa lata. Byłem jedynym mężczyzną w promieniu piętnastu kilometrów, który nie starał się z niej zedrzyć ubrania, więc pewnie znałem ją lepiej niż inni. Przy mnie czuła się bezpiecznie. I wcale jej nie znałem. Tajemnice to siła. Tajemnice są lepsze od seksu. Niezłomnie wierzę, że tajemnice były narkotykiem pani matki.

Po tej rozmowie Rachel przeżyła trzy ataki paniki w ciągu jednego tygodnia: raz w łazience dla pracowników w Channel 6, raz na ławce nad Charles River podczas porannego joggingu, a raz wieczorem pod prysznicem, gdy Sebastian już zasnął. O żadnym nie powiedziała ani jemu, ani swoim kolegom z pracy. Podczas tych ataków czuła, że panuje nad sytuacją, na ile to możliwe. Udało jej się nieustannie powtarzać sobie, że to nie zawał, że jej gardło się kiedyś rozluźni, że jest zdolna do zaczerpnięcia oddechu.

Jej niechęć do opuszczania domu wzrosła. Przez kilka tygodni każdego ranka na zewnątrz mógł ją wywlec tylko świadomy wysiłek i wewnętrzny skowyt buntu. W weekendy nie wychylała nosa za próg. Przez pierwsze trzy tygodnie Sebastian uważał, że to instynkt wicia gniazda. W czwartym zaczął się denerwować. Ich nazwiska widniały na liście gości wszystkich możliwych przyjęć w mieście – balów, imprez dobroczynnych, wszelkich okazji będących pretekstem, żeby się narąbać. Stali się znaną parą, pojawiającą się w plotkarskich rubrykach w „Inside Track” i „Names & Faces”. Rachel mimo wszystkich swoich wysiłków nie mogła zaprzeczyć, że ta pozycja bardzo jej odpowiada. Później zdała sobie sprawę, dlaczego tak się działo. Uwodził ją fakt, że miejskie plemię zastąpiło jej rodziców.

Dlatego wychodziła z domu. Ścisnęła dłonie, całowała policzki, wznosiła toasty na cześć burmistrza, gubernatora, sędziów, milionerów, komików, pisarzy, senatorów, bankierów, baseballistów i ich trenerów oraz dyrektorów college’ów. W Channel 6 szła jak burza po kolejnych szczeblach, od free-lancerki przez dział edukacyjny i kryminalny po reporterkę zajmującą się najważniejszymi tematami. Pojawiała się w reklamach stacji wraz z Shelby i Grantem, prezenterami wieczornych wiadomości, i to ona zaprezentowała opinii publicznej nowe logo telewizji. Gdy ona i Sebastian postanowili się pobrać, mieli wrażenie, że samowzwancko koronowali się królem i królową szkolnego balu, a miasto nagrodziło ich

oklaskami i dało im swoje błogosławieństwo.

Tydzień po rozesłaniu zaproszeń przypadkiem spotkała Briana Delacroix. Właśnie wracała z wywiadu, który przeprowadziła z dwoma reprezentantami rady stanu w sprawie spodziewanej dziury budżetowej. Jej ekipa pojechała furgonetką, ale ona postanowiła się przespacerować. Przeszła akurat na drugą stronę Beacon, gdy z Athenaeum wyszedł Brian w towarzystwie niższego starszego mężczyzny o rudych włosach. Rachel poczuła się tak, jakby przeniknęła ją elektryczna iskra: strzał paniki i radości, który pojawia się zwykle tylko wtedy, gdy mijają na ulicy kogoś sławnego. Było to uczucie, które można streścić następująco: „Znam cię, ale cię nie znam”. Obaj mężczyźni znajdowali się w odległości mniej więcej czterech metrów od niej, kiedy Brian spojrzał jej w oczy. Po tej pierwszej elektrycznej iskrze poraziła ją druga, niosąca uczucia, których nie potrafiła zidentyfikować: rozdrażnienie? strach? ani to, ani to? – a potem zastąpiło je wszystkie coś, co po jakimś czasie mogła opisać jedynie jako szaloną radość.

– Rachel Childs! – Brian dopadł do niej jednym długim skokiem. – Ile to... dziewięć lat?

Uścisnął jej rękę mocniej, niż się spodziewała, zbyt mocno.

– Osiem – powiedziała. – Kiedy...?

– To jest Jack – rzucił Brian. Odsunął się, ustępując miejsca niższemu mężczyźnie, i stanęli we trójkę na chodniku na szczycie Beacon Hill, a wokół nich płynęły strumienie ludzi spieszących na obiad.

– Jack Ahern. – Mężczyzna uścisnął jej dłoń. O wiele delikatniej.

Jego powierzchowność mocno kojarzyła się ze Starym Światem. Spod rękawów skromnej marynarki wyglądały mankiety koszuli ze srebrnymi spinkami, nosił muszkę, a brodę miał precyzyjnie przystrzyżoną. Jego dłonie były suche i miękkie. Rachel wyobraziła sobie, że Jack Ahern pali fajkę i jest znawcą muzyki klasycznej i koniaku.

– Od dawna przyjaźni się pani... – zaczął.

– „Przyjaźni się” to za wiele powiedziane – wpadł mu w słowo Brian. – Zналиśmy się dziesięć lat temu. Rachel jest reporterką Channel 6. Wybitną.

Jack skinął głową z uprzejmym szacunkiem.

– Lubi pani swoją pracę?

– Na ogół – odparła. – A pan czym się zajmuje?

– Jack sprzedaje antyki – rzucił pospiesznie Brian. – Przyjechał z Manhattanu.

Jack Ahern uśmiechnął się do niej.

– A dokładnie z Genewy.

– Chyba nie rozumiem.

– Mieszkam i na Manhattanie, i w Genewie, ale to Genewę uważam za dom.

– Niesamowite, prawda? – spytał Brian, choć wcale nie było to niesamowite. Zerknął na zegarek. – Musimy lecieć. Mamy rezerwację na dwunastą piętnaście. Rachel, kopę lat. – Pochylił się i pocałował powietrze nad jej policzkiem. – Słyszałem, że wychodzisz za męża. Bardzo się cieszę.

– Gratulacje. – Jack Ahern znowu ujął jej dłoń i uklonił się uprzejmie. – Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi.

– Uważaj na siebie, Rachel. – Brian już odchodził, z nieobecny uśmiechem i zbyt mocno błyszczącymi oczami. – Cieszę się, że cię spotkałem.

Doszli do Park Street, skreśli w lewo i zniknęli jej z oczu.

Rachel stała na chodniku i analizowała to spotkanie. Brian Delacroix trochę zmęźniał. Było mu z tym do twarzy. Ten Brian, którego znała, był za chudy, z szyją zbyt cienką w porównaniu z głową. Kości policzkowe i brodę miał trochę za delikatne. Teraz rysy jego twarzy zyskały wyrazistość. Osiągnął ten wiek – trzydzieści pięć lat, jak podejrzewała –

w którym zaczął przypominać swojego ojca i przestał wyglądać jak czyjś syn. Ubierał się o wiele lepiej i był ze dwa razy przystojniejszy niż w dwa tysiące pierwszym roku, a już wtedy było na czym oko zawiesić. Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, wszystkie zmiany poszły w dobrym kierunku.

Ale energia, którą promieniował, choć ukryta pod miłymi słowami, wydała się jej dziwnie niespokojna i zaburzona. Była to energia akwizytora. Dzięki swoim poszukiwaniom wiedziała, że kieruje działem sprzedaży w firmie Delacroix Lumber, i ze smutkiem pomyślała, że te dziesięć lat wśród handlowców zmieniło go w showmana, który hojnie szafuje uściskami ręki i fałszywymi pocałunkami.

Wyobrazila sobie Sebastiana, który pewnie w tej chwili siedzi w Channel 6, zapewne rozparty w fotelu, trzyma w zębach ołówek i tnie taśmę. Król precyzyjnego montażu. W sumie wszystko w nim było precyzyjne. Precyzyjne, czyste i odmierzone. Do roli handlowca nadawałby się mniej więcej tak jak do orania ziemi. W tej chwili dotarło do niej, że Sebastian ją pociąga, bo nie ma w sobie nic desperackiego ani wymagającego.

Brian Delacroix, pomyślała. Szkoda, że życie zmieniło cię w sprzedawcę.

Jeremy poprowadził ją do ołtarza w kościele Przymierza. Miał wilgotne oczy, gdy uniósł jej welon. Na przyjęciu w Four Seasons znalazł się on, Maureen, Theo i Charlotte. Rzadko widywała go z żoną, ale zawsze czuła się przy nim swobodnie, a w towarzystwie jej i dzieci – skrzepowana.

Maureen, która na pierwszym spotkaniu wydawała się autentycznie zadowolona, że Rachel ich znalazła, z każdym kolejnym coraz bardziej się dystansowała, jakby powitała Rachel życzliwie tylko dlatego, że nie spodziewała się jej dłuższej obecności w swoim życiu. Nie była niegrzeczna ani chłodna, skąd, po prostu nie nawiązywała prawdziwego kontaktu. Uśmiechała się do Rachel, chwaliła jej wygląd, pytała o pracę i Sebastiana i nigdy nie zapominała wspomnieć, jak bardzo Jeremy się cieszy, że ją odzyskał, ale nie patrzyła jej w oczy, a w jej głosie brzmiała nutka sztucznej radości, jakby była aktorką, która tak pilnie uczyła się swoich kwestii, że przestała zwracać uwagę na ich znaczenie.

Theo i Charlotte, niedoszłe przyrodnie rodzeństwo, odnosili się do Rachel z szacunkiem podszytym paniką. Rozmawiali z nią pospiesznie, kiwając głowami ze wzrokiem wbitym w podłogę, i ani razu nie zadali jej osobistego pytania, tak jakby mogło ono nadać jej status prawdziwej osoby. Starali się ją postrzegać jak istotę mglistą i mityczną, nieubłagane sunącą ku ich życiu, lecz nigdy nieprzekraczającą ich progu.

Maureen, Theo i Charlotte pożegnali się po godzinie, z ulgi prawie omdlewając. Tylko Jeremy był zdziwiony ich nagłym odejściem (Maureen i Charlotte obawiały się, że są zaziębione, a podróż powrotna była długa). Jeremy ujął dłonie Rachel i powiedział jej, żeby nie zapominała podczas miesiąca miodowego o luministach ani Columie Jasperze Whitstonie – bo kiedy wróci, czeka ich praca.

– Oczywiście, że zapomnę – odparła, a on się roześmiał.

Reszta rodziny wyszła już i czekała, aż parkingowy podjedzie samochodem.

Jeremy poprawił okulary. Wygładził koszulę, która zmarszczyła mu się na brzuchu. W towarzystwie Rachel zawsze wstydził się swojej nadwagi.

– Wiem, że chciałaś, żeby do ołtarza poprowadził cię twój prawdziwy ojciec, ale... – zaczął, rzucając jej ten swój niepewny uśmiech.

Chwyciła go za ramiona.

– Nie, nie! Byłam zaszczycona.

– ...ale, ale... – Uśmiechnął się niepewnie do ściany za jej plecami, ale potem znowu na nią spojrzał. – Dla mnie to coś najważniejszego na świecie.

– Dla mnie też – szepnęła.

Oparła głowę o jego ramię. On położył dłoń na jej karku. I w tej chwili czuła się tak bardzo uleczona, jak to tylko było możliwe.

Po miesiącu miodowym nie mogła się skontaktować z Jeremym. Maureen nie czuła się dobrze, nic poważnego, po prostu to już ten wiek, powiedział. Potrzebowała mieć go przy sobie, więc nie mógł odwiedzać bostońskich bibliotek. Raz udało im się wyrwać na obiad w New London i wyglądał na bardzo zmęczonego, z twarzą szarą i napiętą. Maureen nie czuje się dobrze, wyznał. Dwa lata temu wykryto u niej raka piersi. Przeszła podwójną mastektomię, ale ostatnie badania budzą wątpliwości.

– Co to znaczy? – Rachel pochyliła się nad stołem i przykryła dłonią rękę Jeremy'ego.

– To znaczy, że rak mógł wrócić. W przyszłym tygodniu zamierzają przeprowadzić dalsze badania. – Poprawił okulary, raz i drugi, a potem spojrzał na nią nad oprawkami z uśmiechem zwiastującym zmianę tematu. – Co u nowożeńców?

– Kupują dom – rzuciła wesoło.

– W mieście?

Pokręciła głową, nadal niepokodzona z tematem.

– Jakieś pięćdziesiąt kilometrów na południe, mniej więcej. Trzeba go wyremontować i przerobić, więc nie zamieszkamy w nim natychmiast, ale to dobre miasto, dobre szkoły, jeśli pojawią się dzieci. Niedaleko od miejsca, w którym Sebastian dorastał. Tam trzyma swoją łódź.

– Ależ on ją kocha.

– Ej, a mnie to nie?

– Tego nie powiedziałem. – Jeremy rzucił jej krzywy uśmiech. – Powiedziałem, że kocha tę łódź.

Cztery dni później Jeremy dostał wylewu w swoim gabinecie na uczelni. Podejrzewał, że to wylew, ale nie miał pewności, więc pojechał do najbliższego szpitala. Zatrzymał samochód częściowo na chodniku i powłókł się do budynku. Udało mu się dotrzeć na pogotowie o własnych siłach, ale w poczekalni dostał drugiego ataku. Pierwszego sanitariusza, który do niego dotarł, zdziwiła siła delikatnych profesorskich dłoni, które zacisnęły się na kłapach jego fartucha.

Ostatnie słowa, które zdołał wypowiedzieć Jeremy, brzmiały bezsensownie dla sanitariusza i dla wszystkich innych. Jeremy przyciągnął mężczyznę do siebie i spojrzał na niego oczami wychodzącymi z orbit.

– Rachel – wybełkotał – jest w lustrze.

ROZŁĄKI

Maureen powtórzyła to Rachel podczas trzeciej nocy Jeremy'ego w szpitalu.

– Rachel jest w lustrze? – powtórzyła Rachel.

– Tak powiedział Amir – potwierdziła Maureen. – Jesteś zmęczona. Odpocznij.

Rachel musiała za godzinę wrócić do pracy. Spóźni się. Znowu.

– Nic mi nie jest.

Jeremy gapił się w sufit, rozchylając usta. Z jego oczu zniknęły wszelkie oznaki świadomości.

– Dojazd musi być straszny – zauważyła Charlotte.

– Nie bardzo. – Rachel usiadła na parapecie, bo w pokoju znajdowały się tylko trzy krzesła zajęte przez członków rodziny.

– Lekarze powiedzieli, że może tak leżeć miesiącami – dodał Theo. – Albo dłużej.

Charlotte i Maureen zaczęły płakać. Theo podszedł do nich. Przytulili się do siebie. Przez chwilę Rachel widziała tylko ich wstrząsane łkaniem plecy.

Tydzień później Jeremy został przeniesiony do szpitala neurologicznego i stopniowo odzyskał częściową sprawność ruchową oraz najbardziej podstawową zdolność mówienia – tak, nie, łazienka. Żonę uważał za matkę, a dzieci za dziadków. Na Rachel spoglądał tak, jakby bezskutecznie usiłował ją przyporządkować. Próbowali mu czytać, pokazywali mu jego ulubione obrazy na iPadzie, puszczała ukochanego Schuberta – nic nie działało. Chciał jeść, chciał wygody, chciał ulgi od bólu głowy i ciała. Wykorzystywał wszystkich z narcyzmem przerażonego niemowlaka.

Jego żona i dzieci dali Rachel jasno do zrozumienia, że może go odwiedzać, kiedy tylko zechce – uprzejmość nie pozwalała im postąpić inaczej – ale nie włączali jej do rozmów i zawsze wyraźnie oddychali z ulgą, kiedy wychodziła.

W domu Sebastian zaczął się burzyć. Prawie go nie znasz, mówił. Nadajesz nadmierne znaczenie związkowi, który nie istnieje.

– Daj sobie spokój – powiedział.

– Nie, to ty daj spokój – odparła.

Uniósł rękę w przeproszającym geście i przymknął oczy na znak, że nie chce się wdawać w kłótnie. Otworzył oczy i podjął ciszej, pojednawczo:

– Wiesz, że rozważają twoją kandydaturę do Wielkiej Szóstki?

Tak nazywali państwową stację w Nowym Jorku.

– Nie wiedziałam. – Usiłowała ukryć radosne podniecenie.

– Przeszłaś trening, a teraz rzucą cię na głęboką wodę.

– No co ty?

– Dadzą ci na próbę coś dużego. Coś na skalę ogólnokrajową.

– Na przykład?

– Huragan, seryjne zabójstwo, no nie wiem, śmierć celebryty.

– Jak sobie damy radę po odejściu Whoopi? – rzuciła.

– Będzie trudno – zgodził się – ale chciałaby, żebyśmy się nie poddawali.

Zachichotała, a on przytulił się do niej na kanapie. Pocałował ją w szyję.

– Przecież to my, skarbie, ja i ty. Bliźnięta syjamskie. Tam, gdzie ja, tam ty. Tam, gdzie

ty, tam ja.

- Wiem. Naprawdę wiem.
- Fajnie by było mieszkać na Manhattanie.
- W którym miejscu?
- Upper West Side – powiedział on.
- Harlem – powiedziała ona w tym samym momencie.

Oboje skwitowali to śmiechem, bo wydawało się, że tak trzeba, kiedy istotne różnice w małżeństwie ujawniają się wyłącznie w teoretycznych kwestiach.

Z czasem Jeremy James poczuł się o wiele lepiej. Jesienią przypomniał sobie Rachel, choć już nie to, co powiedział sanitariuszowi, i zdawał się raczej tolerować jej obecność, niż czerpać z niej siłę.

Przypomniał sobie wszystko, co wiedział o ruchu luministów i Columie Jasperze Whitstone, ale rozproszone, jego orientacja w chronologii zniknęła, zaginięcie Whitstone'a w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku sytuował tuż przed pierwszą wycieczką Jeremy'ego w ramach stypendium do Normandii w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku. Sądził, że Rachel jest młodsza od Charlotte, a czasem nie potrafił pojąć, dlaczego Theo odwiedza go w szpitalu, zamiast uczyć się w liceum.

– Nie przykłada się do nauki – skarżył się Rachel. – Nie chcę, żeby moja choroba stała się dla niego pretekstem do tego, żeby uczyć się jeszcze mniej.

W listopadzie Jeremy został przeniesiony do domu na Gorham Lane. Zajmowała się nim pielęgniarka z hospicjum. Fizycznie stał się silniejszy, mówił wyraźniej, ale umysł ciągle płatał mu figle.

– Umyka mi sens – powiedział raz. W jego pokoju była akurat Rachel i Maureen, do których skierował swój niepewny uśmiech. – Tak jakbym był w pięknej bibliotece, gdzie żadna książka nie ma tytułu.

Pod koniec grudnia dwa tysiące dziewiętego roku Rachel dwa razy przyłapała go na zerkaniu na zegarek dziesięć minut po jej przyjściu. Nie mogła mieć do niego pretensji. Bez możliwości rozmawiania o detektywistycznych historiach – jego poszukiwaniach Columa Jaspera Whitstone'a, który mógł znać Claude'a Moneta, albo o jej próbach odnalezienia ojca czy ich wspólnych poszukiwaniach prawdy o Elizabeth Childs – nie mieli o czym rozmawiać. Żadnych wspólnych ambicji, żadnych wspólnych przeżyć.

Obiecała mu, że jeszcze się odezwie.

Opuściła jego dom, przeszła chodnikiem z kamiennych płyt do samochodu i poczuła, że znów straciła Jeremy'ego. Wróciło do niej też dawne podejrzenie, że życie – takie, jakiego dotąd doświadczyła – to szereg rozłąk. Postacie przechodzą przez scenę, niektóre zostają dłużej, ale wszystkie ostatecznie ją opuszczają.

Przy samochodzie spojrzała jeszcze raz na dom. Byłeś moim przyjacielem, pomyślała. Byłeś moim przyjacielem.

Dwa tygodnie później, dwunastego stycznia, o piątej po południu na Haiti odnotowano trzęsienie ziemi o magnitudzie 7.0.

Tak jak przewidział Sebastian, Rachel została przydzielona do zrobienia materiału na ten temat dla Wielkiej Szóstki. Pierwszych parę dni spędziła w Port-au-Prince. Wraz z ekipą przedstawiała widzom rzuty żywności i artykułów pierwszej potrzeby, które przeważnie doprowadzały do zamieszek. Pokazywali ciała leżące na parkingu szpitala, prowizoryczne krematoria, które powstały na ulicach całego miasta, ludzi płonących jak ofiary całopalne, szarą siarkę kłębiącą się w oleistym czarnym dymie, ciała, które staje się już abstrakcją, dymem równie zwyczajnym jak każdy inny – z budynków, które nadal kopciły, z gazociągów, które jeszcze się

nie wypaliły. Robiła reportaże z prowizorycznych obozowisk i punktów szpitalnych. W niedawnej dzielnicy handlowej wraz z operatorką Gretą Kilborne przygotowała materiał o policjantach strzelających do szabrowników, o młodym mężczyźnie z wystającymi zębami i żebrami, który leżał w popiele i gruzie z odstrzeloną stopą i paroma ukradzionymi puszkami żywności, które potoczyły się tuż poza zasięg jego rąk.

W dniach tuż po trzęsieniu ziemi jedynym zjawiskiem dokuczliwszym od chorób i głodu byli dziennikarze.

Wkrótce Rachel i Greta postanowiły prześledzić historię trzęsienia ziemi aż do jego epicentrum w nadbrzeżnym miasteczku Léogâne. Znajdowało się tylko czterdzieści kilometrów na południe od Port-au-Prince, ale podróż do niego zajęła im dwa dni. Na trzy godziny przed przybyciem zaczęły czuć smród zwłok. W miasteczku została zniszczona cała infrastruktura, nie było lekarzy, żadnej organizacji, policja nie strzelała już do szabrowników, bo policji też nie było.

Gdy Rachel porównała to do piekła, Greta się z nią nie zgodziła.

– Piekło ma szefa – powiedziała.

Drugiej nocy w obozowisku zrobionym z prześcieradeł – prześcieradła zamiast dachów, prześcieradła zamiast ścian – Rachel, Greta, jedna była zakonnica i jedna prawie pielęgniarka przenosiły cztery dziewczynki z namiotu do namiotu.

Sześciu niedoszłych gwałcicieli, którzy szli przez obozowisko, szukając dziewcząt, było uzbrojonych w noże i *serpette* – popularne wśród rolników maczety o zakrzywionych ostrzach. Przed trzęsieniem ziemi połowa tych mężczyzn miała dobrą pracę, Rachel była tego pewna. Ich przywódca, Josué Dacelus, przybył ze wsi położonej na wschód od strefy spustoszonej przez trzęsienie ziemi. Dziewiąty z rodzeństwa w małym gospodarstwie z polem sorgo w Croix-des-Bouquets był wściekły na los, odkąd dotarło do niego, że nigdy nie odziedziczy tej ziemi. Zwykle chodził w zielono-białej futbolowej bluzie i brązowych spodniach z podwiniętymi nogawkami. Na lewym biodrze nosił automatyczną czterdziestkępiątkę, a na prawym *serpette* w wytartej skórzanej pochwie. Zapewniał wszystkich, że *serpette* ma tylko do własnej obrony. Czterdziestkapiątka, dodawał z mrugnięciem, jest dla obrony innych. Wielu tu niegodziwców, wiele okropieństw, wielu złoczyńców. Robił znak krzyża i wznosił oczy do nieba.

Osiemdziesiąt procent Léogâne zmieniło się w krater. Wszystko było w ruinie. Prawo i porządek były już tylko wspomnieniem. Krążyły plotki, że w okolicy widziano angielskie i islandzkie ekipy poszukiwawczo-ratownicze. Rachel tego samego dnia potwierdziła informację, że w porcie stoi kanadyjski niszczyciel, a japońscy i argentyńscy lekarze powoli ściągają do śródmieścia, a raczej do tego, co z niego zostało. Jednak na razie nikt do nich nie dotarł.

Tego ranka i popołudnia pomagały Ronaldowi Revolusowi, człowiekowi, który przed trzęsieniem ziemi kształcił się na pielęgniarza. Razem przetransportowali trzech śmiertelnie rannych mieszkańców obozowiska do znajdującego się siedem kilometrów dalej namiotu medycznego prowadzonego przez lankijskie siły pokojowe. Tam Rachel rozmawiała z tłumaczem, który zapewnił ją, że dostaną pomoc, gdy tylko to będzie możliwe. Być może już następnej nocy, najdalej za dwa dni.

Rachel i Greta wróciły do obozu i właśnie wtedy pojawiły się w nim cztery dziewczynki. Brudni, rozdrażnieni mężczyźni z gangu Josuégo natychmiast je zauważyli i porozumieli się ze sobą, zanim one dostały wodę i zostały opatrzone.

Rachel i Greta, które tego wieczora zawiodły jako dziennikarki, angażując się w historię, którą powinny tylko dokumentować – o ile ktokolwiek by ją wyemitował – wspólnie z byłą zakonniceą i Ronaldem Revolusem przenosiły dziewczęta z miejsca na miejsce w całym obozie. Rzadko pozostawały w jednej kryjówce dłużej niż godzinę.

Światło dnia nie przeszkadzało mężczyznom – gwałt był według nich i ich kumpli czymś całkowicie akceptowanym. Ostatnio stał się normą; pretensję o niego mieli tylko tubylcy, i to wyłącznie wtedy, gdy dotyczył kobiet z ich najbliższej rodziny. Pili aż po świt, a jedyną nadzieją było to, że kiedyś w końcu zasną. Ostatecznie dwie z czterech dziewczyn zostały uratowane, gdy rano do obozu wjechała ciężarówka ONZ wraz z buldożerem, który miał zabrać zwłoki ze zrujnowanego kościoła u stóp góry.

Jednakże dwie pozostałe dziewczyny zagięły bez śladu. Przybyły do obozu zaledwie parę godzin wcześniej. Niedawno straciły rodziców i domy. Esther miała na sobie spłowiąły czerwony podkoszulek i dzinsowe szorty. Ta w jasnożółtej sukience nazywała się Widelene, ale wszyscy wołali na nią Widdy. To, że Esther chodziła pochmurna, prawie się nie odzywała i rzadko spoglądała ludziom w oczy, było zrozumiałe, w przeciwieństwie do tego, że Widdy była promienna, a jej uśmiech przebijał na wylot pierś osoby, której go posłała. Rachel poznała te dziewczęta tego wieczora i większą jego część spędziła z Widdy. Widdy o niepokromionym sercu, Widdy nucąca piosenki, których nikt nie znał. Widdy w żółtej sukience. Niezwykle, że zniknęły zupełnie bez śladu. Nie tylko ich ciała i ubrania gdzieś się rozpląnęły, ale ich cała egzystencja została jakby wymazana. Godzinę po wschodzie słońca ich dwie towarzyszki milkły, gdy je o nie pytano. Po trzech godzinach nikt w obozie, oprócz Rachel, Grety, byłej zakonnicy Veronique i RONALDA REVOLUSA, nie przypominał sobie, żeby je widział. O zmroku następnego dnia Veronique zmieniła swoje zeznania, a Ronald też zaczął powątpiewać w swoje wspomnienia. O dziewiątej Rachel przypadkiem spojrzała w oczy jednego z gwałcicieli, Paula, nauczyciela przyrody z liceum, który zawsze zachowywał się z wyszukaną uprzejmością. Paul siedział przed swoim namiotem i obcinał paznokcie zardzewiałymi nożyczkami. Zdażyła się już rozejść plotka, że jeśli dziewczęta w ogóle były w obozie – a nie były, to tylko jakieś bajdy – to trzech z sześciu mężczyzn, którzy tej nocy się tutaj włóczyli i pili alkohol, grzecznie spali, gdy te nieistniejące dziewczęta rzekomo zagięły. A zatem jeśli je zgwałcono (a nie zamordowano, bo przecież nie istniały), Paul brał w tym udział. Jeśli jednak je zamordowano (a nie zgwałcono, bo przecież nie istniały), Paul już wtedy spał. Czyli był tylko gwałcicielem, ten nauczyciel Paul, zaledwie gwałcicielem. Jeśli los dziewcząt obciążał jego sumienie, to dobrze to ukrywał. Spojrzał Rachel w oczy. Ułożył kciuk i palec wskazujący tak, by imitowały kształt pistoletu. Wskazał jej krocze, a potem włożył palec do ust i zaczął go ssać. Roześmiał się bezgłośnie. Wreszcie wstał, podszedł do niej, stanął tuż przed nią i zajrzał jej głęboko w oczy. Bardzo uprzejmie, niemal przymilnie, poprosił Rachel, żeby opuściła obóz.

– Kłamiesz – wyjaśnił łagodnie – a to niepokoi ludzi. Nie mówią ci tego, bo są uprzejmi, ale twoje kłamstwa wszystkich bardzo denerwują. Dziś – uniósł palec – nikt ci nie okaże zdenerwowania. Dziś – znowu ten palec – żadna krzywda nie spotka ciebie ani twojej przyjaciółki.

Rachel i Greta opuściły obóz dwadzieścia minut później; zabrały się jedynym możliwym kursem z Lankijczykami. W szpitalu polowym błagała o pomoc ich i kanadyjskich żołnierzy z sił pokojowych, którzy zeszedli ze statku i stopniowo przesuwali się w głąb łądu.

Nikt nie rozumiał, skąd ten pośpiech. Nikt nawet nie próbował zrozumieć. Zagięły dwie dziewczyny? Tutaj? Tu zagięły tysiące osób, a ta liczba będzie się tylko powiększać.

– One nie zagięły – powiedział jeden Kanadyjczyk. – One nie żyją. Pani o tym wie. Przepraszam, ale tak wygląda prawda. I nikt nie ma czasu ani środków, by szukać ich ciał. – Obejrzał się na swoich kolegów i paru Lankijczyków. Wszyscy pokiwali głowami. – W każdym razie nikt z nas.

Następnego dnia Rachel i Greta pojechały do Jacmel. Trzy tygodnie później wróciły do Port-au-Prince. Na tym etapie Rachel zaczynała już dzień od czterech lorazepamów z czarnego

rynku i małpki rumu. Podejrzewała, że Greta wróciła do heroinowego nałogu, o którym opowiedziała Rachel podczas pierwszego wieczoru w Léogâne.

W końcu powiadomiono je, że czas wracać do domu. Gdy Rachel zaprotestowała, redaktor wyjaśnił jej na Skypie, że jej reportaże stały się zbyt drastyczne, monotonne i, niestety, przygnębiające.

– Nasi widzowie potrzebują nadziei – oznajmił.

– A Haitańczycy potrzebują wody – odpaliła.

– No i znowu zaczyna. – Redaktor westchnął do kogoś poza ekranem.

– Dajcie nam jeszcze parę tygodni.

– Rachel – powiedział redaktor. – Wyglądasz jak upiór. I nie chodzi mi tylko o twoje włosy. Wychudłaś jak szkielet. Zabieramy was stamtąd.

– Nikt się nimi nie przejmuje!

– My się przejęliśmy – rzucił ostro redaktor zamawiający. – Stany Zjednoczone przeznaczyły na tę wyspę ponad półtora miliarda jebanych dolarów, a ta stacja nagłośniła sprawę że hej. Czego jeszcze chcesz?

A otumaniona lorazepamem Rachel pomyślała: Boga. Chcę Boga przez duże B, który – jak głoszą teleewangeliści – usuwa z ich drogi tornada. Tego, który leczy wiernych z raka i artretyzmu, Boga, któremu sportowcy dziękują za zainteresowanie wynikami mistrzostw świata albo olimpiady czy jakimś biegiem do bazy domowej podczas tegorocznych rozgrywek Red Soxów. Chciała działającego Boga, który wtrąci się w ludzkie sprawy, wyciągnie rękę z niebios i oczyści wodę na Haiti, uleczy haitańskich chorych, podniesie z gruzów zburzone szkoły, szpitale i domy.

– Co ty bredzisz? – Redaktor łypnął na nią z ekranu.

Nie miała pojęcia, że powiedziała to na głos.

– Wsiadaj do samolotu, dopóki mamy ochotę ufundować wam przelot – dodał redaktor – i wracaj do swojej małej redakcji.

I tak się dowiedziała, że wszelkie nadzieje na przejście do telewizji krajowej rozwiały się jak sen. Nie pojedzie do Nowego Jorku. Nie awansuje do Wielkiej Szóstki ani jeszcze dalej.

Wróci do Bostonu.

Do Małej Szóstki.

Do Sebastiana.

Odstawiła lorazepam (wymagało to czterech podejść, ale w końcu się udało). Ograniczyła picie do poziomu przedhaitańskiego (lub przynajmniej jego okolic). Ale szefowie z Małej Szóstki nigdy więcej nie dali jej głównego tematu. Pod jej nieobecność pojawiła się nowa, Jenny Gonzalez.

– Jest inteligentna, przystępna i nie patrzy w kamerę, jakby chciała ją zaprawić z bańki – powiedział Sebastian.

To była niewygodna prawda, Sebastian miał rację. Rachel chętnie by znieawidziła Jenny Gonzalez (Bóg jej świadkiem, że próbowała), wmówiła sobie, że awansowano ją za urodę i sex appeal. A choć to oczywiście nie przeszkadzało, Jenny miała też skończone dziennikarstwo na Columbii, potrafiła improwizować na życzenie, zawsze była perfekcyjnie przygotowana do każdego tematu i traktowała wszystkich, od recepcjonistki po prezesa, z takim samym szacunkiem.

Jenny Gonzalez nie zastąpiła Rachel dlatego, że była młodsza, ładniejsza i hojniej obdarzona przez naturę (choć była, szlag by to trafił). Zastąpiła ją, bo lepiej od niej nadawała się do tej roboty, a jej pogodniejsza natura sprawiała, że ludzie uwielbiali z nią rozmawiać. Ale Rachel miała jeszcze szansę. Gdyby dzięki zdrowemu trybowi życia zahamowała proces

starzenia, który przyspieszyła na Haiti, gdyby przestała pielęgnować w sobie urazę wtedy, gdy po raz pierwszy zdała sobie z niej sprawę, gdyby była gotowa całować tyłki, tańczyć, jak jej zagrają, i znowu wrócić do bycia tą trochę seksowną, trochę chłopakowatą, trochę kujońską (w tym celu kazali jej nosić okulary zamiast szkieł kontaktowych) wszystkowiedzącą reporterką, jaką podkupili z „Globe” za dużą kasę... wtedy nadal byłoby dla niej miejsce w Małej Szóstce.

Próbowała. Naprawdę próbowała. Zrobiła materiał o kocie szczekającym jak pies i „przełamywaniu lodów” przez L Street Brownies, grupę przeważnie nagich mężczyzn, którzy co roku pierwsi wchodzili w fale Zatoki Bostońskiej. Zrobiła reportaż o misiu koala urodzonym w zoo Franklin Park oraz o biegu w sukniach ślubnych. Razem z Sebastianem remontowała dom w południowej części miasta. Na ogół rozmijali się ze sobą. Te nieczęste spotkania były tak szczęśliwym układem, że być może dzięki nim ich małżeństwo przetrwało jeszcze jeden rok.

Brian Delacroix napisał do niej parę mejli. I choć dzięki jednemu z nich – „Niesamowicie spisałaś się na Haiti. Ludzie z tego miasta nie są obojętni, bo Ty nie byłaś” – przetrwała dzień, który poza tym był do dupy, nieustannie przypominała sobie, że Brian Delacroix jest handlowcem obdarzonym dziwną energią. Prawdopodobnie wynikającą z niezgodności jego duszy z decyzjami zawodowymi, które musiał podejmować. Nie mogła zakładać, że zostało w nim coś z prawdziwego Briana, dlatego odpowiadała zwięźle i uprzejmie: „Dziękuję. Cieszę się, że Ci się podobało. Trzymaj się”.

Wmawiała sobie także, że jest szczęśliwa. Że stara się wrócić do bycia reporterką, żoną i osobą, którą kiedyś była. Ale nie mogła spać i nie mogła przestać śledzić wiadomości z Haiti, które czołgało się ku odrodzeniu, ale na ogół po prostu umierało. Na brzegu rzeki Artibonite wybuchła cholera. Krążyła plotka, że przywlekli ją żołnierze ONZ. Rachel błagała Klaya Bohna, jej redaktora zamawiającego, żeby pozwolił jej wrócić na tydzień. Nawet na koszt własny. W ogóle nie zaszczycił jej odpowiedzią, oznajmił tylko, że czekają na nią na parkingu za stacją, gdzie ma się zapakować do furgonetki i pojechać na reportaż o sześćioletnim Lawrensie. Twierdził on, że Bóg podyktował mu numery, dzięki którym matka trafiła szóstkę w totka.

Gdy kamery potajemnie sfilmowały żołnierzy ONZ usuwających ciekącą rurę z ziemi na brzegu Artibonite i materiał zaczął krążyć po internecie, Rachel robiła wywiad ze stuletnim fanem Red Soxów, który zjawił się na swoim pierwszym meczu w Fenway.

Gdy cholera zaczęła się rozprzestrzeniać, Rachel zajmowała się pożarami szeregowców, konkursami w jedzeniu hot dogów, pewnym weekendem, kiedy w Dorchester doszło do strzelaniny między gangsterami, dwiema starszymi siostrami, które robiły stoliki z plastikowych nakrętek, popijawą w Cleveland Circle, która wymknęła się spod kontroli, oraz byłym maklerem z Wall Street, który odrzucił świat wielkich finansów, by działać jako wolontariusz na rzecz bezdomnych na północnym wybrzeżu Massachusetts.

Nie wszystkie te tematy były błahe, nie wszystkich musiała się wstydić.

I już prawie sobie wmówiła, że czasem nawet przysługuje się społeczeństwu, gdy na Haiti uderzył huragan Tomas. Zginęło tylko parę osób, ale ich prowizoryczne schronienia zostały zniszczone, kanalizacja i szamba wylały, a cholera zaczęła szaleć na całej wyspie.

Rachel nie spała przez całą noc, śledziła wszelkie możliwe wiadomości i czytała na bieżąco raporty, gdy w jej skrzynce odbiorczej pojawiło się nazwisko Briana Delacroix. Mejl od niego zawierał jedynie słowa: „Czemu nie ma Cię na Haiti? Potrzebujemy tu Ciebie”.

Poczuła się tak, jakby ktoś położył ciepłą rękę na jej szyi, oparł sobie jej głowę na ramieniu i pozwolił jej zamknąć oczy. Może od czasu tego niefortunnego spotkania przed biblioteką zbyt ostro osądzała Briana? Może po prostu miał zły dzień, starał się zamknąć umowę z Jackiem Ahernem, sprzedawcą antyków z Genewy? Nie miała pojęcia, co łączy drewno i antyki – może Jack Ahern chciał zainwestować? No ale co z tego, że Brian zachował się trochę dziwnie,

trochę nerwowo. Co jest złego w trochę dziwnym i nerwowym zachowaniu?

„Czemu nie ma Cię na Haiti? Potrzebujemy tu Ciebie”.

On rozumiał. Jakimś cudem, pomimo wieloletniej rozłąki i zdawkowej elektronicznej korespondencji, zdołał się domyślić, jak ważny był dla niej powrót w to miejsce.

I tak jakby to sobie zamówiła niczym pizzę na telefon, pół godziny później Sebastian przyszedł do domu i oznajmił:

– Wysyłają cię tam.

– Czyli dokąd?

Sebastian wyjął z lodówki plastikową butelkę z wodą i przyłożył ją sobie do skroni. Przymknął oczy.

– Pewnie dlatego, że masz tam znajomości, znasz warunki.

– Haiti. Wysyłają mnie na Haiti?

Sebastian otworzył oczy, nadal masując skroń butelką.

– Haiti, tak. – Choć nigdy tego nie powiedział, wiedziała, że uważa Haiti za przyczynę jej zawodowego upadku. A jej zawodowy upadek uważa za przyczynę własnej stagnacji zawodowej. Dlatego kiedy powiedział „Haiti”, zabrzmiało to jak brzydkie słowo.

– Kiedy? – Krew zapulsowała jej w żyłach. Nie spała całą noc, ale nagle poczuła się całkowicie przytomna.

– Klay twierdzi, że najpóźniej jutro. Mam ci przypomnieć, że nie możesz tego spieprzyć?

Zaskoczył ją.

– Tak mnie motywujesz?

– Jest, jak jest – powiedział ze zmęczeniem.

Przyszło jej do głowy wiele komentarzy, ale wszystkie doprowadziłyby do kłótni, a nie chciała się teraz kłócić. Dlatego zdobyła się na wysiłek i zadeklarowała:

– Będę za tobą tęsknić.

Nie mogła się doczekać, kiedy znajdzie się w samolocie.

– Ja za tobą też – powiedział Sebastian, patrząc w głąb lodówki.

CZY MNIE WIDZIAŁEŚ?

Na Haiti – ten sam upał, ruiny i skrajna rozpacz. Te same osłupiałe twarze. Te, na których nie odcisnęło się osłupienie, wyrażały głód i strach. Ale przeważało osłupienie. Te twarze zdawały się mówić: czy po takim cierpieniu mamy się pogodzić z faktem, że ono się nigdy nie skończy?

W drodze na miejsce pierwszego reportażu – ze swoją ekipą spotkała się przed szpitalem Choscal w zatłoczonych slumsach Cité Soleil – Rachel widziała na ulicach taką biedę, że dla nowych przybyszów wyglądały one tak samo przed trzęsieniem ziemi i po nim. Do połamanych latarni, słupów z pozrywanymi przewodami elektrycznymi i niskich murków przy ulicach przyklejono zdjęcia – przedstawiające zmarłych, ale głównie zaginionych. Pod fotografiami widniało pytanie lub prośba:

Èske ou te we m?

Czy mnie widziałeś?

Ona nie widziała. A może widziała... Może twarz mężczyzny w średnim wieku, którą zauważyła na zdjęciu, skręcając za róg ulicy, należała do któregoś z ciał leżących w zrujnowanym kościele lub na parkingu szpitala. W każdym razie było już po nim, to na pewno.

Weszła na niskie wzgórze i spojrzała na rozciągające się poniżej getto – morze chat ze stali i betonu, które słońce wypaliło na ten sam kolor. Obok Rachel przejechał chłopiec na zabłoconym rowerze. Wyglądał na jakieś jedenaście, góra dwanaście lat i miał na plecach automatyczną strzelbę. Kiedy obejrzał się na nią przez ramię, Rachel przypomniała sobie, że to terytorium gangów. Tutaj rządzą i walczą o teren pomniejsi bogowie wojny. Żywność tu nie docierała, ale broń i owszem. Nie powinna się tu zapuszczać sama. Nie powinna tu być wkroczać bez czołgu i wsparcia z powietrza.

Ale nie czuła strachu. W ogóle nic nie czuła. Ogarnęło ją odrętwienie.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

Czy mnie widziałeś?

Nie, nie widziałam. Nikt nie widział. Nikt nie zobaczy. Nawet gdybyście przeżyli całe życie. To nieważne – zniknęliście w chwili, gdy się urodziście.

W takim nastroju weszła na mały placzyk przed szpitalem. Jedyna dobra wiadomość odnośnie do tego, co się wydarzyło później, była taka, że transmisja na żywo poszła wyłącznie w Bostonie. Wielka Szóstka miała dopiero zdecydować, czy wyemituje ten materiał. Natomiast Mała Szóstka uważała, że przekaz na żywo podkreśli dramatyzm tematu, który – jak podejrzewano – zaczynał się nudzić widzom.

Dlatego Rachel zaczęła transmisję na żywo, stojąc przed szpitalem Choscal. Słońce wysunęło się zza czarnego masywu chmur tuż nad jej głową i zaczęło prażyć. Głos Granta, prezentera z Małej Szóstki, jakimś cudem zdołał zabrznieć dwa razy głupiej niż zwykle. Rachel wyrecytowała dane statystyczne – w szpitalu za jej plecami odnotowano trzydzieści dwa potwierdzone przypadki cholery, powodzie w następstwie huraganu przyczyniają się do rozprzestrzeniania choroby w całym kraju i utrudniają niesienie pomocy poszkodowanym, a zgodnie z przewidywaniami sytuacja będzie się pogarszać z każdym dniem. Cité Soleil, rozciągające się za plecami ekipy, wyglądało jak ofiara dla boga słońca, a Rachel czuła, że coś się w niej rozdziera. Było to coś związanego z wyższymi uczuciami, do tej pory nietknięte przez

świat, może kawałek duszy, i ten skwar, i rozpacz dopadły go i pożarły w chwili, gdy się oderwało. Na jego miejscu w jej piersi zatrzepotał skrzydłami jakiś wróbel. Bez uprzedzenia, bez przygotowania. Nagle zawisł w środku jej klatki piersiowej, machając skrzydełkami ze wszystkich sił.

– I, wybac, Rachel – mówił w jej uchu Grant – ale, Rachel...

Po co tak powtarza jej imię?

– Tak, Grant?

– Rachel?

Z wysiłkiem powstrzymała się przed zaciśnięciem zębów.

– Tak?

– Czy masz jakieś dane na temat tego, ile osób zaraziło się tą śmiertelną chorobą? Ilu jest chorych?

To pytanie wydało jej się absurdalne. Ilu jest chorych?

– Wszyscy jesteśmy chorzy.

– Słucham?

– Wszyscy jesteśmy chorzy – powtórzyła.

Czy jej się zdawało, czy zabrzmiało to trochę bełkotliwie?

– Rachel, chodzi ci o to, że ty i pozostałe osoby z ekipy Channel Sześć zaraziliście się cholera?

– Co? Nie.

Danny Marotta odsunął się na chwilę od wizjera kamery i rzucił jej zaniepokojone spojrzenie. Widdy przeszła za nim zalotnym krokiem, który nie pasował do jej młodego wieku ani do krwi na sukience i drugiego uśmiechu wyrżniętego na jej gardle.

– Rachel – odezwał się Grant. – Rachel? Chyba nie rozumiem.

A Rachel, która nagle zaczęła się obficie pocić i dygotać tak gwałtownie, że mikrofon podskakiwał jej w dłoni, powtórzyła:

– Powiedziałam, że wszyscy jesteśmy chorzy. Wszyscy, wszyscy, chodzi o to, że jesteśmy chorzy. Wiesz? – Słowa wylewały się z niej jak krew z rany. – Jesteśmy zgubieni i chorzy, udajemy, że nie, ale i tak już po nas. Kurwa, już po nas.

Do zachodu słońca film, na którym Rachel mówi zaskoczonemu spikerowi „Wszyscy jesteśmy chorzy”, cała rozedrgana i z potem spływającym z czoła i zalewającym jej oczy, zaczął krążyć po sieci.

Kierownictwo stacji, które spotkało się na zebraniu szacującym straty, przyznało zgodnie, że aczkolwiek należy pochwalić fakt, że transmisję przerwano na cztery sekundy, zanim Rachel powiedziała „kurwa”, należało to uczynić dziesięć minut wcześniej, gdy tylko stało się jasne, że jej odbiło. Większość zebranych zgodziła się, że ta chwila nastąpiła po pierwszym „Wszyscy jesteśmy chorzy” – już wtedy należało wrzucić reklamę.

Rachel została zwolniona przez telefon, gdy szła przez asfaltową nawierzchnię lotniska Toussaint Louverture w stronę samolotu, który miał ją odstawić do domu.

Pierwszego wieczora po powrocie poszła do baru na Marshfield, parę przecznic od ich domu. Sebastian pracował w nocy i dał żonie jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty jej widzieć. Powiedział, że zostanie na łodzi do czasu, aż „przyswoi sobie, co im zrobiła”.

Właściwie nie miała do niego pretensji. To, co zrobiła ze swoją karierą, miało do niej dotrzeć dopiero za parę tygodni, ale kiedy sącząc wódkę przypadkiem spojrzała na swoje odbicie w lustrze, zaskoczyło ją, że wygląda na przerażoną. Nie czuła tego przerażenia, tylko

odrętwienie. A jednak w lustrze na prawo od kasy, nad butelkami ze szkocką i whisky, widziała kobietę trochę podobną do jej matki, trochę do niej samej i bardzo przestraszona. Barman chyba nie oglądał transmisji z jej załamania nerwowego. Traktował ją tak, jak wszyscy znudzeni barmani świata traktują gości, których los im zwisa. Nie było tłumy, więc na napiwkach by się nie wzbogacił, dlatego nie zamierzał się wysilać. Czytał gazetę, siedząc za barem, i wymieniał z kimś SMS-y. Rachel sprawdziła swój telefon, ale o niej wszyscy zapomnieli – prawdopodobnie woleli się nie wychylać, dopóki bogowie nie zdecydują, czy będą się dalej na niej mścić, czy też odpuszczą. Ale przyszedł do niej jeden mejl i zanim jeszcze go otworzyła, wiedziała, kto jest jego autorem. Uśmiechnęła się, widząc nazwisko Briana Delacroix.

„Rachel,
nie zasługujesz na karę za to, że zachowałeś się jak człowiek w nieludzkim świecie. Nie zasługujesz na zwolnienie ani na potępienie. Powinni Ci dać jebany medal. Taka prywatna opinia. Trzymaj się. BD”.

Kim jesteś, dziwny człowieku, który pojawiaasz się (niemal zawsze) w odpowiedniej chwili? – pomyślała. Może kiedyś zechcę...

Co zechcę?

Chciałabym ci dać szansę na wyjaśnienie mi tego dziwnego spotkania przed Athenaeum. Bo nie potrafię połączyć tamtego faceta z tym, który napisał tego mejla.

Barman przyniósł jej kolejną wódkę, a ona postanowiła, że wróci do siebie i może napisze do Briana Delacroix mejla, w którym poruszy niektóre z tych tematów, jakie właśnie przemknęły jej przez głowę. Podała barmanowi swoją kartę kredytową i powiedziała, że chce zapłacić. Kiedy zajął się podliczaniem rachunku, ogarnęło ją poczucie *déjà vu*, silne jak jeszcze nigdy wcześniej. Nie, to nie było zwykłe *déjà vu* – ona już przeżyła tę chwilę, była tego pewna. Spojrzała w odbijające się w lustrze oczy barmana, który odpowiedział zdziwionym spojrzeniem, jakby nie był pewien, czym zasłużył sobie na taką uwagę. Nie znam cię, pomyślała, ale znam tę chwilę. Już ją przeżyłam.

A potem uświadomiła sobie, że jednak nie – przeżyła ją jej matka. Była to rekonstrukcja zdjęcia, na którym matka stała mniej więcej w tym samym miejscu co ona, przy barze o podobnym kształcie, w podobnym oświetleniu. Trzydzieści jeden lat temu.

Tak jak wtedy matka, Rachel spoglądała teraz w roztarg-nieniu na butelki. Tutejszy barman – tak jak ten ze zdjęcia – podliczał rachunek odwrócony do niej plecami. Jego oczy w lustrze. Jej oczy w lustrze.

Szukaj siebie w jego oczach, powiedziała matka.

Rachel jest w lustrze, powiedział Jeremy.

Barman przyniósł jej rachunek. Dodała napiwek, złożyła podpis, zostawiła niewypitą wódkę i wróciła biegiem do domu. W sypialni otworzyła pudełko ze zdjęciami. Te z baru we wschodnim Baltimore znajdowały się na samym wierzchu, gdzie zostawiła je dwa lata temu. Podążyła za wzrokiem matki i spojrzała w lustro za butelkami whisky, na to, na co naprawdę patrzyła Elizabeth, na to, co wywołało na jej twarzy tę intensywność, ten erotyzm.

Twarz barmana majaczyła nad kasą. Patrzył na Elizabeth. Zieleń jego oczu była tak jasna, że prawie szara.

Rachel poszła z fotografią do lustra w łazience. Uniosła ją tuż przy swojej głowie. Miał jej oczy – tego samego koloru i kształtu.

– Oż ty w mordę – powiedziała. – Cześć, tato.

GRANIT

Zakładała, że ten bar od dawna nie istnieje, ale kiedy wrzuciła do wyszukiwarki „Milo’s, wschodnie Baltimore”, na jej ekranie pojawiło się mnóstwo zdjęć. Wnętrze trochę się zmieniło – w ceglanej ścianie od strony ulicy znajdowały się teraz trzy duże okna, oświetlenie było łagodniejsze, kasa skomputeryzowana, a stołki barowe miały oparcia i ozdobne podłokietniki – ale za barem wisiało to samo lustro, a butelki stały w takim samym porządku. Flaga Baltimore Colts została zastąpiona flagą Baltimore Ravens.

Rachel zadzwoniła do baru i powiedziała, że chce rozmawiać z właścicielem.

– Tu Ronnie – usłyszała w słuchawce.

Wyjaśniła, że jest reporterką z Channel 6. Nie wspomniała, co to za Channel 6 ani nad jakim tematem pracuje. Zwykle przedstawiając się jako reporterka, natychmiast spotykała się z akceptacją lub odrzuceniem; w obu wypadkach nie marnowała czasu na dalsze wyjaśnienia.

– Ronnie, szukam barmana, który pracował w Milo’s w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, i zastanawiałam się, czy masz może archiwalne dokumenty z tamtych czasów i zechciałbyś mi je udostępnić.

– Barman w siedemdziesiątym dziewiątym? – powtórzył Ronnie. – Pewnie to Lee, ale spytam ojca.

– Lee? – powtórzyła, ale on już odłożył słuchawkę. Przez parę minut niewiele słyszała, może jakąś rozmowę, prowadzoną daleko od mikrofonu, trudno stwierdzić, ale potem dotarły do niej zbliżające się kroki i chrobot podnoszonej słuchawki.

– Tu Milo. – Chrapliwy głos i sapnięcie oddechu przez nos.

– Ten Milo?

– No ten, ten. Czego pani potrzebuje?

– Chciałam się skontaktować z barmanem, który pracował u pana prawie trzydzieści pięć lat temu. Pański syn wspomniał o jakimś Lee?

– Mieliśmy tu takiego.

– I pamięta go pan?

– No, raczej, przepracował tu co najmniej dwadzieścia pięć lat. Odszedł jakieś osiem lat temu.

– I tylko jego pan zatrudniał?

– Nie, ale głównie jego. Ja też trochę stałem za barem, moja nieżyjąca żona i Harold, który wtedy już się zaczynał starzeć. Czy to wyjaśnia sprawę?

– Wie pan, gdzie mogę znaleźć Lee?

– Może mi pani powie, dlaczego pani pyta, panno...?

– Childs.

– Panno Childs. Może mi pani powie, dlaczego pani pyta o Lee.

Nie znalazła ani jednego powodu, żeby skłamać, więc oznajmiła:

– Możliwe, że znał moją matkę.

– Lee znał mnóstwo kobiet.

Zaryzykowała.

– Możliwe, że jest moim ojcem.

W słuchawce zapadła cisza, przerywana tylko odgłosem wydychanego przez nozdrza

powietrza. Trwała tak długo, że Rachel omal jej nie przerwała z czystego zdenerwowania.

– Ile ma pani lat? – spytał w końcu Milo.

– Trzydzieści trzy.

– No... – powiedział z wahaniem. – Był wtedy z niego przystojny skurkowiec.

Umawiał się z paroma... dziesięcioma... kobietami, tyle pamiętam. Za młodu to każdy jest ładny. – Znowu ten oddech. Rachel liczyła na coś więcej, ale po jakimś czasie straciła nadzieję.

– Chciałabym się z nim skontaktować. Jeśli zechciałby mi pan pomóc...

– On nie żyje.

Dwie małe rączki chwyciły jej serce i ścisnęły. Lodowata woda podpłynęła karkiem do mózgu i załała go.

– Nie żyje. – Zabrzmiało to głośniejszym, niż chciała.

– Tak jakoś od sześciu lat. Odszedł od nas do innego baru w Elkton. Parę lat później umarł.

– Jak?

– Zawał.

– Był chyba młody?

– Pięćdziesiąt trzy lata.

– Pięćdziesiąt trzy?

– Może pięćdziesiąt cztery – powiedział Milo. – Tak, był młody.

– Jak brzmiało jego nazwisko?

– Panienko, ja pani nie znam. Nie wiem, czy nie zacznie pani walczyć z jego spadkobiercami. Nie znam się na tych rzeczach. No ale przede wszystkim nie znam pani, w tym rzecz.

– A gdyby mnie pan poznał?

– To co innego.

Następnego ranka wsiadła na stacji Back Bay w pociąg do Baltimore. Mimochodem spojrziała na jakąś mijaną studentkę, a ta wytrzeszczyła oczy, rozpoznając ją. Rachel spuściła głowę i nie podniosła jej, zanim nie dotarła na kraniec peronu. Usiadła obok starszego pana w szarym garniturze. Uśmiechnął się do niej smutno i wrócił do czytania gazety z notowaniami giełdowymi. Rachel nie wiedziała, czy smutek jego uśmiechu zrodził się z litości do niej, czy też po prostu zawsze w nim był.

Do pociągu udało jej się wsiąść bez kolejnych incydentów. Znalazła miejsce w głębi w połowie pustego wagonu. Z każdym kolejnym kilometrem czuła, że coraz bardziej oddala się od swojej nowej tożsamości powszechnie znanej wariatki. W okolicach Rhode Island niemal się odprężyła. Może ten spokój zrodził się ze świadomości, że wraca jeśli nie do domu, to do swoich korzeni. Dziwną ulgę przynosił jej też fakt, że odbywa podróż w odwrotnym kierunku niż jej matka i Jeremy James w lecie siedemdziesiątego dziewiątego roku. Była połowa listopada, ponad trzy dekady później. Miasta i miasteczka, które mijała, ugrzęzły między późną jesienią a początkami zimy. Na niektórych miejskich parkingach znajdowały się pojemniki z solą i piaskiem do posypywania śniegu. Większość drzew stała naga, niebo było puste, odarte z chmur i słońca, jak gałęzie z liści.

– To on, ten tutaj. – Milo postawił na barze zdjęcie w ramce. Jego gruby palec wskazujący zatrzymał się obok twarzy chudego mężczyzny z zaawansowaną łysiną i w zaawansowanym wieku. Mężczyzna miał wysokie czoło, zapadnięte policzki i... oczy Rachel.

Milo dobiegał osiemdziesiątki i oddychał dzięki pojemnikowi z płynnym tlenem, który nosił na krzyżu. Rurki z przezrystego silikonu, które biegły mu po plecach, sięgały aż za uszy, a potem spływały po kościach policzkowych i wreszcie znikwały w nozdrzach. Milo zmagął się

z przewlekłą obturacyjną chorobą płuc od siedemdziesiątki, jak wyjaśnił Rachel. Ostatnio niedotlenienie coraz bardziej postępowało, ale nie aż tak, żeby miał sobie odmówić ośmiu do dziesięciu papierosków dziennie.

– Dobre geny – oznajmił, kładąc przed nią zdjęcie bez ramek. – Mam je. A Lee nie miał.

Zdjęcie bez ramek było bardziej nieoficjalne niż to w ramach przedstawiające upozowanych pracowników. To bez ramek liczyło parę dekad. Lee miał jeszcze gęste, ciemnobrązowe długie włosy i mniej opadające powieki. Uśmiechał się, najwyraźniej rozbawiony czymś, co powiedział klient. Podczas gdy inni się śmiali, odchyliwszy głowy do tyłu, Lee tylko się powściągliwie uśmiechał; nie było to zaproszenie, lecz raczej mur. Wydawał się mieć najwyżej dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat i Rachel natychmiast dostrzegła, dlaczego spodobał się matce. Ten uśmiech sygnalizował witalność i skryty ogień wewnętrzny. Jednocześnie obiecywał za dużo i za mało. Lee wyglądał jak najgorszy na świecie partner życiowy i jak najlepszy partner do łóżka.

Teraz zrozumiała, dlaczego matka mówiła o zapachu błyskawicy. I zaczęła podejrzewać, że gdyby sama weszła do tego baru w siedemdziesiątym dziewiątym roku i zobaczyła tego mężczyznę, zostałaby dłużej niż na drinka. Lee pasował do wizerunku rozwiązłego poety, oszołomionego narkotykami genialnego malarza, muzyka, mającego zginąć w wypadku samochodowym w dniu, w którym podpisze wielki kontrakt z wytwórnią płytową. Jednak życiowa droga Lee, pokazana jej na zdjęciach przez Milo, oscylowała głównie wokół baru, przy którym w tej chwili siedziała. Rachel czuła, jak ten jego świat, pełen możliwości i szans na przypadkowy seks z olśniewającymi kobietami, podupada ze zdjęcia na zdjęcie. Kobiety, które kiedyś uganiały się za Lee, stały się kobietami, za którymi musiał się uganiać. Potem zmieniły się w kobiety, które należało zmiękczyć odpowiednią ilością żartów i alkoholu. W końcu pewnego dnia zareagują odrazą lub rozbawieniem, kiedy odkryją, że je podrywa.

Ale w miarę jak seksualny potencjał Lee malał, jego uśmiech stawał się coraz szerszy. W okresie, gdy Rachel była w liceum, a Lee nadal nosił czarną kamizelkę na białej koszuli, czego Milo wymagał od swoich barmanów, jego skórę naznaczyły plamy, skóra twarzy zaczęła mu wiotczeć, a zęby pożółkły, kilka głębiej położonych nawet wypadło. Ale na każdym kolejnym zdjęciu wydawał się swobodniejszy, mniej obciążony ciężarem tego, co kryło się za tym uśmiechem, który mówił „przelecę cię”, za tą seksualną charyzmą. Im bardziej wędło ciało, tym bardziej zdawała się w nim rozkwitać dusza.

Następnie Milo wyjął stosik zdjęć z dorocznego meczu i pikniku z okazji Dnia Niepodległości. Na fotografiach powtarzały się dwie kobiety, które często pojawiały się u boku Lee: jedna szczupła brunetka, z twarzą napiętą z wysiłku i strachu, druga – niechlujna blondynka, zwykle z drinkiem w jednej i papierosem w drugiej ręce.

– To Ellen – wyjaśnił Milo, wskazując ciemnowłosą kobietę. – Ciągłe rozniewana. Nikt nie wiedział o co. Taka kobieta, co to potrafi zepsuć urodziny, ślub, Święto Dziękczynienia – i osobiście widziałem, jak to robi. Zostawiła Lee koło osiemdziesiątego szóstego. Osiemdziesiątego siódmego? Nie później. Ta blondynka to jego druga żona. Maddy. Chyba jeszcze żyje. Mieszka w Elkton. Układała jej się z Lee przez parę lat, a potem się rozeszli.

– Miał jakieś dzieci? – spytała Rachel.

– Nie z tymi kobietami. – Milo przyjrzał jej się przez chwilę uważnie, po czym sięgnął za plecy, żeby poprawić coś w aparacie tlenowym. – Uważasz, że to twój ojciec, tak?

– Jestem prawie pewna.

– Masz jego oczy – przyznał Milo. – To na pewno. Udaj, że powiedziałem coś śmiesznego.

– Co?

– Roześmiej się.

– Ha, ha.

– Nie, naprawdę.

Rachel rozejrzała się po barze. Był pusty. Zmusiła się do śmiechu. Zdziwiło ją, jak autentycznie zabrzmiał.

– To jego śmiech – powiedział Milo.

– A więc mamy pewność.

Milo skwitował to uśmiechem.

– Kiedy byłem młody, mówiono mi, że wyglądam jak Warren Oates. Wiesz, kto to?

Pokręciła głową.

– Aktor. Grał w wielu westernach. W *Dzikiem bandzie*.

Wzruszyła ramionami z zażenowaniem.

– No więc przypominałem Warrena Oatesa. Teraz słyszę, że wyglądam jak Wilford Brimley. A tego znasz?

Przytaknęła.

– Facet z logo Quaker Oats.

– Ten sam.

– Faktycznie, przypomina go pan.

– Faktycznie. – Milo uniósł palec. – A jednak, o ile wiem, nie jestem z nim spokrewniony. Ani z Warrenem Oatesem. – Zbliżył do siebie kciuk i palec wskazujący, zostawiając między nimi minimalną przestrzeń. – Nawet odrobinę.

Skinęła lekko głową, akceptując jego zdanie. Na barze leżało ludzkie życie w postaci szeregu zdjęć, tak jak dwa lata temu jej życie leżało przed nią i Jeremym Jamesem. I znowu ten kolaż mówił wszystko i nic. Pewnie można być fotografowanym każdego dnia do końca życia, a i tak ukryć prawdę o sobie – swoją esencję – przed wszystkimi, którzy będą jej poszukiwać, pomyślała. Widziała swoją matkę codziennie przez dwadzieścia lat, a wiedziała o niej tylko tyle, ile Elizabeth postanowiła jej wyjawić. A teraz miała przed sobą ojca spoglądającego na nią ze zdjęć 9x13, 10x15 i 20x25, ostrych, nieostrych, niedoświetlonych, prześwietlonych i ze zbyt mocno nasyconymi kolorami. Ale we wszystkich wypadkach był dla niej nierozwiązywalną zagadką. Widziała jego twarz, ale nie to, co się za nią kryło.

– Miał pasierbów – powiedział Milo. – Syna Ellen, córkę Maddy. Nie wiem, czy ich formalnie adoptował. Nigdy nie zdołałem się zorientować, czy ich lubi ani czy oni lubią jego bądź wprost przeciwnie. Albo czy są sobie obojętni. – Wzruszył ramionami, znowu spoglądając na kolaż. – Dobrze znał się na whisky. Przez te lata zgromadził parę ulubionych motocykli, Jakiś czas miał psa, który zachorował na raka, więc drugiego już nie kupił.

– I pracował tu przez dwadzieścia pięć lat?

– Tak z grubsza.

– Nie miał większych ambicji, niż być barmanem?

Milo zerknął w bok, usiłując to sobie przypomnieć.

– Kiedy bardzo interesował się motocyklami, przez jakiś czas rozmawiał z pewnym facetem o otworzeniu wspólnego warsztatu, w którym by je naprawiali i może ulepszałi. Po śmierci psa dużo czytał o kursach weterynaryjnych. Ale nic z tego nie wyszło. – Wzruszył ramionami. – Jeśli miał inne marzenia, to trzymał je w zamkniętej szufladzie.

– Dlaczego przestał tu pracować?

– Pewnie nie podobało mu się, że Ronnie mu rozkazuje. Trudno przyjmować polecenia od chłopaka, którego się zna od dziecka. Może też zmęczyły go dojazdy. Mieszkał w Elkton. Z każdym rokiem dłużej stał w korkach.

Milo przyjrzał się Rachel takim wzrokiem, jakby ją oceniał, podejmując decyzję.

– Jesteś ładnie ubrana, wyglądasz, jakby dobrze ci się żyło.

Skinęła głową.

– On nie miał pieniędzy. Wiesz? Tę resztkę, którą zostawił, rozdrapały jego byle.

Znowu przytaknęła.

– Grayson.

Tym razem drobne ręce musnęły pieśczośliwie jej serce, zimne, ale lżejsze od szeptu.

– Leeland David Grayson – powtórzył Milo. – Tak się nazywał.

Z jego drugą żoną, Maddy, spotkała się w małym parku w Elkton w stanie Maryland – miasteczku, które wydawało się zapomniane przez Boga i ludzi. Jego pagórki były usiane pustymi skorupami fabryk i stalowni, których lat świetności nikt już nie pamiętał.

Sylwetka Maddy Grayson balansowała między puszystością a otyłością. Rubaszny uśmiech, który prezentowała na większości zdjęć, ustąpił miejsca innemu, który zgasł sekundę po tym, jak się pojawił.

– Znalazła go Steph, moja córka. Klęczał przed kanapą, opierał się o nią łokciem, nie? Jakby wstał, żeby się napić albo odlać, i wtedy go dopadło. Tkwił tak co najmniej jeden dzień, może dwa. Steph zajrzała do niego, żeby pożyczyć trochę kasy, no bo w czasach picia Lee mógł się wydawać przystępny, ale potem chciał być sam. W dni wolne lubił popijać przyzwoitą whisky, palić i oglądać stare programy telewizyjne. Nigdy nowe. Lubiał rzeczy z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – *Drużynę A* i *Miami Vice*. – Lekko ożywiona odwróciła się ku Rachel. – O, jak on kochał *Miami Vice*. Ale tylko te wczesne odcinki, nie? Zawsze mawiał, że wszystko poszło w diabły, kiedy Crockett poślubił tę piosenkarkę. Od tego momentu stracił wiarygodność. – Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej papierosa. Zaciągnęła się i powiodła spojrzeniem za dymem. – Lubiał te programy, bo wtedy życie miało dla niego sens, nie? Świat miał sens. To były dobre, rozsądne dni. – Rozejrzała się po pustym parku. – Nie to co teraz.

Rachel nie potrafiła sobie przypomnieć mniej rozsądnych, stabilnych czy przesyconych współczuciem dekad niż lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, ale uznała, że podzielenie się tą informacją z Maddy Grayson nie ma większego sensu.

– Czy czegoś pragnął? – spytała.

– Na przykład? – Maddy odkaszlnęła, zasłaniając usta pięścią.

– No, nie wiem, na przykład coś osiągnąć? – Rachel pożałowała swoich słów, gdy tylko padły z jej ust.

– Na przykład zostać lekarzem? – Spojrzenie Maddy stało się zimne. Wyraźnie malowały się w nim jej gniew i zagubienie, i gniew z powodu zagubienia.

– Nie, no... – zająknęła się Rachel, usiłując się przyjaźnie uśmiechnąć. – Ale kimś innym niż barman.

– A co złego jest w byciu barmanem? – Maddy odrzuciła papierosa na chodnik przed sobą i odwróciła się w stronę Rachel. Na jej desperacki uśmiech odpowiedziała swoim, zimnym jak stal. – Po prostu pytam. Przez ponad dwadzieścia pięć lat ludzie przychodzili do Milo's, bo wiedzieli, że za barem stoi Lee. Mogli mu się zwierzyć ze wszystkiego, a on ich nie osądzał. Mogli się do niego zwrócić, kiedy ich małżeństwa się rozpadały, kiedy tracili pracę, a ich dzieci okazywały się gnojkami albo ćpunami. Ten pierdolony świat zmieniał się w gówno na ich oczach, ale oni zawsze mogli usiąść przed Lee, który nalewał im drinka i wysłuchiwał ich gadaniny.

– Wydaje się niesamowitym facetem – powiedziała Rachel.

Maddy wyduła usta i cofnęła się, jakby zobaczyła karalucha wyłazącego z makaronu na jej talerzu.

– Nie był niesamowity. Często bywał gnojkiem. Pod koniec nie szło z nim żyć. Ale był świetnym barmanem i mnóstwo ludzi czuło się lepiej, ponieważ go znało.

– Nie twierdziłam, że nie.

– A właśnie że tak.

– Przepraszam.

Maddy wydała z siebie westchnienie, które zabrzmiało jednocześnie pogardliwie i melancholijnie.

– Pytania w stylu: „Czy nie chciał zostać kimś innym niż barman?” zadają tylko ludzie, którzy mogą zostać, kim chcą. Reszta z nas jest po prostu Amerykanami.

Reszta z nas jest po prostu Amerykanami.

Rachel usłyszała brzmiącą w tym zdaniu grubiańską manię wielkości pokrytą fałszywą skromnością. Wyobrażała już sobie, jak cytuje to zdanie podczas koktajli, w jej uszach brzmiał już śmiech tych, którym to opowiada. Ale choć go słyszała, wstydziła się go. Była winna odniesienia sukcesu – sukcesu, który zawdzięczała przywilejom i dobremu urodzeniu. Prawo do nadziei uważała za coś, co się jej należy, otrzymane szanse za coś naturalnego, i nigdy tak naprawdę nie martwiła się, że utonie w morzu twarzy i głosów, których nikt nie zauważa.

Ale tak wyglądał kraj, w którym mieszkał jej ojciec. Kraj niewidzianych i niesłyszanych. I zapomnianych, gdy umierali.

– Przepraszam, jeśli panią obraziłam – powiedziała.

Maddy machnęła nowym papierosem.

– Kochana, ja pierdolę takie pierdoły. – Klepnęła ją przyjaźnie w kolano. – Jeśli Lee jest twoim ojcem z krwi i kości, to dobrze. Mam nadzieję, że to ci da spokój. Pewnie byłoby przyjemnie, gdybyś go znała. – Strzepnęła popiół z papierosa. – Ale nie dostajemy tego, co chcemy, tylko to, z czym potrafimy sobie poradzić.

Rachel odwiedziła grób Lee, który miał zwykłą granitową płytę, czarną w białe plamki. Takie same widywała na kuchennych blatach u co najmniej dwóch kolegów. Zresztą Lee Grayson dostał o wiele mniej kamienia – nagrobek był mały, miał najwyżej pół metra wysokości i tyle samo szerokości. Maddy powiedziała, że Lee wpłacił na niego zaliczkę mniej więcej w tym samym czasie, gdy zmarli jego rodzice. Spłacił go na trzy lata przed śmiercią.

Leeland D. Grayson

20 listopada 1950 – 9 grudnia 2004

To chyba nie wszystko? Na pewno jest coś więcej.

Ale jeśli nawet było, nie potrafiła tego znaleźć.

Zestawiła minimalną biografię, którą przekazał jej Milo, z tym, co powiedziała o nim Maddy, oraz z przypadkowymi uwagami innych osób na jego temat.

Leeland David Grayson urodził się i wychował w Elkton w stanie Maryland. Chodził tam do przedszkola, podstawówki i liceum. Zanim przyszedł do Milo's we wschodnim Baltimore, pracował w firmie budowlanej, transportowej, w sklepie obuwniczym oraz jako kierowca w kwiaciarni. Co najmniej raz (a przynajmniej na to wyglądało) przekazał swoje DNA

następnemu pokoleniu, ożenił się, rozwiódł, znowu się ożenił i znowu rozwiódł. Miał dom, który stracił podczas rozwodu numer jeden. Od tej pory mieszkał w mniejszym, wynajętym lokum. Na przestrzeni całego życia był posiadaczem dziewięciu samochodów, trzech motocykli i jednego psa. Zmarł w tym samym mieście, w którym się urodził. Przez pięćdziesiąt cztery lata spędzone na tym świecie nie oczekiwał wiele od innych i dawał im tyle samo. Nie był złym człowiekiem, choć większość osób miała dość rozumu, żeby go nie prowokować. Nie był też człowiekiem radosnym, choć lubił sobie pożartować.

Pewnego dnia wszyscy, którzy mieli powód, żeby o nim pamiętać, zejdą z tego świata. Sądząc po tym, jak znajomi Lee dbali o swoje zdrowie, raczej prędzej niż później. Wtedy jedyną osobą znającą jego imię będzie człowiek koszący trawę koło jego grobu.

Jej matka powiedziała, że nie przeżył swojego życia – to ono przeżyło jego. W tej chwili Rachel uświadomiła sobie, dlaczego matka nie powiedziała Lee o niej ani jej o Lee. Elizabeth wiedziała, jak potoczy się jego życie. Znała jego małe wymagania, ograniczoną wyobraźnię i mgliste ambicje. Elizabeth Childs, która wychowała się w małym mieście i postanowiła mieszkać w małym mieście, nie znosiła małomiasteczkowego sposobu myślenia.

Matka nie powiedziała Rachel, kim jest jej ojciec, ponieważ przyznając, że oddała mu swoje ciało, przyznałaby równocześnie, że było w niej coś, co nie chciało uciec z małego miasta.

I dlatego odebrałaś nam siebie nawzajem, pomyślała Rachel.

Siedziała nad grobem ojca prawie godzinę. Czekwała, aż usłyszy jego głos w szumie wiatru czy drzew.

I usłyszała, naprawdę. Ale nie było przyjemnie.

Chcesz, żeby ktoś ci to wyjaśnił.

Tak.

Po co tyle bólu i cierpienia. Po co te trzęsienia ziemi i głód.

Ale głównie:

Dlaczego wszyscy mają cię w dupie.

– Przestań.

Była prawie pewna, że powiedziała to na głos.

Wiesz, jak brzmi odpowiedź?

– Przestań i już.

Ponieważ.

– Ponieważ co? – spytała w ciszy cmentarza.

Ponieważ nic. A bo tak.

Opuściła głowę i nie zaczęła płakać. Nie wydała żadnego odgłosu. Ale bardzo długo nie potrafiła przestać się trząść.

Przebyłaś długą drogę, żeby otrzymać tę odpowiedź. No więc ją dostałaś. W końcu. Prosto w twarz.

Podniosła głowę. Otworzyła oczy. Spojrzała na niego. Pół na pół metra.

To tylko granit i ziemia.

I nie ma tu nic więcej.

Opuściła cmentarz, dopiero gdy słońce schowało się za ciemnymi drzewami. Zbliżyła się czwarta po południu. Przyszła tu o dziesiątej.

Nigdy więcej nie usłyszała tego głosu. Ani razu.

Gdy wracała pociągiem na północ, wyglądała przez okno, ale było już ciemno i widziała tylko zamazane światła kolejnych miast i rozpostarty pomiędzy nimi mrok.

Przez większość podróży nie widziała nic. Tylko swoje odbicie. Tylko Rachel. Nadal samotną.

Nadal po niewłaściwej stronie lustra.

II

BRIAN

2011-2014

WRÓBELEK

Ścieżki Rachel i Briana Delacroix przecięły się znowu pół roku po ich ostatnim kontakcie mejlowym, wiosną w barze na South End.

Brian znalazł się tam, bo bar był blisko jego mieszkania, a ta noc, pierwsza w roku, zapowiadała lato. Ulice pachniały wilgocią i nadzieją. Rachel poszła do baru, bo tego popołudnia się rozwiodła i chciała sobie dodać odwagi. Martwiła się, że jej lęk przed ludźmi powróci, i chciała nad nim zapanować, udowodnić sobie, że jest silniejsza od swoich nerwic. Był maj, a ona przez całą zimę niemal nie wychodziła z domu. Opuszczała go tylko po to, żeby zrobić zakupy, ale specjalnie wybierała taką porę, by w supermarkecie było jak najmniej ludzi. Siódma rano we wtorek odpowiadała jej najbardziej – palety z zafoliowanym towarem nadal czekały między półkami, mleczarze gadali ze sprzedawcami z delikatesów, kasjerki odkładały torebki i ziewały w kubki kawy z Dunkin' Donuts, narzekały na dojazdy, pogodę, niezdolne dzieci i mężów.

Gdy musiała iść do fryzjera, zawsze umawiała się jako ostatnia osoba danego dnia. To samo dotyczyło tych rzadkich wypadków, gdy robiła sobie paznokcie lub pedicure. Większość innych potrzeb mogła zaspokoić przez internet. Wkrótce to, co zaczęło się w wyniku świadomej decyzji – wycofanie się z życia publicznego, by uniknąć oceny oraz jej siostry krytyki – przerodziło się w nawyk graniczący z uzależnieniem.

Zanim Sebastian odszedł od niej na zawsze, przez pół roku sypiał w pokoju dla gości; wcześniej całe lato nocował na swojej łodzi na South River, na przybrzeżnej równinie błotnej nad zatoką Massachusetts. Tak było dobrze – Sebastian prawdopodobnie nigdy jej nie kochał, być może nigdy nie kochał żadnej istoty ludzkiej, ale tę łódź kochał nade wszystko. Jednak kiedy odszedł, jej główny powód, by opuścić ten dom – uciec przed nim i jego toksyczną obojętnością – stracił ważność.

Ale przyszła wiosna i na ulice wróciły głosy, niespieszne i przyjemne, a także krzyki dzieci, turkot spacerówek na chodnikach, pisk i stuk drzwi z siatki. Dom, który kupiła wspólnie z Sebastianem, znajdował się w nadmorskim miasteczku Marshfield, pięćdziesiąt kilometrów na południe od Bostonu. Ich dom znajdował się dwa kilometry od brzegu, co odpowiadało Rachel, która nie przepadała za morzem. Sebastian oczywiście je kochał i w początkach ich znajomości nauczył ją nawet nurkowania. Gdy w końcu mu się przyznała, że nie znosi zanurzać się w wodzie, w której z głębin mogą ją obserwować potencjalne drapieżniki, Sebastian – zamiast się ucieszyć, że dla niego na jakiś czas opanowała strach – miał do niej pretensje. Jego zdaniem udawała, że mają wspólne zainteresowania, tylko żeby go „usidlić”. Odwarknęła, że w sidła łapie się tylko stworzenia, które chce się zjeść, a ona straciła na niego apetyt już dawno temu. Była to złośliwość, ale gdy ich związek zaczął się błyskawicznie rozpadać, złośliwości stały się normą. Po sfinalizowaniu rozwodu mieli sprzedać dom i podzielić się pieniędzmi. Ona zamierzała znaleźć inne miejsce zamieszkania.

I dobrze. Tęskniła za miastem, nigdy nie przywykła do dojazdów. A jeśli jej wątpliwą sławę trudno było zaakceptować w dużym mieście, to w prowincjonalnym miasteczku stawała się ona wręcz niewybaczalna. Parę tygodni wcześniej dała się zaskoczyć przy nalewaniu benzyny; aż do chwili, gdy na oparach wjechała na stację benzynową, nie zdawała sobie sprawy, że będzie musiała się sama obsłużyć. Ze sklepu wyszły trzy licealistki, które w push-upach, spodniach do

jogi, z wyprostowanymi jedwabistymi włosami i idealnymi kośćmi policzkowymi wyglądały jak wyszykowane na występ w reality show. Ruszyły w stronę chłopca w obcisłej koszulce termicznej i podartych džinsach, nalewającego benzynę do nieskazitelnego lexusa SUV. Na widok Rachel dziewczyny zaczęły szeptać i trącać się łokciami. Gdy się na nie obejrzała, jedna z nich poczerwieniała i spuściła wzrok, ale dwie pozostałe zgięły się w pół ze śmiechu. Ta ciemnowłosa z brzoskwiniowymi pasemkami udała, że pije z butelki, a jej miodowowłosa żółtowata siostra wykrzywiła twarz w parodii bezradnego płaczu i zaczęła robić rękami takie ruchy, jakby chciała je uwolnić z wodorostów. Trzecia powiedziała: „Dziewczyny, przestańcie”, ale zabrzmiało to trochę jak ubolewanie, trochę jak chichot, a potem ze wszystkich ładnych, ale brzydkich ust bluznął śmiech przywodzący na myśl piątkowe wymioty o smaku koktajlu.

Od tej pory Rachel nie opuszczała domu. Niemal skończyło jej się jedzenie. Skończyło jej się wino. A potem wódka. Wyczerpały się strony w internecie i programy w telewizji, które mogłyby ją zainteresować. Potem zadzwonił Sebastian z przypomnieniem, że sprawa rozwodowa jest zaplanowana na siedemnasty maja we wtorek na w pół do czwartej. Rachel doprowadziła się do porządku i ruszyła do miasta. Dopiero po wjechaniu na trasę numer trzy na północ uświadomiła sobie, że ostatni raz pokonywała tę autostradę pół roku temu. Inne samochody śmigały obok niej chmarami, lśniły w mocnym słońcu jak noże. Otaczały ją, dziobały powietrze, hamowały, błyskały czerwonymi światłami jak wściekłymi oczami. No pięknie, pomyślała Rachel, gdy atak paniki złapał ją za gardło, zaczęła jej mrowieć skóra i podniosły się włosy na głowie. Teraz boję się jeździć samochodem.

Jakoś dotarła do miasta; ale nie mogła się oprzeć wrażeniu, że z trudem uniknęła wypadku, bo nie powinna wyjeżdżać, skoro czuła się tak bardzo rozchwiana i drażliwa. Ale udało się. I nikt się nie zorientował. Zaparkowała, przeszła przez ulicę i stawiała się w wyznaczonym czasie w Sądzie Rodzinnym hrabstwa Suffolk na New Chardon Street.

Rozprawa pod wieloma względami była jak ich małżeństwo: powierzchowna i bezkrwawa. Kiedy się skończyła, a ich związek został, przynajmniej w świetle prawa, legalnie zakończony, Rachel odwróciła się, by wymienić spojrzenie ze świeżo upieczonym byłym mężem. Jeśli nie byłyby to pełne zrozumienia spojrzenia dwóch żołnierzy, którzy odczuli jak zwycięstwo to, że zeszli z pola bitwy z nietkniętymi kończynami, to przynajmniej wyrażałyby radość z tego, że zachowali trochę ludzkiej przyzwoitości. Ale Sebastian nie siedział już po drugiej stronie, naprzeciwko niej. Dostrzegła go w połowie sali odwróconego plecami. Szedł z uniesioną głową. Kiedy długimi krokami dotarł do drzwi, reszta zebranych spoglądała na nią z litością lub odrazą.

Więc to tym się stałam, pomyślała – kreaturą niegodną nawet pogardy.

Jej samochód znajdował się w podziemnym parkingu po drugiej stronie ulicy. Od dziewięćdziesiątkitrojki prowadzącej do domu dzieliły ją tylko dwa skrety w prawo, ale na myśl o tych wszystkich samochodach: przyspieszających, hamujących, niespodziewanie zmieniających pasy, skręciła na zachód, w stronę miasta, i minęła Beacon Hill oraz Back Bay, aż dotarła do South End. Podczas jazdy czuła się dobrze. Tylko raz, gdy wydawało jej się, że jakiś nissan po prawej stronie chce jej zajechać drogę na skrzyżowaniu, ręce jej się spociły. Po paru minutach dostrzegła coś wyjątkowego w tej okolicy – wolne miejsce parkingowe – i tam się zatrzymała. Siedziała i usiłowała sobie przypomnieć, że powinna oddychać. Gestem ręki przepędziła dwóch kierowców, którym się wydawało, że zamierza odjechać.

– To wyłącz ten jebany silnik! – wrzasnął drugi z nich i odjechał, zostawiając po sobie smród spalonej gumy.

Wysiadła z samochodu i zaczęła wędrować po dzielnicy, nie całkiem bez celu, ale prawie, bo przypomniawszy się jej, że gdzieś tu był bar, w którym spędziła przyjemny wieczór w czasach,

gdy zajmowała się jeszcze dziennikarstwem gazetowym i pracowała w „Globe”. Mówiło się, że za cykl, jaki napisała o osiedlu komunalnym Mary Ellen McCormack, może dostać nominację do nagrody Pulitzera. Nie dostała (choć zdobyła nagrodę imienia Horace’a Greeleya i PEN/Winship za wybitne osiągnięcia w dziedzinie dziennikarstwa śledczego), ale w sumie nie zrobiło to na niej wrażenia; wiedziała, że odwaliała kawał dobrej roboty, a wtedy to jej w zupełności wystarczało.

Był to staroświecki bar z czerwonymi drzwiami, Kenneally’s Tap, przycupnięty na jednym z ostatnich nieodnowionych osiedli. Jeśli dobrze pamiętała, jego nazwa była pozostałością z czasów sprzed mody na nadawanie irlandzkim barom tak literackich nazw jak „Brama Świętego Jakuba”, „Pola Elizejskie” czy „Wyspa Posągów”.

W końcu znalazła czerwone drzwi w okolicy, której na pierwszy rzut oka nie poznała, bo wypełniające ją toyoty i volvo zniknęły, ich miejsce zajęły mercedesy i sportowe range rovery, a kraty w oknach z konkretnych i funkcjonalnych stały się ażurowe, bardziej ozdobne. Bar nadal działał, ale jego menu wisiało na zewnątrz, i nie podawali w nim już paluszków z mozzarelli i panierowanych kawałków kurczaka, tylko policzki wieprzowe i duszony jarmuż.

Rachel podeszła prosto do wolnego krzesła, stojącego daleko od baru, blisko zaplecza, a kiedy barman ją znalazł, zamówiła wódkę z lodem i spytała go o dzisiejszą gazetę. Miała na sobie szarą bluzę z kapturem, narzuconą na biały podkoszulek, i ciemnoniebieskie dżinsy. Jej płaskie czarne buty były sfatygowane i równie niepozorne jak reszta stroju. I co z tego. Mimo całego tego gadania o postępie, równości, postseksistowskim pokoleniu kobieta nadal nie może usiąść samotnie w barze, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Nie podnosiła głowy, czytała „Globe” i usiłowała uspokoić okaleczonego wróbelka, który trzepotał skrzydłami w jej piersi.

Bar był wypełniony najwyżej w jednej czwartej, czyli dobrze, ale goście byli o wiele młodszy, niż sądziła, a to już jej się mniej podobało. Staruszków, których spodziewała się tu ujrzeć, reprezentowała czwórka pierników siedzących przy porysowanym stoliku w głębi pomieszczenia i często wymykających się na dymka. Naiwnie sądziła, że tu, w najmodniejszej bostońskiej dzielnicy, zwolennicy piwa z wódką obroniliby się przed kohortami miłośników whisky. Staruszkowie, którzy spędzali dzień na siedzeniu nad piwem PBR i Gansett bez ironicznej popitki, raczej rzadko oglądali wiadomości nadawane o szóstej. Ci młodszy też ich nie oglądali, w każdym razie nie na żywo, ale mogli później odtworzyć nagranie albo obejrzeć w streamingu na laptopie. I regularnie zaglądali na YouTube’a. Zeszłej jesieni, gdy filmik, na którym Rachel przechodzi załamanie, zaczął krążyć po sieci, przez pierwsze dwanaście godzin zyskał osiemdziesiąt tysięcy odsłon. Po dwudziestu czterech godzinach pojawiło się siedem memów i klipów, na których Rachel trzepotała rękami, pociła się, jękała i zachłystywała powietrzem w rytmie *Drunk in Love* Beyoncé. Tak to zinterpretowano – pijana reporterka traci panowanie nad sobą podczas transmisji na żywo z getta w Port-au-Prince. Trzydzieści sześć godzin po incydencie filmik miał już dwieście siedemdziesiąt tysięcy odsłon. Nieliczni przyjaciele tłumaczyli Rachel, że przesadza z liczbą osób, które według niej rozpoznają ją na ulicy. Zapewniali, że sama natura tej ery virali, jej potrzeba nieustannej wymiany informacji, daje gwarancję, że ten filmik, aczkolwiek obejrzany przez wiele osób, zostanie zapamiętany przez niewiele z nich.

Jednak mogła założyć, że połowa obecnych w barze osób przed trzydziestkąpiątką go widziała. Mogli być wtedy najarani lub pijani, co zwiększało prawdopodobieństwo, że nie skojarzą jego bohaterki z samotną kobietą w baseballówce, która czyta gazetę w barze. Ale może kilku z nich oglądało film na trzeźwo i miało dobrą pamięć.

Paroma ukradkowymi zerknięciami oszacowała osoby znajdujące się przy barze: dwie urzędniczki popijające martini z dodatkiem czegoś różowego; pięciu maklerów łożących piwo i przybijających żółwika z powodu jakiegoś meczu w telewizji; mieszana grupa programistów

pod trzydziestkę, garbiących się nawet podczas picia; oraz dobrze ubrana i zadbana trzydziestoparoletnia para: mężczyzna wyraźnie pijany, kobieta zniesmaczona i trochę przestraszona. Tych dwoje siedziało najbliżej Rachel – cztery stołki na prawo – i w pewnej chwili jeden z tych stołków przechylił się na dwa sąsiednie i znieruchomiał z dwoma nogami ponad podłogą.

– Jezus, dosyć! – rzuciła kobieta, i to wszystko było także w jej głosie, nie tylko w oczach, ten strach i obrzydzenie. Gdy facet odpowiedział „Weź się, kurwa, ucisz, bo jak ci...”, Rachel przypadkiem spojrzała na niego, potem na jego dziewczynę i wszyscy udali, że nic się nie wydarzyło, a facet ustawił stół prosto.

Rachel prawie skończyła drinka i doszła do wniosku, że przyjdzie tutaj było złym pomysłem. Jej lęk przed pewnymi osobami – na przykład tymi, które widziały jej atak paniki w wiadomościach o szóstej – przysłonił jej lęk przed ludźmi jako takimi, nieustannie narastająca fobia, z jej rozmiarów dopiero niedawno zaczęła sobie zdawać sprawę. Trzeba było wrócić do domu od razu po rozprawie. Nie powinna wchodzić do tego baru. Jezu. Wróbel zatrzepotał skrzydłami. Niezbyt gorączkowo, niezbyt spazmatycznie – na razie. Ale robił to coraz szybciej. Rachel czuła, że jej serce kołysze się w piersi zawieszona na krwawych sznurach. Cały bar na nią patrzył, a w gwarze głosów z pewnością usłyszała szept: „To ta reporterka”.

Położyła na barze banknot dziesięciodolarowy z ulgą, że go znalazła, bo nie wyobrażała sobie, żeby mogła czekać na resztę. Nie wytrzymałaby tu ani sekundy dłużej. Gardło się jej zacisnęło, w oczach zaczęło ciemnieć. Powietrze zmieniło się w swąd. Chciała się podnieść, ale barman postawił przed nią drinka.

– Ten pan przysyła to z wyrazami szacunku.

Grupa ubranych w garnitury facetów przy barze oglądała mecz. Roztaczali aurę byłych studentów gwałcicieli. Było ich pięciu, koło trzydziestego piątego roku życia, dwaj stawali się już masywni, a wszyscy mieli oczy, które wydawały się jednocześnie zbyt małe i zbyt błyszczące. Ten najwyższy skinął jej głową i uniósł kieliszek.

– On? – spytała barmana.

Ten obejrzał się przez ramię.

– Nie. Nikt z tej grupy. Inny. – Rozejrzał się. – Chyba poszedł do toalety.

– No to proszę mu podziękować, ale...

Cholera. Ten pijany, który przewrócił stół, zbliżał się do niej, wskazując ją palcem, jakby był prowadzącym program, a ona by właśnie wygrała zestaw garnków. Jego znie-smaczona i przerażona dziewczyna zniknęła. Im bardziej się zbliżał, tym mniej przystojny się wydawał. Owszem, był szczupły, miał bujne ciemne włosy i pełne wargi, wygięte w szczerym uśmiechu, owszem, poruszał się z pewnym wdziękiem, bo wszystko to stanowiło część pakietu. Oczy też miał złotobrązowe jak angielskie toffi, ale... och, Rachel, to, co się w nich kryje, to, co w nich żyje, to okrucieństwo. Zachwycone sobą, tępe okrucieństwo. Widziałaś już takie spojrzenie. Miał je Felix Browner. I Josué Dacelus. Ludzie z drapaczy chmur i ze slumsów. Zadowolone z siebie drapieżniki.

– Hej, przepraszam.

– Za co?

– Za moją dziewczynę. Obecnie była dziewczynę, na co od dawna się zanosilo. Lubi dramatyzować. Zawsze robi sceny.

– Chyba martwiła się, że za dużo wypileś.

Po co z nim rozmawiasz, Rachel? Odejdź.

Facet rozłożył szeroko ramiona.

– Niektórzy robią się podli, jak sobie podpiją, nie? Taki mają problem. Ja robię się

wesoły. Jestem wesołym facetem, który chce mieć przyjaciół i dobrze się bawić. Nie wiem, co w tym złego.

– No to powodzenia, ja już...

Facet wskazał jej drinka.

– To trzeba dopić. Szkoda by było, żeby się zmarnowało. – Wyciągnął rękę. – Jestem

Lander.

– Mnie już wystarczy.

Lander opuścił rękę i obejrzał się na barmana.

– Patrón Silver, dobry człowieku. – Znowu spojrzął na nią. – Dlaczego na nas patrzyłaś?

– Nie patrzyłam na was.

Barman przyniósł drinka. Mężczyzna pociągnął łyk.

– Właśnie że patrzyłaś. Widziałem.

– Zaczęliście trochę hałasować, więc podniosłam głowę.

– Hałasowaliśmy? – rzucił z uśmiechem.

– Tak.

– Przejęliśmy strunę, tak?

– Nie. – Nie poprawiła go, ale nie udało jej się stłumić westchnienia.

– Nudzę cię?

– Nie, wydajesz się miły, ale muszę już iść.

Facet uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Nie musisz. Napij się.

Wróbel łopotał skrzydłami coraz mocniej. Jego głowa i dziób sięgały już do jej gardła.

– Muszę iść. Dziękuję. – Zarzuciła sobie na ramię pasek torebki.

– Ty jesteś tą kobietą z telewizji – powiedział.

Nie miała ochoty przez następne pięć lub dziesięć minut zaprzeczać, żeby w końcu ustąpić, a jednak udało, że nie rozumie.

– Jaką kobietą?

– Tą, co ześwirowała. – Zerknął na drinka, którego nie tknęła. – Byłaś pijana? Czy naćpana? Co? No, powiedz.

Uśmiechnęła się zimno i chciała go wyminąć.

– Hej, hej, hej! – Lander zagroził jej drogę do drzwi. – Możesz mi powiedzieć... – Cofnął się o krok i przyjrzał jej się, mrużąc oczy. – Możesz mi powiedzieć, co to ma znaczyć? Ja tu chcę cię lepiej poznać.

– A ja chcę wyjść. – Gestem ręki poprosiła, żeby się odsunął.

Odchylił głowę, uniósł górną wargę i przedrzeźnił ją.

– Ja tylko pytam. Ludzie ci ufali. – Dotknął jej ramienia palcem. – Wiem, wiem, wiem, pewnie myślisz, że jestem pijany, no i ten, może jestem. Ale mówię coś ważnego. Jestem fajny. Jestem zabawny. Moi znajomi uważają, że można ze mną zdechnąć ze śmiechu. Mam trzy siostry. Rzecz w tym, chodzi o to, że według ciebie można się wysrać na robotę, bo pewnie masz plan B. Tak? Jakiegoś męzusia kapitalistę albo doktora, który... – Stracił wątek, potem go odnalazł, rozcapierzył różowe palce na różowej szyi. – A ja tak nie mogę. Ja muszę zarabiać. Tobie pewnie kochaś płaci za twoje lekcje jogi, drogą furę i imprezki z koleżankami, z którymi go obszczekujecie, choć tyle dla ciebie robi. Pij tego drinka, suko. Ktoś ci go postawił. Okaż mu szacunek.

Nadal stał jej na drodze. Zastanowiła się, co zrobi, jeśli znowu dotknie jej ramienia. Nikt z obecnych nawet nie drgnął. Nikt nie powiedział ani słowa. Nikt nie starał się pomóc. Wszyscy się na nich gapili jak na przedstawienie.

– Chciałabym już iść – powtórzyła i zrobiła krok w stronę drzwi, ale on znowu położył palec na jej ramieniu.

– Jeszcze minutkę. Napij się ze mną. Z nami. – Ogarnął gestem wszystkich w barze. – Nie zachowuj się, jakbyś źle o mnie myślała. Przecież nie myślisz o mnie źle, prawda? Jestem zwykłym facetem. Zupełnie normalnym. Jestem tylko...

– Rachel! – Brian Delacroix zmaterializował się za lewym ramieniem Lander, minął go i już stał przy niej. – Bardzo przepraszam. Coś mnie zatrzymało. – Rzucił Landerowi nieobecny uśmiech i znowu zwrócił się do niej: – Wiem, już jesteśmy spóźnieni, przepraszam. Zamykają o ósmej. Musimy iść. – Podniósł kieliszek z baru i wypił wódkę jednym haustem.

Brian miał na sobie granatowy garnitur, białą rozpiętą pod szyją koszulę i czarny krawat, rozluźniony i trochę przekrzywiony. Nadal był dość przystojny, ale nie aż tak, żeby podejrzewać go, że codziennie rano szykuje się godzinami do wyjścia. Wyglądał nieco bardziej szorstko, twarz miał ładnie pobrużdżoną, uśmiech trochę krzywy, czarne faliste włosy nie całkiem ujarzmione. Ogorzała skóra, kurze łapki w kącikach oczu, mocny podbródek i nos. Błękitne oczy patrzyły z rozbawieniem, lekko rozszerzone, jakby nieustannie zaskoczone tym, że znajdował się w takich sytuacjach.

– Nawiasem mówiąc, wyglądasz olśniewająco – dodał. – Jeszcze raz przepraszam za spóźnienie. Nie mam żadnego usprawiedliwienia.

– Zaraz, moment. – Lander przez chwilę stał ze wzrokiem wbitym w swojego drinka. – Dobra?

Właściwie mógł być to podstęp tych dwóch. Lander odgrywał rolę wilka, ona była owcą, a pasterzem stał się Brian Delacroix. Rachel nie zapomniała tego dziwnego wrażenia, jakie zrobił na niej wtedy przed Athenaeum, a to spotkanie w dniu jej rozvodu wydało jej się zbyt zaskakującym zbiegiem okoliczności.

Postanowiła, że nie dostosuje się do tej gry. Uniosła ręce w górę.

– Panowie, ja już...

Ale Lander jej nie słyszał, bo pchnął Briana.

– Stary, weź spierdalaj.

Brian uniosł z rozbawieniem brew, gdy Lander zwrócił się do niego per „stary”. Rachel też musiała walczyć z uśmiechem.

– Stary – powiedział Brian – zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie mogę. Wiem, wiem, to rozczarowujące, ale przecież nie wiedziałeś, że ona czeka na mnie. Fajny z ciebie gość, to widać. A noc jeszcze młoda. – Wskazał barmana. – Tom mnie zna. No nie, Tom?

– W rzeczy samej – potwierdził Tom.

– Więc... jak się nazywasz?

– Lander.

– Fajnie.

– Dzięki.

– Kochanie, może podstawisz samochód? – zwrócił się Brian do Rachel.

– Jasne – powiedziała ku swojemu zaskoczeniu.

– Lander – zaczął Brian, ale spojrzał Rachel w oczy i wskazał jej drzwi. – Dziś nie masz po co wyjmować portfela. Wszystko, co wypijesz, Tom zapisze na mój rachunek. – Znowu zerknął na Rachel, już natarczywiej, a ona tym razem ruszyła do drzwi. – Chcesz postawić drinka tym dziewczynom przy stole bilardowym? Też stawiam. Ta w zielonej flanelowej koszuli i czarnych dżinsach patrzy na ciebie, odkąd wszedłem...

Rachel była już przy drzwiach i nie obejrzała się, choć chciała to zrobić. Lander, gdy rzuciła na niego okiem po raz ostatni, przypominał psa czekającego z przechyloną głową na

smakołyk lub na polecenie. W niespełną minutę Brian Delacroix stał się jego panem.

Nie mogła odnaleźć swojego samochodu. Szła ulica za ulicą, na wschód, na zachód, potem na północ, z powrotem na południe. Gdzieś pomiędzy tymi ogrodzeniami z kutego żelaza i domkami z czekoladowej bądź czerwonej cegły stał jej jasnoszary prius 2010. Chodzi o jego głos, doszła do wniosku, ruszając boczną uliczką w stronę świateł Copley Square. Ciepły, pewny siebie i płynny, choć nie przymilny. Głos przyjaciela, którego zawsze chciałoby się mieć, albo dobrego wujka, który zbyt wcześnie odszedł z twojego życia, ale teraz powrócił. Głos domu, ale nie prawdziwego, lecz jego idealnego wyobrażenia.

Po paru minutach ten głos poruszył powietrze za jej plecami.

– Jeśli uznasz mnie za stalkera i przyspieszysz kroku, nie obrażę się. Serio. Zostanę tutaj i nigdy więcej się z tobą nie spotkam.

Stanęła. Odwróciła się do niego. Zobaczyła go stojącego u wylotu zaułka, przez który przeszła pół minuty temu. Stał pod latarnią, splótłszy przed sobą ręce. Nie starał się do niej podejść. Na garnitur narzucił płaszcz deszczowy.

– Ale jeśli nie wykluczasz, że ten wieczór jeszcze trochę potrwa, zostanę dziesięć kroków za tobą i pójdę wszędzie, gdzie pozwolisz postawić sobie drinka.

Przyjrzała mu się uważnie, na tyle uważnie, że spostrzegła, iż wróbel przestał trzepotać skrzydełkami w jej klatce piersiowej, a gardło się odblokowało. Ogarnął ją spokój, jaki ostatni raz czuła za zamkniętymi drzwiami własnego domu.

– Może być pięć kroków – powiedziała.

ŚWIATŁA

Szli przez South End, a ona wkrótce się domyśliła, dlaczego Brian miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy. W powietrzu unosiła się mgiełka, tak delikatna, że jej nie zauważyła, dopóki nie poczuła wilgoci we włosach i na czole. Wtedy włożyła kaptur, ale oczywiście też był już przemoczony.

– To ty mi przysłałeś wódkę?

– Ja.

– Dlaczego?

– Szczerze?

– Nie, skłam.

Zachichotał.

– Bo musiałem pójść do łazienki i chciałem cię zastać po powrocie.

– Dlaczego nie podszedłeś do mnie?

– Nerwy. Przez te lata raczej nie szalałaś ze szczęścia, kiedy inicjowałem z tobą kontakt.

Wtedy zwolniła, a on ją dogonił.

– Lubiłam dostawać twoje mejle – powiedziała.

– Dziwne. Twoja reakcja świadczyła o czym innym.

– To była skomplikowana dekada. – Rzuciła mu uśmiech, który wydał się jej niepewny, ale pełen nadziei.

Brian zdjął płaszcz i zarzucił go jej na ramiona.

– Nie wezmę twojego płaszcza – oznajmiła.

– Wiem. Pożyczam ci go.

– Nie potrzebuję.

Brian odstąpił o krok i spojrzał na nią.

– Dobrze. Oddawaj.

Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– No, skoro nalegasz...

Ruszyli dalej. Ich kroki były jedynym odgłosem w tej okolicy.

– Dokąd prowadzisz? – spytał.

– Mam nadzieję, że RR1 nadal istnieje.

– Istnieje. Przechodź stąd.

Skinęła głową.

– Skąd ta nazwa? W pobliżu nie ma żadnej kolejki.

– Kolejka podziemna. Wywieźli nią większość niewolników. W tym budynku – wskazał dwór z czerwonej cegły wciśnięty między szeregowiec i dawny kościół – Edgar Ross zorganizował w początkach dziewiętnastego wieku pierwszą drukarnię, w której pracowali czarni.

Zerknęła na niego z ukosa.

– Krynica wiedzy z ciebie, co nie?

– Lubię historię. – Wzruszył ramionami, co u tak masywnego mężczyzny wyglądało jakoś uroczo.

– Tu w lewo.

Skręcili w lewo. Ulica była starsza i bardziej zaciszna. Mnóstwo garaży albo mieszkań, które kiedyś były stajniami. Okna o grubych szybach spojonych ołowiem. Drzewa wydawały się stare jak konstytucja.

– Nawiasem mówiąc, twoje poważne reportaże podobały mi się bardziej niż te rozrywkowe.

Zachichotała.

– Nie poczułeś się doinformowany, kiedy zrobiłam materiał o kocie, który szczeka?

Strzelił palcami.

– Powiedz, że masz go w archiwum.

Usłyszeli metaliczne szczęknięcie i ulica zatoneła w mroku. Wszystkie światła – w domach, latarnie, w małym biurowym budynku w głębi – zgasły.

W ołowianym blasku łuny wysokich wieżowców na skraju dzielnicy widzieli zarysy swoich sylwetek, ale ta niemal kompletna ciemność była obca i niosła ze sobą spychaną na margines świadomości prawdę, o której wszyscy mieszkańcy miast starają się zapomnieć – że jesteśmy nieprzygotowani do przetrwania w trudnych sytuacjach. Przynajmniej jeśli zostaniemy pozbawieni udogodnień.

Trochę zdziwieni ruszyli dalej. Włoski na ich skórze zaczęły się zachowywać dziwnie. Słuch Rachel się wyostrzył. Wszystkie jej pory otwały się szeroko. Skóra na jej głowie była zimna, wilgotna, tętniąca adrenaliną.

Tak samo czuła się na Haiti. Port-au-Prince, Léogâne, Jacmel. W niektórych dzielnicach nadal nie mieli elektryczności.

Jakaś kobieta wyszła z budynku na rogu. W jednej ręce trzymała świeczkę, w drugiej – latarkę, której promieniem światła przesunęła po ich ciałach. Rachel zauważyła nad jej głową szyld i uświadomiła sobie, że stoją przed barem RR.

– O, hej! – Kobieta zakołysała latarką, jakby namaszczała ich światłem, po czym zatrzymała promień na wysokości ich kolan. – Co tu robicie?

– Szukaliśmy jej samochodu – wyjaśnił Brian. – A potem postanowiliśmy znaleźć wasz bar, no i wydarzyło się to.

Uniósł rękę w ciemności, a potem znowu coś szczęknęło metalicznie i światło się zapaliło.

Zamrugali powiekami w łagodnym blasku neonowej reklamy piwa w oknie oraz neonu nad drzwiami.

– Niezła sztuczka – powiedziała barmanka. – Występuje pan na urodzinach?

Otworzyła drzwi i weszli. W środku było tak, jak zapamiętała Rachel, może nawet lepiej – trochę bardziej przyćmione światło, zapach zwiędłego piwa i opon ustąpił miejsca słabej nutce hikorowego drewna. Odtwarzana na szafie grającej piosenka Toma Waitsa, która rozbrzmiewała, gdy weszli do sali, ucichła przy zamawianiu drinków, a po niej zaczął się numer Radiohead z czasów *Pablo Honey*. Rachel potrafiła umiejscowić Toma Waitsa we właściwym kontekście, bo jego największe przeboje pochodziły z czasów przed jej narodzinami. Jednak często doznawała szoku – aczkolwiek przewidywalnego i niezbyt wielkiego – uświadamiając sobie, że ludzie, którzy mieli już prawo kupować alkohol w barach, leżeli w pieluszkach, gdy ona słuchała Radiohead na studiach. Starzejemy się na oczach świata, pomyślała, ale jakoś dowiadujemy się o tym ostatni.

W barze nie było nikogo oprócz nich i barmanki Gail. W połowie pierwszej kolejki Rachel poprosiła:

– Opowiedz mi o naszym ostatnim spotkaniu.

Spojrzał na nią zwężonymi oczami, nie rozumiejąc.

– Byłeś z handlarzem antyków.
– Jackiem Ahernem, tak? – spytał, strzelając palcami. – To był Jack?
– Tak.
– Szliśmy na obiad. Wpadłem na ciebie na szczycie Beacon Hill.
– Tak, tak. Tak wyglądają fakty. Ale chodzi mi o atmosferę. Tego dnia byłeś jakiś dziwny, jakbyś chciał się mnie jak najszybciej pozbyć.
Skinął głową.
– Tak, przepraszam.
– Przyznajesz to?
– No pewnie. – Odwrócił się na krześle, szukając odpowiednich słów. – Jack był inwestorem w małej filii, którą wtedy tworzyłem. Nic szczególnego, mała firma produkująca luksusowe drewniane parkiety i żaluzje. Jack jest także domorosłym moralistą, na modłę piętnastowieczną, luterzańskim albo kalwińskim fundamentalistą, nie pamiętam.
– Też ich nie rozróżniam.
Brian uśmiechnął się do niej krzywo.
– No więc wtedy byłem żonaty.
Pociągnęła długi łyk drinka.
– Żonaty.
– Tak. Dojrzewałem do rozwodu, ale wtedy miałem żonę. I jestem sprzedawcą. Sprzedawałem to małżeństwo mojemu klientowi moralisście.
– Na razie nadążam.
– Potem zobaczyłem, jak zbliżasz się w moją stronę, i zrozumiałem, że jeśli tego nie uprzedzę, on to zobaczy, więc się nakręciłem, jak zwykle, gdy się zdenerwuję, no i spieprzyłem sprawę.
– Powiedziałeś: „jeśli tego nie uprzedzę”. Czego?
Brian przechylił głowę i uniósł brew.
– Naprawdę muszę to powiedzieć?
– Na tym polega wyjaśnienie, przyjacielu.
– Tego, że mnie pociągasz, Rachel. Moja była ciągle się mnie o to czepiała – „Znowu oglądasz swoją dziewczynę w wiadomościach?”. Moi znajomi też to dostrzegali. Jack Ahern też by się zorientował, gdybym zastygł z wywieszonym językiem na środku Beacon Street. Jezus, no przecież od Chicopee... Daj spokój.
– Sam daj spokój. O niczym nie wiedziałam.
– No jasne, bo skąd?
– Mógłbyś coś o tym wspomnieć.
– W mejlu? Który byś przeczytała temu swojemu idealnemu mężowi?
– Nie był idealny.
– Nie wiedziałem o tym. Poza tym miałem żonę.
– Co się z nią stało?
– Wyjechała. Wróciła do Kanady.
– Więc oboje jesteście rozwiedzeni.
Brian skinął głową i podniósł szklaneczkę.
– Za rozwód.
Stuknęła swoją szklanką w jego, wypita i zamówili następną kolejkę.
– Powiedz mi, czego w sobie nie lubisz.
– Czego nie lubię? Myślałem, że na wstępnym etapie trzeba pokazywać się z najlepszej strony.

– Na wstępnym etapie czego?
– Spotkania.
– Randki? Czy to randka?
– Tak o tym jeszcze nie myślałem.
– Ty masz drinka, ja mam drinka, patrzmy na siebie, usiłujemy się upewnić, czy na tyle cieszy nas nasze towarzystwo, żeby się znowu umówić.
– Rzeczywiście, brzmi to jak randka. – Brian uniósł palec. – Chyba że to przedsezonowe kwalifikacje NFL do randki.

– Wiosenny trening MLB do randki. Zaraz, jak się nazywa przedsezonowy mecz NBA?
– Przedsezonowy mecz.
– Wiem, ale jak się nazywa?
– Właśnie tak.
– Serio? Mało oryginalnie.
– A jednak.
– A NHL?
– A skąd ja mam to wiedzieć?
– Przecież jesteś Kanadyjczykiem.
– Owszem, ale kiepskim w te klocki.

Oboje parsknęli śmiechem tylko dlatego, że dotarli na opisany przez jej matkę pierwszy etap – iskrzenie. Gdzieś pomiędzy spacerem po bruku dzielnicy tak cichej, że słycać było w niej tylko echo ich kroków, przez zapach kołnierza jego mokrego płaszcza przeciwdeszczowego pod jej brodą i dwuminutowe zaciemnienie na chwilę przed tym, jak weszli jako para do baru, gdzie Tom Waits cicho mrucał gasnący refren, aż po chwilę obecną, gdy przekomarzali się nad wódką i szkocką, dotarli do drugiego etapu – porzucenia tego, kim byli, zanim okazało się, że oboje czują do siebie pociąg, i ruszenia naprzód ze świadomością, że są dla siebie atrakcyjni.

– Czego w sobie nie lubię?

Rachel skinęła głową.

Brian uniósł drinka i zagrzechał cicho kostkami lodu w szklance. Żartobliwy wyraz zniknął z jego twarzy, zastąpił go smutek i zdziwienie, ale nie gorycz. Ten brak goryczy natychmiast spodobał się Rachel. Wychowała się w domu pełnym goryczy, a potem, gdy już zaczęła wierzyć, że nigdy więcej się z nią nie spotka – wyszła za nią za męża. Już wykorzystwała swój przydział.

– Wiesz, co to za uczucie, kiedy w dzieciństwie nie wybiorą cię do drużyny albo ktoś, kogo lubisz, nie odwzajemni twojej sympatii, albo rodzice cię odtrącają lub lekceważą nie dlatego, że coś zrobiłaś, ale ponieważ są popierdoleni i toksyczni? – spytał Brian.

– Tak, tak i tak. Fascynuje mnie, do czego zmierzasz.

Teraz to on się napił.

– Myślę o tych przypadkach – a w dzieciństwie jest ich wiele, nawarstwiają się – i uświadamiam sobie, że zawsze w głębi ducha przyznawałem rację innym. To ja nie byłem godny drużyny, nie zasługiwałem na sympatię, a moi bliscy słusznie mnie odtrącali. – Odstawił szklankę na bar. – Nie lubię w sobie tego, że czasem szczerze się nie lubię.

– I choćbyś nie wiadomo jak się zasłużył – dodała – był nie wiadomo jak dobrym przyjacielem, żoną czy mężem, nie wiadomo ile zrobił dla ludzkości, to nic, ale to naprawdę nic...

– Nic – zgodził się.

– ...nie wynagrodzi światu tego, jakim jesteś gnojkiem.

Rzucił jej uśmiech szeroki i piękny.

– Widzę, że spędziłaś nieco czasu w mojej głowie.

– Ha. Raczej w mojej.

Przez całą minutę nie odzywali się do siebie. Skończyli drinki i zamówili kolejne.

– A jednak – powiedziała Rachel – zadziwiająco dobrze stwarzasz pozory pewności siebie. Poradziłeś sobie z tym cepem z baru jak hipnotyzer.

– To idiota. Idiotów łatwo przechytrzyć. Dlatego są idiotami.

– Skąd mam wiedzieć, że nie graliście do jednej bramki?

– Jakiej bramki?

– No wiesz. On mnie zastrasza, ty przybywasz na ratunek.

– Ale wydostałem cię stamtąd i nie pobiegłem za tobą.

– Gdyby współdziałał z tobą, mogłeś opuścić bar pięć sekund po mnie i pójść za mną.

Brian otworzył usta, zamknął je, skinął głową.

– A to racja. Zawsze jesteś podrywana w tak skomplikowany sposób?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– To by wymagało strasznego wysiłku z mojej strony. Czy ten gość nie przyszedł z dziewczyną? Nie pokłócili się?

Przytaknęła.

– Zatem musiałbym – niech to sobie poukładam – wiedzieć, że wstąpisz dziś do tego baru, poprosić znajomego, żeby przyszedł z dziewczyną, pokłócił się z nią, skłonił ją do wyjścia, a potem chamsko do ciebie uderzył, żebym mógł wkroczyć i dać ci szansę wyjścia, a potem...

– Dobrze, już dobrze.

– ...przebiec przez bar zaraz po tobie, wymknąć się na zewnątrz i iść za tobą w butach z twardymi obcasami po pustych cichych ulicach przez całe miasto.

– Powiedziałam już, że dobrze. – Wskazała jego garnitur, białą koszulę, ładny płaszcz przeciwdeszczowy. – Odstawiłeś się, więc usiłuję to dopasować do informacji, że nie lubisz siebie. Bo wprost ociekasz pewnością siebie, mój przyjacielu.

– Jak buc?

– Właściwie to nie.

– Na ogół jestem pewny siebie. Racjonalny, dorosły ja ma wszystko poukładane. Ale istnieje także maleńki odprysk mnie, który daje się zaskoczyć o północy w ciemnym barze kobiecie pytającej, czego w sobie nie lubię. – Znowu odwrócił się całym ciałem w jej stronę i przez chwilę milczał. – A skoro o tym mowa...

Odkasznęła, bo przez chwilę bała się, że się rozplacze. Czują napływające do oczu łzy i to ją krępowało. Relacjonowała potężne trzęsienie ziemi na wyspie, która i tak już była udręczona biedą ponad ludzkie wyobrażenie. Spędziła miesiąc w wieżowcu, poruszając się wyłącznie na kolanach, żeby zrozumieć perspektywę dziecka znajdującego się w tych samych okolicznościach. Raz w brazylijskim lesie deszczowym wdrapała się na drzewo na wysokość sześćdziesięciu metrów i przesiadła na gałęzi całą noc. A dziś ledwie udało jej się przejechać pięćdziesiąt kilometrów z przedmieścia do centrum, nie rozpadając się na kawałki.

– Dziś się rozwiodłam – oznajmiła. – Rok temu straciłam pracę – nie, poprawka, wszystkie szanse na karierę – ponieważ dostałam na wizji ataku paniki. Zaczęłam się bać ludzi, nie jakichś konkretnych, ale tak ogólnie, co jest znacznie gorsze. Ostatnie dziewięć miesięcy upłynęło mi w wirtualnym świecie. I szczerze mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy do niego wrócę. Brian, ja nie lubię w sobie dosłownie niczego.

Brian nie odzywał się przez chwilę. Patrzył na nią. Nie w napięciu, nie czuła się uwodziona ani wyzwana. Było to szczerze, wybaczące spojrzenie, bez cienia krytyki. Nie potrafiła go scharakteryzować, aż w końcu uświadomiła sobie, że tak patrzą przyjaciele.

Wtedy rozpoznała piosenkę. Słyszała ją od jakichś trzydziestu sekund. Lenny Welch, jeden z wcześniejszych, ale najdłużej pamiętanych autorów jednego przeboju, śpiewał *Since I Fell for You*.

Brian słuchał, przechylając głowę, ze spojrzeniem widzącym jakby zupełnie inne miejsce.

– Ta muzyka leciała w radio, kiedy w dzieciństwie pojechałem nad takie jezioro. Wszyscy dorośli żartowali tego dnia, fajnie było być w ich towarzystwie. Dopiero po latach dotarło do mnie, że się ujarali. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego palą tego samego papierosa. No więc tańczyli nad jeziorem przy dźwiękach tej piosenki, banda upalonych Kanadyjczyków w nylonowych strojach kąpielowych.

Skąd jej przyszło do głowy to, co powiedziała potem? Czy ten impuls można wyśledzić? A może to czysta chemia? Iskrzące neurony, biologia triumfująca nad intelektem.

– Zatańczymy?

– Pewnie. – Brian wziął ją za rękę i dotarli na mały parkiet tuż za barem, w ciemnym pomieszczeniu oświetlonym tylko poświatą szafy grającej.

A zatem to ich pierwszy taniec. Pierwszy raz, gdy ich dłonie i piersi się zetknęły. Pierwszy raz znalazła się na tyle blisko Briana, żeby poczuć ten zapach, który zawsze będzie uważała za jego wizytówkę – nutka dymu zmieszana z wonią zwykłego szamponu i trochę drzewno-piżmowej woni jego ciała.

– Posłałem ci drinka, bo nie chciałem, żebyś wyszła z tego baru.

– Bo musiałeś iść do łazienki, wiem.

– Nie. Poszedłem do łazienki, bo zaraz po tym, jak posłałem ci drinka, spanikowałem. Nie wiem, no, po prostu nie chciałem, żebyś spojrzała na mnie jak na jakiegoś stalkera. Więc poszedłem do łazienki, żeby, no nie wiem, skulić się i dzwonić zębami. Wszedłem, oparłem się o ścianę i jakieś dziesięć razy nazwałem się kretynek.

– Nieprawda.

– Prawda. Słowo daję. Widziałem cię w wiadomościach. Byłaś szczerą. Nie popisywałaś się, nie mrugałaś do kamery, nie obnosiłaś się ze swoimi uprzedzeniami. Ufałem ci. Dbałaś o zachowanie standardów moralnych. I to było zrozumiałe.

– Nawet z tym kotem, który szczekał?

Brian spoważniał, choć nie zmienił pogodnego brzmienia głosu.

– Nie umniejszaj swoich zasług. Przez cały dzień, czasem tydzień, wszyscy mnie okłamują, wszyscy starają się mnie wykorzystać – od sprzedawcy samochodów po straganiarzy, od lekarza, który chce mi wcisnąć leki po zawyżonej cenie, bo zamierza oszukać dystrybutora, po linie lotnicze, hotele i kobiety w hotelowych barach. Wracam z wyjazdu, włączam Channel 6 i... ty... ty byś mnie nie okłamała. To coś znaczy. Czasami, zwłaszcza po rozpadzie mojego małżeństwa, gdy przez cały czas byłem sam, to znaczyło wszystko.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ostatnio odwykła od komplementów i ufności.

– Dzięki – wykrztusiła i spuściła głowę.

– Smutna ta piosenka – odezwał się po chwili.

– No.

– Chcesz przestać?

– Nie. – Dotyk jego ręki na jej plecach był bardzo przyjemny. Czowała się, jakby miała już nigdy nie upaść. Nigdy nie zostać zraniona. Nigdy nie przegrać. Nigdy nikogo nie stracić. – Nie, tańczmy dalej.

1 RR – (ang.) *railroad*, linia kolejowa.

APETYTY

Początek ich romansu był dla niej zastrzykiem fałszywego spokoju. Prawie wmówiła sobie, że ataki paniki to przeszłość, choć ostatni był najbardziej drastyczny.

Ich pierwsza oficjalna randka odbyła się rankiem po spotkaniu przy kawie. Rachel była w nocy zbyt rozgorączkowana, żeby prowadzić, więc wynajęła pokój z widokiem na rzekę na Westin Copley Square. Od jej ostatniego pobytu w hotelu minął rok; w windzie wyobrażała sobie, że zamówi do pokoju jakąś przekąskę i obejrzy film, ale zasnęła zaskakująco szybko, między zdejmowaniem butów a unoszeniem koldry. O dziesiątej następnego ranka spotkała się z Brianem na Newbury w Stephanie's. Wódka jeszcze krążyła w jej krwi i mózgu. Za to Brian prezentował się wspaniale. W świetle dziennym był jeszcze przystojniejszy niż w barowym oświetleniu. Spytała go o pracę, a on powiedział, że dzięki niej się utrzymuje i może dawać upust swojemu zamilowaniu do podróży.

– W tym musi być coś więcej.

– Właściwie to nie – powiedział i zachichotał. – To właśnie robię, dzień w dzień – negocjuję warunki z dostawcami drewna z tych rejonów, gdzie w danym miesiącu jest dużo albo mało surowca. W Australii była susza albo na Filipinach za bardzo przedłużyła się pora deszczowa? Te czynniki zmieniają cenę drewna, co z kolei wpływa na cenę... od czego zacząć? Tej serwetki, tego obrusa, tej saszetki cukru. Zасыpiam z nudów, kiedy o tym mówię. – Pociągnął łyk kawy. – A ty?

– Ja?

– No. Wrócisz kiedyś do dziennikarstwa?

– Wątpię, żeby ktokolwiek chciał mnie zatrudnić.

– A gdyby? Na przykład ktoś, kto nigdy nie widział tego nagrania?

– Gdzie go szukać?

– Słyszałem, że w Czadzie mają straszne kłopoty z internetem.

– W Czadzie?

– W Czadzie.

– No, jeśli zdołam się zmusić do tego, żeby wsiąść do samolotu, uderzę do paru stacji telewizyjnych w...

– Ndżamenie.

– Stolicy Czadu, tak.

– Na pewno miałaś to na końcu języka.

– Ależ oczywiście.

– Przecież mówię.

– Przypomniałoby mi się.

– Czy ja twierdzę, że nie?

– Może nie ustami, ale oczami.

– Nawiasem mówiąc, masz je wyjątkowe.

– Oczy?

– I usta.

– Możesz się ze mną spotykać, kiedy chcesz.

– Taki mam plan. – Brian trochę spoważniał. – Myślałaś kiedyś, że mogłabyś nie uciekać

aż do Czadu?

– Jak to?

– Może nie jesteś aż tak rozpoznawalna, jak ci się wydaje.

Uniosła brew.

– Przez niemal trzy lata pojawiałam się w tym mieście w wiadomościach pięć razy w tygodniu.

– Owszem. Ale przy jakiej oglądalności? Pięciu procent na dwumilionowe miasto? No więc to sto tysięcy osób. Rozproszone na terenie metropolii. Daję sobie rękę uciąć, że gdybyś przepytala wszystkich w tej restauracji, zaledwie jedna lub dwie osoby by cię rozpoznały i może tylko dlatego, że zostały przez nas zagadnięte i przyjrzały ci się uważniej.

– Nie wiem, czy chcesz mi poprawić, czy zepsuć humor.

– Poprawić. Zawsze. Staram się ci pokazać, że owszem, nieliczne osoby pamiętają to nagranie, a jeszcze mniej liczne skojarzyłyby je z tobą, gdyby spotkały cię na ulicy, ale to liczby malejące z każdym dniem. Cechą naszych czasów jest to, że wszystko krótko pamiętamy. Niczego nie tworzy się w taki sposób, żeby przetrwało wieki. To dotyczy także wstydu.

Zmarszczyła nos.

– Ładne słowa.

– Ty jesteś ładna.

– Ooo...

Na drugą randkę wybrali restaurację na South Shore koło jej mieszkania. Trzecią odbyli w Bostonie, w innym lokalu, a potem całowali się jak licealiści, ona z głową opartą o latarnię. Zaczęło padać; nie była to ta delikatna mgiełka jak w nocy, kiedy się poznali, ale ulewa, której gwałtowność jeszcze obniżała temperaturę, jakby zima przypuściła na nich ostatni desperacki atak.

– Chodźmy do twojego samochodu. – Brian osłonił ją swoim płaszczem przeciwdeszczowym. Krople bębniły o materiał jak małe kamyczki, ale całe jej ciało oprócz kostek pozostało suche.

Minęli mały park, w którym na ławce leżał bezdomny. Gapił się na ulicę, jakby usiłował na niej odnaleźć jakąś zgubę. Osłonił się gazetą, ale głowa nieustannie mu się trzęsła, a wargi drżały.

– Brzydka wiosna – odezwał się.

– A to prawie czerwiec – zgodził się Brian.

– Do północy miało przestać. – Rachel poczuła skruchę, że ma własne łóżko, samochód, dach nad głową.

Bezdomny przyjął tę informację z wyduchem ust, które miało wyrażać nadzieję, i zamknął oczy.

W samochodzie włączyła ogrzewanie i roztarła dłonie. Brian pochylił się do otwartego okna, żeby dać jej przelotny pocałunek, który zmienił się w dłuższy. Deszcz bębnił o dach.

– Odwiozę cię do domu – zaproponowała.

– To dziesięć przecznic w odwrotnym kierunku. Nie zmoknę, mam płaszcz.

– Ale nie masz kapelusza.

– O, ludzie małej wiary. – Brian cofnął się o krok i wyjął z kieszeni płaszcz baseballówkę z logo Blue Jays. Włożył ją, pstryknięciem palców wygiął daszek i zasalutował z łobuzerskim uśmiechem.

– Uważaj na siebie. Zadzwoń, kiedy dotrzesz do domu.

– Jeszcze raz. – Przywołała go do siebie gestem.

Znowu się pochylił, pocałował ją delikatnie, a ona poczuła słabiotką woń potu spod

czapki i smak szkockiej na jego języku. Pociągnęła go mocno za kłapy i pocałowała głębiej.

Odszedł w kierunku, z którego przyszli. Włączyła wycieraczki i chciała odjechać, ale szyby jej zaparowały. Uruchomiła ogrzewanie i zaczęła, aż szyby staną się przejrzyste. Dopiero wtedy ruszyła. Na najbliższym rogu miała skręcić w prawo, ale spojrzała w lewo i zobaczyła Briana. Stał w małym parku. Zdjął płaszcz i nakrył nim bezdomnego. Opuścił park, postawił kołnierz koszuli i szybko pobiegł ulicą.

Jej matka oczywiście poświęciła cały rozdział temu zjawisku: „Akt prowokujący przemianę”.

Czwarta randka odbyła się w jego mieszkaniu. Brian zrobił obiad. Gdy wstawiał talerze do zmywarki, Rachel zdjęła podkoszulek i stanik i przysła do niego tylko w podartych obszernych dżinsach. Brian odwrócił się, gdy go dotknęła. Oczy mu się rozszerzyły.

– O! – mruknął.

Miała wrażenie, oczywiście błędne, że nad wszystkim panuje i że jest na tyle wyzwolona, żeby narzucić warunki pierwszego spotkania ich ciał. Tej nocy zaczęli w kuchni, ale skończyli w jego łóżku. Runda druga, rozpoczęta w wannie, miała finał na blacie między bliźniaczymi umywalkami. Potem znowu wrócili do sypialni i poszło im zadziwiająco dobrze, choć pod koniec z Briana nie wydobyło się nic oprócz dreszczu.

Całe lato upłynęło im pod znakiem zmysłowych radości. Można powiedzieć, że bili wszelkie rekordy. Wszystko inne natomiast rozwijało się wolniej. Zwłaszcza gdy powróciły ataki paniki Rachel. Na ogół pojawiały się, gdy Briana nie było w mieście. Niestety, musiała zaakceptować jego częste wyjazdy. Przeważnie spędzał dwie noce w Kanadzie, w stanie Waszyngton i Oregonie, a dwa razy w roku bywał w Maine. Ale pozostałe wyjazdy – do Rosji, Niemiec, Brazylii, Nigerii i Indii – trwały znacznie dłużej.

Czasem w pierwszych dniach jego nieobecności czuła się dobrze. Wracała do dawnej siebie. Wcale nie musiała uważać się za osobę, która jest z kimś w związku. Budziła się rano po wyjeździe Briana i czuła się w dziewięćdziesięciu procentach Rachel Childs. Potem wyglądała przez okno, przerażała się światem i przypominała sobie, że w tych dziewięćdziesięciu procentach znajduje się co najmniej czterdzieści procent, których nie lubiła.

Drugiego popołudnia myśl o wyjściu na dwór obudziła w niej z trudem tłumioną histerię. Gdy wyobrażała sobie świat zewnętrzny, widziała to, co czuła, jak ośmieliła się w niego wejść – że sunął na nią jak burzowa chmura. Osaczał ją. Kąsał. Wbijał się w jej ciało jak słomka i wysysał ją do ostatniej kropli. A w zamian nie dawał nic. Udaremniał wszystkie jej wysiłki, by się w niego zaangażować, by stać się jego częścią, nie zamierzał jej za to nagrodzić, lecz porывał ją w swój wir, miotał nią, a potem odrzucał, po czym zajmował się następną ofiarą.

Gdy Brian przebywał w Toronto, na dwie godziny zastygła w bezruchu, siedząc w Dunkin' Donuts na Boylston. Nie mogła się oderwać od małej lady z widokiem na ulicę.

Pewnego ranka, gdy on wracał z Hamburga, pojechała taksówką na Beacon Street. Po pokonaniu czterech przecznic zdała sobie sprawę, że powierzyła swoje bezpieczeństwo zupełnie obcemu człowiekowi. Kazała mu się zatrzymać, wręczyła gigantyczny napiwek i wysiadła. Stała na chodniku; wszystko wydawało się za jasne, za wyraziste. Docierające do niej dźwięki były zbyt głośne, jakby ktoś wydobył na zewnątrz jej przewody słuchowe. Słyszała, jak trzy osoby po drugiej stronie ulicy rozmawiają o swoich psach. Kobieta, trzy metry dalej, na nadrzecznym bulwarze, karciała dziecko po arabsku. Na Logan wylądował samolot. Inny wystartował. A ona to słyszała. Słyszała klaksony na Mass Avenue, silniki warczące na jałowym biegu na Beacon i ożywające na Storrow Drive.

Na szczęście kosz był niedaleko. Zrobiła cztery kroki i zwymiotowała do niego.

Gdy ruszyła z powrotem do mieszkania, które zajmowała z Brianem, mijani ludzie

przyglądali jej się z jawną pogardą, obrzydzeniem i czymś, co mogła określić tylko jako apetyt. Jakby zastanawiali się, czy jej nie nadgryźć.

Jakiś scjentolog podszedł do niej, wcisnął jej w rękę ulotkę i spytał, czy chciałaby sobie zrobić test osobowości, bo wygląda, jakby czekała na dobrą nowinę, a mogłaby się dowiedzieć o sobie rzeczy, które...

Pewności nie miała, ale wydawało jej się, że na niego zwymiotowała. W mieszkaniu zauważyła na swoich butach rozbryzgi wymiocin, a przecież dałaby głowę, że wycelowała wprost do kosza.

Zdjęła ubranie i przez dwadzieścia minut stała pod prysznicem.

Tego wieczora Brian wrócił i zastał ją w szlafroku, z niemal opróżnioną butelką pinot grigio. On też nalał sobie drinka, whisky z jedną kostką lodu, usiadł przy niej na ławeczce pod oknem z widokiem na Charles i pozwolił się jej wygadać. Gdy skończyła, niesmak, którego się spodziewała – niesmak, który z pewnością okazałby Sebastian – nie odmalował się na jego twarzy. Zamiast niego zobaczyła tylko... co to było?

Dobry Boże.

Empatię.

Więc tak to wygląda? – pomyślała.

Czubkami palców odgarnął jej mokrą grzywkę i pocałował ją w czoło. Dolał jej wina.

– Naprawdę obrzygałaś scjentologa? – spytał z chichotem.

– To nie jest śmieszne.

– Skarbie, właśnie że jest. Naprawdę. – Stuknął szklanką o jej kieliszek i pociągnął łyk whisky.

Roześmiała się, ale ten śmiech zaraz zgasł i pomyślała o osobie, którą kiedyś była – w komunalnych mieszkaniach, w radiowozach, w korytarzach siedzib władzy, na ulicach Port-au-Prince, w tę niekończącą się noc w obozowisku w Léogâne – i nie potrafiła połączyć tamtej Rachel z obecną.

– Tak mi wstyd. – Spojrzała na tego mężczyznę, który był lepszy od wszystkich znanych jej ludzi, na pewno serdeczniejszy, na pewno cierpliwszy, i lzy pojawiły się same, co tylko pogłębiło jej upokorzenie.

– Czego? – spytał. – Nie jesteś słaba. Słyszysz?

– Nie potrafię nawet wyjść z tego jebanego domu – szepnęła. – Nie potrafię wsiąść do jebanej taksówki.

– Spotkasz się z kimś. Jakoś to załatwisz. Wyzdrowiejesz. A na razie... dokąd się wybierałaś? – Objął mieszkanie gestem ramienia. – Gdzie ci będzie lepiej? Mamy książki, pełną lodówkę, xboksa.

Oparła się czołem o jego pierś.

– Kocham cię.

– A ja ciebie. Możemy nawet zorganizować tu wesele.

Wyprostowała się, spojrzała mu w oczy. Skinął głową.

Ślub wzięli w kościele parę ulic dalej. Na uroczystości zjawili się tylko ich najbliżsi przyjaciele – z jej strony Melissa, Eugenie i Danny Marotta, jej kamerzysta z Haiti, z jego – jego partner biznesowy Caleb z żoną Hayą, olśniewającą Japonką, która ciągle nie mogła się nauczyć angielskiego, oraz Tom, barman z baru, gdzie się poznali. Tym razem Jeremy James nie poprowadził jej do ołtarza; nie miała o nim wieści od dwóch lat. Co do Briana, gdy spytała, czy chce tu sprowadzić swoją rodzinę, pokręcił głową i mrok otulił go jak płaszcz.

– Z krewnymi robię interesy – oznajmił. – Nie kocham ich. Nie dzielę się z nimi pięknymi chwilami z mojego życia.

Mówiąc o rodzinie, nie używał skrótów. Wysławiał się powoli i precyzyjnie.

– Ale to przecież twój bliscy – powiedziała.

Pokręcił głową.

– Ty jesteś mi bliska.

Po ślubie wszyscy poszli na drinka do Bristol Lounge. Potem Rachel wróciła z Brianem piechotą do domu przez Common i Public Garden i nigdy w życiu nie czuła się lepiej.

Ale gdy czekali na zmianę świateł, żeby przejść przez Beacon Street, na środku wiaduktu prowadzącego na Esplanade zobaczyła dwie martwe dziewczyny. Tą w spłowiałym czerwonym podkoszulku i dżinsowych szortach była Esther. Tą w jasnożółtej sukience – Widdy. Obie stały na balustradzie. Sznury samochodów sunęły przez Storror Drive pod nimi, a one skoczyły w dół i zniknęły jej z oczu, zanim uderzyły o beton.

Nie powiedziała o tym Brianowi. Wróciła do mieszkania bez dalszych problemów i napiła się szampana. Potem się kochali, pili szampana i leżeli, patrząc na wielki księżyc nad miastem.

Zobaczyła, jak dwie dziewczyny skaczą z wiaduktu i znikają. Zrobiła spis wszystkich osób, które zniknęły z jej życia, nie tylko tych ważnych, ale i nieistotnych, codziennych, i doznała nagłego olśnienia, czego boi się najbardziej na świecie – że pewnego dnia wszyscy znikną. Będzie szła ulicą, wyłoni się zza zakrętu i ujrzy opustoszałe szerokie ulice, opuszczone samochody. Wystarczy, że się na chwilę odwróci, a wszyscy wymkną się jakimiś galaktycznymi tylnymi drzwiami, a ona tu zostanie. Jedyna żywa istota na całej kuli ziemskiej.

Była to absurdalna myśl, godna dziecka z kompleksem męczennika, a jednak wydawała się kluczem do zrozumienia istoty jej lęków. Spojrzała na swojego dopiero co poślubionego męża. Jego powieki opuchły od seksu, szampana i powagi tego dnia. W tej chwili zrozumiała, że wyszła za niego z zupełnie innych przyczyn niż za Sebastiana. Swojego pierwszego męża poślubiła, bo podświadomie czuła, że nie przejmie się jego odejściem. Za Briana wyszła, bo choć w drobnych sprawach zostawiał ją samą – na tyle często, że mogła to uznać za jego wadę fabryczną – nigdy nie zachowałby się tak, gdyby szło o coś ważnego.

– O czym myślisz? – spytał. – Posmutniałaś.

– Nieprawda – skłamała. – Jestem szczęśliwa. – Powiedziała tak, bo to także była prawda. Z mieszkania wyszła po osiemnastu miesiącach.

NASZYJNIK

Na tydzień przed wyjazdem Briana do Londynu – druga rocznica ich ślubu zbliżała się wielkimi krokami – Brian i Rachel zjechali windą z piętnastego piętra i wyszli na ulicę. Padało – w tym tygodniu bez przerwy – ale niezbyt gęsto, była to raczej mgielka, której Rachel prawie nie zauważała, dopóki wilgoć nie przemoczyła jej na wylot, tak jak tamtej nocy, gdy się poznali. Brian wziął ją za rękę i poprowadził na Mass Avenue. Nie powiedział jej, dokąd idą, tylko poprosił, żeby się przygotowała do wyjścia. Da radę.

Przez ostatnie pół roku Rachel opuściła mieszkanie z dziesięć razy, ale tylko wtedy, gdy szanse na zapanowanie nad otoczeniem były największe: wczesnym rankiem i wieczorem w dni powszednie, często podczas najsilniejszych mrozów. Chodziła do supermarketu, ale – jak dawniej – tylko wczesnym rankiem i nigdy w weekendy.

A tu proszę, idzie sobotnim przedpołudniem po Back Bay. Pomimo deszczu po Mass Avenue sunęły tłumy. Podobnie jak po przecinających ją ulicach, zwłaszcza Newbury. Zjawiły się bandy wsioków z Massachusetts, kibiców Red Sox Nation, drużyny, która starała się zagrać jeden domowy mecz tygodniowo, podczas gdy inne rezygnowały z powodu deszczu. Dlatego na Mass Avenue roiło się od czerwonych lub niebieskich podkoszulków i czerwonych lub niebieskich baseballówek oraz ich właścicieli – młodych osiłeków w dżinsach i klapkach, którzy już zaglądali do barów, mężczyzn i kobiet w średnim wieku, rywalizujących ze sobą o to, kto ma większy piwny brzuch, dzieci, które biegały w tym tłumie – czwórka fechtowała się plastikowymi kijami baseballowymi. Samochody stały w korkach tak długo, że kierowcy wyłączyli silniki. Klaksony wyły i skowyczały, ludzie przebiegali między pojazdami, jeden uderzał dłonią w bagażniki mijanych aut, krzycząc za każdym razem: „Miasto mistrzów, miasto mistrzów!”.

Oprócz kiboli i kibiców widziało się także białych i czarnych yuppie, hipsterów, którzy niedawno ukończyli Berklee College of Music albo uniwersytet, by ujrzeć przed sobą przerażający brak perspektyw. Dalej, na Newbury, straszyły panusie z ustami napompowanymi silikonem i małymi piaskami w torebkach, wzdychające boleśnie przy każdym uchybieniu ze strony sprzedawcy, a w końcu żądające widzenia z jego zwierzchnikiem. Rachel tak dawno nie ryzykowała wejścia w tłum, że zdążyła już zapomnieć, jak strasznie jest nieznośny.

– Oddychaj – powiedział Brian. – Oddychaj i już.

– Spalinami? – rzuciła, przechodząc przez Mass Avenue.

– No pewnie! To wzmacnia charakter.

Dopiero po drugiej stronie ulicy uświadomiła sobie, co zaplanował. Prowadził ją w stronę przystanku metra Hynes Convention Center.

– Czekaj! – Chwyliła go wolną ręką za nadgarstek.

Brian odwrócił się i zajął jej w oczy. Uśmiechnął się.

– Dasz radę.

– Nie dam!

– Dasz – powtórzył cicho. – Spójrz na mnie, skarbie. Spójrz na mnie.

Spojrzała. Tę jego cechę uważała za inspirującą lub wkurzającą, zależnie od nastroju – to graniczące z fanatyzmem przekonanie, że chcieć to móc. Brian preferował muzykę, filmy i książki, które to w jakiś sposób potwierdzały, albo chociaż potwierdzały, że dobre rzeczy

spotykają dobrych ludzi. Ale to nie znaczy, że był naiwny. Miał w tych błękitnych oczach tyle współczucia i mądrości, że wystarczyłoby ich dla mężczyzny dwa razy od niego starszego. Dostrzegając zło tego świata, po prostu postanowił wierzyć, że zdoła go uniknąć siłą woli.

– Sama niezgoda na przegraną to już wygrana – powtarzał niezliczoną ilość razy.

Na co ona odpowiadała równie często:

– Albo przegrana.

Ale teraz potrzebowała tej jego cechy, tej mieszanki Vince’a Lombardiego i life coacha, niemiłosiernie optymistycznego (czasem tylko niemiłosiernego) nastawienia, które jej cyniczny charakter już dawno uznałby za zbyt amerykańskie, gdyby jej mąż nie był Kanadyjczykiem. Chciała, żeby Brian stał się super-Brianem, i tak zrobił. Uniósł ich splecione dłonie.

– Nie puszczę cię.

– Cholera. – I choć się uśmiechnęła, choć już postanowiła, że to zrobi, i tak usłyszała tłumioną histerię w swoim głosie.

– Nie puszczę – powtórzył.

I chwilę później znalazła się na schodach ruchomych. Ale nie były to nowoczesne szerokie schody, o nie. Zabytek na Hynes był wąski, czarny i stromy. Na pewno nie spełniał współczesnych norm. Bała się, że jeśli z jakiegoś powodu się wychyli do przodu, spadnie razem z Brianem, przewracając po drodze wszystkich, którzy są przed nimi. Dlatego stała wyprężona jak struna. Robiło się coraz ciemniej, aż w końcu ten zjazd zaczął przypominać jakiś pierwotny rytuał płodności czy narodzin. Obcy za nią, obcy przed nią. Twarze i motywy ukryte w półmroku. Serca tykające jak bomby.

– Jak tam? – spytał Brian.

Uścisnęła mu dłoń.

– Jakoś.

Pojedyncza kropelka potu wymknęła się jej spomiędzy włosów na skroni i spłynęła za lewym uchem. Dotarła na kark i wśliznęła się za dekollet bluzki, gdzie rozpląnęła się jej na plecach.

Na tych samych schodach miała atak paniki. Siedem miesięcy temu. Nie, osiem, uświadomiła sobie z pewną dumą. Osiem, pomyślała i znowu ścisnęła dłoń męża.

Dotarli na peron. Ludzie, gdy już opuścili wąskie schody, nie tłoczyli się aż tak bardzo. Oddalwszy się od nich, Rachel przekonała się z zaskoczeniem, że ma suche dłonie. Jako dwudziestolatka i trzydziestoparolatka dużo podróżowała. Zjeżdżanie w mroczny tunel wraz z hordami obcych po to, by następnie wsiąść do metra pełnego jeszcze większych tłumów obcych ludzi, nigdy nie wydawało jej się straszne. To samo dotyczyło chodzenia na koncerty, mecze czy do kina. Nawet w obozowiskach dla uchodźców na Haiti nie doznawała ataków paniki. Miała inne problemy – na przykład alkohol, oxycontin i lorazepam – ale nie to.

– Hej – odezwał się Brian. – Jesteś?

Roześmiała się cicho.

– To moje pytanie do ciebie.

– O, jestem. Tuż obok ciebie.

Znaleźli wbudowaną w ścianę ławeczkę pod mapą tras metra – zielona, czerwona, niebieska, pomarańczowa i srebrna linia, przecinające się i rozgałęziające jak żyły. Rachel ujęła Briana za obie ręce. Ich kolana się stykały. Ludzie pewnie patrzą na nich i widzą ładną zakochaną parę.

– Zawsze jesteś – powiedziała. – No, chyba...

– ...że mnie nie ma – dokończył za nią i oboje zachichotali.

– No, chyba że cię nie ma – zgodziła się.

– To tylko wyjazdy służbowe, skarbie. Jeśli tylko zechcesz, możesz jechać ze mną.
Przewróciła oczami.

– Nie wiem, czy zdołałabym wsiąść do pociągu. Do samolotu na pewno nie.

– Wsiądziesz do tego pociągu.

– Tak? Skąd ta pewność?

– Bo teraz jesteś silniejsza. I bezpieczna.

– Ach, bezpieczna? – Spojrzała na peron, a potem na ręce i kolana swojego męża.

– Tak. Bezpieczna.

Zajrzała mu w oczy, gdy pociąg wpadł na stację z takim pędem, że jeszcze bardziej zmierzwił mu rozczochrane włosy.

– Gotowa?

– Nie wiem.

Wstali.

– Jesteś gotowa.

– Ciągłe to powtarzasz.

Zaczekali, aż pasażerowie wysiądą, a potem stanęli na brzegu peronu.

– Wsiądziemy razem – powiedział Brian.

– Cholera, cholera, cholera.

– Chcesz poczekać na następny?

Peron opustoszał. Wszyscy wsiedli.

– Możemy poczekać – dodał Brian.

Drzwi zaczęły się zamykać z sykiem i dopiero wtedy Rachel skoczyła, pociągając za sobą Briana. Prawie ich przytrzasnęło, ale znaleźli się w środku. Dwie starsze białe panie spojrzały na nich z rozdrażnieniem, młody Latynos z futerałem na skrzypce na kolanach przyglądał im się z zaciekawieniem.

Wagon drgnął. Pociąg ruszył przed siebie.

– Udało ci się – odezwał się Brian.

– Tak. – Pocałowała go. – Rany.

Wagon znowu się zatrzęsł, tym razem skręcając. Jego koła klekotały i piszczały. Znajdowali się piętnaście metrów pod ziemią, mknęli czterdzieści kilometrów na godzinę w metalowej puszcze po ponadstuletnich torach.

Jestem pod ziemią, w głębokim mroku, pomyślała Rachel.

Spojrzała na swojego męża. Przyglądał się reklamie nad drzwiami, wysoko unosząc wyrazisty podbródek.

I boję się o wiele mniej, niż sądziłam.

Pojechali na ostatni przystanek, do Lechmere. Przespacerowali się we mgle na East Cambridge i zjedli obiad w sieciowej restauracji na parterze centrum handlowego. Rachel nie była tam równie długo, jak nie jechała metrem. Gdy już czekali na rachunek, uświadomiła sobie, że Brian nie wybrał tego miejsca przypadkiem.

– Chciałeś, żebym przeszła się po tym sklepie? – spytała.

Spojrzał na nią, jakby był wcieleniem niewinności.

– Do głowy mi to nie przyszło.

– Aha. Akurat to centrum, a nie inne? Pełne nastolatków i hałasu.

– No. – Podał kelnerce kartę kredytową na małej czarnej tacce.

– Rety.

Lekko unióśł brew.

– A jeśli powiem, że metro było wystarczającym aktem szalonej odwagi jak na jeden dzień? – spytała.

– Wtedy to uszanuję.

I wiedziała, że tak by zrobił. Na pewno. Gdyby ktoś ją spytał, co najbardziej kocha w swoim mężu, odpowiedziałyby, że cierpliwość i wyrozumiałość. Jeśli chodziło o słabości, to miała ich niewyczerpane zasoby. Przez parę pierwszych miesięcy po ostatnim ataku, tym w windzie, do mieszkania wchodziła po schodach, aż na piętnaste piętro. A kiedy Brian był w mieście, nie chciał nawet słyszeć o tym, że mogłaby to robić sama. Sapał, ledwo zipał, ale wdrapywał się po tych schodach razem z nią.

– Ale są i plusy – odezwał się raz, gdy zatrzymali się, opływając potem, na podeście między dziesiątym a jedenastym piętrem. – Mało brakowało, a kupilibyśmy to mieszkanie na Huntington, a było na dwudziestym pierwszym piętrze! – Opuścił głowę i odetchnął głęboko. – Nie wiem, czy by to doprowadziło do rozwodu, ale do terapii małżeńskiej na pewno.

Nadal słyszała echo ich śmiechu na klatce schodowej – cichego i zmęczonego, unoszącego się ku dachowi. Brian wziął ją za rękę i poprowadził na górę przez ostatnie pięć pięter. Razem wzięli prysznic, a potem leżeli nadzy na łóżku, gdy wentylator pod sufitem osuszał to, czego nie wytarły ręczniki. Jeszcze się nie kochali, po prostu leżeli, trzymając się za ręce i śmiejąc się z absurdu tej sytuacji. I właśnie tak patrzył na to Brian – na sytuację narzuconą im przez Boga, na którą tak bardzo nie mieli wpływu, że równie dobrze mogliby się starać zmienić pogodę. W przeciwieństwie do Sebastiana, a także niektórych jej znajomych, Brian nigdy nie zakładał, że Rachel może opanować swoje ataki paniki. Nie miała ich przecież dlatego, że była słaba, niezdiscyplinowana czy histeryczna. Przydarzyły jej się jak choroba – grypa, zaziębienie, świnka.

Gdy w końcu zaczęli się kochać, za oknami zapadł już mrok. Rzeka stała się fioletowa, a potem czarna, a seks z Brianem był – co się czasem zdarzało, gdy osiąkali porozumienie na każdym poziomie – jak dryfowanie nad murami kości i przenikanie przez ściany krwi, jakby stąpiali się ze sobą.

Ten dzień stał się kamieniem milowym, po którym przez siedem miesięcy następowały inne, aż Rachel zrobiła podsumowanie swojego małżeństwa i uświadomiła sobie, że było w nim o wiele więcej dni wspaniałych niż takich sobie. Zaczęła się czuć bezpieczniej, stała się na tyle pewna siebie, że pewnego dnia, trzy miesiące temu, nie uprzedzając nikogo – ani Briana, ani przyjaciółek Melissy i Eugenie, ani terapeutki Jane – znowu weszła do windy.

A teraz znajdowała się w centrum handlowym, zjechała ruchomymi schodami prosto w tłum. Głównie nastolatków, tak jak się spodziewała, w dodatku w sobotę, i to deszczową, dokładnie taki dzień, o jaki modlą się kierownicy centrów handlowych. Czowała na sobie spojrzenia – prawdziwe lub wymaginowane, nie miała pojęcia – i nacisk obcych ciał, docierało do niej tyle głosów, tak wiele urywków rozmów...

– ...powiedział: „Popisujesz się, Poot...”.

– ...odbierz, no odbierz...!

– ...no i że co, mam rzucić wszystko i lecieć? Bo jemu się akurat...

– ...jeśli nie chcesz, to oczywiście, że nie...

– ...Olivia też taki dostała, a nie ma jeszcze jedenastu lat.

Zdziwiło ją, jak spokojnie przyjmowała te wszystkie istoty, sunące na nią, mijające ją, płynące po górnych i dolnych piętrach, desperacko złaźnione produktów i usług, tej satysfakcji płynącej z kupowania dla samego kupowania, dla kontaktu z drugim człowiekiem i jednocześnie braku kontaktu z nim (zanim dała sobie spokój, doliczyła się dwudziestu par, w których jedna

strona się separowała, rozmawiając przez komórkę). A wszystko po to, by ktoś, ktokolwiek, wyjaśnił im, dlaczego to robią, po co się tu znaleźli, co ich odróżnia od owadów żyjących w podziemnych koloniach, tak bardzo podobnych do tego trójpoziomowego centrum handlowego, w którym roili się w to sobotnie popołudnie.

Normalnie było to myślenie zapowiadające atak paniki. Zaczynał się łaskotaniem w środku klatki piersiowej, które szybko przekształcało się w poruszający się tłok. Jej usta stawały się suche jak Sahara. Tłok zmieniał się we wróbla, uwięzionego i przerażonego, łopoczącego skrzydłami – frrrt, frrrt, frrrt – w jej pustym wnętrzu, pot spływał jej strugami po szyi, występował kroplami na czoło. Samo oddychanie wydawało się luksusem danym jej tylko na jakiś czas.

Ale nie dziś. Dziś zupełnie nie.

Wkrótce zaczęła nawet korzystać z przyjemności oferowanych przez centrum handlowe – kupiła sobie parę bluzek, świeczkę, jakąś za drogą odżywkę do włosów. Naszyjnik na wystawie sklepu jubilerskiego zwrócił uwagę ich obojga. Przez pierwszą minutę żadne z nich o tym nie wspomniało, tylko zerkali na siebie. Właściwie były to dwa naszyjniki, dłuższy i krótszy, czarne okrągłe koraliki z onyksu, łańcuszki z białego złota. Niedrogi, wręcz tani, pewnie nawet nie było to coś, co mogłaby przekazać córce, gdyby ją miała z Brianem, a jednak...

– Na czym polega jego urok? – spytała Briana. – Co nam się w nim podoba?

Brian patrzył na nią długo, usiłując to rozgryźć.

– Może chodzi o to, że to para?

W sklepie włożył go jej na szyję. Miał trochę kłopotów z zapięciem – było za ciasne, ale sprzedawca zapewnił ich, że takie powinno być, w miarę użytkowania się rozluźni – ale potem koraliki ułożyły się na jej bluzce tuż pod szyją.

Gdy wyszli ze sklepu, Brian dotknął jej dłoni.

– Sucha jak pieprz – powiedział.

Przytaknęła zaskoczona.

– Chodź. – Zaprowadził ją do kabiny fotograficznej pod schodami ruchomymi. Wrzucił do otworu monety i pociągnął Rachel za sobą. Rozśmieszył ją, macając jej piersi, kiedy zaciągała zasłonkę.

Gdy błysnął flesz, Rachel przytuliła się policzkiem do policzka Briana i zaczęli robić głupie miny, wystawiając języki i posyłając pocałunki do obiektywu.

Kiedy spojrzeli na cztery ujęcia, okazały się tak śmieszne, jak się spodziewali – na dwóch pierwszych obojgu zmieściło się w kadrze tylko po pół głowy.

– Chcę ci zrobić jeszcze jedną serię – powiedział Brian. – Tylko tobie.

– Co?

– Proszę – dodał, nagle poważniejąc.

– Dobrze...

– Chcę zostawić ślad po tym dniu. Chcę, żebyś spojrzała w obiektyw z dumą.

Czuła się głupio, siedząc sama w tej budce i słuchając brzęku wrzucanych monet, ale miała poczucie, że coś osiągnęła – tu miała rację. Rok temu nie potrafiła sobie nawet wyobrazić wyjścia z domu. A teraz znajdowała się w zatłoczonym centrum handlowym.

Spojrzała w obiektyw.

Nadal się boję. Ale ten strach mnie nie obezwładnia. I nie jestem sama.

Gdy wyszła z budki, Brian pokazał jej zdjęcia. Spodobały jej się. Wyglądała na nich trochę zadziornie, jak kobieta, z którą lepiej nie zaczynać.

– Gdy spojrzysz na te zdjęcia albo włożysz ten naszyjnik, przypomnij sobie, jaka jesteś silna – powiedział.

Powiodła wzrokiem po centrum.

– To wszystko dzięki tobie, skarbie.

Wziął ją za rękę i pocałował kostki jej palców.

– Ja cię tylko popchnąłem.

Omal się nie rozpląkała. Początkowo nie wiedziała dlaczego, potem do niej dotarło.

Brian wiedział o niej wszystko.

Ten mężczyzna, którego poślubiła, by przejść razem z nim przez życie – wiedział o niej wszystko. Wszystko.

I – cud nad cudami – nadal przy niej był.

ODBICIE

W poniedziałek rano, parę godzin po wyjeździe Briana na lotnisko, Rachel usiłowała wziąć się do pracy nad książką. Pisała ją przez prawie cały ten rok, ale nadal nie wiedziała, co to za gatunek. Zaczynała się jak klasyczny reportaż, była relacją z tego, co przeżyła na Haiti, ale kiedy uświadomiła sobie, że nie może jej napisać, nie mówiąc o sobie, tekst zmienił się w coś bardziej przypominającego pamiętniki. Nadal nie dotarła do rozdziału o swoim załamaniu nerwowym na wizji, ale wiedziała, że już teraz będzie musiała przedstawić te wydarzenia w odpowiednim kontekście. A to doprowadziło do powstania rozdziału o matce, a on – do następnego rozdziału o siedemdziesięciu trzech Jamesach, co z kolei wymusiło przeróbkę całej pierwszej części książki. Na tym etapie nie miała pojęcia, do czego zmierza i w jaki sposób tam dotrze, jeżeli w ogóle dotrze, ale pisanie po prostu sprawiało jej przyjemność. Przeważnie, bo zdarzało się też, że wykańczało ją jeszcze przed drugą kawą. Dziś był właśnie jeden z takich dni.

Nie dostrzegała żadnego sensu ani reguły w tym, że jednego dnia wylapywanie właściwych słów z eteru było proste jak odkręcenie kranu, a drugiego przypominało raczej otwarcie żyły, ale zaczęła podejrzewać, że dobre i złe strony takiego procesu mają coś wspólnego z tym, że pisała bez planu. Nie zrobiła sobie żadnych założeń. Dość naturalnie przyjęła swobodniejsze podejście do książki niż do przygotowywania reportażu i oddała się czemuś nie całkiem zrozumiałemu, co przemawiało bardziej kadencjami niż strukturą. Nie zamierzała pokazać książki Brianowi, ale rozmawiała z nim o niej. Jak zwykle obdarzał ją bezwarunkowym wsparciem, choć parę razy wydawało jej się, że widziała w jego oczach mgnienie protekcjonalizmu, jakby uważał, że ta książka to tylko hobby, że Rachel pisze ją tylko dla zabicia czasu, a jej dzieło nigdy nie stanie się zamkniętą całością.

– Jaki dasz jej tytuł? – spytał pewnego razu.

– Przemijanie – odparła.

To słowo najlepiej oddawało temat książki. Jej życie i życie tych, których uznała za najbardziej godnych zapamiętania, zdawało się naznaczone klątwą niemożności zakorzenienia. Dryfowaniem. Bezradnym spadaniem w próżnię.

Tego ranka napisała parę stron o dniach w „Globe”, ale brzmiały one sucho i, co gorsza, banalnie, więc dała sobie spokój, wzięła długi prysznic i przebrała się przed spotkaniem z Melissą.

Gdy szła przez Back Bay, padał miarowy deszcz, niekończący się, wiecznie obecny deszcz.

– Biblijny deszcz – powiedział wczoraj Brian. – Deszcz Noego.

Nie było aż tak źle, ale padało nieprzerwanie od ośmiu dni. Jeziora i stawy zalały jezdnie, niektóre ulice zmieniły się w dopływy. Woda porwała dwa samochody. W weekend odrzutowiec pasażerski ześliznął się z pasa startowego. Na szczęście nikt nie odniósł obrażeń. Pasażerowie i kierowcy dziesięciu samochodów z karambolu na autostradzie dziewięćdziesiąt pięć nie mieli tyle szczęścia.

Rachel nie niepokoiła się o to aż tak jak inni – nie korzystała z samolotów, rzadko jeździła samochodem (od ostatniego razu minęły dwa lata) i mieszkała z Brianem na wysokości, do której woda by nie dosięgła. Za to Brian często latał samolotami. I prowadził samochód.

Spotkała się z Melissą w Oak Room hotelu Copley Plaza. Restauracja Oak Room nie była

już tak nazywana. Od czasu załamania Rachel wyremontowano ją i po dziesiątkach lat przemianowano na OAK Long Bar + Kitchen, ale Rachel, Melissa i właściwie wszyscy ich znajomi nadal używali starej nazwy.

Rachel nie była od paru lat na Copley Square. Kiedy zaczęła miewać ataki paniki, wydawało jej się, że budynki otaczające plac – kościół Old South, główna filia bostońskiej biblioteki publicznej, kościół pod wezwaniem Trójcy Świętej, Fairmont, Westin i wysoki Hancock Tower z lustrzanymi niebieskimi szybami, w których odbijały się inne zabudowania – zaczynają się ku niej pochylać. Już nie przypominały budowli, lecz mury, potężne mury wzniesione specjalnie po to, żeby ją uwięzić. Była to dla niej podwójna strata, bo zawsze podziwiała ten plac, łączący dawny i nowy Boston. Przeszłość reprezentował w nim klasycyzm budynku sztuk pięknych i lśniący kamień biblioteki i Fairmont, no i oczywiście Trójca Święta z glinianymi dachówkami i ciężkimi łukami, nowoczesność – lodowata funkcjonalność i twarde, smukłe linie Westin i Hancock Tower, które tchnęły agresywną obojętnością wobec historii i jej smutnej siostry nostalgii. Ale przez dwa lata omijała to miejsce.

Dziś weszła na plac po raz pierwszy od dnia swojego ślubu. Spodziewała się palpacji serca – a jednak gdy stanęła na burgundowym chodniku pod markizą Fairmont, poczuła tylko delikatne przyspieszenie bicia serca, które niemal natychmiast wróciło do normy. Może to ten deszcz tak ją uspokoił. Z parasolką nad głową była kolejną z niemal widmowych zjaw w ciemnych ubraniach, ukrytych pod foliowym kloszem. Wyobrażała sobie, że w takim deszczu i mroku łatwiej popełnić bezkarnie morderstwo i zdradzić, a przy tym nie zostać zdemaskowanym.

– Hmm – mruknęła Melissa, kiedy jej o tym powiedziała. – Chcesz go zdradzić?

– Boże, skąd. Ledwie udaje mi się wyjść z domu.

– Bzdura. Siedzisz tu ze mną. Objechałaś w weekend miasto metrem, buszowałaś w centrum handlowym. – Uszczypnęła Rachel w policzek. – Całkiem jak dorosła panna, co nie?

Rachel odtrąciła jej dłoń. Melissa wyprostowała się i parsknęła śmiechem, trochę za głośnym. Rachel zjadła wielką sałatkę i powoli sączyła białe wino, natomiast Melissa ledwie tknęła posiłek, a swoje prosecco wytrąbiła w takim tempie, jakby z wybiciem dwunastej miało zostać zakazane. Po alkoholu stawała się inteligentniejsza i zabawniejsza, ale i głośniejsza. Rachel wiedziała z doświadczenia, że to poczucie humoru mogło się szybko zmienić w nienawiść do samej siebie, inteligencja – zaćmić, ale hałaśliwość tylko zyskiwała na sile. Parę osób obejrzało się na nie, choć mogło nie chodzić o Melissę, tylko o Rachel.

Melissa pociągnęła kolejny łyk. Rachel zauważyła z pewną ulgą, że te łyki stają się coraz mniejsze. Melissa była producentką wiadomości emitowanych o szóstej, ale szczęśliwie nie tych z Haiti. Gdy Rachel doznała załamania w Cité Soleil, Melissa spędzała miesiąc miodowy na Maui. Małżeństwo trwało niespełna dwa lata, ale Melissa zachowała swoją pracę, którą zawsze kochała bardziej niż Teda. Tak więc, jak mawiała z jasnym gorzkim uśmiechem, unosząc w górę oba kciuki, wygrała na obu frontach.

– Więc gdybyś miała mieć romans z kimś z tej sali, kto by to był?

Rachel szybko zlustrowała wszystkich obecnych.

– Nikt.

Melissa wyciągnęła szyję, bez skrupowania przyglądając się gościom.

– Faktycznie, co za zbieranina. Ale zaraz, nawet z tym gościem w kącie?

– Tym w kapeluszu i z głupią bródką?

– No. Jest w porządku.

– Nie chcę mieć romansu z kimś, kto jest „w porządku”. W ogóle nie chcę romansu. Ale gdybym go miała mieć, to z kimś, kto jest wszystkim i ponad wszystko.

- A jak taki ktoś wygląda?
- Nie wiem. To nie ja szukam mężczyzny.
- No, pewnie nie byłby to wysoki mroczny nieznajomy, bo za takiego wyszłaś.

Rachel przechyliła głowę.

Melissa przedrzeźniła jej gest.

– Tak, nie znam go. – Położyła dłoń na piersi. – Gdy rozmawiam z twoim niewątpliwie przystojnym, niewątpliwie czarującym, niewątpliwie zabawnym i inteligentnym oblubieńcem, zawsze mam wrażenie, że mi się wymyka i nie mówi absolutnie niczego.

– Rozmawiałaś z nim z pół godziny.

– A jednak... niczego o nim nie wiem.

– Pochodzi z Kolumbii Brytyjskiej. Jest...

– Znam życiorys Briana, ale nie znam jego. Cały ten urok, kontakt wzrokowy i pytania o mnie, moje nadzieje i sny, znajdują się w tak pięknym opakowaniu, że nieustannie się zdumiewam, gdy następnego dnia się budzę i odkrywam, że znowu dałam mu się podpuścić i mówiłam tylko o sobie.

– Przecież to lubisz.

– Nawet kocham, ale nie do tego zmierzam.

– O, to ty do czegoś zmierzasz?

– A co, kurna, myślałaś?

– To, kurna, w końcu powiedz.

Uśmiechnęły się do siebie. Całkiem tak, jakby znowu razem pracowały.

– Zastanawiam się, czy w ogóle ktoś zna Briana.

– Włącznie ze mną? – spytała Rachel ze śmiechem.

– Dobra, zostawmy to.

– Sama zaczęłaś.

– Powiedziałam „zostawmy”.

– A ja spytałam, czy wciągnęłaś mnie na listę osób, które nie znają mojego męża.

Melissa pokręciła głową i spytała Rachel o książkę.

– Nie potrafię nadać jej formy.

– Jakiej formy? – spytała Melissa z beztroską nonszalancją. – Na Haiti było trzęsienie ziemi, potem epidemia cholery, a potem jeszcze huragan. A ty widziałaś to wszystko.

– Kiedy tak to ujmujesz, brzmi to jak pornografia cierpienia. I tego chciałabym uniknąć.

Melissa wzruszyła ramionami, co robiła zwykle przy tematach, których nie rozumiała lub nie chciała zrozumieć.

W takich sytuacjach Rachel się zastanawiała, po co podtrzymuje tę znajomość. Melissa dążyła do powierzchowności, tak jak inni do wzniosłości, i wyśmiewała wszelkie próby pogłębienia tematu. Ale przez ostatnie lata Rachel straciła prawie wszystkich znajomych i przerażała ją myśl, że pewnego dnia może zostać całkiem sama. Dlatego jednym uchem słuchała paplaniny Melissy o pracy, ostatnich plotek o tym, kto w telewizji dał dupy, dosłownie i w przenośni. We właściwych miejscach wtrącała: „No co ty?”, „Nie mów” i „Niesamowite”, ale częścią umysłu nadal pozostała przy pytaniu Melissy o Briana i jej irytacja rosła coraz bardziej. A przecież tego dnia rano obudziła się w takim dobrym humorze! Chciała tylko dotrwać w nim do wieczora. Chciała być szczęśliwa przez cały dzień. I nie tym pustym w środku plastikowym szczęściem kandydatki na miss świata albo religijnej fanatyczki, tylko uczciwie zapracowanym szczęściem świadomej siebie istoty ludzkiej, która w weekend rozprawiła się ze swoimi lękami z pomocą kochającego, choć często zajętego męża.

Jutro pozwoli sobie na powrót zwątpienia. Jutro otworzy się na duchowe terminy

poniejszych rozpaczy i znużenia. Ale dziś, w ten żalony pochmurny dzień, chciała uciec od żalości. Jednak wyglądało na to, że Melissa uparła się, że wyleje na nią wiadro lodowatej wody, i konsekwentnie dążyła do celu.

Gdy Melissa chciała zamówić następną kolejkę, Rachel wykręciła się umówioną wizytą do fryzjera na Newbury Street. Widziała, że Melissa jej nie uwierzyła, ale niewiele ją to obeszło. Deszcz przeszedł w delikatną mżawkę, a ona chciała się przespacerować przez park aż do Charles, a potem wzdłuż rzeki, by przejść przez kładkę dla pieszych na Clarendon i wrócić do domu. Chciała poczuć zapach wilgotnej ziemi i mokrego asfaltu. Na Back Bay przy tej pogodzie łatwo było sobie wyobrazić, że jest się w Paryżu, Londynie czy Madrycie, poczuć się częścią większej całości. Melissa została na „ostatniego drinka”. Wymieniły pocałunki w policzek i Rachel wyszła. Skręciła w prawo w St. James. Idąc wzdłuż hotelu, widziała jego odbicie w Hancock Tower, a na skraju lewej części lewego lustrzanego skrzydła także odbicie samej siebie – zwierciadlany tryptyk. Lewe skrzydło odbijało głównie hotel i idącą na jego tle Rachel, a także krótką kolejkę taksówek, ledwie zaglądającą w kadr. Środkowa część przedstawiała skrzywioną wersję starego wspaniałego hotelu, a trzecia – małą uliczkę między nim a Hancockiem. Była tak mała, że można by ją uznać za zaułek – o ile się ją w ogóle zauważyło. Skręcały w nią głównie – jeśli nie wyłącznie – furgonetki dostawcze. Przed podwójnymi drzwiami na tyłach hotelu parkował samochód z pralni, czarny suburban stał na jałowym biegu na zapleczu Hancocka, jego spaliny mieszały się z wyziewami ze studzienki ściekowej, a deszcz, który przenikał te opary, stawał się srebrny.

Z Hancocka wyszedł Brian. Otworzył tylne drzwi SUV-a. W każdym razie ten ktoś wyglądał jak Brian, bo przecież nie mógł nim być. Brian siedział teraz w samolocie zmierzającym do Londynu i właśnie przelatywał nad Atlantykiem.

A jednak to był Brian – ta sama linia szczęki, która w okolicach czterdziestki zaczęła się lekko rozszerzać, ten sam lok czarnych włosów spadających mu na czoło, ten sam narzucony na czarny pulower trenz w łagodnym odcieniu miedzi, w którym wyszedł dziś rano z domu.

Rachel chciała go zawołać, ale w wyrazie jego twarzy dostrzegła coś, co ją powstrzymało. Takiego go jeszcze nie widziała: był jednocześnie bezduszny i zaszczuty. To nie może być ten sam człowiek, który codziennie widzi, jak zasypiam, pomyślała. Mężczyzna wsiadł do SUV-a – rozwodnione, mgliste odbicie jej męża. Rachel dotarła na róg ulicy w chwili, gdy odbicie SUV-a zmieniło się w prawdziwy samochód, który minął ją z zaciemnionymi szybami i skręcił w St. James. Rachel obróciła się w miejscu z otwartymi ustami, z których nie wydobył się żaden dźwięk, i patrzyła, jak SUV zajmuje środkowy pas, mija światła na Dartmouth i znika na zjeździe na płatną autostradę.

Straciła go z oczu, gdy zniknął w ciemnościach tunelu i majaczącym za nim korku.

Rachel długo stała na chodniku. Deszcz znowu się rozpadał. Krople bębniły w jej parasolkę, odbijały się od chodnika, uderzając ją w kostki i łydki.

– Brian – powiedziała w końcu.

Powtórzyła jego imię, choć tym razem nie było to już stwierdzenie, lecz pytanie.

SCOTT PFEIFFER Z GRAFTON W STANIE VERMONT

Do mieszkania wróciła okrężną drogą. Powtarzała sobie, że na świecie jest pełno ludzi, którzy mają swoich sobowtórów. Nie wiedziała nawet, jak duże jest podobieństwo tego człowieka do jej męża, widziała tylko odbicie zniekształcone przez lustrzane szkło i deszcz. Gdyby mogła się przez chwilę skupić, gdyby ten mężczyzna zatrzymał się w drzwiach samochodu, a ona wyłoniła się zza zakrętu w porę, by na niego spojrzeć, pewnie przekonałaby się, że to zupełnie obcy człowiek. Nie miałby tego ledwie widocznego garbka w połowie nosa. Albo miałby węższe wargi, brązowe, a nie niebieskie oczy. Nie miałby śladów po ospie pod kośćmi policzkowymi, tak płytkich, że widziało się je tylko podczas pocałunku. Ten obcy mógłby się uśmiechnąć niepewnie do kobiety gapiącej się na niego w deszczu i zastanowiłby się, czy coś jej nie dolega. Może na tej jego nie całkiem brianopodobnej twarzy zaświtałoby rozpoznanie, może by pomyślał: „To ta kobieta z Channel 6, co kiedyś ześwirowała na wizji”. Albo w ogóle by jej nie zauważył. Po prostu wsiadłby do samochodu i odjechał. I tak właśnie się stało.

Pozostaje faktem, że Brian miał sobowtóra. Mówili o nim od lat: Scott Pfeiffer z Grafton w stanie Vermont. Gdy Brian był na pierwszym roku w Brown, ciągle słyszał o innym chłopaku w jego wieku, dostawcy pizzy, który wyglądał dokładnie tak jak on. W końcu musiał sam go zobaczyć. Pewnego dnia stał na chodniku przed pizzerią tak długo, aż zobaczył swojego bliźniaka, który wyszedł zza lady, niosąc stos pudełek z pizzą w czerwonej skórzanej torbie termicznej. Brian zszedł mu z drogi, a Scott wsiadł do białej furgonetki z logo pizzerii na drzwiach i odjechał na Federal Hill z zamówieniem. Brian nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nigdy się mu nie przedstawił. Natomiast, jak sam przyznał, „tak jakby” zaczął go śledzić.

- Tak jakby? – powtórzyła Rachel, kiedy jej opowiedział.
- Wiem, wiem. Ale gdybyś zobaczyła to podobieństwo, zrozumiałabyś upiorność tej sytuacji. Miałbym się przedstawić samemu sobie? To już było zbyt dziwne.
- Ale przecież on nie był tobą. Był Scottem...
- Pfeifferem z Grafton w stanie Vermont, tak. – Brian często go tak opisywał, jakby w ten sposób Scott stawał się mniej realny, a bardziej przypominał postać ze skeczu komediowego. Scott Pfeiffer z Grafton w stanie Vermont.
- Zrobiłem mu sporo zdjęć.
- Słucham?!
- No nie? Mówiłem ci, że go dosłownie śledziłem.
- Mówiłeś, że tak jakby.
- Używałem teleobiektywu. Potem stawałem przed moim lustrem w łazience w Providence i zbliżałem jego zdjęcia do twarzy – z przodu, z lewego i prawego profilu, z brodą do dołu, z brodą do góry. I przysięgam, jedyną różnicą było to, że on ma czoło wyższe o może centymetr i nie ma tego garbka na nosie.

Garbek na nosie Briana pojawił się po przemieszczeniu części chrząstki w wyniku hokejowej kontuzji, której doznał w piątej klasie. Zniekształcenie widać było tylko z profilu, nie z przodu, a i to wyłącznie po wnikliwej obserwacji.

Na Boże Narodzenie drugiego roku studiów Brian pojechał za Scottem Pfeifferem do Grafton w stanie Vermont.

– Rodzina nie tęskniła za tobą? – spytała Rachel.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Brian sucho (właściwie trafniej byłoby powiedzieć „martwo”), jak zwykle, kiedy wspominał o swoich bliskich.

Scott Pfeiffer z Grafton w stanie Vermont żył w sposób, którego Brian pewnie nigdy by nie pragnął, gdyby nie zobaczył go z bliska. Scott pracował na pełny etat w pizzerii, by móc się utrzymać podczas studiów na Uniwersytecie Johnson i Wales na kierunku zarządzanie restauracjami (Brian wybrał kierunek finansów międzynarodowych na Brown i żył z funduszu powierniczego swoich dziadków, o swoim czesnym wiedział tylko tyle, że rodzice muszą je płacić w terminie, bo nigdy nie miał na ten temat innych informacji).

Ojciec Scotta, Bob Pfeiffer, był rzeźnikiem w miejscowym supermarkecie, a praca jego matki Sally polegała na przeprowadzaniu dzieci przez ulicę. Byli także odpowiednio skarbnikiem i wiceprzewodniczącą Rotary Clubu hrabstwa Windham. I raz w roku jechali do odległego o dwie godziny drogi Saratoga Springs w stanie Nowy Jork i wynajmowali pokój w tym samym hotelu, w którym spędzili swój miesiąc miodowy.

– Ile wiesz o tych ludziach? – spytała Rachel.

– Kiedy człowiek kogoś śledzi, wiele się dowiaduje.

Brian obserwował rodzinę i modlił się, by odkryć jakiś skandal.

– Kazirodztwo – wyznał – albo żeby Bob dał się przyłapać w publicznej toalecie z wackiem jakiegoś tajniaka w garści. Ucieszyłaby mnie nawet defraudacja, choć nie wiem, co można zdefraudować z lodówki w supermarkecie. Pewnie steki.

– Dlaczego się o to modliłeś?

– Bo byli zbyt idealni. No wiesz, mieszkali w tak cholernie uroczym domku na rynku miasta. Oczywiście białym, z drewnianym płotkiem, gankiem i, a i owszem, huśtawką na tym ganku. W Wigilię siedli na niej, ubrani w swetry, przy grzejnikach i pili gorącą czekoladę. Opowiadali coś sobie. Śmiali się. W końcu córka, na oko dziesięcioletnia, zaśpiewała kolędę i wszyscy ją oklaskiwali. W życiu nie widziałem czegoś takiego.

– Brzmi uroczo.

– A było odrażające. Bo jeśli ktoś może być aż tak szczęśliwy... aż tak idealny... to co ma powiedzieć reszta nas?

– Ale są na świecie tak szczęśliwi ludzie.

– Gdzie? Ja ich nie znam. A ty?

Rachel otworzyła usta, a potem je zamknęła. Oczywiście nie знаła takich osób, ale dlaczego wierzyła w ich istnienie? Zawsze uważała, że jest dość sceptyczna, jeśli nie cyniczna do szpiku kości. A po Haiti dałaby sobie głowę uciąć, że została odarta z resztek sentymentalizmu czy romantyzmu. A jednak gdzieś głęboko w jej mózgu kryła się wiara, że idealni, szczęśliwi i idealnie szczęśliwi ludzie naprawdę chodzą po powierzchni tej ziemi.

Takie zwierzę nie istnieje, często powtarzała jej matka. Szczęście, mawiała, to pęknięta klepsydra.

– Ale sam powiedziałeś, że byli szczęśliwi – zauważyła.

– Na pewno robili takie wrażenie.

– W takim razie...

Brian uśmiechnął się triumfalnie, choć z odrobiną rozpacz.

– W drodze do domu Bob zawsze wstępował do takiego małego szkockiego pubu. Pewnego dnia usiadłem obok niego. Oczywiście wytrzeszczył na mnie oczy i powiedział, że jestem podobny do jego syna. Odegrałem scenę wielkiego zdziwienia. A potem znowu, gdy barman powtórzył mi to samo. Bob postawił mi drinka, ja postawiłem drinka Bobowi i tak dalej. Spytał mnie, kim jestem, więc mu powiedziałem. Że studuję w Fordham, a nie w Brown, ale

poza tym trzymałem się prawdy. Bob przyznał się, że nie przepada za Nowym Jorkiem. Za dużo przestępstw, za dużo imigrantów. Przy trzecim drinku imigranci zmienili się w meksykańców i ciapatych. Przy piątym mówił już o czarnuchach i pedałach. A, i o lesbach. Nasz Bob nienawidził lesbijek. Mówił, że jeśli jego córka by się nią okazała... czekaj, żebym niczego nie pomylił... zacementuje jej cipę. Okazało się, że Bob miał fascynujące pomysły co do kar cielesnych, które stosował od lat, najpierw wobec Scotta, potem Nannette – tak nazywała się jego córka. Jak już się raz rozgadał, gęba nie mogła mu się zamknąć. Po piętnastu minutach uświadomiłem sobie, że wszystko, co padło z jego ust, jest odrażające. Bob był srającym ze strachu tchórzliwym potworem, ukrytym za maską nieskazitelnej nijakości.

– Co się stało ze Scottem?

Brian wzruszył ramionami.

– Nie wrócił na studia. Pewnie z braku pieniędzy. Gdy ostatni raz sprawdziłem – a było to piętnaście lat temu – pracował w knajpie w Grafton.

– I nigdy się z nim nie poznałeś?

– Boże, skąd.

– Dlaczego?

– Gdy się upewniłem, że nie żyje mu się lepiej niż mnie, przestał mnie interesować.

A zatem, cóż za zbieg okoliczności, Rachel natknęła się na Scotta Pfeiffera z Grafton w stanie Vermont. Może przyjechał do miasta na konferencję restauratorów. Może do czegoś doszedł, może stał się właścicielem sieci małych knajpek dla smakoszy w Nowej Anglii. Życzyła mu jak najlepiej. Nie знаła go, ale wplótł się w tkankę jej wspomnień i miała nadzieję, że mu się ułożyło.

Ale jak to możliwe, że obaj mieli na sobie takie samo ubranie?

Tego szczegółu nie mogła zlekceważyć, choćby się bardzo starała. Mogła przyjąć, że sobowtór – lub prawie sobowtór – Briana zjawił się w tym samym dwumilionowym mieście, ale pogodzenie się z faktem, że obaj byli ubrani w cienki płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze miedzi, narzucony na czarny bawełniany sweter z postawionym kołnierzem, biały podkoszulek i ciemnoniebieskie dżinsy, wymagało już tak wielkiej wiary, która wystarczałaby do stworzenia nowej religii.

Czekaj, pomyślała, skręcając z Commonwealth do swojego mieszkania, jak zobaczyłaś te dżinsy? Między tobą a jego nogami stał przecież samochód.

Pewnie tak samo jak resztę jego sylwetki – odbite w szybie. Najpierw ujrzała jego twarz, płaszcz i sweter. Potem, gdy poczuła się zdezorientowana, zauważyła jego plecy, jak pochylony wsiadał do samochodu, przytrzymując połą płaszcz. Wtedy nie uświadomiła sobie, że zarejestrowała te wszystkie szczegóły, ale w drodze do domu te puzzle ułożyły jej się w całość. A więc tak, Człowiek-Odbicie (bądź też Scott Pfeiffer z Grafton w stanie Vermont) nosił dżinsy tego samego koloru, co Brian. Takie same spodnie, taki sam płaszcz, taki sam sweter, podkoszulek w takim samym kolorze.

W mieszkaniu znowu prawie sobie wmówiła, że się myli. Zbiegi okoliczności jednak się zdarzają. Wytarła włosy i poszła do zapasowej sypialni, którą Brian często zmieniał w domowy gabinet. Zadzwoiła na jego komórkę. Przekierowało ją na pocztę głosową. I słusznie. Albo jeszcze leciał, albo właśnie wylądował. Wszystko się zgadza.

Biurko z jasnego jesionowego drewna stało przed oknem z widokiem na rzekę i MIT oraz Cambridge na jej drugim brzegu. Mieszkanie było położone na tyle wysoko, że w pogodne dni widzieli Arlington i część Medford. Jednak teraz zasłona deszczu zmieniła wszystko w impresjonistyczny obraz; budynki zachowały swoje kształty, ale nie miały żadnych cech charakterystycznych. Na co dzień Brian zostawiał tu swój laptop, ale oczywiście dziś zabrał go

w podróż. Rachel przyniosła tu więc własny i rozważyła różne opcje. Po raz drugi zadzwoniła na jego komórkę. Poczta głosowa.

Jego podstawowe karty kredytowe, Amex i Visa dla osób często podróżujących, były kartami na firmę. Ich wydruki znajdowały się w biurze Briana, które mieściło się po drugiej stronie rzeki w Cambridge, tuż na skraju Harvard Square.

Jednakże wyciągi z ich osobistych kart kredytowych były łatwo dostępne. Weszła online na konto jednej z nich. Sprawdziła wypłaty z ostatnich trzech miesięcy i nie znalazła nic nadzwyczajnego. Wobec tego cofnęła się o jeszcze trzy miesiące. Same zwyczajne transakcje. Właściwie czego się spodziewała? Czy jakieś odstępstwo od normy, niewytłumaczalny zakup, tajemnicza strona internetowa stanowią niezbity dowód na to, że Brian był dziś po południu na Copley Square zamiast w Londynie? A może tylko dowiodą, że korzystał ze stron z porno lub że nie kupił jej prezentu urodzinowego miesiąc wcześniej, jak twierdził, tylko w szalonym pośpiechu rankiem tego samego dnia?

Nigdy się tego nie dowie.

Weszła na stronę British Airways i sprawdziła informacje o godzinie lądowania lotu czterysta dwadzieścia dwa z Logan na Heathrow.

Przylot opóźniony z powodu warunków pogodowych.

Spodziewane lądowanie: 20:25 (GMT+1).

Czyli za piętnaście minut.

Sprawdziła stan kont i nie znalazła wypłaty żadnych większych sum. Dopadło ją poczucie winy, gdy uświadomiła sobie, że Brian po raz ostatni posłużył się kartą, gdy kupił jej naszyjnik w centrum handlowym.

Wpatrywała się w komórkę, jakby siłą woli chciała ją zmusić, żeby zawibrowała, żeby wyświetliła na ekraniku słowo „Brian”. On jej to wszystko jakoś wyjaśni. Po tej rozmowie będzie się śmiała z własnej paranoi.

Zaraz. Połączenia telefoniczne. Oczywiście. Nie miała dostępu do jego telefonu – był na firmę, a zatem podlegał pod wydatki służbowe – ale z jej komórką sprawa przedstawiała się inaczej. Obróciła się na fotelu i zabrała się do pisania na klawiaturze. W niespełną minutę uzyskała spis połączeń z całego roku. Zadzwoniła do operatora i dopasowała daty wyjazdów Briana z miasta do swoich wyników. I znalazła – przychodzące połączenia z jego numeru telefonu, gdy Brian był w Nome, Seattle, Portland. Ale nie mówiły jej nic. Mógł zadzwonić z dowolnego miejsca. Dlatego sprawdziła kolejny tydzień – Boże, ten lodowaty, mroczny styczniowy tydzień – i telefony od Briana, gdy był (rzekomo) w Moskwie, Belgradzie, Mińsku. Piątą kolumnę wydruku zajmowały opłaty za połączenia międzynarodowe, które poniosła, odbierając te połączenia. I nie były to małe kwoty (dlaczego musi płacić za to, że odbiera telefon? Musi sobie znaleźć innego operatora). Odpowiadające cenom za rozmowy z drugim końcem świata.

Gdy znowu weszła na stronę British Airways, komórka zawibrowała. Brian.

– Cześć – powiedziała.

Przeciągły syk i dwa ciche stuknięcia. A potem jego głos.

– Cześć, skarbie.

– Cześć – powtórzyła.

– Jestem...

– Gdzie...

– Co?

– ...jesteś?

– W kolejce do odprawy. I zaraz mi padnie bateria.

Ulga, jaką poczuła, słysząc jego głos, natychmiast przeszła w irytację.

– Nie mają wyjścia dla pierwszej klasy? W British Airways?

– Mieli, ale moje nie działało. Wszystko w porządku?

– Mhm.

– Na pewno?

– A dlaczego nie?

– Nie wiem. Jesteś jakaś... spięta.

– To pewnie przez to połączenie.

Przez jakiś czas nic nie mówił.

– W porządku.

– Jaka kolejka?

– Ogromna. Nie wiem na pewno, ale wydaje mi się, że jednocześnie z nami lądowały samoloty Swiss Air i Emirates.

Znowu martwa cisza.

– No tak – powiedziała Rachel. – A ja spotkałam się dziś z Melissą.

– Tak?

– A potem... potem poszłam na spacer...

Szereg pisków i kliknięć.

– Komórka mi pada, skarbie. Bardzo przepraszam. Zadzwońię z ho...

Połączenie zostało przerwane.

Czy odgłosy słyszane w tle kojarzyły się z kolejką do odprawy? Jak brzmią takie odgłosy? Już jakiś czas nie opuszczała kraju, ale usiłowała przywołać wspomnienie podobnych sytuacji. Była pewna, że przy przechodzeniu przez bramkę rozlega się sygnał, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, czy był głośny, czy raczej cichy. W każdym razie w telefonie nie słyszała żadnych sygnałów. Ale jeśli kolejka była naprawdę długa, a Brian stał na samym jej końcu, to może nie dało się niczego usłyszeć.

Co jeszcze słyszała? Ogólny gwar. Żadnych wyraźnych rozmów. Ludzie na ogół nie rozmawiają w kolejkach, zwłaszcza po długim locie. Są na to zbyt zmęczeni. Sakramencko zmęczeni, jak mawiał czasem Brian z fałszywym angielskim akcentem.

Wyjrzała przez okno na zamazane przez strugi deszczu Charles i Cambridge, które wyglądały teraz jak z obrazów Moneta. Nie wszystkie kształty były obce. W dole rzeki rozróżniała spiczasty, amorficzny kształt Stata Center, kompleksu budynków z jasnego aluminium i tytanu, które przywodziły na myśl implozję. Na ogół nie znosiła nowoczesnej architektury, ale do Stata Center miała niewytłumaczalną słabość. Coś w tym chaotycznym szaleństwie świadczyło o natchnieniu. W górze rzeki dostrzegała kopułę głównego budynku MIT, a jeszcze dalej – wieżę Memorial Church w Harvard Yard.

Parę razy zjadła z Brianem obiad w Harvard Yard. Jego biuro znajdowało się tylko parę kroków dalej. Spotykali się tam pierwszego wspólnego lata, czasem z burgerami z Charlie's Kitchen lub pizzą od Pinocchio's. Jego biuro było zupełnie bezpretensjonalne, sześć pomieszczeń na drugim piętrze nijakiego, dwupiętrowego ceglanego budynku na Winthrop Street, który znacznie lepiej pasował do starego robotniczego miasteczka Brockton lub Waltham niż do zaplecza jednego z najbardziej elitarnych uniwersytetów świata. Mała złota tabliczka przy głównych drzwiach nosiła napis „Delacroix Timber sp. z o.o.”. Rachel była tam trzy, może cztery razy i oprócz Briana i jego młodszego wspólnika Caleba nie potrafiłaby wymienić innych pracowników ani przypomnieć sobie o nich czegoś więcej ponad to, że byli uroczymi chłopcami i dziewczynami o przenikliwym spojrzeniu ludzi ambitnych. Na ogół stażyści, wyjaśnił Brian, którzy chcą się tu sprawdzić i awansować na płatną posadę w kwaterze głównej firmy

w Vancouver.

Brian wyjaśnił, że jego rozłąka z rodziną zawsze miała charakter osobisty, a nie zawodowy. Lubił swój zawód. Był dobry w tym, co robił. Kiedy jego wujek, zarządzający interesami w Ameryce ze swojego biura na Fifth Avenue na Manhattanie, pewnego wieczora podczas spaceru z psem w Central Parku zmarł na udar, zastąpił go Brian, którego rodzina nigdy się nie wstydziła, chociaż nie mogła go zrozumieć. Po roku doszedł do wniosku, że Manhattan jest zbyt hałaśliwy. „Nie można go wyłączyć”, mawiał i przeniósł biuro do Cambridge.

Rachel spojrzała na zegar w górnym prawym rogu laptopa, wskazywał szesnastą dwie. W biurze ktoś jeszcze będzie. Na pewno Caleb, który pracował jak szaleniec. Mogłaby tam zajrzeć, powiedzieć mu, że Brian coś tu zostawił, i poprosić, żeby jej to przyniósł. Gdy już znajdzie się sama, zajrzy do jego komputera albo rzuci okiem na wydruki z kart kredytowych w katalogach. Sprawdzi, czy elementy układanki pasują do siebie.

Czy to zbrodnia – tak nagle i dogłębnie przestać ufać własnemu mężowi?

Zastanawiała się nad tym, gdy usiłowała złapać taksówkę na Commonwealth.

To nie zbrodnia, nawet nie grzech, ale też nie jest to coś świadczącego o niezłomnych fundamentach ich małżeństwa. Jak mogła tak szybko stracić do niego zaufanie, skoro jeszcze dziś po południu wysławiała go pod niebiosa w rozmowie z Melissą? Ich małżeństwo, w przeciwieństwie do związków wielu ich przyjaciół, było trwałe.

Czy na pewno?

Co to jest trwałe małżeństwo? Albo dobre małżeństwo? Wiedziała, że okropni ludzie miewają wspaniałe związki, jakby ta ich okropność jakoś sklepiła ich ze sobą. I знаła cudownych szlachetnych ludzi, którzy stawali przed Bogiem i wszystkimi przyjaciółmi, by wyznaczyć sobie niegasnącą miłość tylko po to, by parę lat później wyrzucić tę miłość na złomowisko.

Koniec końców ich dobroć – prawdziwa lub wymaginowana – nie miała żadnego znaczenia. Z tak publicznie rozgłoszonego uczucia zostawał tylko kwas, jad, żal i coś w rodzaju przerażonego zdziwienia tym, jak mroczne stały się drogi, po których się poruszali.

Małżeństwo, mawiała jej matka, ma taką moc jak każda następna kłótnia małżonków.

Rachel w to nie wierzyła. Albo nie chciała wierzyć. Nie w jej związku z Brianem. Powiedzenie okazało się prawdziwe, jeśli chodzi o jej związek z Sebastianem, ale tamten mariaż był przecież skazany na klęskę od samego początku. Z Brianem sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

A jednak z braku logicznego wyjaśnienia, dlaczego spotkała wymykającego się tylnym wyjściem budynku mężczyznę, który nie tylko wyglądał jak jej mąż, ale też był identycznie ubrany, a miał wtedy siedzieć w samolocie lecącym do Londynu, znalazła jedyną racjonalną odpowiedź – że człowiek, który wyszedł dziś z Hancock Tower, był Brianem. A to znaczyło, że nie ma go w Londynie.

A to znaczyło, że kłamał.

W końcu złapała taksówkę.

WILGOĆ

Nie chcę, żeby kłamał, myślała w taksówce jadącej przez most i pokonującej ślimak, z którego skręciła na Memorial Drive. Nie chcę w to wierzyć. Chcę się czuć tak samo jak w ten weekend – otoczona miłością i ufnością.

Ale jakie mam wyjście?

Udawać, że go nie widziałam?

Nie po raz pierwszy zobaczyłabyś coś, co nie istnieje.

Ale wtedy to było co innego.

Dlaczego?

Po prostu.

Taksówkarz przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Zerknęła na jego licencję. Sanjay Seth. Patrzył w obiektyw ponuro, prawie spode łba. Nie знаła go, a jednak pozwoliła mu się wieść, tak jak pozwalała, żeby obcy ludzie przygotowywali jej jedzenie, gmerali w jej śmieciach, badali jej ciało i siadali za sterami samolotu. I miała nadzieję, że nie wzbiją się tym samolotem w górę, nie zatrują jej jedzenia tylko dlatego, że mają zły dzień. Albo że ten taksówkarz nie przyspieszy i nie wywiezie jej gdzieś na pustkowie, po czym usiądzie obok niej, żeby jej wyjaśnić, co sądzi o kobietach, które nie mówią „proszę”.

Gdy ostatnio jechała taksówką, takie myślenie wywołało atak paniki, ale tym razem przycisnęła pięści do ud i tak zastygła. Udało jej się miarowo oddychać, niezbyt płytko ani niezbyt głęboko, patrzeć przez okno na deszcz i powtarzać sobie, że przetrwa to tak, jak przetrwała jazdę metrem i pobyt w centrum handlowym.

W pobliżu Harvard Square poprosiła Sanjaya Seta, żeby zatrzymał się na rogu JFK i Winthrop, bo ta ostatnia była jednokierunkową ulicą prowadzącą w niewłaściwą stronę. Nie miała ochoty czekać kolejnych pięciu lub dziesięciu minut, aż taksówka przebije się przez korek i objedzie cały kwartał, żeby wysadzić ją zaledwie trzy metry bliżej.

Kiedy była już blisko budynku, zobaczyła wychodzącego z niego Caleba Perloffa. Nacisnęła klamkę, upewniając się, czy zamknął za sobą drzwi – płaszcz przeciwdeszczowy i baseballówkę miał równie mokre jak wszyscy w tym mieście – a potem odwrócił się i zobaczył stojącą na chodniku Rachel.

Jego mina świadczyła, że nie potrafi połączyć tych dwóch spraw – że Rachel stoi tutaj, na drugim brzegu rzeki w Cambridge, przed ich biurem, podczas gdy Brian jest za granicą.

Poczuła się jak idiotka. Jak się z tego wytłumaczy? Chciała zastanowić się w taksówce, ale jakoś nie udało jej się znaleźć żadnego prawdopodobnego wyjaśnienia, dlatego miałaby wejść do gabinetu męża.

– A więc to jest centrum zarządzania wszechświatem – zaryzykowała.

Caleb uśmiechnął się krzywo.

– Otóż i ono. – Wyciągnął szyję, by spojrzeć na budynek, a potem odwrócił się do niej. –

Wiesz, że wczoraj w Andhra Pradesh cena drewna spadła o jedną dziesiątą centa?

– Nie, nie wiedziałam.

– Za to na drugim końcu świata, w Mato Grasso...

– Gdzie to jest?

– W Brazylii. – To „r” zawarczało, kiedy zszedł do niej po schodach. – A więc w Mato

Grasso cena wzrosła o pół centa. I wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ten wzrost utrzyma się jeszcze przez miesiąc.

– A w Indiach?

– Dostajemy tam jedną dziesiątą centa zniżki. – Caleb wzruszył ramionami. – Ale w tej chwili to także niepewne. A koszt transportu jest wyższy. Więc z kim robić interesy?

– Oto jest pytanie – zgodziła się.

– I co z drewnem, które eksportujemy?

– Kolejny problem.

– Ma zgnić?

– Byłoby niedobrze.

– Niech je wykończą korniki. I deszcz.

– O rety. Deszcz.

Uniósł rękę, jakby chciał złapać krople deszczu, który akurat zmienił się w lekką mżawkę.

– Przez ostatni miesiąc w Kolumbii Brytyjskiej akurat nie padało. Dziwne. Tam sucho, tu mokro. Na ogół jest od-wrotnie.

Skinął jej głową, a po chwili ona zrobiła to samo.

– Co cię tu sprowadza?

Nie wiedziała, ile Brian powiedział znajomym o jej stanie. Twierdził, że o nim nie wspominał, ale podejrzewała, że musiał się komuś zwierzyć, choćby po paru drinkach. Na pewno zaczęli się zastanawiać, dlaczego Rachel nie pojawiła się na tej czy innej imprezie, dlaczego nie przyszła na Esplanade, by razem ze wszystkimi podziwiać fajerwerki z okazji Czwartego Lipca, dlaczego tak rzadko widywali ją w barach. Ktoś tak inteligentny jak Caleb pewnie zorientowałby się w końcu, że widuje Rachel tylko w kontrolowanym środowisku (zwykle w mieszkaniu), w gronie niewielu osób. Ale czy wiedział, że od dwóch lat nie jechała samochodem? Że do zeszłej soboty niemal równie długo nie wsiadła do metra? Czy wiedział, że raz sparaliżowało ją na środku restauracji Prudential Center Mall, że musiała usiąść, otoczona przez zatroskanych ochroniarzy, i z trudem łapała powietrze? I była pewna, że zemdleje, zanim Brian przybędzie, by zabrać ją do domu?

– Robiłam zakupy w okolicy. – Wskazała plac.

Caleb spojrzął na jej puste ręce.

– Nic nie znalazłam – dodała. – Okazało się, że dziś się tylko rozglądałam. – Popatrzyła na budynek tonący we mgle. – Przyszło mi do głowy, że zerknę na rywalkę do serca mojego męża.

– Chcesz zajrzeć? – spytał, uśmiechając się.

Wpadnę tylko na chwilę do jego gabinetu, żeby...

Zostawił w szufladzie coś, co...

Więc to jest jego kwatera główna. Mogłabym tu trochę posiedzieć? Możesz zamknąć za sobą drzwi.

– Coś zmieniliście? – spytała.

– Nie.

– To nie muszę nic oglądać. Chciałam się tylko przejść przed powrotem do domu.

Skinął głową, jakby to miało sens.

– Chcesz się ze mną zabrać taksówką?

– Byłoby świetnie.

Wrócili do Winthrop przez JFK. Zbliżała się piąta i na Harvard Square robiły się korki. Żeby złapać taksówkę, musieli przejść pieszo do Charles Hotel. Ale niebo, które niedawno

wyglądało jak cynowy talerz, teraz stało się nabrzmiałe i czarne.

– Niedobrze – zauważył Caleb.

– Oj, niedobrze.

Dotarli na koniec Winthrop; z miejsca, w którym stali, widać było, że postój taksówek przed Charles Hotel świeci pustkami. Na ulicy prowadzącej w stronę rzeki stały korki takie same, jeśli nie dłuższe niż na tej prowadzącej w stronę placu.

Czerń nad ich głowami złowieszczo zamruczała. Parę kilometrów na zachód niebo przeszła błyskawica.

– Drink? – spytał Caleb.

– Lub dwa – zgodziła się i w tej samej chwili lunęło. – Jezus!

Parasole nie stanowiły żadnej ochrony, gdy zerwał się wiatr.

Deszcz padał gwałtownie i hałaśliwie, krople rozbijały się na chodniku jak bomby, ulewa zacinała z prawej i z lewej strony, z przodu i z tyłu.

– Grendel's czy Shay's? – spytał Caleb.

Shay's znajdował się po drugiej stronie JFK. Blisko, ale i tak musieliby przebiec pięćdziesiąt metrów w deszczu. A gdyby korek się ruszył, czekałoby ich przedarcie się na drugą stronę ulicy. Natomiast Grendel's mieli tuż po lewej stronie.

– Grendel's.

– Świetny wybór. Zresztą na Shay's jesteśmy już za starzy.

W westybulu ustawili swoje parasole obok dziesięciu innych opartych o ścianę. Pozbyli się płaszczy, a Caleb zdjął przemoczoną baseballówkę. Brązowe włosy miał tak krótkie, że wystarczyło przesunąć po nich dłonią, żeby je wysuszyć. Powiesili płaszcze obok stanowiska kierowniczkii sali, która zaprowadziła ich do stolika. Restauracja znajdowała się na poziomie suterenu; gdy zamawiali pierwszą kolejkę, za oknem widzieli buty przebiegających po bruku przechodniów. Wkrótce tak lunęło, że ulica opustoszała.

Grendel's Den była tu od zawsze; Rachel pamiętała, jak w latach dziewięćdziesiątych odesłano ją stąd pomimo fałszywego dowodu osobistego, a jej matka wspominała, że zaglądała tu we wczesnych latach siedemdziesiątych. W restauracji bywali głównie studenci i wykładowcy z Harvardu. Przyjezdni wstępowali tu tylko w letnie dni, gdy wystawiano stoliki na zewnątrz.

Kelnerka przyniosła wino dla Rachel i bourbona dla Caleba i zostawiła menu. Caleb wytarł twarz i kark serwetką. Oboje parę razy roześmiali się cicho, nic nie mówiąc. Od lat nie widzieli takiego oberwania chmury.

– Jak malutka? – spytała Rachel.

Caleb uśmiechnął się promiennie.

– Magiczna. Przez pierwsze trzy miesiące dzieci nie skupiają spojrzenia na niczym oprócz piersi i twarzy matki, więc zacząłem się czuć odsunięty. Ale pierwszego dnia czwartego miesiąca AB spojrzała wprost na mnie i wtedy przepadłem.

Caleb i Haya nazwali swoją półroczną córeczkę Annabelle, ale Caleb od drugiego tygodnia jej życia nazywał ją AB.

– No to... – Caleb podniósł szklankę – zdrowie!

– Obyśmy uniknęli zapalenia płuc! – dodała, podnosząc kieliszek.

– Oby.

Wypili.

– Co u Hai?

– Dobrze. – Caleb pokiwał głową. – Naprawdę. Uwielbia macierzyństwo.

– A jej angielski?

– Bez przerwy ogląda telewizję. To pomaga. Teraz, jeśli tylko wystarczy ci cierpliwości,

możesz z nią odbyć prawdziwą rozmowę. Jest bardzo... rozważna w doborze słów.

Caleb wrócił z podróży z Japonii razem z Hayą. On posługiwał się łamanym japońskim, ona prawie nie mówiła po angielsku. Wzięli ślub po trzech miesiącach. Brianowi to się nie podobało. Powiedział, że Caleb nie jest udomowionym typem. I o czym będą rozmawiać przy kolacji?

Rachel musiała przyznać, że te słowa uprzedziły ją do Caleba, kiedy przedstawił ją olśniewającej, przeważnie milczącej, uległej kobiecie o twarzy i ciele, które mogły przywołać tysiąc mokrych snów. Bo co innego go z nią związało? Czy wyczuwała między nimi układ pana i służącej, realizację marzenia o byciu władcą? A może była złośliwa, bo nie uszło jej uwagi, że gdy Caleb poślubił kobietę, która nie mówi po angielsku, jego współpracownik Brian wybrał sobie kobietę, która nie wychodzi na dwór?

Gdy powiedziała o tym Brianowi, odparł:

– Z nami jest inaczej.

– Bo?

– Bo wychodzisz na dwór.

– Ośmielę się nie zgodzić.

– To po prostu taki etap w życiu. Dojdiesz do siebie. Ale on? Dziecko? Po cholere mu dziecko? Sam jest dzieckiem.

– Dlaczego to tak przeżywasz?

– Nie przeżywam. Po prostu to niewłaściwy moment.

– Jak się poznali?

– Znasz tę historię. Pojechał do Japonii w interesach i wrócił z nią. Nawiasem mówiąc, kontraktu nie załatwił. Uprzedził go jakiś...

– Ale jak mógł tak po prostu wrócić z obywatelką Japonii? Przecież istnieje prawo, które ma zapobiec temu, że ludzie będą po prostu przyjeżdżać do naszego kraju, żeby tu zostać.

– Nie, jeśli miała legalną wizę, a on ją poślubił.

– Ale czy to nie dziwne? Poznała go i od razu postanowiła zostawić swoje życie i przyjechać do Ameryki, kraju, którego języka nie zna?

Brian zastanowił się przez chwilę.

– Racja. Jaką masz teorię?

– Narzeczona z internetu.

– Czy one nie pochodzą z Filipin i Wietnamu?

– Nie wszystkie.

– Hm. Narzeczona z internetu. Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to do niego podobne. Wracamy do punktu wyjścia: Caleb nie dojrzał do małżeństwa. Dlatego wybrał sobie kogoś prawie nieznanego, z kim ledwie może się porozumieć.

– Miłość jest miłością – odparła, rzucając mu w twarz jego ulubiony banał.

Brian skrzywił się niechętnie.

– Miłość jest miłością, dopóki w grę nie wchodzi dzieci. Wtedy staje się spółką handlową z gwarantowaną niestabilnością ekonomiczną.

Miał rację, ale mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy nie mówi o sobie, o swoich lękach o kruchość ich związku i potencjalne nieszczęście, które mogłoby ich spotkać, gdyby sprowadzili na świat dziecko.

Zanim zdążyła się powstrzymać, przez głowę przemknęła jej lodowata myśl: „Brian, czy ja cię w ogóle znam?”

Caleb przyglądał jej się z dziwnym uśmiechem, jakby pytał: „Dokąd odpłynęłaś?”

Jej leżący na stole telefon zawibrował. Opanowała dziecinny impuls, by go nie odebrać.

– Cześć.
– Cześć – odparł ciepło Brian. – Przepraszam za to wcześniej. Cholerstwo mi padło. A potem się martwiłem, że zapomniałem przejściówki do kontaktu. Ale nie zapomniałem, żono moja. I oto rozmawiamy.
Wstała i odeszła parę kroków.
– Ano rozmawiamy.
– Gdzie jesteś?
– W Grendel’s.
– Gdzie?
– W tym studenckim barze koło twojego biura.
– Wiem, zastanawiam się, jak tam trafiłaś.
– Jestem z Calebem.
– Hm, no tak. Zlituj się. Co się dzieje?
– Nic się nie dzieje. Co się ma dziać? Pada jak jasna cholera, a poza tym tylko piję drinka z twoim współpracownikiem.
– Aha, świetnie. Co cię sprowadziło na Harvard Square?
– Zachcianka. Już dawno nie byłam w księgarni, więc poszłam. Gdzie tym razem nocujesz? Zapomniałam.
– W Covent Garden. Powiedziałaś, że Grahamowi Greene’owi by się tu spodobało.
– Kiedy tak powiedziałam?
– Kiedy ci wysłałem zdjęcie. Nie, jeszcze wcześniej.
– Przyślij mi je teraz. – Ledwie to powiedziała, załala ją adrenalina.
– Co?
– Zdjęcie.
– Jest dziesiąta wieczorem.
– To selfie z holu.
– Hmm?
– No, przyślij mi swoją fotkę. – Ekspłodował w niej kolejny rozbryzg adrenaliny. –
Tęsknię za tobą.
– Dobrze.
– Zrobisz to?
– Tak, pewnie. – Pauza. – Wszystko w porządku?
Roześmiała się; ten dźwięk zabrzmiał nieprzyjemnie nawet dla niej.
– Wszystko w porządku. W idealnym porządku. Czemu ciągle pytasz?
– Masz dziwny głos.
– Może jestem zmęczona. Ten deszcz...
– No, to porozmawiamy rano.
– Cudownie.
– Kocham cię.
– A ja ciebie.
Rozłączyła się i wróciła do stolika. Caleb podniósł na nią wzrok z uśmiechem, jednocześnie wodząc kciukiem po klawiaturze komórki. Zawsze podziwiała ludzi, którzy potrafią rozmawiać z jedną osobą, a pisać z drugą. Przeważnie byli to komputerowcy i znawcy techniki tacy jak – no cóż, Caleb.
– Co u niego?
– Chyba dobrze. Miał zmęczony głos, ale wygląda na to, że wszystko w porządku. Ty też tak jeździsz?

Caleb pokręcił głową, nie przestając pisać.

– To on jest twarzą firmy. On i jego stary. I ma smykałkę do biznesu. Ja tylko pilnuję, żeby pociągi kursowały punktualnie.

– Jesteś zbyt skromny.

– A skąd. – Po chwili roztargnienia schował telefon. Splótł dłonie na stole i spojrzał jej w oczy na znak, że teraz całą uwagę poświęca jej. – Beze mnie i bez ludzi takich jak ja ta dwustuletnia firma nie przetrwałaby następnych sześciu miesięcy. Czasami – nie codziennie, ale czasami – szybko zawarta transakcja pozwala zaoszczędzić dwa, trzy miliony dolarów. Tak to się tam robi. – Zatrzepotał palcami, by pokazać to globalne „tam”.

Wróciła kelnerka i zamówili nową kolejkę. Caleb otworzył menu.

– Mogę coś zjeść? Pracuję od dziesiątej i nie wstałem od biurka do piątej.

– Pewnie.

– A ty?

– Dlaczego nie.

Wróciła kelnerka z drinkami. Przyjęła ich zamówienie, a kiedy wyszła, Rachel zauważyła mężczyznę mniej więcej w wieku Briana, koło czterdziestki, siedzącego ze starszą stylową kobietą, która roztaczała wokół siebie aurę profesjonalizmu. Mogła mieć koło sześćdziesiątki, a jednak była to sześćdziesiątka seksowna jak diabli. Rachel normalnie przyjrzałaby się jej, by sprawdzić, co robi tak silne wrażenie – jej ubranie, poza na krzesle, fryzura, inteligencja promieniająca z jej rysów? – ale dziś skupiła się na mężczyźnie. Jego płowe włosy siwiały nad uszami, nie golił się od paru dni. Pił piwo, a na jego palcu lśniła złota obrączka. Był też ubrany dokładnie tak jak mąż Rachel, wyjąwszy płaszcz przeciwdeszczowy – miał na sobie granatowe dzinsy, biały podkoszulek i czarny sweter z postawionym kołnierzem.

Czy to właśnie przegapiła, nie wychodząc z domu? No, czasem wychodziła, ale na pewno nieczęsto. Może umknął jej jakiś nowy trend? Na przykład: że wszyscy mężczyźni postanowili nie golić się przez trzy do czterech dni? Od kiedy zaczęli nosić kapelusze? Skąd się wzięła moda na jaskrawe trampki? W którym momencie wszyscy miejscy rowerzyści umówili się, że będą nosić obcisły spandeks, oklejony nazwami firm, jakby musieli zdobyć sponsora, żeby popedałować do Starbucksa?

Czy gdy Rachel chodziła do college’u, co trzeci chłopak nie nosił kraciastej koszuli, podkoszulka z dekoltem w kształcie V i podartych dzinsów? Gdyby weszła do hotelowych barów, odwiedzanych przez sprzedawców republikanów w średnim wieku, ile zobaczyłaby tam jasnoniebieskich koszul i beżowych spodni? Czy więc zgodnie z tą regułą nie było całkowicie prawdopodobne, że zestaw, na który składają się ciemny pulower, biały podkoszulek i granatowe dzinsy – które zapewne nigdy nie wychodziły z mody – nosiło tego dnia trzech mężczyzn w Bostonie? Gdyby teraz przeszła się po centrum handlowym, pewnie zobaczyłaby je jeszcze parę razy, nie wspominając już o manekinach w sklepie J. Crew i Vince.

Kelnerka przyniosła zamówione przez nich potrawy. Caleb szybko uporał się ze swoim hamburgerem, Rachel błyskawicznie pochłonęła sałatkę. Nie uświadamiała sobie, jak bardzo doskwierał jej głód. Gdy skończyli, znieruchomieli w ciepłe nisko wiszących lamp i w gęstniejącym zmroku. Deszcz ustał i za oknem, nad ich głowami, nieprzerwanie sunęli ludzie.

Uśmiech Caleba przysłoniła szklanka, którą trzymał przy ustach. W początkach związku Rachel z Brianem przeżyli pewną chwilę – w Fenway, w szpitalu w mieszkaniu znajomego Briana. Rachel poszła tam po oliwki, Caleb właśnie stamtąd wychodził z pszczykami krakersami, jeśli dobrze pamiętała, i nagle oboje znieruchomieli, mijając się. Spojrzeli sobie w oczy i żadne z nich nie odwróciło wzroku. Potem przerodziło się to w jakąś rywalizację: kto mrugnie pierwszy?

- Cześć – powiedziała.
- Cześć – odparł z trudem.

Wazokonstrykcja, pomyślała wtedy. Zaciśnięcie naczyń włosowatych skóry, mające na celu podwyższenie temperatury ciała. Skutkuje przyspieszeniem oddechu i bicia serca. Oraz rumieńcem.

Pochyliła się ku Calebowi w tej samej chwili, gdy on pochylił się do niej. Ich głowy się zetknęły, jej piersi naparły na jego klatkę piersiową, jego prawa ręka, sunąca ku jej biodru, musnęła krawędź jej lewej dłoni. Ze wszystkich sposobów, w jakie spotkały się ich ciała w ciągu tych paru chwil, najbardziej intymnym było muśnięcie jego ręki o jej dłoń. Gdy ta ręka odnalazła jej biodro, Rachel się odwróciła i weszła do spiżarni. Caleb wydał z siebie cichy dźwięk – jakby hybrydę czkawki i śmiechu znamionującego zdziwienie, desperację i zażenowanie – po czym zniknął, zanim zdążyła się obejrzeć.

Wazodylatacja – gdy temperatura ciała jest zbyt wysoka, podskórne naczynia krwionośne rozszerzają się, żeby uwolnić ciepło.

Potrzebowała prawie pięciu minut, żeby znaleźć te zaszrane oliwki.

Upiła łyk wina, Caleb pociągnął trochę bourbona, a bar stopniowo się zapelniał. Wkrótce przestali widzieć drzwi. Dawniej to obudziłoby w niej panikę, ale dziś nie. Uznała tylko, że przez to wnętrze lokalu stało się cieplejsze i bardziej zaciszne.

– Jak Brian radzi sobie z tym deszczem? – spytał Caleb.

– Znasz go – ma pozytywne nastawienie. To jedyny człowiek w tym mieście, który dotąd nie przeklinał pogody.

Caleb pokręcił głową.

– W pracy jest tak samo. Wszyscy jęczą, a on – „Ale jaki się tworzy nastrój!”.

Dokończyła to zdanie razem z nim.

– To samo mam w domu. Ja pytam: „Jaki nastrój? Nędzy i rozpaczy?”. A on: „Nie. Jest seksowny”. Ja na to: „Skarbie, był seksowny pierwszego dnia, czyli dziesięć dni temu”.

Caleb zachichotał w szklankę i pociągnął łyk.

– Ten człowiek znalazłby jakieś dobre strony nawet w obozie koncentracyjnym. „Pierwszorzędny drut kolczasty, takich się nie widuje w innych obozach śmierci. No i prysznic są pierwsza klasa”.

Rachel znowu napiła się wina.

– To wspaniałe.

– Wspaniałe.

– A jednak bywa męczące.

– Męczące na maksa. Nie znam innej osoby, która tak potrzebuje pozytywnego podejścia do życia. Dziwne, bo to nie jest tani optymizm, tylko coś całkiem realnego. Wiesz?

– O, wiem. Bardzo dobrze wiem. – Uśmiechnęła się, myśląc o swoim mężu. Nie znosił smutnych zakończeń w filmach ani książek, w których bohater przegrywa, czy też piosenek o samotności. „Rozumiem to”, powiedział jej kiedyś. „Czytałem na studiach Sartre’a, mam przyjaciół, którzy zaciągnęli mnie na koncert Nine Inch Nails. Świat to bezsensowny chaos, w którym nic nie ma znaczenia. Wiem to. Po prostu postanowiłem nie poświęcać uwagi filozofii, która mi nie pomaga w życiu”.

Brian – co już dawno stwierdziła z podziwem i irytacją – nie lubił smęcenia. Nie podobała mu się moda na smutek i narzekanie. Wolał cele, strategie i środki zaradcze. Wybierał nadzieję.

Raz, gdy była rozdrażniona, a on powiedział, że wszystko jest możliwe, odparła:

– Nie, nie wszystko. Nie jest możliwe, że nikt na świecie nie będzie głodować, nie jest

możliwe, że zamachasz rękami i uniesiesz się w powietrze.

W jego oczach pojawił się dziwny płomyk.

– Nikt dotąd nie działał długofalowo. Wszyscy chcą natychmiastowych efektów.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że jeśli uwierzysz, naprawdę uwierzysz, a twoja strategia ma ręce i nogi i jeśli jesteś gotowa poświęcić wszystko, żeby wygrać – rozłożył ramiona – to naprawdę możesz wszystko.

Uśmiechnęła się do niego i wyszła z pokoju, żeby uciec przed wnioskiem, że poślubiła nieszkodliwego wariata.

W dodatku nigdy nie kwękał, nigdy o nic się nie pieklił. Sebastian był – żadne zaskoczenie – marudą. Pesymistą, dla którego szklanka jest zawsze w połowie pusta. Okazywał ten swój pesymizm na tysiąc sposobów, w sprawach ważnych i nieważnych. Uważał, że świat budzi się codziennie z silnym postanowieniem, żeby narobić mu na głowę. Tymczasem Brian zaczynał każdy dzień, jakby spodziewał się dostać prezent. A jeśli go nie znajdował, nie widział powodu, żeby się na to skarżyć.

Kolejny brianizm: „Narzekać, które nie prowadzi do znalezienia rozwiązania, to choroba, na którą nie szuka się lekarstwa”.

– Uwielbia to cytować w pracy – powiedział Caleb. – Spodziewam się, że pewnego dnia zobaczę te słowa na tabliczce w holu.

– Ale musisz przyznać, że jego to napędza. Widziałeś kiedyś, żeby Brian miał zły humor dłużej niż parę minut?

Caleb pokiwał głową.

– To fakt, przyznaję. Wiesz, są ludzie, którzy poszliby za nim w ogień – bo wiedzą, że jakoś by ich z niego wyratował.

To jej się spodobało. Przez chwilę zobaczyła swojego męża jako bohatera, przywódcę, inspiratora.

Oparła się wygodnie, Caleb także i przez chwilę żadne się nie odzywało.

– Ładnie wyglądasz – powiedział w końcu on. – To znaczy... zawsze wyglądasz ładnie, ale dziś jesteś...

Przyglądała się, jak szuka odpowiedniego słowa. W końcu je znalazł.

– Bezpieczna.

Czy ktoś to kiedykolwiek o niej powiedział? Jak mawiała matka, Rachel tak wszędzie pędzi, że pewnie zapomniaby głowy, gdyby nie miała jej przytwierdzonej na stałe. Dwóch byłych chłopaków i były mąż powtarzali jej, że jest „niespokojna”. Gdy miała dwadzieścia lat, jej kotwicą były alkohol, papierosy i książki, zawsze książki. Gdy rzuciła palenie, fotel zastąpiła bieżnią, aż w końcu lekarz stwierdził u niej zespół przeciążenia piszczeli oraz znaczną utratę wagi – a otyłość nigdy jej nie groziła – i namówił ją, żeby dodała do treningów jogę. To jej na jakiś czas pomogło, ale potem ćwiczenia wywołały „wizje”, a po Haiti wizje zaczęły u niej powodować ataki paniki.

Bezpieczna. Coś takiego usłyszała po raz pierwszy. Co mogło sprawić, że Rachel Childs-Delacroix poczuła się bezpieczna?

Leżący obok niej telefon zawibrował. SMS od Briana. Otworzyła go. Uśmiechnęła się.

Brian stał w ubraniu, które miał dzisiaj na sobie, z szerokim, choć trochę zmęczonym uśmiechem, rozczochrany po podróży. Za nim widać było brązową boazerię, szerokie podwójne drzwi, duże żółte latarnie po obu stronach wejścia, a powyżej – nazwa przybytku – hotel Covent Garden. Zdarzało mu się już przysyłać jej zdjęcia ulicy – maleńkiej londyńskiej uliczki w kształcie półksiężyca, pełnej sklepików i restauracji, całej w czerwonej cegle z białymi

framugami. Portier bądź ktoś inny, kto zrobił to zdjęcie, musiał zejść z chodnika, żeby fasada hotelu zmieściła się w kadrze. Brian machał ręką, a jego przystojną zmęczoną twarz rozświetlał triumfujący uśmiech, jakby wiedział, że to nie jest zwykła fotka, że Rachel nie tęskniła za nim tak po prostu, że to jakiś test. I, niech to cholera, pomyślała, wsuwając telefon do kieszeni, zdałeś go celująco.

Wróciła z Calebem jedną taksówką. On jechał dalej – mieszkał w Seaport District. Gdy jechali do jej mieszkania, rozmawiali o deszczu i jego wpływie na miejscową ekonomię. Na przykład Red Sox mieli rekordową liczbę odwołanych meczów z powodu niesprzyjającej aury.

Gdy taksówka zatrzymała się pod domem Rachel, Caleb pochylił się, żeby pocałować ją w policzek, a ona już się odwracała, gdy jego usta wylądowały na jej skórze.

W mieszkaniu wzięła prysznic. Gorąca woda po całym dniu spędzonym w zimnym deszczu była tak rozkoszna, że wydawało się to aż nieprzyzwoite. Rachel zamknęła oczy i zobaczyła Caleba w barze, a potem w spiżarni, a następnie wspomniała ostatni wspólny prysznic z Brianem, parę dni temu, gdy stanął za nią i przesunął mydłem po jej sutkach, a potem w górę z jednej strony szyi i w dół z drugiej, po czym coraz ciaśniejnymi kręgami zaczął pieścić jej brzuch. Teraz powtórzyła te ruchy, czując go, jak twardniał między jej nogami. Słyszała swój oddech, mieszający się z szumem wody, a Brian stał się Calebem, Caleb – Brianem, a ona upuściła mydło i oparła się dłonią o ścianę. Myślała o Brianie pod prysznicem i Brianie przed hotelem Covent Garden, z tym jego wyzywającym uśmiechem, tymi niebieskimi oczami pełnymi chłopięcej radości. Caleb zniknął. Jednym palcem doprowadziła się do orgazmu, który przeszył jej ciało, jakby wdarła się w nie gorąca woda, przepelniająca wszystkie naczynka.

Potem położyła się i prawie zasnęła, gdy nagle przyszła jej do głowy dziwna myśl:

Caleb zamówił jedzenie, mówiąc, że cały dzień – od dziesiątej rano do piątej po południu – spędził za biurkiem. Że od niego nie wstawał. Nie wychodził. Gdy stanęła przed budynkiem, a on właśnie go opuszczał, jeszcze nie wyłonił się spod markizy nad drzwiami.

A jednak jego płaszcz i czapka ociekały deszczem.

POWRÓT DO „MY”

Piątek. Powrót.

Zastanawiała się, czy nie odebrać męża z lotniska, ale nie miała już samochodu. Sprzedała go, kiedy zamieszkała z Brianem; w bloku przysługiwało im tylko jedno miejsce parkingowe. Od tej chwili jeśli musiała gdzieś pojechać, korzystała z wypożyczalni aut. Było to bardzo wygodne – jedna znajdowała się o przecznicy od jej mieszkania – ale potem nastąpił incydent z Dunkin’ Donuts, barem i zwymiotowaniem na scjentologa. I wówczas Brian poprosił ją, żeby przez jakiś czas nie siadała za kierownicą.

Gdy przyszła pora odnowienia prawa jazdy, odbyli jedną z gwałtowniejszych kłótni. Rachel nie wyobrażała sobie, że mogłaby tego nie zrobić, Brian twierdził, że należy mu się – należy! – spokój ducha.

– Tu nie chodzi o ciebie! – krzyknęła na niego zza kuchennej wyspy. – Dlaczego uważasz, że wszystko kręci się wokół ciebie? Nawet to?

Pan Niewzruszony uderzył dłonią w blat.

– Do kogo zadzwonili, kiedy nie mogłaś wyjść z restauracji? I do kogo zadzwonią, kiedy...?

– Więc chodzi o to, że ci zawracają głowę? – Okręciła dłoń ścierką do naczyń, tak mocno, że krew wezbrała jej pod skórą.

– Nie, nie, nie. Nie dam się w to wciągnąć.

– Nie, nie, nie – przedrzeźniła go. Czowała się jak żółta, ale to było przyjemne, bo chęć kłótni narastała w niej przez cały tydzień.

Przez mikrosekundę zobaczyła w jego oczach furję graniczącą z nienawiścią. Potem Brian odetchnął głęboko, powoli.

– Schody ruchome nie poruszają się z prędkością stu kilometrów na godzinę.

Rachel nadal nie otrząsnęła się po tym krótkotrwałym ataku furii. Czy właśnie widziałam prawdziwego Briana?

W końcu dotarło do niej, że ta furia już nie wróci. Przynajmniej nie dziś. Rzuciła ścierkę na blat.

– Co?

– Nie ulegniesz śmiertelnemu wypadkowi na schodach ruchomych, w centrum handlowym czy, no nie wiem, w parku bądź na chodniku. Ale w samochodzie?

– To tak nie działa. Kiedy prowadzę, nie mam ataków paniki.

– Zaczęły się dopiero parę lat temu. Skąd wiesz, jak się objawi następny? Nie chcę dostać wiadomości, że wbiłaś się w jakiś mur.

– O Jezu.

– Czy to bezpodstawna obawa?

– Nie – przyznała.

– Z kosmosu?

– Nie.

– A gdybyś zaczęła mieć kłopoty z oddychaniem, pot zacząłby ci zalewać oczy i wjechałabyś w kogoś na pasach?

– Teraz to już się nade mną znęcasz.

– Nie, tylko pytam.

W końcu wypracowali kompromis. Rachel odnowiła prawo jazdy, ale obiecała nie jeździć.

A teraz przeszła przez centrum handlowe, jechała metrem, przemaszerowała obok starego South Church na Copley Square, skorzystała z taksówki podczas deszczu i siedziała w zatłoczonym barze w suterenie. I dokonała tego wszystkiego bez jednego silniejszego uderzenia serca, bez przyspieszenia tętna. Czy więc nie byłoby świetnie pojawić się pod punktem odbioru bagażu na Logan? Brian oczywiście by spanikował, ale czy tego strachu nie przyćmiłaby dumą?

Posunęła się nawet do tego, że sprawdziła konto w wypożyczalni – karta kredytowa, której poprzednio używała, straciła ważność – ale potem przypomniała sobie, że Brian pojechał na lotnisko samochodem i zostawił go na parkingu długoterminowym.

No i tyle na ten temat. Wdzięczność za to, że zostało jej to oszczędzone, obudziła w niej lekkie wyrzuty sumienia – poczuła się słaba, bez charakteru – ale może lepiej, że nie siadała za kółko, dopóki istnieje obawa wystąpienia choćby najslabszych lęków.

Brian stanął w progu mieszkania z lekko zaskoczoną miną kogoś, kto usiłuje przyzwyczaić się do życia bez lotnisk, hoteli, obsługi i nieustannych zmian i musi zaakceptować przeciwieństwo tego, co było jego udziałem wcześniej, czyli rutynę. Zerknął na koszyk z magazynami, który Rachel ustawiła blisko siebie, jakby nie potrafił go sobie przypomnieć – zresztą nie mógł tego zrobić, ponieważ kupiła go pod jego nieobecność. Ustawił walizkę w kącie, zdjął płaszcz przeciwdeszczowy w kolorze miedzi i powiedział „Cześć”, uśmiechając się przy tym niepewnie.

– Cześć. – Zawahała się, zanim do niego podeszła.

Kiedy wyjeżdżał na dłużej niż dwadzieścia cztery godziny, jego powrót zawsze był trudny. Nie było im łatwo wrócić do bycia razem na co dzień. Nic dziwnego, skoro Brian na pewien czas odszedł z ich życia, od wszystkiego, co stanowiło o tym, że mówili o sobie „my”. Cały tydzień zajmowało im powracanie do „ja”. I akurat wtedy, gdy stało się to z trudem odzyskaną normalnością, Brian znowu pojawił się na horyzoncie. I teraz musieli uczyć się od nowa tego, gdzie kończy się „ja”, a zaczyna „my”.

Pocałowali się, sucho, niemal cnotliwie.

– Zmęczony? – spytała, bo tak wyglądał.

– Tak. O tak. – Spojrzał na zegarek. – Tam już jest północ.

– Zrobiłam ci kolację.

Brian uśmiechnął się szeroko, naturalnie, po raz pierwszy, odkąd przekroczył próg domu, jego usta ułożyły się w tak dobrze jej znany Brianowy uśmiech.

– O, mowy nie ma. Bierzesz mnie na domowe ciepłko? Dzięki, skarbie.

Pocałował ją po raz drugi i tym razem w tym pocałunku było trochę żaru. Rachel poczuła, że coś się w niej rozluźnia, i oddała mu podobny pocałunek. Usiedli i zjedli łososia pieczonego w folii z brązowym ryżem i sałatą. Brian chciał wiedzieć, co robiła przez ten tydzień, a ona spytała go o Londyn i konferencję. Wszystko wskazywało na to, że nieszczęśliwie się udała.

– Podjęli decyzje, które pozwolą wmówić światu, że obchodzi ich ochrona środowiska i etyka skupu drewna. Potem powoływali do rady gnojków z przemysłu, których jedyną ambicją, oprócz zapoznawania się z miejscowymi prostytutkami, jest blokowanie wszystkich inicjatyw. – Potarł oczy dłońmi i westchnął. – To... frustrujące. – Spuścił wzrok na pusty talerz. – A ty?

– Co „ja”?

– Twój głos dziwnie brzmiał, kiedy rozmawialiśmy przez telefon.

– Nie, nic mi nie jest.

– Na pewno?

– No.

Kiedy ziewnął w pięść i rzucił jej zmęczony uśmiech, zrozumiała, że jej nie uwierzył.

– Wezmę prysznic.

– Jasne.

Wziął talerze i włożył je do zmywarki.

– No dobrze – rzuciła, gdy szedł do sypialni. – Chcesz wiedzieć?

Odwrócił się tuż przed drzwiami pokoju i odetchnął z ulgą. Wyciągnął rękę.

– Byłoby wspaniale.

– Widziałam twojego sobowtóra.

– Mojego sobowtóra?

Skinęła głową.

– W poniedziałek po południu. Wsiadał do czarnego suburbana za Hancock Tower.

– Gdy byłem w samolocie? – Brian spojrział na nią zaskoczony. – Czekał, daj mi chwilę, jestem wykończony... eee, widziałaś gościa podobnego do mnie i...

– Nie, widziałam twojego sobowtóra.

– Więc może to był Scott...

– ...Pfeiffer z Grafton w stanie Vermont? Zastanawiałam się nad tym. Problem w tym, że ten facet miał na sobie dokładnie takie samo ubranie jak to, w którym wyszedłeś z domu.

Brian powoli pokiwał głową.

– Nie wierzysz, że to mój sobowtór. Uważasz, że to byłem ja.

Nalała wina do dwóch kieliszków i podała mu jeden. Oparła się o sofę, a on o framugę drzwi.

– Tak.

– Ach. – Brian zamknął oczy z uśmiechem; wydawało się, że z jego ciała uniósł się ciężar, który ulotnił się przez kratkę wentylacyjną w suficie. – Więc ten dziwny ton i selfie, które miałem ci przysłać, były dlatego, że sądziłaś... – Otworzył oczy. – Właściwie co?

– Nie wiem.

– No, albo podejrzewałaś, że Scott Pfeiffer przyjechał do Bostonu, albo że ja kłamię i nie wyjechałem z kraju.

– Pewnie tak. – W tej chwili wydawało jej się to absurdem.

Brian, skrzywiony, napił się wina.

– Co? – spytała. – No co?

– Tak nisko nas cenisz?

– Nie.

– Myślałaś, że prowadzę podwójne życie.

– Tego nie powiedziałam.

– A co innego mogłoby to znaczyć? Twierdzisz, że widziałaś mnie na ulicy Bostonu, kiedy prawdopodobnie byłem już nad, no nie wiem, Grenlandią. Więc napadłaś na mnie, kiedy zadzwoniłem z Heathrow, a potem za to, że nie naładowałem telefonu i...

– Nie napadłam na ciebie.

– Nie? A potem kazałaś mi zrobić selfie na dowód, że naprawdę jestem tam, gdzie twierdziłem, po czym napadłaś na mojego partnera?

– Nie będę tego słuchać.

– Bo po co? Musiałabyś wziąć odpowiedzialność za to, że zachowałam się jak żółta. – Spuścił głowę i, znużony, uniósł rękę. – Wiesz co? Jestem zmęczony. W tej chwili nie powiem już nic konstruktywnego. I muszę, nie wiem, jakoś to przyswoić. Dobrze?

Usiłowała określić, jak bardzo chce być zła i czy jest zła na niego, czy tylko na siebie.

– Powiedziałeś, że jestem żoną.

– Nie, powiedziałem, że zachowałeś się jak żona. – Blady uśmiech. – Mała, ale istotna różnica.

Ona też rzuciła mu blady uśmiech i położyła rękę na jego piersi.

– Idź pod ten prysznic.

Zamknął za sobą drzwi łazienki. Zaszumiała woda.

Rachel uświadomiła sobie, że stoi nad jego płaszczem. Odstawiła wino na stół i zastanawiała się, dlaczego nie czuje wyrzutów sumienia. Powinna. Brian miał rację, obraziła człowieka, z którym żyła od dwóch lat, podejrzeniami o kłamstwo. A jednak nie czuła się winna. Przez cały tydzień wmawiała sobie, że wzrok splątał jej figła. Selfie tego dowodziło. I to, że odkąd znała Briana, nigdy jej nie okłamał.

Dlaczego w takim razie nie czuła, że popełniła błąd? Skąd ten brak wyrzutów sumienia? Oczywiście nie całkowicie, nie niezachwiany. I nieustępliwy, połączony z niepokojącym przekonaniem, że nie jest tak, jak się wydaje.

Zdjęła jego płaszcz z oparcia krzesła. Nie mógł go od razu odwieść do szafy?

Sięgnęła do jego lewej kieszeni i wyjęła z niej bilet lotniczy – Heathrow–Logan, z datą z tego dnia – i drobne pieniądze. Był w niej też paszport. Otworzyła go i spojrzała na strony z wizami pełne stempli ze wszystkich krajów, które odwiedzał. Problem w tym, że nie były przybijane po kolei. Wydawało się, że urzędnicy stawiali je na chybił trafił. Gdy Rachel przyglądała się im, do jej uszu dobiegał stłumiony szum wody w łazience – Chorwacja, Grecja, Rosja, Niemcy, no i w końcu: Heathrow, dziewiąty maja, z tego roku. Schowała paszport na miejsce, a z drugiej kieszeni wyjęła kartę otwierającą drzwi w hotelu Covent Garden, na Monmouth Street dziesięć, i rachunek wielkości jej kciuka z kiosku na Monmouth Street siedemnaście. Nosił wczorajszą datę, „05/09/14, 11:12”, i świadczył o tym, że Brian kupił gazetę, paczkę gumy do żucia i butelkę oranżady, za co zapłacił banknotem dziesięciofuntowym i wydano mu resztę w wysokości czterech funtów szterlingów i pięćdziesięciu trzech pensów.

Szum wody ustał. Rachel schowała kartę do kieszeni płaszcza i powiesiła okrycie na oparciu krzesła. Ale rachunek wsunęła do tylnej kieszeni swoich dżinsów. Nie wiedziała dlaczego. Instynkt.

GATTIS

Wkażdą rocznicę wieczora, kiedy się poznali, Brian i Rachel wracali do restauracji RR i tańczyli przy dźwiękach *Since I Fell for You*. W tych czasach jeśli w ogóle można było znaleźć ten numer w szafie grającej, to zwykle w interpretacji Johnny'ego Mathisa, ale w RR znajdowała się wersja oryginalna, pramatka wszystkich innych, w wykonaniu gwiazdy jednego przeboju, Lenny'ego Welcha.

Była to nie tyle piosenka miłosna, ile lament człowieka spętanego beznadziejnym uzależnieniem od osoby pozbawionej serca, która ostatecznie niewątpliwie doprowadzi swojego kochanka do zguby. Albo kochankę, zależnie od wersji. Ponieważ po raz pierwszy tańczyli przy tej piosence, zdążyli jej już posłuchać niemal we wszystkich wykonaniach – Niny Simone, Dinah Washington, Charliego Richa, George'a Bensona, Gladys Knight, Aarona Neville'a i Mavis Staples. A to tylko ci najwięksi. Rachel pewnego razu wyszukała piosenkę na iTunesie i znalazła dwieście sześćdziesiąt cztery covery w interpretacji wszystkich możliwych wokalistów, od Louisa Armstronga po Captain & Tennille.

W tym roku Brian zarezerwował całą salę na zapleczu i zaprosił znajomych. Przyszła Melissa, Danny Marotta, dawny kamerzysta Rachel z Channel 6; Danny przyprowadził żonę Sandrę, a Sandra koleżankę z pracy, Liz. Wpadli też Annie, Darla i Rodney, którzy przeszli do „Globe” po jej odejściu. Caleb przyszedł z Hayą, która wyglądała zabójczo w prostej, czarnej bawełnianej sukience i czarnych baletkach, z czarnymi włosami zwiniętymi w kok, odsłaniający wdzięczny łuk jej szyi. Dziecko, które trzymała na biodrze, dodawało jej zdrowego i jeszcze bardziej seksownego wyglądu. Nawiasem mówiąc, było to piękne dziecko; geny ciemnowłosych atrakcyjnych rodziców stopiły się w nim, dając idealnie symetryczną twarz, oczy jak czarny ciepły olej i skórę w kolorze piasku pustyni tuż po zachodzie słońca. Rachel parę razy przyłapała Briana, który – zwykle obojętny na takie sprawy – z otwartymi ustami gapił się na Hayę i AB, jak na jakieś fantastyczne praistoty ludzkie z mitu o stworzeniu świata. Jeden z młodszych mężczyzn na przyjęciu, najnowszy stażysta Briana i Caleba – nie było sensu zapamiętywać ich imion, i tak wkrótce zastąpią ich inni – rzucał Hai powłóczyście spojrzenia, choć wszystkie kobiety na przyjęciu były olśniewająco piękne i obdarzone jędrnym, nieskazitelnym ciałem dwudziestoparolatek.

Kiedy indziej Rachel mogłaby poczuć spazm zazdrości albo dźgnięcie ambicji – ta kobieta niedawno urodziła, do kurwy nędzy, a wygląda jak modelka gotowa pozować do rozkładówki w katalogu z bielizną – ale dziś wiedziała, że i ona prezentuje się dobrze. Nie jak ktoś z reklamy, ale elegancko i powściągliwie, w sposób świadczący, że nie czuje potrzeby, żeby podkreślać to, co Bóg dał jej w dobrych proporcjach, a geny i ćwiczenia skutecznie zakonserwowały.

Spotkała się z Hayą przy barze, gdy AB zasnęła w foteliku samochodowym u stóp matki. Ze względu na barierę językową dotąd ograniczały się tylko do przelotnych powitań, a przez ten rok prawie się nie spotykały, ale Caleb powiedział, że Haya mówi już o wiele lepiej po angielsku. Rachel postanowiła przełamać lody i przekonała się, że nie przesadzał. Haya mówiła już dobrze, choć dobierała słowa z namysłem.

– Co u ciebie?

– Jestem... szczęśliwa. A u ciebie?

– Świetnie. Jak Annabelle?

– Jest... kapryśna.

Rachel zerknęła na dziecko śpiące w trakcie imprezy. Wcześniej, siedząc na biodrze matki, dziewczynka ani razu nie pisnęła ani nawet się nie wierciła.

Haya patrzyła na Rachel z kamiennym wyrazem pięknej twarzy i zaciśniętymi ustami.

– Dziękuję, że przyszedłaś – powiedziała w końcu Rachel.

– Tak. To... mój mąż.

– Dlatego przyszedłaś? – Rachel poczuła, że jej usta drgają w lekkim uśmiechu. – Bo to twój mąż?

– Tak. – Haya zmrużyła oczy, nie rozumiejąc. Rachel poczuła się winna, jakby znęcała się nad tą kobietą z powodu jej problemów językowych i bariery kulturowej. – Wyglądasz... bardzo pięknie, Rachel.

– Dziękuję. Ty też.

Haya spojrzała na dziecko u swoich stóp.

– Annabelle... już się budzi.

Rachel nie miała pojęcia, w jaki sposób kobieta to przewidziała, ale pięć sekund później dziewczynka otworzyła oczy.

Rachel przykucnęła przy niej. Nigdy nie umiała się obchodzić z niemowlętami. Widywała ludzi, którzy odnoszą się do nich nienaturalnie – kwiląc tym infantylnym głosem, jakiego używa się tylko, mówiąc do dzieci, zwierząt albo bardzo starych i chorych ludzi.

– Cześć – powiedziała do Annabelle.

Mała spojrzała na nią oczami swojej matki – tak czystymi i nieskażonymi sceptycyzmem czy ironią, że Rachel mimo woli poczuła się przez nią osądzona. Położyła palec na piersi Annabelle, a dziewczynka zacisnęła na nim paluszki i pociągnęła.

– Jesteś silna – zauważyła Rachel.

Annabelle puściła jej palec i z lekkim niezadowoleniem spojrzała na budkę swojego fotelika, jakby zaskoczył ją ten widok. Twarz jej się skrzywiła i Rachel zdążyła tylko rzucić: „Nie, nie”, zanim rozległ się krzyk.

Haya musnęła Rachel ramieniem, sięgając uchwytu fotelika. Uniosła go i postawiła na barze. Zakołysała nim i dziec-ko natychmiast przestało płakać, a Rachel zawstydzona się poczuła się beznadziejna.

– Masz do niej rękę – powiedziała.

– Jestem... jej matką. – Haya znowu spojrzała na nią z odrobiną zaskoczenia. – Jest zmęczona. Głodna.

– Oczywiście – zgodziła się Rachel, bo wydawało jej się, że tak trzeba.

– Musimy iść. Dziękuję, że... zaprosiłaś nas na... przy-jęcie.

Haya wyjęła córeczkę z fotelika i przytuliła ją do siebie z policzkiem przyciśniętym do swojej szyi. Obie wyglądały jak jeden organizm, jakby oddychały tymi samymi płucami, patrzyły przez te same oczy. Spoglądając na nie, Rachel poczuła, że ona i jej impreza są puste i powierzchowne. I trochę smutne.

Caleb podszedł do nich, wziął fotelik, różową torbę z rzeczami dziecka i biały muślinowy koc, po czym odprowadził żonę i córkę do samochodu i pocałował je na dobranoc. Rachel przyglądała się im przez okno, wiedząc, że nie chce mieć takiego życia. A jednak – chciała.

– Coś podobnego – powiedział Brian, gdy ktoś – Rachel podejrzewała, że Melissa – wrzucił dolara do szafy grającej i wcisnął B17 – *Since I Fell for You*, więc musieli to zatańczyć po raz drugi tego wieczora. Brian uniósł brwi, patrząc na ich odbicie w dużym lustrze wiszącym na ścianie. Rachel spojrzała na siebie, jak zawsze w pierwszej milisekundzie zaskoczona, że nie

ma już dwudziestu trzech lat. Ktoś kiedyś powiedział jej, że każdy widzi siebie jakby zamrożonego w pewnym określonym wieku: dla niektórych jest to piętnaście lat, dla innych pięćdziesiąt. Rachel widziała siebie jako dwudziestotrzylatkę. Oczywiście przez kolejne czternaście lat jej twarz się wydłużyła i pojawiły się na niej zmarszczki. Oczy też się zmieniły – nadal miały szarzielony kolor, ale patrzyły mniej pewnie i nie były już aż tak rozgorączkowane. Jej włosy w tak ciemnym odcieniu mahoni, że przeważnie wydawały się czarne, były krótkie, z ukośną grzywką, która łagodziła wyostrome rysy jej twarzy w kształcie serca. A przynajmniej tak powiedział jej kiedyś producent telewizyjny, namawiając ją, żeby nie tylko obcięła włosy, ale je wyprostowała. Przed tą rozmową zawsze nosiła na głowie długi gąszcz do ramion, ale producent – poprzedzając krytykę słowami „Bez urazy”, które zawsze zapowiadają coś obraźliwego – oznajmił:

– Trochę ci brakuje do bycia piękną, ale kamera o tym nie wie. Kamera cię kocha. I dlatego kochają cię nasi szefowie.

Tym producentem był oczywiście Sebastian. A Rachel tak się szanowała, że wyszła za niego za męża.

Gdy kołysała się z Brianem na parkiecie, musiała przyznać, że był o wiele lepszy od Sebastiana. Pod każdym względem – przystojniejszy, serdeczniejszy, bardziej interesujący w rozmowie, zabawniejszy i inteligentniejszy, choć starał się to ukrywać, podczas gdy Sebastian zawsze usiłował udawać mądrzejszego, niż w rzeczywistości był.

Ale pozostawała jeszcze kwestia zaufania. Sebastian był niezaprzeczalnie gnojkiem, ale szczerym. Takim gnojkiem, któremu nie przyszło do głowy ukrywać przed nią, kim jest. Sebastian niczego nie taił.

Natomiast z Brianem nie była już niczego pewna. Od czasu jego powrotu z Londynu odnosili się do siebie irytująco uprzejmie. Rachel nie miała żadnych dowodów na uzasadnienie swojego braku zaufania, więc nie wracała do tematu, a jemu to najwyraźniej odpowiadało. Jednak obchodzili się ze sobą ostrożnie jak, nie przymierzając, z fiolką z wąglikiem. Ucinali rozmowy, które mogły doprowadzić do konfliktu – na przykład o jego zwyczaju pozostawiania wczorajszych ubrań na oparciu łóżka czy jej nawyku niezmienniania rolki papieru toaletowego, gdy na starej został tylko skrawek – i z nadzwyczajną uwagą dobierali słowa.

Wkrótce w ogóle przestali rozmawiać na potencjalnie zapalne tematy. Uśmiechali się do siebie blado rano, uśmiechali się do siebie blado wieczorem. Więcej czasu poświęcali laptopom i komórkom. W ciągu minionego tygodnia kochali się raz i była to cielesna wersja ich błędnych uśmiechów – równie wiążąca jak woda, równie osobista jak spam w mejlu.

Piosenka się skończyła; goście zaczęli klaskać, paru gwizdnęło, a Melissa brzęknęła widelcem o kieliszek i tak długo krzyczała: „Gorzko! Gorzko!”, aż usłuchali.

– Wstydzisz się? – spytała Rachel Briana, odchylając się do tyłu w jego ramionach.

Nie odpowiedział. Patrzył na coś za plecami Rachel, jakby nie rozumiał, co widzi.

Odwróciła się, w chwili gdy wypuścił ją z objęć.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Po pięćdziesiątce, z długimi siwymi włosami związanymi w kucyk. Dość chudy, ubrany w szarą obszerną kurtkę, niebiesko-białą hawajską koszulę i ciemne dżinsy. Skórę miał grubą i opaloną. Błękit jego oczu był tak intensywny, że zdawał się płonąć.

– Brian! – zawołał przybysz i otworzył ramiona.

Brian wymienił szybkie spojrzenie z Calebem – tak szybkie, że gdyby Rachel nie znajdowała się dziesięć centymetrów od jego twarzy, mogłaby go nie zauważyć – a potem rozpromienił się w uśmiechu i podszedł do mężczyzny.

– Andrew! – Jedną ręką ścisnął mu ramię nad łokciem, drugą – dłoń. – Co cię sprowadza

do Bostonu?

– Pokaz w Lyric. – Andrew uniósł brwi.

– Świetnie!

– Naprawdę?

– A nie?

Andrew wzruszył ramionami.

– Robota.

Caleb podszedł do nich z dwoma drinkami.

– Andrew Gattis, syn marnotrawny! Nadal wolisz wódkę?

Andrew wypił alkohol jednym haustem i oddał szklaneczkę Calebowi. Wziął drugą, skinął z wdzięcznością głową i pociągnął z niej z umiarkowaniem.

– Dobrze cię widzieć.

– I ciebie.

– Naprawdę? – zachichotał Andrew.

Caleb roześmiał się i klepnął go w ramię.

– To twój slogan na dziś?

– Andrew, to moja żona Rachel.

Rachel uściśnęła dłoń Andrew Gattisa, która okazała się zaskakująco gładka, nawet delikatna.

– To dla mnie przyjemność. – Rzucił jej znaczący, prowokujący uśmiech. – Jesteś inteligentna.

Roześmiała się.

– Słucham?

– Jesteś inteligentna. – Nadal nie wypuścił jej dłoni. – Widzę to. Cholera, każdy widzi.

Z urodą jeszcze się mogę pogodzić, Brian zawsze lubił piękno, ale...

– Hamuj się – wtrącił Brian.

– ...inteligencja to coś nowego.

– E, Andrew – rzucił Brian bardzo pogodnym tonem.

– E, Brian. – Andrew puścił jej dłoń, ale nadal wpatrywał się w jej oczy.

– Ciągłe palisz?

– E-papierosy.

– Ja też.

– Serio?

– Chcesz wyjść na jednego?

Andrew Gattis przechylił głowę, patrząc na Rachel.

– Myślisz, że powinienem?

– Co?

– Wyjść z twoim mężem na papierosa.

– Czemu nie? Pogadacie o dawnych czasach.

– Mhm. – Powiódł spojrzeniem po sali, po czym zatrzymał wzrok na Rachel. – Do jakiej piosenki tańczyliście?

– *Since I Fell for You*.

– Kto wybiera taki numer do tańca? – Andrew rzucił im obojgu szeroki zdziwiony uśmiech. – Beznadziejna piosenka. O emocjonalnym uwięzieniu.

Rachel skinęła głową.

– Chyba chcieliśmy być postironiczni. Albo metaromantyczni. Nigdy nie potrafiłam się zdecydować. Miłego palenia.

Andrew uniósł wymaginowany kapelusz i uklonił się jej, po czym odwrócił się do Briana i Caleba.

Ruszyli we trzech do wyjścia, ale Andrew Gattis nagle się odwrócił.

– Wygoogluj ten tytuł.

– Co?

Brian i Caleb, którzy byli już prawie przy drzwiach, zauważyli, że są sami.

– *Since I Fell for You*. Wygoogluj to.

– Wiem, jest ponad dwieście coverów.

– Nie mówię o piosence.

Brian ruszył w ich stronę i Andrew to wyczuł. Odwrócił się, spotkał się z Brianem w pół drogi i razem wyszli na dymka.

Rachel widziała ich na ulicy, jak we trzech wydmuchują kłęby dymu. Często się śmiali, jak najlepsi starzy przyjaciele, często klepali się po ramionach, popychali, przybijali żółwika. W pewnej chwili Brian chwycił Andrew za kark i przyciągnął go do siebie tak, że zetknęli się czołami. Obaj się uśmiechali, nawet się śmiali. Brian mówił coś bardzo szybko i obaj kiwali głowami, złączeni jak bliźnięta syjamskie. Gdy się rozdzielili, ich uśmiechy na chwilę zgasły, a potem Brian spojrział w okno, zobaczył Rachel i pokazał jej uniesiony kciuk, jakby mówił: „Wszystko w porządku, wszystko gra”. Ten człowiek, pomyślała, oddałby drugiemu ostatnią koszulę.

Po powrocie Andrew okazywał zainteresowanie wszystkimi, tylko nie Rachel. Flirtował z jedną z pracownic z Dela-croix Lumber, gawędził z Melissą, przez dłuższy czas rozmawiał z Calebem, obaj mieli przy tym bardzo poważne miny, i upijał się w niezwykłym tempie. Po godzinie od przybycia zataczał się co pięć kroków.

– Nigdy nie miał mocnej głowy – zauważył Brian, gdy Andrew strącił z oparcia krzesła torebkę jednej z praktykantek, a następnie, starając się ratować sytuację, przewrócił krzesło. Wszyscy się śmiali, choć bawiło to nielicznych.

– Ten facet potrafi położyć każdą imprezę – powiedział Brian. – Zawsze tak było.

– Skąd się znacie? – spytała Rachel.

Brian nie dosłyszał.

– Zajmę się nim.

Podszedł i pomógł podnieść krzesło. Położył rękę na ramieniu kolegi; Andrew strącił ją, przy okazji zrzucając z baru szklanę do połowy pełną piwa.

– Dalesz mi tabletkę gwałtu, Bri?

– Już dobrze, dobrze – wtrącił Caleb.

Barman Jarod – siostrzeniec maniaczki crossfitu Gail – podszedł do nich zaniepokojony.

– Wszystko dobrze?

– Andrew? – zagadnął Brian. – Ten pan pyta, czy wszystko dobrze. Wszystko dobrze?

– Tip, kurwa, top. – Andrew zasalutował barmanowi.

Jarod się wkurzył.

– Mogę panu załatwić podwózkę do domu. Rozumie pan?

– Ależ doskonale cię rozumiem, mój dobry człowieku – odparł Andrew z mocnym brytyjskim akcentem. – Wolałbym dziś nie rzucać się w oczy miejscowym stróżom porządku.

– Zapakuj kolegę do taksówki – polecił Jarod Brianowi.

– W tej chwili.

Jarod podniósł szklanę, która upadła za bar. O dziwo, się nie stłukła.

– Nadal tu jest.

– Pracuję nad tym – odparł Brian.

Andrew miał już to łypiące spode łba, introwertyczne spojrzenie rozgniewanego pijaka. W dzieciństwie Rachel widywała podobny wzrok u matki i dwóch jej chłopaków, gdy żaloszny dzień zmieniał się w pożałowania godną noc.

Andrew zerwał swoją kurtkę z oparcia krzesła, niemal je przy tym przewracając.

– Nadal masz ten dom w Baker Lake?

Rachel nie wiedziała, do kogo się zwraca. Patrzył w podłogę.

– Chodźmy – powiedział Brian.

– Spierdalaj z łapami.

Brian uniósł ręce wysoko w powietrze, jak woźnica dyliżansu na Dzikim Zachodzie podczas napadu gangsterów.

– Dzicz jak chuj – dodał Andrew. – No ale zawsze to lubiłeś.

Zatoczył się do wyjścia. Brian ruszył za nim, nadal z lekko uniesionymi rękami.

Gdy byli już na chodniku, niemal w tej samej chwili, w której przyjechała taksówka, Andrew zamachnął się na Briana.

Brian bez trudu uniknął ciosu, a potem złapał zataczającego się kolegę jak mdlejącą kobietę gestem pasującym do starego filmu. Ustawił go prosto i uderzył go w policzek.

Wszyscy to widzieli. Obserwowali ich od chwili, gdy opuścili bar. Parę młodych stażystek jęknęło. Kilka się roześmiało. Jeden chłopak powiedział:

– O w mordę. Z szefem nie można zadzierać, co nie?

Ten cios padł tak szybko i jakby od niechcienia, że wydawał się przez to dwa razy bardziej brutalny. Nie było to jak uderzenie mężczyzny, który stał się niebezpieczny, tylko jak uderzenie irytującego dziecka. Wyrażało pogardę. Andrew skulił się, zadrżał i po chwili stało się jasne, że płacze.

Rachel widziała, jak jej mąż mówi coś taksówkarzowi, który wysiadł i usiłował odmówić przewiezienia agresywnego pijaka. Zmienił zdanie, gdy Brian wręczył mu banknoty. Wspólnie zapakowali Andrew na tylną kanapę i taksówka ruszyła.

Brian odwrócił się i najwyraźniej ze zdziwieniem spostrzegł, że wszyscy się w niego wpatrują. Pocałował Rachel w rękę.

– Przepraszam za ten incydent.

Nie mogła przestać myśleć o tym uderzeniu, o jego naturalnym okrucieństwie.

– Kto to był?

Wrócili do baru i Brian zamówił szkocką. Dał Jarodowi pięćdziesiąt dolarów w ramach odszkodowania.

– Dawny przyjaciel. Krępujący, upierdliwy przyjaciel, który nigdy nie pogodził się z tym, że jest dorosły. Masz takich?

– No pewnie. – Upiła łyk whisky. – Miałam.

– Jak się ich pozbyłaś?

– Oni pozbyli się mnie.

To go jakoś zraniło. Widziała jego ból i w tamtej chwili poczuła, że bardzo go kocha.

Wyciągnęła tę samą dłoń, którą uderzył przyjaciela, i musnął jej policzek.

– Idioci – szepnął. – Kompletni idioci.

SZOK KULTUROWY

Cały ranek po imprezie, gdy tylko Brian wyszedł, by pobiegać nad rzeką, skacowana Rachel surfowała po necie.

Najpierw wyszukała *Since I Fell for You*. Tak jak się spodziewała, na pierwszej stronie znajdowały się tylko linki do coverów. Na drugiej znalazła wzmiankę o odcinku serialu *Prawnicy z Miasta Aniołów*, który wyświetlano, gdy była w podstawówce. Pamiętała, że matka oglądała go z nabożeństwem, a raz zasłoniła usta rękami, gdy jedna z bohaterek – kobieta z nastroszoną fryzurą i wielkimi kłapami marynarki – spadła do szybu windy. Rachel przeczytała streszczenie odcinka „*Since I Fell for You*” na IMDb, ale nie znalazła w nim żadnych wskazówek.

Na trzeciej stronie znalazła link do filmu z dwa tysiące drugiego roku z Robertem Haysem, Vivicą A. Fox, Kristy Gale i Brettem Aldenem, ze specjalnym udziałem Stephena Dorffa i Gary’ego Buseya. Kliknęła w niego i zobaczyła raport czterysta jeden o nieistniejącej stronie. Dlatego otworzyła nową kartę i wpisała do przeglądarki hasło „Film *Since I Fell for You*, 2002 r.”.

Nawet po dodaniu tych informacji większość linków dotyczyła piosenek. W końcu pojawił się jeden zatytułowany „*Since I Fell for You/maj–grudzień (2002 r.) VHS eBay*”. Kliknięcie przeniosło ją na eBay, do zdjęcia kasety VHS. Powiększenie nie działało, ale udało jej się rozróżnić twarze dwojga głównych bohaterów. Nie od razu uświadomiła sobie, że mężczyzna był gwiazdą w *Czy leci z nami pilot?* Kobieta prawie na pewno wystąpiła w *Dniu Niepodległości* – grała tam kretynekę, która naraziła wszystkich na śmierć, żeby ratować psa. Obok zdjęcia widniał opis, pewnie skopiowany z okładki kasety:

„Wdowiec Tom (Hays) zakochuje się w pięknej i o połowę młodszej od niego gospodyni LaToi (Fox). Tymczasem jego syn (Alden) i niepełnosprawna współlokatorka LaToi (Gale) także zaczynają czuć do siebie coś więcej. Wzruszający komediodramat, zadający pytanie, czy miłość może się mylić”.

Rachel wróciła na IMDb i sprawdziła listę filmów, w których zagrali Robert Hays i Vivica A. Fox. Nie znalazła żadnych nowych informacji. Nie poddała się i odszukała ten tytuł w liście filmów Stephena Dorffa, Gary’ego Buseya i dwojga aktorów, o których słyszała po raz pierwszy: Kristy Gale i Bretta Aldena.

Panowie Dorff i Busey nawet nie uwzględnili tego filmu w swoim dorobku. Kristy Gale najwyraźniej grywała epizody w filmach, które trafiały od razu do dystrybucji wideo, i pojawiła się w tylko jednym dużym filmie kinowym, *Strasznym filmie 3*, jako Dziewczyna na Jednokołowcu. Jej strony nie aktualizowano od dwa tysiące siódmego roku; w tym roku zagrała także swoją ostatnią rolę w jakimś *Zabójczym morderstwie*. (A istnieją inne? – pomyślała Rachel). Brett Alden nie miał własnej strony. Musiał zaznać gorzkiego smaku jednorazowego przejścia po Hollywood Boulevard i powrotu do Iowa czy Wisconsin. Rachel kliknęła w kartę eBay i kupiła kasetę za cztery dolary i osiemdziesiąt siedem centów, wybierając dostawę na drugi dzień.

Zrobiła sobie drugi kubek kawy i, nadal w piżamie, wróciła do laptopa. Spojrzała na rzekę. W nocy przestało padać. A rano pojawiło się słońce. Tak, słońce.

Wszystko wydawało się nie tylko czyste, ale wypolerowane, niebo wyglądało jak zastygła fala, drzewa wzdłuż rzeki były wyraziste niczym jadeitowe posążki. A ona siedziała w domu,

z kacem łomoczącym w jej głowie i piersi oraz synapsami, które zacięły się przed odpaleniem. Kliknęła w folder z muzyką i wybrała playlistę, którą ułożyła, by się uspokoić w dni, gdy miała zbyt napięte nerwy – The National, Lord Huron, Atoms for Peace, My Morning Jacket i temu podobne – po czym zaczęła szukać Baker Lake.

Znalazła trzy miejscowości o tej nazwie – największą w stanie Waszyngton, kolejną w Kanadzie za arktycznym kręgiem, trzecią w Maine. To w Waszyngtonie wyglądało na kurort turystyczny, to w Kanadzie zamieszkiwali głównie Inuici, to w Maine leżało w dziczy. Wydawało się, że najbliższe miasto znajduje się jakieś sto kilometrów dalej. Właściwie znajdowało się bliżej Quebecu niż Bangor.

– Planujesz wypad?

Rachel odwróciła się razem z fotelem. Brian, spocony po przebieżce, stał trzy metry dalej, popijając wodę z butelki.

– Czytałeś mi przez ramię? – spytała z uśmiechem.

On także się uśmiechnął.

– Wszedłem, zobaczyłem głowę mojej żony, a za nią – Baker Lake na ekranie.

Odepchnęła się od dywanu i zawirowała na krześle.

– Twój znajomy o nim wspomniał.

– Jaki znajomy?

Uniosła brew.

– Wczoraj było ich kilku.

– A ilu sprąłeś po pysku?

– Aaa... – Cofnął się i pociągnął kolejny łyk wody.

– Właśnie. Aaaa. O co poszło?

– Upił się, prawie doprowadził do tego, że wyrzucono nas z naszego ulubionego baru, a potem zamachnął się na mnie na ulicy.

– Tak, ale dlaczego?

– Dlaczego? – Brian rzucił jej spojrzenie, które wydało się jej jakby gadzie. – Bo po alkoholu robi się agresywny. Od zawsze.

– Więc dlaczego Caleb przyniósł mu od razu dwa drinki?

– Bo to Caleb. Nie wiem, jego spytaj.

– Po prostu mnie to dziwi – częstować morzem wódki kogoś, kto świruje po pijaku.

– Morzem?

Przytaknęła.

– Morzem.

Brian wzruszył ramionami.

– Raz jeszcze – spytaj Caleba. Może gdy znowu wyjadę, spotkacie się i pogadacie.

Udała, że się naburmusza, co zawsze go wkurzało.

– Czujesz się zagrożony?

– Tego nie powiedziałem. – Lekkie wzruszenie szerokich ramion, próba udawania luzu, choć temperatura w pokoju podniosła się o parę stopni.

– Czujesz, że nie możesz zaufać swojemu współnikowi? Czy żonie?

– Obojgu wam mogę zaufać. Po prostu mnie dziwi, że ty, która od dwóch lat żyłaś jak pustelnica, wskoczyłaś do taksówki, pojechałaś do Cambridge i przypadkiem spotkałaś mojego współpracownika.

– Nie przypadkiem. Poszłam do twojego biura.

Brian przykucnął i obrócił butelkę w rękach.

– Niby po co?

- Bo uważałam, że mnie okłamujesz.
- Znowu to samo? – Roześmiał się nieprzyjemnie.
- Chyba tak.
- Ale wiesz, że mówisz jak wariatka?
- Nie. Oświeć mnie.

Brian parę razy podnosił się i przykucał, jakby przygotowywał mięśnie łydek do chwili, gdy rozlegnie się strzał pistoletu startowego.

– Wydawało ci się, że widziałas mnie w Bostonie, podczas gdy znajdowałem się dziesięć tysięcy metrów nad ziemią.

– No, chyba... – zmarszczyła nos – ...że nie.

Brian zatrzepotał rzęsami.

– Potem kazałaś mi kilka razy stanąć na głowie, żeby ci udowodnić, że naprawdę jestem w Londynie. I stanąłem. Ale to ci nie wystarczyło. Przez cały tydzień – prychnął śmiechem nagłego niedowierzania – obchodzisz mnie szerokim łukiem, patrząc na mnie, jakbym był... nie wiem... dowódcą uspiionej komórki szpiegowskiej.

– Albo... – dodała – mógłbyś być jak ten facet, który udawał Rockefellera.

– Mógłbym. – Skinął głową, jakby to miało sens. Dopił wodę. – Ten facet kogoś zabił, prawda?

Rachel spojrzała na niego nieruchomo.

– Zdaje się, że tak.

– Ale żonę oszczędził.

– Bardzo uprzejmie z jego strony. – Poczula, jak wbrew jej woli kąciki ust unoszą się w uśmiechu.

– Uprowadził dziecko, ale zostawił srebra.

– Dekoracja stołu jest ważna.

– Hej.

– Co?

– Czemu się uśmiechasz?

– A ty?

– Bo to idiotyczne.

– Na maksa.

– Więc dalej będziemy omijać ten temat?

– Nie wiem.

Brian ukląkł u jej stóp, ujął jej dłonie w swoje i spojrzał w jej oczy.

– W zeszły poniedziałek wyleciałem z Bostonu liniami British Airways.

– Nie musisz...

– Lot był opóźniony z powodu pogody o dwadzieścia pięć minut. Przez jakiś czas snułem się po terminalu E, czytałem „US Weekly”, który ktoś zostawił przed bramką. Przyłapał mnie na tym sprzątaczu. Doświadczyłaś kiedyś dezaprobującego spojrzenia lotniskowego sprzątacza? Jaja się od niego kurczą. Serio.

Pokręciła głową z uśmiechem.

– Wierzę ci, naprawdę.

– Potem kupiłem kawę w Dunkin's i już zaczęli nas wpuszczać na pokład. Wsiadłem, okazało się, że w gniazdku przy moim fotelu nie ma prądu. Przespałem jakąś godzinę. Obudziłem się, przeczytałem materiały na konferencję, choć wiedziałem, że to bez sensu, i obejrzałem film z Denzelem, który nie dawał sobie w kaszę dmuchać.

– To tytuł?

– W paru krajach na pewno.
Znowu spojrzała mu w oczy. To zawsze ma znaczenie: albo przekazuje się siłę, albo się ją odbiera, albo się nią dzieli. Oni podjęli wspólną decyzję, że się nią podzielą.
Lekko dotknęła jego skroni.
– Wierzę ci.
– Nie zachowywałaś się, jakbyś wierzyła.
– I chciałabym umieć to wyjaśnić. Pewnie przez ten pierdolony deszcz.
– Już nie pada.
Przytaknęła.
– Ale patrz, dużo osiągnęłam przez te dwa tygodnie – metro, centrum handlowe, taksówka. Nawet zawędrowałam na Copley Square.
– Przecież wiem. – Empatia, z jaką na nią patrzył – i miłość – były tak szczere, że aż ją to naprawdę zabolowało. – I nie mógłbym czuć większej dumy.
– Wiem, że byłeś w Londynie.
– Powiedz to jeszcze raz.
Lekko trąciła bosą stopą wewnętrzną stronę jego uda.
– Wiem, że byłeś w Londynie.
– Czy zaufanie wróciło do domu?
– Zaufanie wróciło do domu.
Pocałował ją w czoło.
– Pójdę pod prysznic. – Wstając z kolan, obiema rękami dotknął jej bioder.
Rachel usiadła na krześle, plecami do laptopa, plecami do rzeki, plecami do tego idealnego dnia, i zaczęła się zastanawiać, czy przez cały tydzień byli nieswoi, bo ona zachowywała się nieswojo. Czy Brian zachowywał się dziwnie, bo ona też się tak zachowywała?
Tak jak mu powiedziała, przez ostatnie czternaście dni jechała metrem, weszła do centrum handlowego, wybrała się na Copley Square i zaufała obcemu człowiekowi, że dowiedzie ją na miejsce – a wszystko to po raz pierwszy od dwóch lat.
Dla większości ludzi byłyby to osiągnięcia niewarte uwagi, ale dla niej miały fundamentalne znaczenie. Ale może także wystraszyły ją śmiertelnie. Każdy krok poza strefę komfortu był krokiem zbliżającym ją albo do zdrowia psychicznego, albo do załamania. Ale kolejne załamanie – teraz, po takim postępie – odczułaby dziesięciokrotnie mocniej.
Przez ostatnie dwa lata w jej głowie brzmiał jeden refren: nie mogę tam wrócić, nie mogę tam wrócić – w każdej zasranej minucie każdego zasnętego dnia.
Dlatego nie było nic dziwnego w tym, że zaangażowała się w działania obiecujące jej uwolnienie, jednocześnie grożące uwięzieniem w kolejnej obsesji, w czymś, co zaczęło się wiarygodnie – zobaczyła przerażająco realistyczną replikę swojego męża w miejscu, w którym nie powinien być – ale potem wyewoluowało daleko poza granice realizmu. Brian był dobrym człowiekiem. Najlepszym, jakiego знаła. Nie znaczyło to, że jest najlepszy na świecie, był po prostu najlepszy dla niej. Jeśli nie liczyć Widzenia – jak zaczęła nazywać ten incydent – nigdy nie dał jej powodu do podejrzeń. Gdy ona zachowywała się nierozsądnie, on okazywał jej zrozumienie. Gdy ona się bała, on ją uspokajał. Irracjonalne zachowania potrafił wyjaśnić. Panikę traktował cierpliwie. A kiedy przyszedł czas, żeby wróciła do świata, rozpoznał ten moment i sam ją zaprowadził. Trzymał ją za rękę, powtarzał, że nic jej nie grozi. Był przy niej. Mogli zostać albo iść dalej, ale on nad nią czuwał.
I temu mężczyźnie, pomyślała, obracając się do okna, w którym ujrzała własne odbicie przypominające widmo, unoszące się nad rzeką i jej zielonymi brzegami, akurat temu mężczyźnie postanowiłam nie ufać?

Kiedy Brian wyszedł spod prysznic, czekała na niego siedząca na blacie umywalki, z piżamą leżącą na podłodze. Zanim się do niej zbliżył, był gotowy. Kiedy w nią wszedł, nastąpiła niezręczna chwila – blat był wąski, para gęsta, jej ciało ocierało się z piskiem o lustro, które miała za plecami, on dwa razy się pośliznął, ale miał w oczach coś takiego – jakby nieklamany zachwyty – że stało się jasne, iż kochał ją jak nikt. Czasem zdawał się walczyć z tą miłością, która powracała w sposób zapierający dech w piersiach.

Wygraliśmy, pomyślała. Znowu wygraliśmy.

O jeden raz za dużo uderzyła biodrem w kran i zaproponowała, żeby przenieśli się na podłogę. Skończyli na jej zmiętej piżamie, ona wbijała pięty we wklęsłości pod jego kolanami – to musi wyglądać idiotycznie, pomyślała, w oczach Boga, jeśli patrzy, w oczach ich zmarłych bliskich, jeśli potrafią spoglądać poprzez czas i galaktyki – ale jej to nie obchodziło. Kochała go.

Następnego ranka Brian wyszedł do pracy, gdy ona jeszcze spała.

Poszła do garderoby, żeby wybrać sobie ubranie. Jego otwarta walizka stała na drewnianym stelażu, który zwykle trzymał złożony i schowany za butami. Prawie skończył pakowanie – zostało tylko wolne miejsce na przybory do golenia. Obok na wieszaku czekał worek z trzema garniturami.

Kolejny raz miał wyjechać już nazajutrz. I był to jeden z tych ważniejszych wyjazdów, które miały miejsce co półtora miesiąca. Tym razem Brian wybierał się do Moskwy, a potem do Krakowa i do Pragi. Uniosła parę jego koszul, zauważyła, że spakował tylko jeden sweter i płaszcz, ten przeciwdeszczowy, który miał na sobie podczas ostatniej podróży. Wydawał się zbyt cienki jak na zimny maj w Europie Wschodniej. Czy średnie temperatury nie wynoszą tam obecnie poniżej dziesięciu stopni?

Sprawdziła to na smartfonie.

Okazało się, że raczej powyżej osiemnastu.

Wróciła do sypialni, padła na łóżko i zadała sobie pytanie, co jest z nią nie tak, do kurwy nędzy. Brian zdał śpiewająco wszystkie egzaminy, jakim go poddała. Wczoraj, po tym, jak się kochali, był nieustannie uważny, zabawny i przyjemny. Wymarzony mąż. A ona nagrodziła go za to, śledząc prognozy pogody, by sprawdzić, czy spakował się odpowiednio do klimatu krajów, które rzekomo zamierzał odwiedzić. Rzekomo. I znowu. Jezu! Może powinna przez jakiś czas chodzić do Jane dwa razy częściej, żeby jakoś zapanować nad tą paranoją. Albo wypełnić sobie czas czymś innym niż wylegiwanie się i szukanie urojonych powodów, dla których jej mąż miałby być kłamcą. Musi wrócić do pisania książki. Musi usiąść na tyłku i nie wstawać, dopóki nie przełamie tej blokady dotyczącej wydarzeń w Jacmel.

Wstała i z koszykiem na pranie poszła do wneli, w której ustawili pralkę i suszarkę. Przeszukała kieszenie spodni Briana, bo zawsze zostawiał tam drobne; odzyskała siedemdziesiąt siedem centów i parę zmiętych wydruków z bankomatu. Spojrzała na nie – jakżeby inaczej – i stwierdziła, że to dwie wypłaty o standardowej wysokości dwustu dolarów, jedna dokonana tydzień po drugiej. Wrzuciła je do wiklinowego koszyka na śmieci, a drobne wsypała do pękniętego kubka, który ustawiła na półce specjalnie w tym celu.

Przeszukała własne kieszenie, nie znalazła w nich nic oprócz rachunku, który tydzień temu ukradła z płaszcza Briana. No, „ukradła” to za mocne słowo. Pozyskała. Tak lepiej. Usiadła na podłodze, plecami do pralki, wygładziła karteczkę na kolanie i jeszcze raz zastanowiła się, dlaczego ją niepokoi. To tylko druczek z londyńskiego kiosku, w którym dnia dziewiątego maja dwa tysiące czternastego roku o godzinie jedenastej dwanaście Brian kupił gumę do żucia, „Daily Sun” i butelkę oranżady za kwotę pięciu funtów szterlingów i czterdziestu siedmiu centów. Kiosk znajdował się na Monmouth Street siedemnaście, naprzeciwko hotelu Covent Garden.

No i znowu się zaczyna. To tylko rachunek. Wyrzuciła go do kosza. Dodała proszek do

pralki, włączyła ją i wyszła z niszy.

Wróciła. Wyjęła z kosza rachunek i przyjrzała się mu jeszcze raz. To ta data nie dawała jej spokoju. 05/09/14. Dziewiąty maja dwa tysiące cztertnastego roku. Tak, wtedy właśnie Brian był w Londynie. Miesiąc, dzień, rok. Ale w Anglii nie zapisuje się dat w taki sposób. Zamiast porządku miesiąc-dzień-rok obowiązuje kolejność dzień-miesiąc-rok. Gdyby ten wydruk naprawdę pochodził z londyńskiego kiosku, widniałoby na nim nie 05/09/14, lecz 09/05/14.

Włożyła rachunek do kieszeni spodni od piżamy. Udało jej się dobiec do łazienki, zanim zwymiotowała.

Jakoś przetrwała kolację z Brianem, choć prawie się nie odzywała. Gdy spytał, czy coś się stało, powiedziała, że alergia daje jej w kość, a książka wymaga o wiele więcej pracy, niż się spodziewała. Brian naciskał, więc w końcu rzuciła:

– Jestem zmęczona i tyle. Możemy na tym skończyć?

Skinął głową ze zrezygnowaną i przygnębioną miną – męczennik, który musi znosić wrogie zachowanie nieracjonalnej żony.

Spała z nim w jednym łóżku. Nie wierzyła, że zdoła zasnąć, i przez pierwszą godzinę leżała tylko z policzkiem wtulonym w poduszkę, przyglądając się, jak Brian śpi.

Kim jesteś? – miała ochotę spytać. Chciała usiąść na nim okrakiem, bić pięściami w jego pierś i wykrzykiwać to pytanie.

Co mi zrobiłeś?

Co zrobiłam sama sobie, kiedy związałam się z tobą? Gdy się do ciebie przykułam?

Dokąd prowadzą twoje kłamstwa?

Jeśli jesteś oszustem, czym wobec tego jest moje życie?

Jakimś cudem zasnęła. Przez całą noc się rzucała, a rano obudziła się z krzykiem strachu.

Gdy Brian był pod prysznicem, poszła do salonu, spojrzała przez okno na małego czerwonego forda focusa, którego wynajęła wczoraj z wypożyczalni za rogiem. Nawet z tej wysokości widziała pomarańczowy świstek, który kobieta ze służby miejskiej wsunęła pod jej prawą wycieraczkę. Spodziewała się tego; wczoraj zaparkowała w strefie wyłącznie dla mieszkańców, ponieważ tylko tu mogła zostawić samochód tak, by widzieć z niego drzwi ich garażu.

Ubrała się w strój do gimnastyki i bluzę z kapturem. Gdy szum wody pod prysznicem ucichł, zapukała lekko do drzwi łazienki.

– Tak?

Otworzyła drzwi i oparła się o framugę. Brian miał biodra owinięte ręcznikiem i krem do golenia na szyi i szczęce. Właśnie zabierał się do policzków; teraz spojrzał na nią, trzymając w zagłębieniu dłoni małą beżę fioletowego żelu.

– Idę na siłownię.

– Teraz?

Przytaknęła.

– Ta trenerka, którą lubię, wiesz, we wtorki jest tylko o tej porze.

– Dobrze. – Podeszedł do niej. – Do zobaczenia za tydzień.

– Bezpiecznego lotu!

Stali naprzeciwko siebie, oddaleni o parę centymetrów, on wpatrzony w jej oczy, ona z nieruchomym spojrzeniem.

– Pa.

– Kocham cię – powiedział.

– Pa – powtórzyła i zamknęła drzwi za sobą.

ALDEN MINERALS SP. Z O.O.

Poprzedniego dnia, gdy Rachel wyjechała samochodem z wypożyczalni parkingu za rogiem na miejsce parkingowe pod ich budynkiem, pokonała mniej więcej dwie przecznice, a i tak było to dla niej wstrząsające przeżycie. Teraz, widząc, jak Brian wyjeżdża z garażowej rampy na ulicę, miała wrażenie, że cały tlen, jaki znajdował się w jej organizmie, został wpompowany do jej serca. Brian skręcił w Commonwealth i natychmiast zjechał na lewy pas. Ruszyła gwałtownie. Z jej lewej strony szybko nadjeżdżała taksówka. Ryknął klakson. Taksówka ominęła ją gwałtownym slalomem, kierowca uniósł rękę w geście oburzenia na tę idiotkę, która nie potrafi jednocześnie jechać i myśleć.

Rachel zatrzymała się przodem na ulicy na miejscu parkingowym. Gorąco zalało jej głowę i gardło.

Daj spokój.

Spróbujesz, gdy wyjedzie następnym razem.

Ale wiedziała, że jeśli posłucha tego głosu, nigdy więcej się na to nie odważy. Przesiedzi kolejny rok (lata) w domu, przerażona, nieufna, rozgoryczona, aż te uczucia staną się jej ukojeniem, przewrotnym lekarstwem, jej maskotką, którą będzie obsypywać pieśczołami, aż te pieśczołoty staną się jedynymi w jej życiu. A najgorsze było to, że do tego czasu zdąży sobie wmówić, że to aż nadto.

Skręciła w Commonwealth i usłyszała swój ciężki oddech – zły znak. Jeśli nie zdoła go uspokoić, nabawi się hiperwentylacji, może nawet straci przytomność i rozbije samochód, tak jak przewidział to Brian.

Powoli wypuściła powietrze przez wydęte wargi. Brian skręcił w lewo na Exeter. Dogoniła taksówkę, z którą prawie się zderzyła. Znowu wypuściła powietrze, bardzo powoli, i jej oddech odzyskał znośny rytm. Natomiast serce nadal drżało jak zwierzę w klatce, które widzi gospodarza zbliżającego się z siekierą. Ścisnęła kierownicę niczym starsza pani albo instruktor ze szkoły jazdy, z napiętym karkiem, mokrymi dłońmi, ściągniętymi łopatkami.

Brian skręcił za Westin w lewo i na chwilę straciła go z oczu, a w tym miejscu to się nie powinno wydarzyć. Miał tu zbyt wiele opcji – mógł wjechać ślimakiem na autostradę Massachusetts, pojechać prosto przez Stuart albo skręcić w prawo na Dartmouth, a potem na South End. Wybrał tę ostatnią opcję: zauważyła światła hamowania jego auta, gdy mijał centrum handlowe po prawej, ale straciła je z oczu, gdy zasłoniła go taksówka, która pojechała prosto, gdy ona skręciła w prawo. Brian był oddalony o pół przecznicy, ale nie rozdzielały ich żadne samochody. Gdyby się zbliżyła, zobaczyłby jej twarz w lusterku wstecznym.

Poprzedniego dnia zastanawiała się, czy się nie przebrać, ale wydało jej się to idiotyczne – co miała zrobić, włożyć okulary z nosem i wąsami? Maskę hokeisty? Dlatego zdecydowała się na kaszkiet, który rzadko nosiła, i duże okulary przeciwsłoneczne, bo Brian dotąd ich nie widział. Nie rozpoznałby jej z dużej odległości. Co innego, gdyby znalazła się bliżej.

Brian skręcił w lewo na Columbus, a na jezdni pojawił się nowy samochód, czarne combi z rejestracją ze stanu Nowy Jork. Rachel schowała się za nim i tak przejechali parę kilometrów. Cała trójka skręciła z Columbus na Arlington, a z Arlington na Albany i ruszyła w stronę I-93. Gdy Rachel zorientowała się, że zmierzają w stronę autostrady, myślała, że zwymiotuje na deskę rozdzielczą. Było jej wystarczająco trudno na małych uliczkach – ten hałas, te wyboje, młoty

pneumatyczne kujące asfalt na budowie, piesi, którzy przebiegali przez pasy, inne samochody napierające z boku, zajeżdżające jej drogę, prawie wjeżdżające w bagażnik. A to wszystko przy czterdziestu kilometrach na godzinę. Nie miała czasu się nad tym zastanowić, bo Brian już wjeżdżał na dziewięćdziesiątkętrójkę South. Podążyła za nim, czuła się przy tym, jakby rampa wjazdowa ją wsysała. Brian dodał gazu i przemknął przez trzy pasy na lewy. Pęd kołysał jego samochodem. Ona także wcisnęła pedał gazu; efekt był mniej więcej taki, jakby stanęła na kamieniu w nadziei, że zacznie galopować. Mały ford powlókł się odrobinę szybciej, a potem jeszcze szybciej i jeszcze. Kiedy rozkręcił się do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, które samochód Briana osiągnął niemal natychmiast, infiniti znajdowało się już pół kilometra dalej. Rachel nadal wgniatała pedał w podłogę i pozostawała na sąsiednim pasie, a wkrótce dogoniła Briana na tyle, że kiedy przejechali przez Dorchester i dotarli na Milton, rozdzielało ich tylko pięć samochodów.

Tak bardzo skupiła się na zadaniu, że całkiem zapomniała o strachu przed jazdą po autostradzie. Teraz on powrócił, ale nie był to ten stężony lęk, tylko uparty trzepot w gardle i przeświadczenie, że kości przebijają jej się przez skórę.

I jeszcze poczucie zdrady, i furia, pałająca ją jak kwas. Bo stało się jasne – choć właściwie nigdy w to nie wątpiła – że Brian nie kieruje się na lotnisko, które dawno zostało za nimi.

Gdy zmienili autostradę dziewięćdziesiąt trzy na dziewięćdziesiąt pięć i na poboczu pojawiły się drogowskazy z nazwą Providence, Rachel zaczęła się zastanawiać, czy Brian nie postanowił wylecieć z lotniska TF Green, jedynego większego na Rhode Island. Wiedziała, że ludzie wolą je od zatłoczonego Logan, ale miała pewność, że nie ma stamtąd bezpośrednich lotów do Moskwy.

– On nie jedzie do żadnej jebanej Moskwy – powiedziała na głos.

Po chwili potwierdziła swoje podejrzenia, bo jakieś piętnaście kilometrów przed lotniskiem Brian wrzucił kierunkowskaz i zaczął płynnie zmieniać pasy. Opuścił autostradę w Providence zjazdem na Uniwersytet Browna, graniczącym z College Hill i Federal Hill. Kilka innych samochodów podążyło za nim, również Rachel – w bezpiecznej odległości, bo oddzielały ich dwa pojazdy. Na zjeździe Brian skręcił w prawo, a dwa samochody za nim – w lewo.

Rachel zwolniła przed skrzyżowaniem, by jej mąż jak najbardziej się oddalił, ale nie mogła za długo zwlekać. Jakiś facet w porsche minął ją z lewej strony z głośnym wizgiem i wyprysnął tuż przed nią. Jeszcze nigdy bardziej nie ucieszył jej widok faceta z kompleksem małego penisa w samochodzie dla małych penisów, zachowującego się jak mały penis, ponieważ znowu coś ją odgradzało od Briana.

Ale nie trwało to długo. Na pierwszych światłach porsche zjechał na pas do skrzyżowania w lewo, potem dodał gazu, śmignął obok Briana na skrzyżowaniu i pomknął z rykiem przed siebie. Małe fiutki, pomyślała Rachel, i te ich samochody dla małych fiutków. Cholera.

Teraz, gdy między nią i jej mężem nie było już żadnego samochodu, nie mogła przewidzieć, kiedy Brian spojrzy w lusterko wsteczne i ją rozpozna. Przejechała przez skrzyżowanie. Trzymała się na odległość czterech samochodów, ale kierowca z tyłu już teraz wyciągał szyję, jakby usiłował rozstrzygnąć, co skłoniło ją do popełnienia niewybaczalnego grzechu: zbyt wolnej jazdy.

Znajdowali się w dzielnicy drewnianych willi w klasycystycznym stylu, armeńskich piekarni i kościołów z wapienia. Brian raz przechylił głowę w prawo – najwyraźniej patrzył w lusterko wsteczne – i Rachel w panice omal nie zahamowała. Ale nie, nie, potem znowu spojrział przed siebie. Dwie przecznice dalej dowiedziała się, co przykuło jego uwagę – na poboczu dostrzegła cukiernię i stację benzynową. Rachel wrzuciła kierunkowskaz, podjechała pod cukiernię i przygotowała się do tego, by ponownie ruszyć, gdy minął ją zielony chrysler.

Ale za zielonym chryslerem jechał brązowy prius, a za priusem beżowy jaguar, a zaraz za jaguarem – toyota 4runner na wielkich kołach, a za toyotą – o matko – minivan. Zanim udało jej się ruszyć, znalazła się pięć samochodów za Brianem i w dodatku nic nie widziała zza zbyt wysokiego minivana. A nawet gdyby coś zobaczyła, to byłby to tył jeszcze większej toyoty.

Na następnych światłach samochody stanęły, a Rachel nie była w stanie stwierdzić, czy Brian zdążył przejechać na zielonym.

Potem znowu ruszyli. Sunęła na końcu szeregu samochodów jadących w linii prostej bez żadnych zakrętów. Tylko jeden, modliła się, jeden jebany zakręt i może, może go zobaczę z daleka.

Po dwóch kilometrach dotarli do rozjazdu. Prius, minivan i toyota skrzyły w Bell Street, chrysler i jaguar pozostały na trasie na Broadway. Problem tylko w tym, że przed chryslerem nie było infiniti Briana. Nie mogła go nigdzie dostrzec.

Rachel krzyknęła przez zaciśnięte zęby i ścisnęła kierownicę tak mocno, że omal jej nie urwała. Zawróciła ostro. Zrobiła to bez zastanowienia i bez ostrzeżenia. Samochody pędzące za nią i te nadjeżdżające w jej kierunku roztrąbiły się wściekle. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Nie czuła strachu, tylko wściekłość i frustrację. Ale głównie wściekłość.

Wróciła na Broadway aż do stacji benzynowej i cukierni, gdzie straciła Briana z oczu. Znowu zawróciła – tym razem uprzedziła o tym innych kierowców i nie zrobiła tego aż tak brutalnie – i ruszyła w kierunku, z którego przyjechała. Po drodze, wlokąc się pięćdziesiąt na godzinę, zaglądała we wszystkie boczne uliczki.

Znowu dotarła do rozwidlenia. Stłumiła kolejny wrzask. Powstrzymała napływające łzy. Skrzyła w lewo, na mały parking przed siedzibą organizacji weteranów, i ponownie zawróciła.

Gdyby nie musiała stanąć na czerwonym świetle, nigdy by go nie znalazła. Ale musiała. I kiedy tak stała, a po prawej stronie miała kolejną stację benzynową i jakąś drugorzędną agencję ubezpieczeniową, spojrzała w boczną uliczkę i zobaczyła duży wiktoriański dom z wysoką białą tablicą na trawniku, na której wymieniono wszystkie mieszczące się w nim firmy. A na parkingu, znajdującym się od strony krótszego boku budynku, pod schodami przeciwpożarowymi, stał samochód Briana.

Znalazła miejsce do zaparkowania sześć domów dalej. Wróciła piechotą. Po obu stronach ulicy rosły stare dęby i klony. Tam, gdzie padał ich cień, chodnik był jeszcze wilgotny od porannej rosy. W majowym powietrzu czuć było jednocześnie rozkład i nowe życie. Jak to możliwe, że gdy zbliżała się do budynku, w którym jej mąż ukrywał prawdę o sobie – a może raczej jedną z prawd – czuła zapachy tej ulicy i że ją uspokajały?

Na tablicy przed domem widniały nazwiska trzech psychiatrów i lekarza domowego, poza tym miała tam siedzibę spółka wydobywcza, firma ubezpieczeniowa, a dwóch prawników prowadziło tu swoje kancelarie. Rachel nie wychodziła z cienia, jakie rzucały wielkie drzewa, dopóki nie dotarła do zaułka za domem. Wielki znak u wlotu zaułka ostrzegał, że parkować mogą tu tylko mieszkańcy Seaver Street dwieście trzydzieści dwa, natomiast liczne mniejsze tabliczki przyśrubowane do muru wskazywały, do kogo należy dane miejsce. Infiniti Briana stało na miejscu zarezerwowanym dla Alden Minerals sp. z o.o.

Rachel nigdy nie słyszała o Alden Minerals, a jednak natychmiast odniosła wrażenie, że zna tę firmę. Jednocześnie była pewna, że nie. Kolejny paradoks w tygodniu, który był ich pełen.

Alden Minerals sp. z o.o. znajdowała się na piętrze, pokój dwieście dziesięć. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by Rachel wtargnęła na górę i przekonała się, co knuje jej mąż kłamca. Mimo to się zawahała. Znalazła miejsce pod schodami przeciwpożarowymi, oparła się o mur i szukała jakiegoś logicznego wytłumaczenia. Mężczyźni czasem wdają się w skomplikowane intrygi, kiedy, powiedzmy, planują przyjęcie niespodziankę. Nie. Nieprawda.

Przynajmniej nie do tego stopnia, by rzekomo wyjechać do Londynu, choć tak naprawdę zostali w Bostonie, albo polecieć do Moskwy, gdy jadą do Providence. Nie, czegoś takiego nie można wiarygodnie wyjaśnić. Chyba że... Że co? Chyba że Brian jest szpiegiem, pomyślała. Czy szpiegdy się tak nie zachowują? No wiesz, Rachel, odezwał się sarkastyczny głos, bardzo podobny do głosu jej matki, oczywiście, że tak. Podobnie jak niewierni mężowie i socjopaci.

Stała pod tym murem i żałowała, że rzuciła palenie. Co zyska, jeśli w tej chwili zaskoczy Briana? Wydusi z niego prawdę? Pewnie nie, skoro tak długo z powodzeniem ją okłamywał. I cokolwiek by jej powiedział, w tym momencie i tak mu nie uwierzy. Mógłby jej pokazać listy uwierzytelniające od CIA, a ona i tak pomyślałaby o tym zdjęciu, które rzekomo przysłał jej z Londynu (a właśnie, jak on je sfalszował?), i oznajmiłaby, że może wziąć te fałszywki i wsadzić je sobie w dupę. Jeśli teraz stanie przed Brianem, nie zyska niczego. Oczywiście trudniej było jej przyznać, że gdyby dziś zmusiła go do konfrontacji, bez względu na to, czy ją okłamał, ich związek – a raczej to coś, na co potrzebowała nowej nazwy – rozpadłby się na kawałki. A na to jeszcze nie była gotowa. Wstydziała się tego, ale w tej chwili nie potrafiła znieść myśli o tym, że go utraci. Wyobraziła sobie ich mieszkanie, w którym nie ma jego ubrań, książek, szczoteczki do zębów i żyłek z tytanu, lodówkę bez jego ulubionego jedzenia, barek bez jego szkockiej albo gorzej, z jej zapomnianą butelką, którą w końcu znajdzie i wyleje do zlewu. Wyobraziła sobie, że pisma, które prenumerował, będą przychodzić do domu jeszcze przez wiele miesięcy po jego odejściu, a jej długie puste dni będą się zmieniać w długie niekończące się wieczory. Po załamaniu na wizji straciła większość przyjaciół. Tak, miała Melisę, ale Melissa była przyjaciółką typu „Weź się w garść”, „Myśl pozytywnie” – „Przepraszam, czy mogłabym prosić jeszcze jeden koktajl, ale bez lodu?” – oraz „Otrząśnij się z tego”. Poza tym jej przyjaciele nie byli żadnymi przyjaciółmi, tylko zwykłymi znajomymi. Trudno jest utrzymywać kontakty z osobą, która zamknęła się w domu. Przez parę ostatnich lat jej jedynym prawdziwym i niezłomnym towarzyszem był Brian. Był dla niej oparciem jak korzenie dla drzewa. Był jej całym światem. Racjonalna część jej umysłu wiedziała, że powinna się z tego wycofać, ależ oczywiście. Bo to oszust. A ich dom jest domkiem z kart. A jednak...

Brian wyszedł z budynku i przeszedł tuż przed nią. Pisał SMS-a, idąc do samochodu, a ona stała niespełna dwa metry od niego. Czekwała, kiedy ją zobaczy. Usiłowała zdecydować, co mu powie. Przebrał się w ciemnoniebieski garnitur z białą koszulą, do niej założył krawat w srebrno-czarną kratkę i ciemnobrażowe buty. Na prawym ramieniu niósł brązową skórzaną torbę na laptopa. Wsiadł do samochodu i zsunął torbę na siedzenie obok, jedną ręką nadal pisał, a drugą zamykał drzwi. Uruchomił silnik, nie przerywając pisania, a potem chyba wysłał SMS-a, bo rzucił telefon na siedzenie pasażera i wycofał samochód, patrząc w lusterko wsteczne. Wystarczyłoby, żeby przesunął spojrzenie w dół o piętnaście centymetrów, i zobaczyłby Rachel. Pewnie z zaskoczenia zapomnieliby, że jedzie na wstecznym, i walnąłby w latarnię. Ale nie. Wycofał samochód, obracając kierownicą, a potem zwrócił go w stronę Seaver Street. Opuścił zaułek, skręcił w lewo na Seaver.

Rachel pobiegła do swojego samochodu, dziękując w duchu, że na część przebrania wybrała tenisówki. Wsiadła do samochodu, zawróciła, wyjechała na ulicę i śmignęła przez skrzyżowanie, gdy żółte światło zmieniało się na czerwone. Po chwili dostrzegła go na Broadway, trzy samochody od niej. Śledziła go aż na College Hill. Zaparkował w dzielnicy, która wyglądała tak, jakby była zawieszona między ruiną a odnową. Zatrzymała się pięćdziesiąt metrów za nim, przed nieczynnym biurem podróży i zamkniętym sklepem z płytami. Dalej znajdowała się wypożyczalnia mebli, sądząc po tym, co znajdowało się na wystawie, specjalizująca się w czarnych lakierowanych komodach. Obok zauważyła sklep monopolowy i sklep z kamerami, Little Louie's. Sklepy z kamerami prawdopodobnie zmierzają w tym samym

kierunku co sklepy z płytami i biura podróży (natomiast monopolowe będą się trzymać mocno), ale ten działał, przynajmniej na razie. Brian wszedł do niego. Wahala się, czy nie zerknąć do środka, ale szybko uznała, że to sytuacja ze zbyt wieloma niewiadomymi. Miała rację, o czym się przekonała, gdy Brian wyszedł ze sklepu zaledwie po dwóch minutach. Gdyby poddała się impulsowi, dałaby się zaskoczyć na środku chodnika. Brian odjechał; ona także ruszyła. Gdy mijala sklep z kamerami, zauważyła, że jego wnętrze jest dość ciemne; na wystawie znajdowały się tylko zdjęcia kamer i reklamy przyklejone do szyby. Nie miała pojęcia, co się dzieje w tym sklepie, ale podejrzewała, że sprzedaż kamer nie stanowi jego głównej działalności.

Brian opuścił Providence i przejechał przez szereg coraz mniejszych miasteczek, w których drewniane domy stawały się coraz bardziej zniszczone, a gdzieś tam pojawiły się pola uprawne. W końcu zatrzymał się przed względnie nowym pasażem handlowym. Zaparkował na jego rogu, koło piekarni, obok wolno stojącego banku, i wysiadł z samochodu. Wszedł do banku, znowu z tą torbą na laptopa. Rachel zatrzymała się na jałowym biegu na parkingu przed pasażem handlowym, naprzeciwko apteki i sklepu obuwniczego. Czekając, wyjęła komórkę z zagłębienia na kubek i zauważyła nowego SMS-a. Otworzyła go. Był od Briana, wysłany dwadzieścia minut temu spod budynku na Seaver Street, gdy prawie się zobaczyli.

„Skarbie, zaraz start. Lądowanie za jakieś 10 godzin. Mam nadzieję, że nie będziesz spała, kiedy zadzwonię. Bardzo Cię kocham”.

Dziesięć minut później wyszedł z banku, ale nie niósł już torby. Wsiadł do infiniti i ruszył. Pojechała za nim na Providence. Zatrzymał się w kwaciarni, kupił bukiet białych i różowych kwiatów, a ona poczuła ściskanie w żołądku. Nie wiedziała, czy jest gotowa na to, do czego zmierzała ta sytuacja. Brian zrobił jeszcze jeden przystanek na kupno butelki szampana. Teraz Rachel wiedziała już na pewno, że nie jest jeszcze gotowa. Skręcił z głównej szosy na Federal Hill, kiedyś twierdzy Amerykanów włoskiego pochodzenia i siedziby mafii z Nowej Anglii, ale teraz już tylko kolejnej ładnej, szlachetnej dzielnicy pełnej szykownych restauracji i szeregowców z czerwonej cegły. Zatrzymał infiniti przed jednym z tych domów z oknami otwartymi, by wpuścić do środka ten piękny dzień, z białymi firankami powiewającymi w oprawie białych framug. Rachel zaparkowała po drugiej stronie ulicy, parę domów dalej. Brian wysiadł z tym swoim bukietem, włożył do ust dwa palce i gwizdnął głośno – przez cały spędzony z nim czas nie widziała, żeby robił coś takiego. Zresztą nie tylko ten gwizd był nowy, uświadomiła sobie, Brian poruszał się inaczej, trzymał ramiona wyżej, był luźniejszy w biodrach, maszerował sprężystym, pewnym siebie krokiem tancerza. Wszedł po schodkach. Drzwi wejściowe się otworzyły.

– O Jezu – szepnęła Rachel. – Jezu, Jezu, Jezu.

Bo drzwi otworzyła kobieta koło trzydziestu pięciu lat. Miała kręcone jasne włosy i pociągłą ładną twarz. Ale wcale nie to przyciągnęło uwagę Rachel, gdy Brian podał kobiecie bukiet i szampana, a potem ukląkł na ganku, żeby pocałować jej ciężowy brzuch.

VHS

Rachel nie pamiętała, jak wróciła na autostradę. Przez resztę życia zastanawiała się, jak absolutnie trzeźwa osoba może przejechać kilka kilometrów przez średniej wielkości miasto i nie pamiętać z tego ani minuty.

Wybrała Briana na męża, bo wydawał się niegroźny. Bo był pozytywnie nastawiony. Szczery do bólu. Bo nigdy nie oszukiwał. Nie kłamał. I z całą pewnością nie prowadziłby podwójnego życia.

A jednak widziała, jak jej mąż wchodzi do szeregowca, obejmuje w tali swojej ciężarną żonę (dziewczynę?) i zamyka za sobą drzwi. Nie miała pojęcia, jak długo siedziała w samochodzie, gapiąc się na ten dom – na pewno na tyle długo, żeby zauważyć lekko obłazące z farby parapety na piętrze i kabel zardzewiałego talerza satelitarnego zwisający na froncie budynku. Framugi okien były białe, ceglana fasada (sądząc z wyglądu, chyba niedawno umyta) – czerwona, drzwi wejściowe – czarne, prawdopodobnie wielokrotnie malowane przez ostatnie sto lat lub dłużej. Wisiała na nich cynowa kołatka.

A potem, gdy nagle Rachel ocknęła się na autostradzie, nie miała pojęcia, jak się na niej znalazła.

Myślała, że się rozplacze. Nie płakała. Myślała, że się roztrzęsie. Nie roztrzęsła się. Myślała, że będzie rozpaczać, i może rozpaczała, może to właśnie takie uczucie – kompletne odrętwienie, zatonięcie w nicości. Porażona dusza.

Kiedy dotarła do Massachusetts, trzy pasy autostrady zmieniły się w dwa. Z prawej strony doganiał ją jakiś samochód, chciał wyjechać przed nią, bo pas, po którym sunął, miał się zaraz skończyć. Znaki ostrzegające przed zwężeniem pojawiły się już pięć kilometrów temu. Kierowca je zignorował, a teraz zamierzał wymusić na niej ustępstwo.

Dodał gazu.

Ona też.

Więc przyspieszył jeszcze bardziej. Ona także. Zaczął ją spychać z pasa. Nie dała się. Znowu przyspieszył. Ona też, wpatrzona przed siebie. Zatrąbił. Nie zmieniła pasa. Za sto metrów jego pas się kończył. Kierowca wcisnął gaz do dechy, ona także – na ile to możliwe w fordzie focusie. Został z tyłu tak gwałtownie, jakby jego samochód był wyposażony w spadochron. Parę sekund później znowu pojawił się za nią.

Zauważyła na jego masce znaczek Mercedes-Benz. No i wszystko jasne.

Kierowca pokazał jej środkowy palec i zatrąbił. Łysiejący typek w drogich okularach, z policzkami, które zaczynały już zwisać jak u buldoga, cienkim nosem i niemal nieistniejącymi wargami. Widziała w lusterku, jak się piekli i zapluwa. Z całą pewnością parę razy powiedział „kurwa”, a jeszcze więcej razy – „cipa”. Pewnie opluł już całą deskę rozdzielczą. Chciał zjechać na pas do wyprzedzania i wyjechać tuż przed nią, ale ruch po lewej był zbyt intensywny, więc tylko ciągle trąbił, pokazywał fucka i wrzeszczał, jaką jest cipą, kurwą i cipą.

Wcisnęła hamulce. I to nie lekko. Na chwilę ograniczyła prędkość o jakieś dziesięć kilometrów na godzinę. Brwi faceta wystrzeliły w górę zza ciemnych okularów. Jego usta zastygły w rozpaczliwym „O”. Zacisnął palce na kierownicy, jakby nagle go poraził prąd. A Rachel się uśmiechnęła, a po chwili zaśmiała.

– Pierdol się – powiedziała do lusterka wstecznego. – Ty zerowy człowieku.

Nie wiedziała, czy te słowa mają sens, ale czuła, że sprawiają jej przyjemność.

Dwa kilometry dalej zrobiło się luźno na tyle, że kierowca mercedesa mógł skręcić na lewy pas i wyjechać przed nią. Normalnie patrzyłaby wprost przed siebie – normalnie? Normalność nie istniała. Trzy dni temu za nic nie usiadłaby za kierownicą – ale dziś odwróciła głowę i spojrzała na niego. Zdjął okulary; oczy miał dokładnie tak małe i zgaszone, jak się spodziewała. Zmierzyła go nieruchomym wzrokiem, pędząc sto dziesięć na godzinę. Patrzyła spokojnie na tego małego człowieczka, aż furia w jego oczach zmieniła się w zmieszanie, poczucie winy, a potem w coś bliskiego rozczarowaniu, jakby Rachel stała się nagle jego nastoletnią córką, która wróciła do domu zbyt późno, śmierdząca wódką i papierosami. Pokręcił głową z beznadziejną dezaprobatą i przeniósł wzrok na szosę. Rachel jeszcze przez moment patrzyła na niego, po czym zrobiła to samo.

Na miejscu odprowadziła focusa do wypożyczalni i wjechała windą na piętnaste piętro. Gdy szła do drzwi swojego mieszkania, czuła się bardziej samotna niż astronauta w kosmosie. Pozbawiona kotwicy. Odseparowana. Unosząca się ponad granicami, w miejscu, gdzie nikt nie mógł jej schwytać i sprowadzić na ziemię. Fakt, że z czterech mieszkań na tym piętrze tylko jej i Briana miało stałych lokatorów, także w niczym jej nie pomagał. Trzy pozostałe lokale były własnością inwestorów. Od czasu do czasu ona i Brian spotykali parę starszych Chińczyków lub też żonę niemieckiego finansisty z trójką dzieci, nianią i zakupami. Nie wiedziała, kto zajmuje trzecie mieszkanie.

Penthouse nad nimi był prawdopodobnie własnością młodzieńca, którego nazwali Spadkobiercą – tak młodego, że pewnie uczył się czytać w czasach, gdy Rachel straciła dziewictwo. O ile wiedziała, mieszkanie służyło mu jako miejsce schadzek z prostytutkami. Poza tym prawie nigdy się w nim nie pojawiał.

Na ogół Rachel lubiła tę ciszę i odosobnienie, ale dziś, przemierzając korytarz, czuła się jak wyrzutek, ktoś napiętnowany, wyklęty, wykluczony ze stada, głupia marzycielka, która przeżyła niemiłe przebudzenie. Słyszała, jak wszechświat się z niej śmieje. *Nie wiedziałaś, idiotko, że miłość nie jest dla ciebie?*

Wydawało się jej, że mieszkanie ją osacza. Każda ściana, kąt, widok. To wszystko należało do nich, to wszystko ich określało. W tych miejscach się kochali, rozmawiali, kłócili się lub wspólnie jedli. To oni wybrali te obrazy, dywany, stół i krzesła, lampę, którą znaleźli w sklepie z antykami w Sandwich. Zapach Briana był na ręczniku, na gazecie z nie do końca rozwiązana krzyżówką. Te zasłony, żarówki, przybory toaletowe. Niektóre z nich przeniesie do nowego życia – jakie to będzie życie? – ale niemal wszystko inne zbyt głośno krzyczało „my”, by mogła o tym powiedzieć „moje”.

Zjechała windą do lobby, by odebrać pocztę. Miała nadzieję, że to pozwoli jej trochę odetchnąć. Na portierni siedział Dominick, czytając gazetę. Prawdopodobnie należała do któregoś lokatora, może nawet do niej. Dominick spojrzał na Rachel i skinął głową z szerokim uśmiechem, który nie miał żadnego znaczenia, po czym wrócił do czytania. Rachel przeszła do skrzynek pocztowych znajdujących się za nim i otworzyła tę należącą do niej i Briana. Wyjęła cały stosik papierów. Wrzuciła ulotki i reklamy do kosza. Zostały jej trzy rachunki.

Mijając Dominicka, rzuciła mu po drodze: „Trzymaj się”.

– Ty też – odparł. A kiedy dotarła do wind, krzyknął za nią: – Aha, przepraszam! Mam coś dla ciebie.

Odwróciła się; Dominick przeglądał przegródkę z niewymiarowymi przesyłkami. Wręczył jej żółtą kopertę. Nie знаła nadawcy – Pat's Book Nook & More w Barnum w stanie Pensylwania – ale potem przypomniała sobie, że zamówiła kasetę VHS. Zważyła kopertę w dłoni – dokładnie, to kasetka. W mieszkaniu otworzyła przesyłkę i wyjęła film. Pudełko było

zniszczone, powycierane na rogach. Robert Hays i Vivica A. Fox patrzyli jej prosto w oczy, radośnie uśmiechnięci, z głowami przechylnymi na lewo. Rachel zaczęła otwierać butelkę pinot noir, kiedy uświadomiła sobie, że przecież nie ma odtwarzacza VHS. Bo kto go jeszcze ma? Już miała sprawdzić w internecie, czy można je gdzieś kupić, gdy przypomniała sobie, że mają taki sprzęt w przechowalni w Brookline. Będzie musiała wynająć kolejny samochód i przejechać parę kilometrów, i to w godzinach szczytu. A po co? Żeby obejrzeć film, bo tak jej kazał jakiś pijany gość? Wiedziała już, że jej mąż ma drugą żonę w innym stanie. Czego jeszcze może się dowiedzieć z nieznanego filmu z dwa tysiące drugiego roku?

Napiła się wina i obejrzała kasetę z drugiej strony. Opis na eBayu rzeczywiście został z niej zapożyczony. Nad nim znajdowały się dwa małe zdjęcia. Jedno przedstawiało Roberta i Vivicę, rozmawiających na chodniku i szczerzących się do siebie od ucha do ucha. Drugie – młodzieńca pochylającego się nad młodą kobietą na wózku inwalidzkim. Młodzieniec całował jej szyję, ona odchyłała głowę w zachwycie. To muszą być ci aktorzy drugoplanowi, pomyślała, biedna Kristy Gale i ten gość, jak mu tam było? Spojrzała na obsadę – a tak, Brett Alden.

Odstawiła na chwilę kieliszek na blat kuchenny, zamknęła oczy.

Alden Minerals sp. z o.o.

Dlatego wydawało jej się, że zna tę nazwę.

Przyjrzała się uważniej malutkiemu zdjęciu w górnym prawym rogu kasety. Twarz Brett Aldena była częściowo zasłonięta, ponieważ pochylał się nad Kristy Gale. Widać było tylko jego włosy (ciemne, bujne, niesforne), czoło, lewą część twarzy – jedno oko, kość policzkową, połowę nosa, połowę ust.

Rachel знаła te usta, ten nos, tę kość policzkową, to błękitne oko. Linia włosów trochę się cofnęła, na skroniach pojawiły się zmarszczki.

Ale to był Brian. Bez wątpienia.

P380

A jeśli wróci?

Ta myśl poderwała Rachel z kanapy, na której leżała.

A jeśli wmaszeruje przez te drzwi i zrozumie, że ona wie?

Prawo zakazuje poligamii. Podobnie jak podawania się za kogoś innego dla korzyści majątkowych. Rachel była świadkiem popełnienia szeregu przestępstw. Przypuszczała, że mężczyźni prowadzący podwójne życie nie reagują pozytywnie na zdemaskowanie.

Poszła do garderoby i sięgnęła na wysoką półkę, na której Brian trzymał swoje buty. Za butami ukrył broń, kompaktowy P380, trochę większy od komórki, a jednocześnie – jak ją zapewnił – zdolny powalić każdego włamywacza, który nie będzie miał na sobie kamizelki kuloodpornej.

Pistoletu nie było. Stała na palcach i sięgnęła głębiej na lewo, aż dotknęła palcami ściany.

W głębi mieszkania coś stuknęło. Czy na pewno? Może to odgłos otwieranych drzwi, może to włączyła się klimatyzacja, a może w ogóle nic.

Więc broń zniknęła. A to znaczyło...

A nie. Była. Rachel zacisnęła palce na czarnej gumowej rękojeści i wyjęła ją, strącając po drodze mokasyny z półki. Pistolet był zabezpieczony. Otworzyła magazynek i położyła go sobie na dłoni, by się upewnić, że jest pełny. Potem wsunęła go na miejsce i usłyszała kliknięcie. Ćwiczyła strzelanie z Brianem na strzelnicy na Freeport Street w Dorchester. Brian żartował, że jeśli w tym mieście istnieje jakieś miejsce, którego mieszkańcy nie potrzebują pomocy w uczeniu się strzelania i unikania kul, to jest to Dorchester. Lubiła strzelnicę, to „trach, trach, trach” karabinów, „pyk, pyk, pyk” pistoletów. Mniej zachwycało ją „trrrrracht” broni automatycznej, bo kojarzyło jej się z zastrzelonymi w kinie uczniami i widzami. Czowała się tam jak na obozie dla nadmiernie agresywnych dzieci – większość strzelających już dawno nie musiała ćwiczyć, kilku chciało tylko pofantazjować o tym, jak by to było naprawdę zabić tego włamywacza, byłego chłopaka brutalą, skosić hordę gwałcicieli. Pozwolili jej wypróbować inne modele oprócz tego P380 i okazało się, że dobrze strzela z pistoletu, a trochę gorzej z karabinka, ale P380 okazał się idealny. Wkrótce potrafiła już umieścić siedem pocisków – sześć z magazynka, jeden z komory – w samym środku tarczy.

Wtedy przestała przychodzić na strzelnicę.

Zerknęła na drzwi, by się upewnić, że zamknęła je także na łańcuch. A zatem odgłos, który usłyszała w garderobie, nie zapowiadał powrotu Briana. W kuchni otworzyła laptop i wygooglowała Alden Minerals. Była to spółka wydobywcza z centralą w Providence na Rhode Island, posiadająca jedną jedyną kopalnię w Papui-Nowej Gwinei. Zgodnie z ostatnimi badaniami firmy konsultacyjnej Borgeau Engineering kopalnia zawierała złoża o wartości ponad czterystu milionów uncji trojańskich. Niedawno w „Wall Street Journal” wspomniano o plotce, że główny koncern kopalniany w Papui-Nowej Gwinei, Vitterman Copper & Gold, mający siedzibę w Houston, rozważa pokojowe przejęcie Alden Minerals.

Firma Alden Minerals od zawsze należała do Briana i Nicole Aldenów. Rachel nie znalazła w sieci żadnych ich zdjęć. Nie potrzebowała. Wiedziała, jak wyglądają.

Zadzwoiła do Glena O'Donnella z „Globe”. Razem awansowali, najpierw w „Patriot

Ledger”, potem w „Globe”. Ona zajmowała się reportażem śledczym, a on biznesem. Po pięciu minutach wymieniania uprzejmości, gdy już dowiedziała się, że Glen i jego partner Roy adoptowali dziewczynkę z Gwatemali i kupili dom w Dracut, spytała, czy nie zechciałby sprawdzić Alden Minerals.

– Pewnie – powiedział. – Niedługo do ciebie oddzwonię.

– E, nie musisz...

– To będzie przyjemność. W tej chwili i tak nic nie robię. Wkrótce się odezwę.

Jeden kieliszek później usiadła w salonie przy oknie z ławeczką i patrzyła, jak noc zapada nad Arlington, Cambridge i nad wstęgą ciemniejącej rzeki. Gdy świat zmienił kolor na odcień mosiądzu, a potem niebieski, zaczęła się zastanawiać nad życiem bez Briana. Podejrzewała, że ataki paniki powrócą, gdy tylko ustąpi to odrętwienie. Postępy, jakie zrobiła przez ostatnie pół roku, znikną. Nie tylko cofnie się do punktu wyjścia, ale bała się, że ten szereg wstrząsów – o, twój mąż ma drugą żonę, o, twój mąż prowadzi podwójne życie, o, może nawet nie znasz prawdziwego nazwiska swojego męża – doprowadzi ją do upadku w przepaść. Już teraz dławiło ją w gardle na myśl o tym, że będzie musiała znowu stawić czoło światu, ludziom, obcym, którzy jej nie uratują, którzy uciekną przed jej bólem. (Pozbyć się słabych sztuk, pozbyć się słabych sztuk). W końcu znowu zacznie się bać schodów ruchomych, potem zacznie zamawiać zakupy z dostawą do domu. Za parę lat uświadomi sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio wyszła na dwór. Przystanie panować nad sobą i swoimi lękami.

A skąd wzięła tę siłę? Z siebie, tak, oczywiście. Ale także z niego. Z miłości. Albo tego, co omyłkowo wzięła za miłość.

Aktor. Jej Brian był aktorem. Praktycznie rzucił jej to w twarz podczas kłótni po jego rzekomym powrocie z Londynu, gdy wspomniał o Clarku Rockefellerze. Co znaczyło, że Brian nie tylko nie był Brianem, ale i nie był Delacroix. Ale jak to możliwe? Ponownie wrzuciła do wyszukiwarki internetowej hasło „Brian Delacroix”. Informacje, które znalazła, pasowały do tego, o czym wiedziała – czterdzieści lat, pracuje w Delacroix Lumber, kanadyjskim koncernie obrotu drewnem z holdingami w dwudziestu sześciu krajach. Kliknęła zakładkę „grafika” i znalazła tylko cztery zdjęcia, ale to był on, jej Brian – te same włosy, ta sama linia szczęki, te same oczy, ten sam... nie ten sam nos. Jej Brian miał garbek tuż nad przegrodą nosową, widoczny tylko z profilu, i to wyłącznie dla uważnego obserwatora. Ale jeśli się go zauważyło, nie było wątpliwości – Brian miał garbek na nosie.

Ten Brian Delacroix go nie miał. Dwa zdjęcia przedstawiały go z profilu: zero garbka. Rachel przyjrzała się uważniej zdjęciom *en face* i im dłużej patrzyła w oczy Briana Delacroix, tym dobitniej zdawała sobie sprawę, że robi to po raz pierwszy.

Jej Brian Delacroix/Brett Alden był aktorem. Andrew Gattis, dawny krępujący znajomy, także. Caleb znał ich obu. Wydawało się racjonalnym założeniem, że i on jest aktorem.

Gdy nad rzekę nadciągnął mrok, napisała do Caleba SMS-a.

„Możesz wpaść na chwilę?”

Odpisał niemal natychmiast.

„Spox. Czego potrzebujesz?”

„Męskiej ręki. Robię mały remont, zanim B wróci”.

„Bd za 15 min.”

„Dzięk”.

Zaraz potem jej komórka zawibrowała. Glen.

– Cześć.

– Cześć – powiedział. – Co ty masz wspólnego z tą firmą, Rachel?

– Niewiele. A co?

– To mała organizacja, która posiada małą kopalnię w Papui-Nowej Gwinei. Jednakże...
– Usłyszała kilka kliknięć myszki. – ...okazuje się, że ta kopalnia może nie być aż tak mała. Krążą plotki, że firma konsultacyjna zbadła Alden Minerals i doszła do wniosku, że firma może posiadać złoża do czterystu milionów uncji trojańskich.

– Też znalazłam coś takiego – powiedziała. – Co to jest ta uncja trojańska?

– Jednostka masy złota. Przepraszam. To dosłownie kopalnia złota. Ale nie wyjdzie im to na dobre. Ich głównym konkurentem w tym regionie – właściwie jedynym – jest Vitterman Copper & Gold, a oni nie grają czysto. I nigdy, ale to nigdy nie pozwoliliby, żeby kopalnia o takiej wartości nie nosiła ich nazwy. Dlatego wcześniej czy później dojdzie do wrogiego przejścia. Dlatego Alden usiłował zataić wyniki badania firmy konsultacyjnej. Na swoje nieszczęście firma potrzebowała pieniędzy. Odbyla kilka spotkań z Cotter-McCannem.

– Czyli?

– Grupa kapitałowa. W zeszłym tygodniu Cotter-McCann wynajął kilka działek budowlanych koło Arawy w Papui-Nowej Gwinei. Co ci to mówi?

Rachel wypiła za dużo wina, żeby mówiło jej to cokolwiek.

– Nie wiem.

– A mnie mówi, że Cotter-McCann dał Alden Minerals zastrzyk gotówki, prawdopodobnie za górę udziałów w tej kopalni. Gdy zaczną się to opłacać, odepchną Alden Minerals i przejmą wszystko. Tak postępują, to rekiny, gorsze od tych, które znamy, finansowe. Bo rekiny przestają jeść, kiedy się nasycają.

– Więc Alden Minerals pewnie upadnie.

– „Upadnie” to złe słowo. Zostanie wchłonięte. Przez Vittermana lub Cotter-McCanna. W ciągu jednej nocy przeszli z ligi amatorskiej do zawodowej. Wątpię, żeby sobie poradzili.

– Ach... – Nie potrafiła tego poskładać w całość. – Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma sprawy. Słuchaj, Melissa mówi, że wracasz do żywych.

– Czyżby? – Rachel stłumiła krzyk.

– Musisz do nas przyjść, poznać Amelię. Chcielibyśmy was zobaczyć.

Ogarnęła ją fala desperacji.

– Bardzo chętnie.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie. Zaziębiłam się tylko.

Przez chwilę bała się, że Glen chce drażnić temat, ale rzucił tylko:

– Uważaj na siebie, Rachel.

Rozległ się dzwonek domofonu; otworzyła. Dowód rzeczowy położyła na blacie kuchennym obok szklaneczki do szkockiej i butelki bourbona, ale Caleb go nie zauważył. Był roztargniony i zmęczony.

– Chcesz drinka?

Wskazała bourbona.

Caleb usiadł przy blacie. Nalał sobie alkoholu, nawet nie patrząc na inne przedmioty.

– Koszmarny dzień.

– O, u ciebie też?

Pociągnął duży łyk.

– Czasem mi się zdaje, że Brian miał rację.

– W jakiej sprawie?

– Małżeństwa. Dziecka. Tyle niewiadomych. Tyle do ogarnięcia. – Zerknął na przedmioty na blacie i rzucił z roztargnieniem: – To co trzeba przenieść?

– Właściwie to nic.

– Więc dlaczego... – Nagle zatrzymał spojrzenie na biletach Briana, rachunku z kiosku na Covent Garden, wydrukowanym selfie, które Brian rzekomo zrobił sobie przed hotelem, kasecie z *Since I Fell for You*. Znowu się napił i przeniósł wzrok na nią.

– Pomyliłeś datę. – Wskazała rachunek.

Uśmiechnął się pytająco.

– Napisałeś ją jako miesiąc, dzień, rok. W Anglii zapisuje się ją w porządku dzień, miesiąc, rok.

Caleb zerknął na rachunek, a potem na nią.

– Nie mam pojęcia, co...

– Pojechałam za nim.

Znowu się napił.

– Do Providence.

Caleb zastygł w bezruchu.

Wszystko wokół nich trwało w ciszy. Spadkobiercy na pewno nie było w domu, usłyszałyby jego kroki. Inni lokatorzy także wyszli. Rachel miała wrażenie, że siedzi na ambonie myśliwskiej w puszczy na krańcach świata.

– Ma ciężarną żonę. – Dolała sobie wina. – Jest aktorem. Ale ty o tym wiesz. A to dlatego – wskazała go kieliszkiem – że też jesteś aktorem.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– Gówno prawda. Gówno. Prawda. – Wypiła od razu pół kieliszka. Przy tym tempie wkrótce otworzy drugą butelkę. Ale mało ją to obchodziło, bo przyjemnie było wyładować na kimś wściekłość. To jej dawało złudzenie władzy. A na tym etapie zgadzała się na wszelkie złudzenia, o ile broniły ją przed przerażeniem.

– Coś ty sobie ubzdurzyła? – spytał.

– Nie waż się do mnie tak mówić.

– Jak?

– Z wyższością.

Caleb uniósł ręce, jakby trzymała go na muszce.

– Widziałam, jak Brian jedzie do Providence. Widziałam Briana w Alden Minerals. Widziałam, jak Brian wchodzi do sklepu z kamerami, jak kupuje kwiaty i jak wchodzi do banku. I widziałam Briana z jego ciężar...

– Do sklepu z kamerami?

– Do sklepu z kamerami.

– Tego na Broadway?

Nie wiedziała, co go tak poruszyło, ale coś go poruszyło na pewno. Caleb spuścił głowę, łypnął ponuro na swoje odbicie w marmurowym blacie, a potem na swoją szklankę, którą opróżnił do ostatniej kropli.

– O co chodzi z tym sklepem? – A po minucie ciszy dodała: – Caleb...

Uciszył ją gestem palca, a potem wybrał czyjś numer na komórce. Rachel wydawało się, że słyszy sygnały w słuchawce. Nadal nie mogła się pogodzić z tym palcem, uniesionym, by ją uciszyć, z pogardą zawartą w tym geście. Przypomniał się jej doktor Felix Browner. On też kiedyś ją tak potraktował.

Caleb rozłączył się i natychmiast zadzwonił pod inny numer. Tego połączenia również nie odebrano. Rozłączył się i ścisnął komórkę tak mocno, że powinna pęknąć.

– Powiedz mi... – zaczął.

Odwróciła się do niego plecami. Wyjęła z szafki przy kuchence butelkę wina, napełniła kieliszek, nadal stojąc do niego tyłem. Zachowywała się małostkowo, ale ta świadomość

w niczym nie zepsuła jej przyjemności. Gdy znowu na niego spojrzała, opanował furję pół sekundy po tym, gdy ją zauważyła, i przywołał bardzo Calebowy uśmiech – chłopięcy i zaspany.

– Opowiedz, co widziałaś w Providence.

– Najpierw ty. – Postawiła wino na blacie przed nim.

– Nie mam o czym. – Wzruszył ramionami. – Nic nie wiem.

Pokiwała głową.

– Więc wyjdź.

Senny uśmiech zmienił się w senny cichy śmiech.

– Dlaczego miałbym wyjść?

– Skoro ty nic nie wiesz, to ja też.

– Ach... – Otworzył butelkę bourbona i nalał sobie odrobinę. Zakręcił butelkę, obrócił szklankę w dłoniach. – Jesteś pewna na sto procent, że Brian wszedł do sklepu z ka-merami?

Przytaknęła.

– Jak długo tam był?

– Kim jest Andrew Gattis?

Caleb skinął głową z uznaniem i napił się bourbona.

– Aktorem.

– To wiem. Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Chodził do Trinity Rep w Providence.

– Do szkoły aktorskiej.

Znowu przytaknięcie.

– Tam się poznaliśmy.

– Więc mój mąż jest aktorem.

– No tak. A teraz... sklep. Jak długo w nim przebywał?

Przez jakiś czas mierzyła go spokojnym wzrokiem.

– Góra pięć minut.

Caleb zagryzł wargę.

– Wszedł z czymś?

– Jak naprawdę nazywa się Brian? – Nie do wiary, rzeczywiście to powiedziała. Która kobieta spodziewa się, że będzie musiała spytać o prawdziwe personalia swojego męża?

– Alden.

– Brett?

Caleb pokręcił głową.

– Brian. Brett to jego imię sceniczne. Moja kolej.

– O nie, nie, nie! Ukrywasz przede mną informacje, odkąd się poznaliśmy. Ja zaczęłam dopiero dziś. Dostaniesz jedno pytanie za dwa moje.

– A jeśli mi to nie wystarczy?

Wskazała drzwi.

– To spieprzaj, przyjacielu.

– Jesteś pijana.

– Wstawiona. O co chodzi z tym biurem w Cambridge?

– O nic. Nigdy z niego nie korzystamy. Należy do znajomego. Jeśli jest nam potrzebne – bo, na przykład, jedziesz do nas i ktoś nas ostrzegł – dekorujemy je. Tak jak scenę.

– Kim są praktykanci?

– Już zadałaś dwa pytania.

Ale w tej chwili ją olśniło, jakby odpowiedź zjechała z nieba w postaci neonu.

– To aktorzy – powiedziała.

– Tadam! – Caleb zaznaczył wymagowany kwadrat w powietrzu przed swoją twarzą. – Brawo. Czy Brian wyniósł coś ze sklepu?

– Nie widziałam.

Zajrzał jej w oczy.

– Czy wszedł do banku przed odwiedzeniem sklepu z kamerami czy po nim?

– A to już drugie pytanie.

– Bądź miła.

Parsknęła śmiechem tak gwałtownym, że omal nie zwymiotowała. Śmiała się tak jak ofiary powodzi i trzęsien ziemi. Śmiała się nie dlatego, że usłyszała coś śmiesznego, ale ponieważ nic jej się takie nie wydawało.

– Miła? – powtórzyła. – Miła?!

Caleb złożył dłonie i oparł o nie czoło. Suplikant. Męczennik pozujący do posągu. Kiedy nie pojawił się żaden rzeźbiarz, podniósł głowę. Twarz mu poszarzała, pod oczami zarysowały się czarne cienie. Starzał się na jej oczach.

Zakołysała kieliszkiem, ale nie uniosła go do ust.

– Jak sfalszował zdjęcie z Londynu?

– Ja to zrobiłem. – Obrócił szklankę z bourbonem o trzysta sześćdziesiąt stopni. – Napisał do mnie SMS-a, wyjaśnił, co się dzieje. Ty siedziałaś naprzeciwko mnie, w Grendel's. Wystarczyło tylko wcisnąć parę klawiszy komórki, wziąć jedno i drugie zdjęcie, przepuścić przez program fotograficzny. Gdybyś przyjrzała się mu w wysokiej rozdzielczości na przyzwoitym ekranie komputerowym, pewnie nie zdałoby egzaminu, ale to miało być selfie, zrobione w kiepskim oświetleniu. Łatwo poszło.

– Caleb – powiedziała, czując coraz bardziej działanie wina. – W czym ja uczestniczę?

– Hm?

– Dziś rano obudziłam się jako czyjaś żona. Teraz jestem... no nie wiem, jedną z żon? W jednej z jego rodzin? Kim jestem?

– Sobą.

– Co to znaczy?!

– Jesteś sobą. Niezmienioną. Czystą. Nietkniętą. Twój mąż nie jest tym, za kogo go uważałaś. Tak. Ale to nie ma wpływu na to, kim jesteś. – Wyciągnął do niej rękę i uściśnął jej palec. – Jesteś sobą.

Wyzwolila dłoń. Caleb znieruchomiał z rękami na blacie. Spojrzała na swoje palce, na dwa pierścionki na nich – zaręczynowy z okrągłym brylantem i platynową obrączkę z pięcioma okrągłymi brylancikami. Kiedyś zaniósła je do czyszczenia do jubilera na Water Street (którego, jak teraz sobie uświadomiła, polecił jej Brian). Stary właściciel sklepu gwizdnął na ich widok.

– Mężczyzna, który daje tak cenne kamienie... – powiedział, poprawiając lupę. – Ooo... Musi bardzo panią kochać.

Ręce zaczęły jej drżeć, gdy na nie patrzyła, gdy patrzyła na swoje ciało, na kamienie, zastanawiając się, czy cokolwiek w jej życiu wydarzyło się naprawdę. Te ostatnie trzy lata były najpierw czołganiem się, potem powolną wspinaczką ku zdrowiu psychicznemu, ku odzyskaniu życia i samej siebie, serią malutkich kroczków, robionych w tsunami zwątpienia i przerażenia. Ślepa kobieta, błąkająca się po korytarzach nieznanego budynku, do którego weszła w niewiadomy sposób.

I kto przybył, by ją wyprowadzić? Kto wziął ją za rękę i szeptał: „zaufaj mi, zaufaj”, aż w końcu ją przekonał? Kto sprawił, że wyruszyła ku słońcu?

Brian.

Brian wierzył w nią długo po tym, gdy wszyscy inni poszli do domu. Brian wyciągnął ją

z tej beznadziejnej ciemności.

– To wszystko było kłamstwem? – Nie spodziewała się, że te słowa wydobędą się z jej ust – i że z jej oczu spadną łzy, które rozprysnęły się na marmurowym blacie, na jej dłoniach i pierścionkach. Spływały po jej nosie i kościach policzkowych, docierały do kącików ust i trochę piekły.

Chciała wziąć chusteczkę, ale Caleb znowu ujął jej rękę.

– W porządku, płacz – szepnął.

Chciała mu powiedzieć, że nic nie jest w porządku, zupełnie nic, i zapytać go, czy zechciałby puścić jej rękę?

Cofnęła dłonie.

– Wyjdź.

– Co?

– Idź. Chcę być sama.

– Nie możesz.

– Dam radę.

– Nie. Za dużo wiesz.

– Za dużo... – Nie mogła dokończyć jego groźby. Bo to była groźba, prawda?

– Brian nie będzie zadowolony, jeśli cię zostawię samą.

– Bo wiem za dużo. – Teraz udało jej się to powiedzieć.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem.

Broń zostawiła na fotelu pod oknem z ławeczką.

– Brian i ja siedzimy w tym od bardzo dawna – ciągnął Caleb. – Chodzi o duże pieniądze.

– Jak duże?

– Bardzo duże.

– I uważasz, że mogłabym się wygadać?

Caleb uśmiechnął się i pociągnął łyk bourbona.

– Nie twierdzę, że na pewno, ale mogłabyś.

– Mhm. – Podeszła z kieliszkiem do okna, ale Caleb podążył tuż za nią. Stanęli przy fotelu i spojrzeli na światła rozświetlające Cambridge. Gdyby Caleb spuścił wzrok, zobaczyłby broń. – Czy to dlatego poślubiłeś kobietę, która nie mówi po angielsku?

Nie odpowiedział. Starła się nie zerkać na fotel.

– Która nie zna nikogo w tym kraju?

Patrzył przed siebie, ale przysunął się nieznacznie do fotela i nie spuszczał wzroku z jej odbicia w szybie.

– Czy to dlatego Brian poślubił kobietę, która nie wychodzi z domu?

– A mogło być tak dobrze – odezwał się w końcu Caleb. Spojrzał jej w oczy w mrocznym szkle. – Więc nie utrudniaj.

– Grozisz mi? – spytała cicho.

– To ty dzisiaj grozisz – odparł i popatrzył na nią jak ten gwałciciel, nauczyciel Paul z Haiti.

A przynajmniej tak się poczuła.

– Wiesz, gdzie jest Brian? – spytała.

– Wiem, gdzie może być.

– Zawieziesz mnie do niego?

– Po co?

– Bo jest mi winien wyjaśnienie.

- Albo...?
- Jest jakieś „albo”?
- No właśnie o to pytam. Jest jakieś „albo”, jeśli tego nie zrobię?
- Caleb – rzuciła i bardzo nie spodobała się jej desperacja, która zabrzmiała w jej głosie.
- Zawieź mnie do Briana.
- Nie.
- Nie?
- Brian ma coś, czego potrzebuję. Czego potrzebuje moja rodzina. Nie podoba mi się, że to ma i że mi o tym nie powiedział.
- Znowu zaszumiało jej w głowie.
- Brian ma coś... Sklep z kamerami?
- Caleb przytaknął.
- Sklep z kamerami.
- Co?
- Coś, czego potrzebuję. A on potrzebuje ciebie. – Caleb stanął przed nią; fotel znalazł się między nimi. – Dlatego na razie cię do niego nie zawiozę.
- Chwyciła pistolet, odbezpieczyła go i wycelowała w środek piersi Caleba.
- Owszem – powiedziała. – Zawieziesz.

ODŚNIEŻARKA

Jechali srebrnym audi na południe.

– Możesz odłożyć tę pukawkę? – spytał Caleb.

– Nie – odparła. – Fajnie się ją trzyma.

Nie mówiła prawdy. Wcale nie było fajnie. Pistolet w jej dłoni był jak zdechły szczur, który mógł niespodziewanie ożyć. Świadomość, że jednym naciśnięciem palca można nim odebrać życie, stała się nagle jedną z najpaskudniejszych koncepcji świata. A Rachel celowała z niego do przyjaciela.

– Mogłabyś go zabezpieczyć?

– To by mnie spowolniło, gdybym musiała nacisnąć spust.

– Ale przecież tego nie zrobisz. To ja. A ty to ty. Chyba zdajesz sobie sprawę, jakie to absurdalne?

– A tak. Absurdalne to jest na pewno.

– Więc skoro uzgodniliśmy, że do mnie nie strzelisz...

– Tego nie uzgodniliśmy.

– Przecież prowadzę – zauważył tonem, który wahał się pomiędzy chęcią wyjaśnienia a poczuciem wyższości. – Więc co, chcesz do mnie strzelić, a potem siedzieć i patrzeć, jak samochód pędzi na oślep autostradą?

– W tym celu wymyślono poduszki powietrzne.

– Nie wierzę ci.

– Jeśli spróbujesz mi odebrać broń, nie zostawisz mi wyboru. Będę musiała strzelić.

Szarpnął kierownicą i gwałtownie zmienił pas. Uśmiechnął się do niej.

– To nie było przyjemne.

Rachel poczuła, że układ sił się zmienia, a z doświadczenia zdobytego w osiedlu komunalnym, podczas jazd z policjantami na patrolu i długich nocy na Haiti wiedziała, że zmieniony układ sił nie wraca do dawnej postaci, chyba że się natychmiast zainterweniuje.

Gdy Caleb patrzył przed siebie, zabezpieczyła pistolet. Zrobiła to bezgłośnie. Zmieniła pozycję na siedzeniu, lekko pochyliła się do przodu i kolbą pistoletu uderzyła go w kolano. Samochód znowu zatańczył na jezdni. Ryknął jakiś klakson.

– Kurwa! – stęknął Caleb. – Co ci odubiło? Ty...

Uderzyła go dokładnie w to samo miejsce.

Caleb wyprowadził samochód z trzeciego poślizgu.

– Dość!

Będą mieli szczęście, jeśli jakiś kierowca nie zadzwoni na policję, by zgłosić, że pijany kierowca prowadzi samochód, i podać numer tablicy rejestracyjnej auta Caleba.

Rachel znowu odwiodła bezpiecznik.

– Dość – powtórzył Caleb.

W jego głosie – oprócz gniewu i władczości, na którą się silił – brzmiał wyraźnie strach. Caleb nie miał pojęcia, co robi Rachel, ale najwyraźniej się tego bał.

A zatem układ sił wrócił do punktu wyjścia.

Zjechali z autostrady w Dorchester na południowym krańcu Neponset. Caleb kierował się na północ przez Gallivan Boulevard, wjechał na ślimak i gdy Rachel myślała już, że zmierzają

w stronę mostu do Quincy, on niespodziewanie wrócił na wjazd na autostradę. W ostatniej chwili skręcił w prawo, w ulicę o pokiereszowanej nawierzchni. Jakiś czas podskakiwali na wybojach, po czym skręcili w prawo i znaleźli się wśród szpalerów pochyłonych ku ziemi splewiących domów, półokrągłych hangarów i suchych doków z małymi łódkami. Na końcu ulicy znajdowała się przystań Port Charlotte, o której Sebastian wspominał Rachel parę razy podczas ich pierwszych wspólnych wakacji, gdy odbywali rejsy po zatoce Massachusetts. Sebastian uczył ją, jak sterować żaglówką i nawigować nią w nocy, orientując się według gwiazd. Sebastian z rozwianymi włosami, Sebastian, który czuł się szczęśliwy tylko wtedy, gdy był na wodzie.

Restauracja i klub znajdowały się tuż przy niemal pustym parkingu. Oba budynki wyglądały na świeżo odmalowane, co niesło ze sobą jakąś nadzieję. Na przystani nie było żadnych jachtów. Największa przycumowana przy brzegu łódź miała jakieś czterdzieści stóp. Pozostałe, drewniane i mocno już sfatygowane, robiły wrażenie łodzi do połowu homarów. Było też parę nowszych, zrobionych z włókna szklanego. Najładniejsza z nich miała jakieś trzydzieści pięć stóp, niebieskie burty, białą nadbudówkę i pokład z miodowego drewna tekowego. Rachel zwróciła uwagę na tę konkretną łódź, bo stał na niej jej mąż, skąpany w świetle reflektorów.

Caleb szybko wysiadł z samochodu. Wyjaśnił Brianowi, wskazując Rachel, że nie przyjęła ona dobrze rewelacji na jego temat. Rachel z przyjemnością zauważyła, że Caleb kuleje, gdy kuśtykał pospiesznie w stronę łodzi. Ona natomiast poruszała się powoli i ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Briana. On też cały czas patrzył na nią, wyjąwszy parę zerknięć w stronę Caleba.

Czy gdyby wiedziała, że go zabije, weszłaby na pokład?

Mogła się odwrócić i pójść prosto na policję. Mój mąż udaje kogoś, kim nie jest, powiedziała. Wyobraziła sobie, jak jakiś przymilny dyżurny funkcjonariusz odpowiada: „Jak my wszyscy, droga pani”. Tak, była pewna, że podszywanie się pod inną osobę to przestępstwo, podobnie jak bigamia, ale czy aż tak poważne? Czy Brian oznajmiłby, że nie przyznaje się do winy, i wyszedłby na wolność, a ona ośmieszyłaby się bardziej niż kiedykolwiek – nieudana dziennikarka prasowa, która stała się uzależnioną od pigulek reporterką telewizyjną, a potem pośmiewiskiem całego kraju, i zamknęła się w domu na parę lat, by następnie dostarczyć satyrykom nowego materiału o Rozhisteryzowanej Paniusi z Telewizji, która wyszła za bigamistę, prowadzącego podwójne życie?

Weszła za Calebem po trapie na łódź. Gdy chciała zejść na pokład, Brian podał jej rękę. Zmroziła go spojrzeniem; opuścił dłoń. Wtedy zauważył broń.

– Mam ci pokazać swoją? Żeby się poczuć bezpieczniej?

– Proszę bardzo. – Zeszła na pokład.

W tej samej chwili Brian złapał ją za nadgarstek i jednym pewnym ruchem odebrał jej pistolet. Wyjął spod koszuli własny rewolwer, trzydziestkęosemkę z krótką lufą, i położył oba na stole na rufie.

– Gdy wypłyniemy, powiedz, czy będziesz chciała strzelić, skarbie. Jestem ci to winien.

– Jesteś mi winien o wiele więcej.

Skinął głową.

– I wywiążę się z tego. – Odcumował i zanim się zorientowała, silnik już warczał, Caleb stał przy sterze i popłynęli rzeką Neponset w stronę zatoki.

Brian siedział na ławeczce przy burcie. Rachel zajęła miejsce naprzeciwko niego. Rozdzielał ich stół.

– A więc masz łódź – zauważyła.

Pochylił się, ścisnął dłonie między kolanami.

– Aha.

Przystań została za nimi.

– Wrócę z tej wycieczki żywa?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– Na przykład dlatego, że mogę zdemaskować twoje podwójne życie.

Brian usiadł prosto.

– I co byś z tego miała?

– Ja – nic. Ty – wyrok.

Wzruszył ramionami.

– Nie wierzysz?

– Jeśli chcesz, zawrócimy i wysiądziesz. Pojedziesz do najbliższego posterunku i opowiesz wszystko. A jeśli ci uwierzą – a powiedzmy to sobie otwarcie, Rachel, twoja wiarygodność w tym mieście stoi pod znakiem zapytania – to mogą tu wysłać policjantów jutro, pojutrze albo w przyszły wtorek, gdy tylko znajdą wolną chwilę. Ale do tego czasu zniknę bez śladu. Nigdy mnie nie znajdą, podobnie jak ty.

Myśl, że miałaby go nigdy więcej nie zobaczyć, wśliznęła się w jej wnętrzości jak nóż. Stracić Briana – wiedzieć, że żyje gdzieś, ale ona już nigdy go nie zobaczy – to jak stracić nerkę. Obląkana myśl, a jednak się pojawiła.

– Dlaczego nie zniknąłeś wcześniej?

– Nie potrafiłem zsynchronizować wszystkich części mojego rozkładu jazdy tak szybko, jak chciałem.

– Co to znaczy?

– Nie mamy czasu.

– Na co?

– Na nic z wyjątkiem zaufania.

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

– Zaufania?

– Niestety.

Prawdopodobnie istniały tysiące sposobów, by skomentować ten kosmiczny absurd, ale ona wykrztusiła tylko:

– Kim ona jest?

I przekłęta się w tej samej chwili, gdy te słowa wydobyły się z jej ust. Brian pozbawił ją wszystkich punktów oparcia, które zbudowała sobie przez te trzy lata, a ona zachowuje się jak zazdrosna kretynka.

– Kto?

– Ciężarna żona, którą chowasz w Providence.

Kolejny uśmiech, prawie złośliwy. Brian uniósł oczy ku bezgwiezdnemu niebu.

– Wspólniczka.

– Z firmy?

– Poniekąd.

Czuła, że ta rozmowa nabiera tempa właściwego dla ich wszystkich kłótni – Rachel zwykle była w ataku, on w obronie, przez co ona stawiała się jeszcze bardziej agresywna, niczym pies polujący na królika, który nie ma wiele mięsa pod futerkiem. Dlatego wołała nie czekać, aż sytuacja jeszcze bardziej się zaogni, i zadała najważniejsze pytanie:

– Kim jesteś?

– Twoim mężem.

– Nie jesteś...

- Mężczyzną, który cię kocha.
- Okłamałeś mnie, i to chyba na każdy temat dotyczący naszego życia. To nie miłość.

To...

- Spójrz mi w oczy. Powiedz, czy widzisz w nich miłość.
- Spojrzała. Najpierw ironicznie, a potem z rosnącą fascynacją.

To była miłość.

Ale czy na pewno? Miała przed sobą aktora.

- To twoja wizja miłości – oznajmiła.
- No tak. Jedyna, jaką mogę znać.

Caleb wyłączył silnik. Znajdowali się jakieś cztery kilometry w głębi zatoki. Po prawej stronie mieli światła Quincy, z tyłu i po lewej – światła Bostonu. W atramentowym mroku majaczyły przed nimi na zachodzie skały Thompson Island. W tych ciemnościach nie dało się stwierdzić, czy są oddalone o dwieście, czy dwa tysiące metrów. Na wyspie znajdowała się siedziba jakiejś organizacji młodzieżowej, może Outward Bound, ale bez względu na to, jak się nazywała, zamykano ją na noc, bo na wyspie nie było widać żadnych światel. Małe fale chlupotały cicho i miarowo uderzały o burty. Rachel kiedyś pilotowała łódź w taką noc, gdy ona i Sebastian wracali do domu, i używała wtedy jedynie światel nawigacyjnych, chichocząc przy tym nerwowo przez większość rejsu. Teraz Caleb zgasił wszystkie lampy z wyjątkiem małych żarówek oświetlających pokład tuż przy ich stopach.

W nieprzeniknionym mroku tej bezksiężycowej nocy uświadomiła sobie, że Brian i Caleb mogą ją bez trudu zabić. Niewykluczone nawet, że zainscenizowali to wszystko po to, by wpakowała się prosto na ten jacht w przekonaniu, że to ona panuje nad sytuacją, podczas gdy przez cały czas było odwrotnie.

Nagle poczuła, że koniecznie musi się czegoś dowiedzieć.

- Jak brzmi twoje prawdziwe nazwisko?
- Alden. Brian Alden.
- Twoja rodzina ma tę firmę?

Pokręcił głową.

- Nie jest tak romantycznie.
- Jesteś z Kanady?

Znowu zaprzeczył.

- Z Grafton w stanie Vermont.

Nie spuszczać jej z oka, wyjął z kieszeni saszetkę z orzeszkami ziemnymi – taką, jaką rozdają w samolotach. Otworzył ją.

- To ty jesteś Scottem Pfeifferem.

Przytaknął.

- Ale się tak nie nazywasz.

– Nie. Tak się nazywał jeden chłopak, z którym chodziłem do liceum. Rozśmieszał mnie na lekcjach łaciny.

- A twój ojciec?

– Ojczym. Tak. To ten gość, którego opisałem. Rasista, homofob, bojący się, że światem rządzi jakaś globalna organizacja, która uparła się spieprzyć mu życie i nasikać na wszystko, co jest drogie jego sercu. Również, może paradoksalnie, miły facet, dobry sąsiad, pomagający naprawić płot lub przetkać rynnę. Padł na zawał, odgarniając śnieg z podjazdu sąsiada Roya Carrola. Wiesz, co jest absurdalne? Roy nigdy nie był dla niego miły, ale mój ojczym odgarniał ten śnieg, bo tak trzeba, a Roy był zbyt biedny, żeby zatrudnić kogoś do pomocy. Wiesz, co Roy zrobił nazajutrz po pogrzebie mojego ojczyma? – Brian wrzucił do ust orzeszek. – Poszedł i kupił

sobie odśnieżarkę za trzy tysiące dolarów.

Podsunał jej torebkę, a ona pokręciła głową. Nagle odrętwiała. Czowała się, jakby weszła do wirtualnej rzeczywistości i znalazła się właśnie w takiej sytuacji.

– A twój prawdziwy ojciec?

– Nie znam go. – Brian wzruszył ramionami. – Coś nas ze sobą łączy.

– A Brian Delacroix? Skąd wzięłeś tę tożsamość?

– Wiesz. Wiesz, bo ci powiedziałem.

Rzeczywiście, wiedziała.

– Studiował w Brown.

Brian skinął głową.

– A ty rozwoziłeś pizzę.

– Dostawa w czterdzieści minut albo płacisz pół ceny – odparł z uśmiechem. – Teraz wiesz, dlaczego jeżdżę tak szybko. – Wysypał sobie na dłoń trochę orzeszków.

– Dlaczego siedzisz i jesz te fistaszki, jakby się nic nie zmieniło? – spytała.

– Bo jestem głodny. – Włożył kolejnego orzeszka do ust. – To był długi lot.

– Nie było żadnego lotu. – Zaciśnęła zęby, a potem rozluźniła mięśnie.

Brian uniósł brew. Nagle zapragnęła rzucić się na niego i zedrzyć mu tę beczelną twarz z czaszki. Szkoda, że tyle piła. Powinna mieć trzeźwy umysł, a nie miała. Chciała zadawać pytania w idealnej kolejności.

– Nie było lotu – podjęła – bo nie ma pracy, a ty nie jesteś Brianem Delacroix, co oznacza, że nasze małżeństwo nie jest prawomocne, a ty okłamałeś mnie w sprawie... – urwała. Czowała, że ciemność zaciska się wokół niej. – W każdej sprawie.

Brian otrzepał dłonie z okruszków fistaszków i schował pustą saszetkę do kieszeni.

– Nie w każdej.

– Czyżby? A co jest prawdą?

Zamachał palcami między nimi.

– To.

– To – przedrzeźniła jego gest – to bzdura.

Miał czelność spojrzeć na nią z bólem. Co za tupet.

– Nie. Rachel, nie. To jest najprawdziwsze na świecie.

Obok nich pojawił się Caleb.

– Opowiedz mi o sklepie z kamerami.

– Co to, bawimy się w dobrego i złego glinę? Oboje mnie przesłuchujecie?

– Rachel mówi, że pojechałeś do Little Louie's.

Twarz Briana zastygła w beznamiętnym wyrazie. Tak samo wyglądał, gdy spoliczkował Andrew Gattisa, i potem, gdy wyszedł w deszczu z Hancock Tower, i raz, przez moment, gdy się kłócili.

– Jak dużo jej powiedziałaś?

– Nic.

– Nic jej nie powiedziałaś?

Przez sekundę wydawało jej się, że Brian ma dziwny głos, jakby ugryzł się w język albo jakoś go skaleczył.

– Że jesteśmy aktorami.

– Nic więcej? – Znowu odzyskał własny głos.

– Ja tu jestem – odezwała się.

Brian popatrzył na nią. Miał martwe oczy. Nie, nie mart-we. Umierające. Tracące światło. Zobaczyła w nich nieskończoną małość.

Objął ją spojrzeniem, które wydawało się jednocześnie klinicznie zimne i pożądlive, jakby obserwował porno, nie wiedząc, czy ma na to ochotę.

– Po co poszedłeś do tego sklepu, Brian? – spytał Caleb.

Brian uniósł palec, nadal mierząc Rachel wzrokiem. Ten gest był tak lekceważący, że przez twarz Caleba przebiegł skurcz.

– Nie wymachuj mi tu palcem, jakbym był jakimś służącym. Paszporty gotowe?

Brian parsknął śmiechem, choć jednocześnie napięły mu się mięśnie szczęki.

– O ho, ho, dobry człowieku, lepiej mnie dziś nie prowokuj.

Caleb zrobił krok w jego stronę.

– Powiedziałeś, że trzeba zaczekać jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

– Wiem, co powiedziałem.

– Chodzi o nią? – Caleb wskazał Rachel. – O nią i te jej kaprysy? Ludzie mogą umrzeć z powodu...

– Wiem, że ludzie mogą umrzeć – przerwał mu Brian.

– Moja żona może umrzeć. Moje dziecko...

– Żona i dziecko, których nie powinieneś mieć.

– I to już załatwia sprawę? – Caleb zrobił kolejne dwa kroki w jego stronę. – Tak? Dla ciebie to już w porządku?

– Była w strefie wojny. Sprawdziła się.

– Ześwirowała.

– Co wy... – zaczęła Rachel.

Caleb podszedł do Briana i wycelował palec prosto w jego twarz.

– Okłamałeś mnie z tymi jebanymi paszportami. Naraziłeś nas. Zdechniemy, bo myślisz fiutem.

Dalej wypadki potoczyły się bardzo szybko, jak to zwykle bywa podczas awantur. Brian odrzucił palec Caleba sprzed swojej twarzy. Ten uderzył go pięścią w skroń. Brian uniósł się z miejsca, gdy Caleb zamachnął się po raz drugi, nie całkiem celnie uderzając go w szyję. Brian wbił pięść w splot słoneczny Caleba, a gdy Caleb zgiął się wpół, zdzielił go w ucho tak mocno, że rozległ się odgłos miażdżonej chrząstki. Caleb zatoczył się na bok. Przyklęknął na jedno kolano i przez jakiś czas zipał rozpaczliwie.

– Hej, przestańcie – powiedziała Rachel. Zabrzmiało to idiotycznie.

Brian roztarł szyję w miejscu, w które uderzył go Caleb, i splunął za burtę. Caleb przytrzymał się stołu, żeby wstać. Nagle w jego ręku pojawiła się broń. Rachel patrzyła, jak ją odbezpiecza, i w pierwszej chwili nie rozumiała, co widzi. Ten widok dobrze pasował do całego tego surrealistycznego dnia. Przecież byli Brianem, Rachel i Calebem, zwykłymi, nawet nudnymi ludźmi. Tacy ludzie nie noszą przy sobie broni. A jednak to ona zagroziła Calebowi bronią, żeby ją tu przywiózł.

Teraz ta sama broń została wycelowana w twarz Briana.

– A teraz gadaj, gdzie te jebane...

Brian uderzył Caleba w rękę z bronią, ta wypaliła. Nie tak głośno jak na strzelnicy, gdy Rachel znajdowała się między ściankami. Brzmiało to jak bardzo mocno zatrzaśnięta szuflada. Sądząc po rozbłysku z lufy, pocisk wystrzelił mniej więcej w jej stronę. Ale ona nie krzyknęła. Brian wyrwał broń z ręki Caleba i podciął mu nogi ze swobodą, która sugerowała jego doświadczenie w walce. Caleb wylądował na plecach; Brian kopnął go w pierś i brzuch, kopał go tak, jakby chciał go zabić.

– Celujesz mi w twarz? – ryknął. – To ma być, kurwa, jakiś żart?

Po każdym zdaniu wymierzał kolejnego kopniaka.

– Chcesz mnie wyruchać? – Kopnięcie w brzuch. – Pierdolisz takie głupoty o mojej żonie?

Z ust Caleba wyłoniła się bańka krwi.

– Chcesz wyruchać moją żonę? – Brian kopnął go w krocze. – Myślisz, że nie widzę, jak się do niej ślinisz? Jak się gapisz? Jak o niej myślisz?

Na początku Caleb błagał go, żeby przestał. Teraz tylko leżał.

– Brian, przestań.

Brian odwrócił się i drgnął, widząc broń w jej ręce. Rachel nie pamiętała, kiedy ją wzięła, ale czuła jej ciężar, o wiele większy od jej pistoletu, który w ręce Briana wyglądał jak zabawka.

– Przestać?

– Przestań – powtórzyła. – Zabijesz go.

– To ci robi jakąś różnicę?

– Brian, proszę.

– Co jego śmierć zmieni w twoim życiu? Albo moja? Bądź moje zniknięcie? Będziesz robić ciągle to samo – siedzieć w domu i patrzeć na świat. Ale do niego nie wyjdiesz. Nie będziesz go zmieniać. Zapomnij o nim. Co za różnica, czy jesteś na tym świecie, czy nie?

Te słowa zaskoczyły go chyba tak samo jak ją. Zamrugał parę razy. Spojrzał na pozbawione światła niebo i czarną zatokę. Na Caleba. Znowu na nią. I zobaczyła świtające w jego oczach zrozumienie – jeśli wróci na ląd w pustej łodzi, nikt się o niczym nie dowie.

Uniósł jej pistolet. Przynajmniej tak jej się wydawało. Nie, naprawdę go uniósł. Na pewno. Uniósł go z kolana, na wysokość brzucha, prawą ręką w połowie zasłaniając pierś.

A ona strzeliła.

Strzeliła tak, jak ją nauczono – prosto w serce.

Słyszała własny głos: „Brian, nie, Brian, nie”. Słyszała siebie, powtarzającą: „Nie, nie, nie, proszę”.

Brian zatoczył się do tyłu. Na jego koszuli rozlewała się plama krwi. Potem zaczęły z niej wypływać krople.

Caleb obejrzał się na nią z przerażeniem i wdzięcznością jednocześnie.

Brian upuścił jej broń.

– Cholera – powiedział. – Przepraszam.

To słowo zabrzmiało jak pytanie.

A w jego oczach było tyle miłości. I tyle strachu. Kolejne słowa wypływały z jego ust wraz z haustem krwi, która zaplamiła mu brodę. I przez ten strach i krew Rachel nie potrafiła zrozumieć sensu tego, co mówił.

Brian zrobił pół kroku wstecz, trzymając się za pierś. Wypadł za burtę.

Wtedy dopiero usłyszała, co do niej powiedział, co ją ominęło, gdy te słowa wypłynęły z niego razem z krwią.

Kocham cię.

Czekaj, czekaj, Brian, czekaj.

Krew była na pokładzie, a mała jej plamka – na białej piankowej poduszce na ławie pod burtą.

Czekaj, pomyślała znowu Rachel.

Mieliśmy się razem zestarzeć.

III

RACHEL WRACA DO ŚWIATA

2014

MROK

Najpierw zdjęła zegarek. Potem naszyjnik, ten, który trzy tygodnie temu dostała od Briana. Zrzuciła buty. Następnie przyszła kolej na kurtkę, podkoszulek i dżinsy. Położyła to wszystko na stole obok broni, z której strzeliła. Minęła Caleba i zeszła do ładowni. Na prawo od drzwi znalazła raketnicę i apteczkę, ale nie latarkę. Ta, w żółto-czarnej gumowej obudowie, leżała trochę dalej, na stole. Rachel wcisnęła włącznik. Działała jak trzeba. Spojrzała na jej podstawę – na energię słoneczną. Gdyby miała czas poszukać butli tlenowej, mogłaby w ogóle się nie wynurzać. Wróciła na pokład. Caleb czekał na nią przy relingu.

– Słuchaj, on nie żyje – rzucił. – A jeśli nawet...

Ominęła go. Stała na relingu.

– Czekaj – zaczął Caleb, ale już skoczyła. Zimno ścisnęło jednocześnie jej serce, gardło i przewód pokarmowy. Gdy dotarło do jej głowy, przeszło jej zatoki jak kwas.

Promień latarki był jaśniejszy, niż się spodziewała, i rozświetlił zielony świat mchu, wodorostów, koralu, piasku i czarnych głazów wielkości prymitywnych posągów bożków. Rachel zagłębiła się w zieleń i poczuła się tu intruzem, obcym, który wtargnął do naturalnego świata. Świata, który istniał na długo przed jej światem, świata starszego od ludzkości, języka i sumienia.

Nieopodal przepłynęła ławica dorszy. Gdy minęły Rachel, ta zobaczyła Briana. Siedział na piasku jakieś cztery metry poniżej kamienia starego jak kula ziemiska. Spłynęła ku niemu i zatrzymała się przed jego zwłokami, przebierając nogami w wodzie. Zapłakała wstrząsana konwulsjami, a on patrzył na nią niewidzącymi oczami.

Przepraszam.

Cienka wstążka krwi kręciła się spiralnie wokół krawędzi dziury w jego piersi.

Kochałam cię, nienawidziłam cię, wcale cię nie znałam.

Jego ciało przechylało się w prawo, głowa była przekrzywiona w lewo.

Nienawidzę cię, Kocham cię, będę za tobą tęsknić do końca mojego zasranego życia.

Patrzyła na niego, jego zwłoki patrzyły na nią, aż zaczęły ją palić płuca, oczy też. Czowała, że nie może tego znieść ani chwili dłużej.

Żegnaj.

Żegnaj.

Zaczęła się wynurzać; Caleb zapalił światła na statku. Kadłub kołysał się na wodzie dziesięć metrów dalej. Rachel była w połowie drogi, gdy poczuła, że coś muska ją pod kolanem. Uderzyła się dłonią w nogę, ale nic na niej nie wyczuła; osiągnęła tylko tyle, że zgubiła latarkę. Ciężki przedmiot spadał szybciej, niż się wyłaniała na powierzchnię; wkrótce osiadł na piaszczystym dnie, wielkie żółte ślepie wybałuszone w górę, ku światu.

Na powierzchni zaczerpnęła wielki łyk tlenu i popłynęła ku łodzi. Wdrapując się na nią, zauważyła małą wysepkę, której wcześniej nie widziała w tych ciemnościach. Przysiadła na niej jedynie ptaki i kraby, człowiek mógłby na niej oprzeć tylko jeden pośladek. Z kamienistego podłoża wyrastał samotny, wychudzony klon, przygięty do ziemi pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Kilkaset metrów dalej, tak jak się domyślała, znajdowała się wyspa Thompson, trochę lepiej widoczna, ale tak samo tonąca w ciemnościach jak przedtem.

Rachel stanęła na pokładzie, poszła z ubraniami do kabiny, nie zwracając uwagi na Caleba, który siedział na pokładzie z dłońmi między kolanami i pochyloną głową. Znalazła za

łóżkiem małą łazienkę z rozsuwanymi drzwiami. Nad toaletą wisiało oprawione w ramki zdjęcie ich obojga – nigdy dotąd go nie widziała. Za to wiedziała, kiedy zostało zrobione, bo wtedy Brian po raz pierwszy spotkał się z Melissą. Jedli obiad na North End, potem poszli piechotą do Charlestown i usiedli na porośniętym trawą wzgórzu przy Bunker Hill Monument. To zdjęcie zrobiła Melissa: Rachel i Brian, odwróceny do siebie plecami, a między nimi – pomnik. Uśmiechali się – żadna nowość, ludzie zawsze uśmiechają się na zdjęciach – ale oni uśmiechali się szczerze. Byli szczęśliwi, promieniali. Tej nocy Brian po raz pierwszy powiedział, że ją kocha. Ona zwlekała z odwzajemnieniem tego wyznania pół godziny.

Teraz przez parę minut siedziała na opuszczonej desce sedesu i szeptała jego imię, płacząc bezgłośnie, aż do bólu gardła. Chciała mu wyjaśnić, jak bardzo jej przykro, że go zabiła, chciała mu wyjaśnić, że nienawidziła go, bo manipulował nią, jakby ją miał za idiotkę... Ale tak naprawdę wszystkie te uczucia były niczym w porównaniu z rozpaczą, że go straciła i że straciła tę siebie, która z nim była. Tak wiele ważnych obwodów przepaliło jej się na Haiti – empatia, odwaga, współczucie, siła woli, moralność, poczucie własnej wartości – i tylko Brian wierzył, że to wróci. Przekonał ją, że obwody da się wymienić.

– Och, Rachel – usłyszała znowu głos matki – czy to nie smutne, że potrafisz kochać siebie tylko wtedy, gdy ktoś ci na to pozwoli?

Spojrzała w lustro i drgnęła wstrząśnięta, bo tak bardzo przypominała ją, słynną Elizabeth Childs, kobietę, której rozgoryczenie wszyscy brali za odwagę.

– Wal się, mammo.

Zdjęła biustonosz i majtki, wytarła się grubym ręcznikiem, który znalazła na półce. Włożyła dżinsy, podkoszulek i kurtkę, znalezionym grzebieniem doprowadziła włosy do jakiego takiego porządku i znowu spojrzała w lustro, tym razem na swoją matkę z czasów publikacji *Schodów*, tak, ale także na nową wersję Rachel. Morderczynię. Odebrała komuś życie. Fakt, że to życie należało do jej męża, nie zmieniał nic na gorsze ani na lepsze; sam fakt był miażdżący, bez względu na to, kogo zabiła. Przyczyniła się do wyeliminowania ludzkiego życia z powierzchni tej planety.

Czy on naprawdę podnosił broń?

Tak jej się wydawało.

Ale czy nacisnąłby spust?

W tamtej chwili była pewna, że tak.

A teraz? Teraz nie wiedziała. Czy mężczyzna, który oddał swój płaszcz bezdomnemu w ulewną noc, był zdolny do morderstwa? Ten sam mężczyzna, który pielęgnował ją przez trzy lata choroby bez jednego słowa zniecierpliwienia czy cienia frustracji? Czy taki człowiek mógł być zabójcą?

Nie, nie mógł. Ale tym człowiekiem był Brian Delacroix, naśladowca. Natomiast Brian Alden potrafił z władczym spokojem spoliczkować starego znajomego. Potrafił kopać swojego najlepszego przyjaciela i współpracownika z taką wściekłością, jakby chciał go zabić. Brian Alden wycelował w nią broń. Nie, nie dokładnie w nią, i nie, nie nacisnął na spust.

Bo nie dała mu szansy.

Wyszła na podkład. Była spokojna. Zbyt spokojna. I wiedziała, dlaczego tak się dzieje – była w szoku. Czowała, że znajduje się w swoim ciele, ale nie – że stanowi z nim jedność.

Znalazła swoją broń na pokładzie tam, gdzie upuścił ją Brian. Wsunęła ją za pasek na plecach. Wzięła ze stołu broń Briana. Podeszła do Caleba, a on spojrzał na nią zbyt późno, by ją powstrzymać.

Zamachnęła się i nad jego głową rzuciła broń do oceanu.

Spojrzała na niego z góry.

– Pomóż mi zmyć krew z pokładu.

KESSLER

W drodze powrotnej Caleb nie mógł zaczerpnąć powietrza bez bólu. Oboje zaczęli podejrzewać, że Brian złamał mu co najmniej jedno żebro. Gdy dotarli do miasta, Caleb ominął pierwszy zjazd na Back Bay. Początkowo Rachel myślała, że chce wybrać następny, ale gdy i jego ominął, spytała:

– Co robisz?

– Jadę.

– Dokąd?

– Znam bezpieczną kryjówkę. Musimy się tam zaszyć, żeby się zastanowić.

– Najpierw muszę zajrzeć do mojego mieszkania.

– Nie, nie musisz.

– Owszem, muszę.

– W tej chwili mogą nas szukać bardzo wkurzeni ludzie pozbawieni skrupułów. Musimy się wydostać z tego miasta, nie pchać się do niego.

– Muszę odzyskać mój laptop.

– Jebać twój laptop. Za te pieniądze kupimy ci nowy.

– Nie chodzi o niego, tylko o książkę, którą w nim mam.

– Ściągniesz sobie drugi raz.

– Nie książkę do czytania. Książkę, którą piszę.

Caleb spojrział na nią dzikim wzrokiem. W świetle kolejnych latarni jego śmiertelnie błąda twarz wyglądała trochę upiornie i bezradnie.

– Nie zrobiłaś kopii?

– Nie.

– Nie wrzuciłaś jej w chmurę?

– Nie!

– Kurwa, dlaczego?

– Muszę odzyskać laptop – powtórzyła, patrząc na zbliżający się zjazd. – Nie prowokuj mnie, bo znowu wyciągnę broń.

– Z tymi pieniędzmi nie potrzebujesz książki, żeby...

– Zjeżdżaj.

– Kurwa! – wrzasnął w sufit i skręcił w zjazd.

Wyłonili się z krótkiego tunelu na końcu North End, skręcili w lewo i pojechali przez Government Center w stronę Back Bay.

– Nie wiedziałem, że piszesz książkę – odezwał się w końcu Caleb. – Jaka? Kryminał? Science fiction?

– Nie. Reportaż. O Haiti.

– Bestseller to nie będzie. – Jego ton zabrzmiał niemal szyderczo.

Rachel roześmiała się gorzko.

– To ty tak uważasz, dobry człowieku.

Rzucił jej przepraszający uśmiech.

– Mówię prawdę.

– Własną wersję prawdy – odparła.

W swoim mieszkaniu weszła do sypialni i znowu się przebrała w suchy stanik i figi. Dżinsy zamieniła na czarne rajstopy. Włożyła czarny podkoszulek i starą szarą bluzę ze studenckich czasów. Otworzyła laptop, przeciągnęła pliki książki do osobnego folderu, co powinna była zrobić na samym początku. Napisała mejl do samej siebie i wysłała folder. *Voilà*. Teraz miała dostęp do tekstu bez względu na to, z jakiego komputera korzystała.

Wyszła z sypialni z laptopem pod pachą. Caleb zrobił sobie drinka, tak jak się spodziewała. Powiedział, że po kopniaku w krocze niewygodnie mu się siedzi, więc stał przy kuchennym blacie i sączył bourbona. Spojrzał na nią pustym wzrokiem.

– Myślałam, że się spieszysz – powiedziała.

– Czeka nas godzinna jazda.

– A, w takim razie chleję ile wlezie.

– Coś ty zrobiła? – spytał ochryplym szeptem. – Coś ty zrobiła?

– Zastrzeliłam mojego męża. – Otworzyła lodówkę, ale potem nie mogła sobie przypomnieć, czego w niej szukała, więc ją zamknęła. Przyniosła szklanekę i nalała sobie trochę bourbona.

– W samoobronie?

– Byłeś tam.

– Znokautowany. Nie wiem nawet, czy w pełni przytomny.

Te jego uniki ją zdenerwowały.

– Więc nie widziałeś, co się dzieje?

– Nie.

To nawet nie uniki. Co powie kiedyś w sądzie? Że zrobiła to, żeby uratować życie sobie i jemu? Czy że nie był „w pełni przytomny”?

Kim ty jesteś, Caleb? – mogłaby spytać. I nie chodzi mi o jakieś codzienne drobiazgi, ale o to, co stanowi twoją istotę.

Napiła się bourbona.

– Wycelował we mnie broń. Widziałam, co zamierza, więc strzeliłam pierwsza.

– Jesteś bardzo spokojna.

– Nie czuję spokoju.

– Mówisz jak robot.

– I tak się czuję.

– Twój mąż nie żyje.

– Wiem o tym.

– Brian.

– Tak.

– Nie żyje.

Teraz w końcu na niego spojrzała.

– Wiem, co zrobiłam. Po prostu tego nie czuję.

– Może jesteś w szoku.

– Istnieje taka możliwość. – Gdzieś w głębi jej głowy, głęboko w zwojach jej mózgu, czaiła się straszna świadomość, że pomimo tego całego żalu, który narastał w jej sercu, rozpychając jego ściany od środka, reszta jej ciała tętniła życiem, co nie zdarzyło się jej od czasów Haiti. Żal pożre ją, kiedy przestanie się poruszać i skupiać na bieżących problemach, więc teraz musi skupić się na tym, żeby nie nieruchomieć i nie stracić koncentracji.

– Pójdiesz na policję?

– Spytają, dlaczego go zastrzeliłam.

– Bo chciał mnie skopać na śmierć.

– Spytają, czemu to robił.
– A my powiemy, że oszalał, bo odkryłaś, że prowadzi podwójne życie.
– A nie powiedzą, że to dlatego, bo się próbowaliście wyruchać?
– Tak daleko się nie zapuszczą.
– Zapuszczą się, i to od razu. Będą chcieli wiedzieć, jakie interesy razem robiliście i czy ostatnio pokłóciliście się o pieniądze. Więc niezależnie od tego, jakie interesy razem kręciliście, lepiej się módl, żebyś nie miał motywu. Bo wtedy uznają nie tylko, że ty i ja się ruchaliśmy, ale że zamierzaliśmy wyruchać Briana na pieniądze. A wtedy będą chcieli wiedzieć, dlaczego wyrzuciłam do wody broń.

– A dlaczego wyrzuciłaś?
– Bo, Jezusie Maryjo, byłam w szoku? W stresie? Bo mi w chuj odbiło? Wybierz sobie dowolną wersję. A teraz, gdy śmierć Briana wyjdzie na jaw, nie potrafię sobie wyobrazić scenariusza, w którym nie wyląduję na jakiś czas w pierdłu. Choćby na trzy, cztery lata. A ja do pierdła nie idę. – W końcu coś poczuła, to był trzepot strachu graniczącego z histerią. – Nie będę siedzieć w klatce, do której klucz ma ktoś inny. Po prostu, kurwa, nie.

Caleb gapił się na nią z otwartymi ustami.
– W porządku. W porządku.
– Po prostu nie.
Caleb pociągnął jeszcze bourbona.
– Musimy jechać.
– Dokąd?
– W bezpieczne miejsce. Haya z dzieckiem już tam jest.
Rachel wzięła z blatu laptop i klucze i nagle stanęła.
– Jego ciało wypłynie. – Ta świadomość obluźowała coś w jej wnętrzu. Odrętwienie trochę ustąpiło, spokój się trochę ulotnił. – Wypłynie, prawda?

Caleb przytaknął.
– Więc musimy wrócić.
– Wrócić i co dalej?
– Obciążyć ciało.
– Czym?
– Nie wiem. Cegłami. Kulą do kręgli.
– Skąd weźmiemy kulę do kręgli o... – zerknął na zegar na mikrofalówce – jedenastej w nocy?

– Brian ma w swoim pokoju sztangę.
Caleb zrobił wielkie oczy.
– Taką małą, do rzeźbienia bicepsów. Wiesz, z obciążnikami po dziesięć kilo. Dwa takie powinny załatwić sprawę.
– Mówimy o obciążeniu zwłok Briana.
– Tak.
– To absurd.

Nie było w tym nic absurdalnego. Rachel wiedziała dokładnie, co powinna zrobić. I może ten szok jednak nie był szokiem, tylko jej umysł pozbył się wszystkich zbędnych danych, by wreszcie skupić się tylko na tym, co ważne. Tak samo czuła się w obozie w Léogâne, gdy chodziła od namiotu do namiotu, od drzewa do drzewa. Jednoznaczny cel: przemieszczać się i ukrywać, przemieszczać się i ukrywać. Żadnych pytań, żadnych stref szarości. Jej węch, wzrok i słuch nie służyły już odczuwaniu przyjemności, lecz jedynie przetrwaniu. Jej myśli nie błądziły – maszerowały w zdyscyplinowanym szeregu.

– To absurd – powtórzył Caleb.

– To nasza obecna sytuacja.

Poszła do sypialni po sztangi, ale zatrzymała się w pół drogi, bo ktoś zadzwonił do drzwi. To nie był dzwonek domofonu, który powinien się rozleć, gdyby ktoś stał pod domem. Nie był to też interkom w telefonie, przez który portier zapowiadał gości. Nie, to był mały dzwonek u jej drzwi wejściowych, trzy metry od niej.

Wyrzała przez wizjer i zobaczyła czarnoskórego mężczyznę z kocią bródką i w brązowym kapeluszu, skórzanej kurtce, białej koszuli i cienkim czarnym krawacie. Za jego plecami stały dwie policjantki w mundurach.

Rachel uchyliła drzwi, nie zdejmując z nich łańcucha.

– Tak?

Mężczyzna uniósł złotą odznakę i legitymację policyjną z posterunku w Providence. Nazywał się Trayvon Kessler.

– Funkcjonariusz wydziału śledczego Kessler. Czy pani mąż jest w domu?

– Nie.

– Spodziewa się go pani dzisiaj?

Pokręciła przecząco głową.

– Dziś wyjechał w interesach.

– Dokąd?

– Do Rosji.

– Czy zgodzi się pani mnie wpuścić na parę minut rozmowy? – spytał Kessler bardzo łagodnie.

Gdyby się zawahała, źle by to wyglądało, więc otworzyła drzwi.

– Proszę.

Policjant zdjął kapelusz, przekraczając próg, i położył go na siedzeniu zabytkowego krzesła po lewej. Głowę miał ogoloną – Rachel jakoś się tego spodziewała – i błyszczącą jak wypolerowany marmur.

– To jest funkcjonariuszka Mullen – wskazał jasnowłosą policjantkę o przyjaznym spojrzeniu i piegach w kolorze włosów – a to funkcjonariuszka Garza. – Popatrzył na ciemnowłosą masywną kobietę, która od progu zaczęła wodzić po mieszkaniu złaknionym wzrokiem. Ten wzrok szybko dopadł Caleba siedzącego przy kuchennym blacie z butelką bourbona. Rachel zauważyła, że zostawiła na blacie butelkę po wypitym wcześniej winie wraz z pustym kieliszkiem i szklanką napełnioną do połowy bourbonem. Wszystko to wskazywało na imprezę, która właśnie się rozkręcała...

Caleb wstał i uściśnął przybyszom dłonie. Przedstawił się jako współpracownik Briana. W ciszy, która następnie zapadła, troje przybyszów chłonęło mieszkanie wzrokiem. Caleb zaczął się denerwować.

– Ma pan na imię Trayvon? – spytał Kesslera. Rachel zapragnęła zamknąć oczy ze zgrozy.

Kessler przyjrzał się butelce bourbona i pustej flaszcze po winie.

– Ale wszyscy mówią do mnie Tray.

– Tak miał na imię ten chłopak z Florydy, tak? Ten, którego zabiła straż sąsiedzka?

– Tak, tak samo. A co, nigdy nie spotkał pan nikogo, kto by miał na imię Caleb?

– Nie, no pewnie, że tak.

– No więc...? – Kessler czekał z uniesionymi brwiami.

– Po prostu Trayvon to mniej popularne imię.

– Tam, skąd pan pochodzi.

Rachel poczuła, że nie wytrzyma ani jednej zasranej sekundy dłużej.

- Dlaczego szuka pan mojego męża?
- Chcemy mu zadać parę pytań.
- Jest pan z Rhode Island?
- Tak. Posterunek w Providence. Te wspaniałe funkcjonariuszki pełnią funkcję moich oficerów łącznikowych.
- Co mój mąż ma wspólnego z Providence?

Mile ją zaskoczyło, że tak gładko weszła w rolę nieświadomej niczego żony.

- Ma pan wybromy pod okiem – powiedział Kessler do Caleba.
- Słucham?

Policjant wskazał palcem i teraz Rachel także to zobaczyła – czerwoną krechę w zgięciu dolnej powieki prawego oka, z minuty na minutę nabierającą jaskrawszych barw.

- Proszę na to spojrzeć – zwrócił się Kessler do funkcjonariuszki Mullen.

Blondynka pochyliła się, żeby lepiej widzieć.

- Skąd to się wzięło?
- Parasolka – oznajmił Caleb.
- Parasolka? – powtórzyła funkcjonariuszka Garza. – Wskoczyła i pana dziabnęła?
- Nie, miał ją jeden facet w metrze. Pracuję w Cambridge. Trzymał ją na ramieniu, a na przystanku szybko się odwrócił i dźgnął mnie w oko.
- Auć – powiedział Kessler.
- Dokładnie.
- Musiało boleć dwa razy bardziej, kiedy się pomyśli, jak mało deszczu było w tym tygodniu. No tak, początek miesiąca był okropny. Ale ostatnio? Pamiętacie, kiedy padało? – rzucił Kessler w próżnię.
- Z dziesięć dni temu, jak nie dawniej – odpowiedziała funkcjonariuszka Mullen.
- To co ten facet odpierdalał z parasolem? – spytał Kessler z uśmiechem zdziwienia na szczupłej twarzy, znowu zwracając się nie wiadomo do kogo. – Przepraszam za brzydkie słowo – dodał do Rachel.
- Nie szkodzi.
- Żyjemy w szalonym świecie. Nie pada, a ludzie włóczą się po metrze z parasolami. – Kessler znowu spojrzał na butelki i kieliszki na blacie. – Więc pani mąż jest w Rosji?
- Tak.

Policjant odwrócił się do Caleba, który najwyraźniej modlił się, żeby zniknąć.

- A pan wpadł, żeby coś oddać?
- Hmm? Nie.
- Dokumenty czy coś?
- Nie.
- Więc... mam nadzieję, że nie jestem zbyt wścibski...
- Nie, skąd.
- Co pan tu robi? Kolega wyjeżdża z kraju, a pan wpada na drinka do jego żony?

Funkcjonariuszka Mullen uniosła brew. Funkcjonariuszka Garza chodziła po salonie.

- Przyjaźnimy się – odparła Rachel. – Mój mąż, Caleb i ja. Nie wiem, jakie zacofane wyobrażenia ma pan na temat tego, czy mężczyzna i kobieta mogą się spotykać po koleżeńsku pod nieobecność męża kobiety, ale byłabym zobowiązana, gdyby zostawił pan te wyobrażenia za progiem mojego mieszkania.

Kessler trochę się cofnął. Uśmiechnął się szeroko.

- No tak. Dobrze. – Roześmiał się cicho. – Dobrze. Czuję się skarcony. I przepraszam,

jeśli uraziłem.

Rachel skinęła głową.

Kessler podał jej zdjęcie. Jedno spojrzenie i krew odpłynęła jej z twarzy do serca. Brian siedział, obejmując ciężarną kobietę, którą Rachel widziała tego popołudnia. Kobieta na zdjęciu nie była w ciąży, a Brian miał mniej siwych włosów niż obecnie. Siedzieli na kanapie oparci o szare poduszki. Wyglądała, jakby była zrobiona z białego rattanu, który zlewał się z białą ścianą widoczną za nimi. Była to ściana, jakiej można się spodziewać w domku na plaży, a w każdym razie w domu w nadmorskim miasteczku. Nad nimi wisiała reprodukcja *Nenufarów* Moneta. Brian był bardzo opalony. On i kobieta błyskali białymi zębami w szerokich uśmiechach. Ona miała na sobie niebieską letnią sukienkę w kwiatki, on – czerwoną kraciastą koszulę i szorty bojówki. Kobieta opierała od niechcienia rękę na jego udzie.

– Nagle zrobiła pani bardzo dziwną minę.

– A jaką minę mam zrobić, kiedy pokazuje mi pan zdjęcie mojego męża z inną kobietą?

Policjant wyciągnął rękę.

– Mogę je prosić?

Oddała mu je.

– Zna ją pani?

Rachel pokręciła głową.

– Nigdy jej pani nie widziała?

– Nie.

– A pan? – Kessler podał fotografię Calebowi. – Zna pan tę kobietę?

– Nie.

– Nie?

– Nie.

– No, to już pan nie pozna. – Trayvon Kessler schował zdjęcie do kieszeni kurtki. – Osiem godzin temu znaleziono jej zwłoki.

– Jak...? – spytała Rachel.

– Jeden strzał w serce, jeden w głowę. Pewnie mówili o tym w wieczornych wiadomościach, jeśli oglądaliście. – Znowu spojrzął na blat. – Ale chyba mieliście inne rozrywki.

– Kim była? – spytała Rachel.

– Nazywała się Nicole Alden. Poza tym niewiele o niej wiem. Nienotowana, żadnych znanych wrogów, pracowała w banku. Ale znała pani męża.

– To stare zdjęcie – odparła Rachel. – Może sprzed czasów, gdy się poznaliśmy. I co z tego wynika, jeśli nadal miał z nią kontakt?

– Twierdzi pani, że jest w Rosji?

– Tak. – Wzięła komórkę, otworzyła ostatniego SMS-a, w którym Brian pisał, że jest na pasie startowym w Logan. Pokazała go Kesslerowi, który przeczytał go i oddał jej telefon. – Pojechał na lotnisko własnym samochodem czy taksówką?

– Własnym.

– Infiniti?

– Tak. – Drgnęła. – Skąd pan wie...?

– Skąd wiem, czym jeździ?

– Tak.

– Infiniti FX 45, zarejestrowane na pani męża pod tym adresem, stało dziś po południu naprzeciwko domu ofiary. A pewien świadek widział, jak pani mąż wychodzi z domu mniej więcej w tym czasie, kiedy popełniono zabójstwo.

– I co, Brian wyszedł i zostawił swój samochód?

– Czy możemy usiąść? – Policjant skinął głową w stronę blatu.

Wszyscy usiedli na wysokich stołkach, Kessler w środku, jak ojciec na rodzinnym spotkaniu.

– Nasz świadek twierdzi, że pani mąż przyjechał infiniti, ale godzinę później odjechał niebieską hondą. Korzystaliście kiedyś z tych aplikacji z mapami, na których można obejrzeć widok prawdziwej ulicy?

Oboje przytaknęli.

– Firmy produkujące te aplikacje wysyłają furgonetki, które filmują ulice. Dlatego zdjęcie ulicy może pochodzić sprzed paru miesięcy lub tygodni, ale nie lat. Wszedłem na stronę handlu nieruchomościami, wprowadziłem adres ofiary, uzyskałem widok ulicy i trochę poklikałem. I wiecie, co znalazłem?

– Niebieską hondę – zgadł Caleb.

– Niebieską hondę zaparkowaną nieopodal po wschodniej stronie ulicy. Odczytałem jej rejestrację, sprawdziłem ją i dowiedziałem się, że samochód należy do niejakiego Briana Aldena. Wrzuciłem nazwisko pana Aldena do bazy danych wydziału komunikacji i uzyskałem zdjęcie przedstawiające kogoś wyglądającego identycznie jak pani mąż.

– Jezus – powiedziała Rachel. Nie musiała się bardzo wysilać, żeby zabrzmiało to przekonująco. – Twierdzi pan, że mój mąż nie jest moim mężem?

– Twierdzą, że pani mąż może prowadzić podwójne życie i że chciałbym z nim o tym porozmawiać. – Kessler splótł dłonie na blacie i uśmiechnął się do niej. – Między innymi.

– Wiem tylko, że jest w Rosji – oznajmiła po minucie.

Trayvon Kessler pokręcił głową.

– Nie.

– Tak mi powiedział.

– Wygląda na to, że naopowiadał pani wiele kłamstw. Często wyjeżdża w interesach?

– Co najmniej raz w miesiącu.

– Dokąd?

– Najczęściej do Kanady i na Wybrzeże Północno-Zachodnie. Ale także do Indii, Brazylii, Czech, Anglii.

– Ciekawe miejsca. Jeździ pani razem z nim?

– Nie.

– Dlaczego? Ja bym chciał zobaczyć takie Rio albo pospacerować po Pradze.

– Mam pewne schorzenie.

– Schorzenie?

– A właściwie miałam do niedawna.

Poczuła na sobie spojrzenia wszystkich, zwłaszcza kobiet. Zastanawiali się, jakie schorzenie może dręczyć taką paniusią z wyższych sfer.

– Nie mogłam przez nie wychodzić z domu – wyjaśniła. – A już na pewno latać samolotem.

– Boi się pani latania? – spytał Kessler pomocnie.

– Między innymi.

– Agorafobia?

Spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich zbyt dużą wiedzę.

– Skończyłem psychologię. – Znowu ten pomocny ton głosu.

– Nigdy nie postawiono mi diagnozy – oznajmiła w końcu. Wydawało jej się, że funkcjonariuszka Mullen westchnęła. – Ale miałam objawy, które by ją potwierdzały.

– Miała pani? Czas przeszły?

- Brian pracował ze mną nad tym.
 - Ale nie na tyle, żeby zabrać panią ze sobą w podróż.
 - Na razie nie.
 - Czy chce pani otrzymać ochronę?
- Rzucił to tak niedbale, że zrozumiała dopiero po chwili.

– Po co?

Kessler odwrócił się do ciemnowłosej policjantki.

– Ma pani to drugie zdjęcie?

Funkcjonariuszka Garza podała mu fotografię, którą położył na blacie, by Caleb i Rachel mogli się jej przyjrzeć. Jasnowłosa kobieta leżała twarzą do podłogi. Dolna część jej ciała znajdowała się poza kadrem. Spod jej piersi wypływała krew, która zebrała się w kałużę nad jej lewym ramieniem. Jej lewy policzek był obryzganym krwią. Drzwi znajdującej się nieopodal lodówki także. Ale najgorszym widokiem, który – jak podejrzewała Rachel – będzie ją prześladował do końca życia, była czarna wyrwa na czubku jej głowy. Nie wyglądało to jak rana postrzałowa, raczej jakby ktoś jej wygryzł część czaszki. To miejsce natychmiast nappełniło się krwią, która spłynęła w jej włosy i poczerniała.

– Jeśli to zrobił pani mąż i...

– Mój mąż tego nie zrobił – powiedziała głośno.

– Nie twierdzę, że na pewno to zrobił, ale to on ostatni widział ją żywą. Więc załóżmy, tylko załóżmy, że to zrobił... – Kessler odwrócił się i wskazał drzwi. – Pani Delacroix, on ma do nich klucz.

Już go nie użyje, pomyślała.

– Więc chce mnie pan aresztować?

– Objąć panią ochroną.

Rachel pokręciła głową.

– Proszę zanotować, że pani Delacroix odmówiła skorzystania z ochrony – rzucił Kessler funkcjonariuszce Mullen.

– Jasne. – Jasnowłosa policjantka nagryzmoła coś w notatniku.

Kessler puknął w marmurowy blat, jakby sprawdzał jego jakość, i znowu spojrzał na Rachel.

– Zechce pani przyjść na posterunek i opowiedzieć, kiedy ostatnio widziała pani męża?

– Widziałam Briana po raz ostatni o ósmej rano, kiedy wyjechał na lotnisko.

– Nie wyjechał na lotnisko.

– Tak pan twierdzi. To jeszcze nie znaczy, że ma pan rację.

Kessler lekko wzruszył ramionami.

– Ale mam.

Biła od niego aura spokoju i sceptycyzmu. Ta dziwna mieszanka sugerowała, że zna wszystkie odpowiedzi Rachel, zanim jeszcze padną z jej ust, jakby nie tylko potrafił przejrzeć ją na wylot, ale jeszcze widział przyszłość i wiedział, jak to wszystko się skończy. Z trudem znosiła to umiarkowane zaciekawione spojrzenie i powstrzymywała się, by nie paść na kolana i nie zacząć błagać o litość. Gdyby kiedykolwiek znalazła się w pokoju przesłuchań razem z tym człowiekiem, wyszłyby stamtąd w kajdankach.

– Jestem zmęczona. Chciałabym się położyć i poczekać, aż mąż zadzwoni z Moskwy.

Kessler pokiwał głową i poklepał jej dłoń.

– Proszę zanotować, że pani Delacroix nie zgodziła się przyjść na posterunek, by odpowiedzieć na dalsze pytania – rzucił funkcjonariuszce Mullen. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i położył na blacie wizytówkę. – Na odwrocie znajduje się mój prywatny numer.

– Dziękuję.

Wstał.

– Chcę jeszcze spytać pana Perloffę... – Jego głos zabrzmiał nagle głośniejsz i ostrzej, choć Kessler stał tyłem do Caleba.

– Tak?

– Kiedy ostatni raz widział pan Briana Delacroix?

– Wczoraj po południu, gdy wyszedł z pracy.

Kessler spojrział na niego.

– Pracujecie razem w spółce obrotu drewnem, zgadza się?

– Tak.

– I nie wiedział pan, że pański współpracownik prowadzi podwójne życie?

– Nie.

– Zechciałby pan do nas wpaść i szerzej o tym opowiedzieć?

– Ja też jestem dość zmęczony.

Kolejne zerknięcie na blat, a potem dłuższe na Rachel.

– Ależ oczywiście. – Kessler podał mu wizytówkę.

– Zadzwoń – obiecał Caleb.

– Ależ oczywiście. Zadzwoń pan. Bo... czy mogę coś panu powiedzieć?

– Jasne.

– Jeśli Brian Delacroix-Alden jest tak szemraną postacią, jak mi się wydaje... – Policjant pochylił się do ucha Caleba i szepnął tak głośno, że wszyscy usłyszeli: – ...to znaczy, że pan też nie jest lepszy, mój drogi.

Mocno klepnął Caleba w ramię i roześmiał się, jakby byli starymi kumplami.

– Dlatego nie zniknie nam pan z oczu, słyszy pan?

W drodze do drzwi funkcjonariuszka Mullen coś notowała. Funkcjonariuszka Garza wolno obracała głową, jakby wszystko, co widzi, przez jej oczy trafiało do policyjnej bazy danych. Funkcjonariusz Kessler przystanął przy reprodukcji Rothko, którą Brian miał w poprzednim mieszkaniu. Przyjrzał się jej najpierw uważnie, potem z łagodnym uśmiechem, w końcu obejrzał się na Rachel i uniósł brwi, jakby pochwalał gust Briana. Uśmiechnął się szerzej i, o rany, jak jej się nie spodobało to, co zobaczyła w tym uśmiechu.

Wyszli, nie czekając, aż Rachel otworzy im drzwi.

Caleb od razu sięgnął po bourbona.

– Jezu – mruknął. – Jezu.

– Uspokój się.

– Musimy uciekać.

– Zgłupiałeś? Słyszałeś, co powiedział.

– Musimy tylko dobrać się do pieniędzy.

– Jakich pieniędzy?

– No, pieniędzy. – Caleb wychylił szklanę. – Tyle kasy, że nas nigdy nie złapią. Dobrać się do kasy, dotrzeć do kryjówki. Jezu. Kurwa. Ja pierdołę. – Otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, ale nagle je zamknął. Oczy mu się rozszerzyły i wypełniły łzami.

– Nicole. Tylko nie Nicole.

Rachel przyglądała mu się. Przycisnął dolne powieki i powoli odetchnął.

– Tylko nie Nicole – powtórzył.

– Więc ją znałeś.

Łypnął na nią spode łba.

– Oczywiście.

– Kim była?

– Była... – Znowu przeciągły wydech. – Moją przyjaciółką. Dobrym człowiekiem. A teraz... – Rzucił jej kolejne spojrzenie spode łba. – Pierdolony Brian. Mówiłem, żeby nie czekał. Mówiłem mu, że albo do nas dołączysz, albo nie. Albo posłalibyśmy po ciebie, kiedy zrobiłoby się bezpiecznie, albo by o tobie zapomniał.

– Chwileczkę... Po mnie? Na co czekaliście...

Rozległ się dzwonek. Rachel obejrzała się na drzwi i zauważyła kapelusze Trayvona Kesslera na krześle obok nich. Otworzyła, trzymając go w ręce.

Ale za progiem nie zobaczyła Kesslera, tylko dwóch białych mężczyzn, którzy wyglądali jak sprzedawcy ubezpieczeń albo księgowi – w średnim wieku, nijacy, pozbawieni cech charakterystycznych.

Z wyjątkiem broni w ręku.

JAKI KLUCZ?

Obaj trzymali dziewięciomilimetrowego glocka na wysokości swojego krocza, z rękami skrzyżowanymi w nadgarstkach, i celowali w ziemię. Gdyby ktoś ich minął, zobaczyłby zwykłych księgowych, nie broń.

– Pani Delacroix? – spytał ten z lewej. – Miło panią poznać. Możemy wejść?

Zrobił ruch bronią. Rachel ustąpiła z drogi.

Obaj weszli do mieszkania i zamknęli za sobą drzwi.

– Kto znowu... – zaczął Caleb i zobaczył glocki.

Niższy przybysz, ten, który się odezwał, wycelował broń w pierś Rachel. Ten wyższy – w głowę Caleba. Wskazał glockiem stół w jadalni.

– Usiądźmy sobie – rzucił ten niższy.

Rachel natychmiast zrozumiała, o co im chodzi – ze wszystkich pomieszczeń jadalnia była najbardziej oddalona od okien. Żeby dostrzec ją od strony drzwi wejściowych, należało wejść do mieszkania, zamknąć za sobą drzwi, a potem spojrzeć w lewo.

Usiedli przy stole. Rachel położyła kapelusz Kesslera na stole przed sobą, bo nie miała pojęcia, co innego mogłaby z nim zrobić. Gardło jej się zacisnęło. Czuła się tak, jakby czerwone mrówki pełzały jej w kościach i po głowie.

Niższy mężczyzna, około pięćdziesiątkipięćki, miał smutne oczy i jeszcze smutniejszą zaczeskę oraz wyraźny brzuszek. Nosił wystrzępioną koszulkę polo pod chabrową marynarką w fasonie, który był modny, gdy Rachel chodziła do podstawówki – i już nigdy później.

Jego towarzysz miał jakieś pięć lat mniej, gęste siwe włosy i modny zarost w tym samym kolorze na policzkach i na brodzie. Był ubrany w czarny podkoszulek i o rozmiar za dużą czarną kurtkę, wyglądającą na tandetną i wypchniętą na ramionach najpewniej od tego, że zbyt długo wisiała na drucianym wieszaku. Między odkształceniami a klapami rozciągała się połać materiału przyprószona łupieżem.

Obaj cuchnęli przeterminowanymi marzeniami i zestarzałymi ambicjami. Pewnie dlatego teraz pastwią się nad innymi, pomyślała Rachel. Ten chabrowy wyglądał jej na Neda. Tego z łupieżem nazwała Larsem.

Miała nadzieję, że jeśli nada im imiona, przestanie się ich bać, ale stało się odwrotnie, zwłaszcza gdy Ned przykręcił do lufy tłumik, a Lars poszedł za jego przykładem.

– Spieszmy nam się – oznajmił Ned. – Dlatego proszę, żebyście działali we własnym interesie i nie tracili czasu na te wszystkie „ale o co chodzi”. Jasne?

Oboje spojrzeli na niego w milczeniu.

Ned ścisnął sobie nos u nasady i przymknął oczy.

– Spytałem, czy to „jasne”.

– Tak – powiedziała Rachel.

– Tak – dodał Caleb.

Ned spojrzał na Larsa, Lars na Neda, a potem obaj wrócili do patrzenia na Rachel i Caleba.

– Rachel – zaczął Ned. – Bo masz na imię Rachel, tak?

– Tak. – Rachel usłyszała drżenie swojego głosu.

– Rachel, zechciej wstać.

– Co?

– Stań, kochanie. Serio. O tutaj, przede mną.

Wstała i dreszcz, który zainfekował jej głos, dotarł do jej nóg.

Nos Neda, poznaczony czerwonymi żyłkami i dziobami, znajdował się teraz na wysokości jej brzucha.

– Dobrze, dobrze. Zostań tak i się nie ruszaj.

– Dobrze.

Ned odchylił się na krześle, żeby przyjrzeć się Calebowi.

– Pracujesz z nim, tak?

– Z kim? – spytał Caleb.

– Ej, ej, ej. – Ned stuknął kolbą glocka o blat stołu. – O co prosiłem?

– A, z Brianem – rzucił szybko Caleb. – Tak, pracuję z nim.

Ned spojrzał znacząco na Larsa.

– „A, z Brianem”.

– A, z tym Brianem – odparł Lars.

Ned uśmiechnął się krzywo.

– Zatem gdzie jest klucz?

– Jaki klucz? – spytał Caleb.

Ned uderzył Rachel w brzuch. Tak mocno, że poczuła ślad po jego kostkach, gdy wbiły się pod jej przeponę i uniosły ją w górę. Upadła i znieruchomiała, pozbawiona tlenu, z płonącymi wnętrznościami, głową pełną czarnej mazi, niezdolna do przetworzenia jakiegokolwiek informacji. A kiedy znowu stała się do tego zdolna, gdy powietrze wróciło do jej płuc, ból uderzył mocniej. Wbiła głowę w podłogę i dźwignęła się na czworaki. Parę razy zaczerpnęła powietrza. Ale to było nic w porównaniu ze świadomością, że dziś umrze. Nie wkrótce. Nie kiedyś. Prawdopodobnie za pięć minut. I z całą pewnością tego dnia.

Ned pomógł jej się wyprostować. Chwycił ją za ramiona. Wydawał się zmartwiony, że mogłaby zemdleć.

– W porządku?

Skinęła głową i przez chwilę była pewna, że zwymiotuje.

– Powiedz. – Spojrzał jej w oczy. Ned, Dobry Samarytanin.

– W porządku.

– Dobrze.

Chciała usiąść, ale ją przytrzymał.

– Przykro mi, ale możemy to powtórzyć.

Nie potrafiła powstrzymać łez. Starła się z całej siły, ale przygniatało ją wspomnienie kostek wbitych w przeponę, braku oddechu, bólu tak przenikliwego, że odłączył jej mózg, a przede wszystkim świadomość tego, co się stanie, że ten smutnooki mężczyzna z zaczeską i zatroskanym głosem znowu ją uderzy i będzie bić tak długo, aż dostanie to, czego chce, albo aż ją zabije.

– Ćśśś – powiedział Ned. – Odwróć się. Niech zobaczy twoją twarz.

Położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją do Caleba.

– Pierwszy cios, młody człowieku, dostała w splot słoneczny. Boli jak cholera, ale nie uszkadza ciała. Następny rozjebie jej nerki.

– Nic nie wiem.

– Jasne, że wiesz. To ty tym kręcisz. Brałeś w tym udział od samego początku.

– Brian się usamodzielniał.

– Ach tak?

Caleb miał rozbiegane spojrzenie, spoconą twarz i drgające wargi. Wyglądał jak przerażony chłopczyk, którym – teraz to sobie uświadomiła – był od samego początku. Zerknął na Rachel i ta najpierw wzięła wyraz jego oczu za współczucie, ale potem zrozumiała z przerażeniem, że to zażenowanie. Wstyd. Litość. Wstydział się, bo wiedział, że nie wystarczy mu odwagi, żeby ją uratować. Litował się nad nią, bo wiedział, że jest skazana na śmierć.

Caleb, on mi zmiążdży nerki. Powiedz mu, co wiesz.

Ned przesunął tłumikiem po jej prawej skroni, a potem po szyi.

– Nie zmuszaj mnie do tego, młodzieńcze. Mam córkę. Mam siostry.

– Słuchaj... – zaczął Caleb.

– Nie ma „słuchaj”. Nie ma „zaczekaj chwilkę” ani „pozwól wytłumaczyć”, ani „to nieporozumienie”. – Ned odetchnął głęboko przez nos, jak człowiek, który siłą woli zmusza się do zachowania spokoju. – Jest tylko pytanie i odpowiedź. Tylko to.

Rachel poczuła jego penis, sztywniejącego na jej lewym biodrze. Stał mu, temu ojcu córki, temu bratu sióstr. Potwory, powiedziała kiedyś jej matka, a ona sama potwierdziła to przez lata życia, nie wyglądają jak potwory, wyglądają jak ludzie. Co dziwniejsze, rzadko wiedzą, że są potworami.

– Gdzie klucz? – spytał Ned.

– Jaki klucz? – wykrztusił Caleb. Cała twarz mu drżała.

Przestała drzeć, gdy Ned w nią strzelił.

Rachel nie wiedziała, co wydarzyło się najpierw. Zarejestrowała plaśnięcie pocisku wchodzącego w ciało. Usłyszała skowyt Caleba, ostatni – jak się okazało – odgłos, jaki wydał w życiu. Głowa odskoczyła mu do tyłu, jakby usłyszał najśmieszniejszy żart świata. A potem się pochyliła, ale tym razem przesłaniała ją zasłona koralików krwi, a Rachel otworzyła usta, żeby krzyknąć.

Ned przyłożył jej do szyi tłumik, tak gorący, że zostawiłby ślad, gdyby zatrzymał go zbyt długo.

– Jeśli krzykniesz, będę musiał cię zabić. Nie chcę cię zabić, Rachel.

Ale pewnie by zabił.

Nie, Rachel, on cię zabije. W chwili, gdy tu skończy. W chwili, gdy dostaną, czego chcą.

Klucz. Jaki zasrany klucz? Brian miał tyle kluczy przy breloczku, że tylko jakiś geniusz spostrzegawczości zauważyłby pojawienie się nowego.

Ale jeśli rzeczywiście miał ten klucz, to pewnie właśnie tam – przy breloczku.

Czyli przy sobie.

Czyli na dnie zatoki Massachusetts.

Zwłoki Caleba osunęły się na krzesło i pewnie by upadły na podłogę, gdyby jego ramię nie uwięzło pod podłokietnikiem. Przez chwilę słychać było tylko kapanie.

– Więc odpowiedź, której mi teraz udzielisz – odezwał się Ned – z całą pewnością nie brzmi „Jaki klucz”.

Cokolwiek powiesz, on cię zabije.

Skinęła głową.

– Kiwasz głową, bo znasz odpowiedź czy na znak, że się ze mną zgadzasz? – Ned odjął broń od jej szyi. – Możesz mówić. Wiem, że nie będziesz krzyczeć.

– Co mam powiedzieć?

Lars stał po drugiej stronie stołu. Wyraźnie się nudził. Chciał już iść. I to było o wiele bardziej przerażające niż groźby. To, co się miało tu wydarzyć, dobiegało końca. A ten koniec oznaczał następny strzał w twarz, tym razem jej.

– No i się zaczyna. – Ned westchnął. – Szukamy odpowiedzi na tylko jedno pytanie,

Rachel – powiedział z największą delikatnością i troską. – A brzmi ono: „Gdzie jest klucz?”.

– Ma go Brian.

– A gdzie jest Brian?

– Nie wiem – powiedziała, a potem dodała szybko, bo Ned podniósł broń: – ale coś podejrzewam.

– Co?

– Brian ma łódź. Nikt o niej nie wie.

– Jak się nazywa, gdzie jest zakotwiczona?

Nie widziała nazwy łodzi. Nie przyszło jej do głowy, żeby ją sprawdzić.

– Stoi w... – zaczęła.

Przerwał jej dzwonek.

Wszyscy spojrzeli na drzwi, potem na siebie, znowu na drzwi.

– Kto to może być? – spytał Ned.

– Nie mam pojęcia.

– Mąż?

– On by nie dzwonił.

Znowu rozległ się dzwonek, a po nim pukanie do drzwi.

– Pani Delacroix, tu funkcjonariusz Kessler.

– Funkcjonariusz Kessler – powiedział Ned z namysłem. – Ha.

– Zapomniałem kapelusza.

Ned i Rachel spojrzeli na kapelusz na stole.

Kolejne pukanie, natarczywe, pukanie człowieka nawykłego do pukania w drzwi, choćby nawet nie był mile widziany.

– Pani Delacroix?

– Idę! – zawołała Rachel.

Ned rzucił jej wymowne spojrzenie.

A ona jemu: No więc co miałam zrobić?

Ned i Lars popatrzyli na siebie. Najwyraźniej porozumieli się telepatycznie i podjęli decyzję. Ned podał jej kapelusz. Uniósł rękę przed twarzą.

– Widzisz tę szerokość?

– Tak.

– Na tyle otworzysz drzwi. Dasz mu ten kapelusz i je zamkniesz.

Chciała odejść, ale chwycił ją za łokieć i odwrócił do Caleba. Zasłona krwi na jego twarzy ciemniała. Gdyby to było Haiti, wokół jego głowy już by bzyczały muchy.

– Jeśli choć trochę odejdziesz od moich instrukcji, spotka cię to samo.

Zaczęła dygotać. Odwrócił ją ku drzwiom.

– Przestań się trząść – szepnął.

– Jak mam to zrobić? – Zęby jej dzwoniły.

Uderzył ją mocno w tyłek. Obejrzała się na niego, a on uśmiechnął się blado, bo drzenie ustąpiło.

– No i nauczyłaś się czegoś nowego.

Wzięła kapelusz i ruszyła przez mieszkanie. Na lewo od drzwi na wieszaku wisiała jej torebka, malutka, z brązowej skórki, prezent od Briana na Boże Narodzenie. Rachel położyła rękę na klamce i postanowiła, że to robi, nie dając sobie czasu do namysłu, nie dając im czasu do namysłu. Otworzyła drzwi znacznie szerzej niż o nakazane sześć centymetrów, tak szeroko, że funkcjonariusz Trayvon Kessler mógł zobaczyć nad jej lewym ramieniem korytarz prowadzący do sypialni, drzwi łazienki, blat w kuchni. Zdjęła torebkę z wieszaka, przekroczyła próg i dała mu

kapelusz niemal jednym ruchem.

Pocisk przeszył jej plecy, roztrzaskał kręgosłup, posłał odpryski kości z nurtem krwi. Upadła na funkcjonariusza Kesslera, uniemożliwiając mu tym samym dobyte broni. Ned strzelał dalej, trafił policjanta w głowę, ramię i rękę. Oboje upadli. Znieruchomieli na marmurowej posadzce, a Ned i Lars stanęli okrakiem nad ich ciałami. Patrzyli na nich pustymi oczami i strzelali, a zwłoki podskakiwały...

– Zastanawiałam się, czy pan po niego wróci. – Zamknęła za sobą drzwi. – Już miałam do pana dzwonić.

Poszła do wind. Kessler pospieszył za nią.

– Wychodzi pani?

Obejrzała się na niego przez ramię. Brian, Sebastian i dwaj jej byli mówili, że wtedy wygląda najseksowniej. Widziała, że trafiła i Trayvona Kesslera, który zmrużył oczy, jakby się bronił.

– Chcę tylko pozbyć się tego szumu w głowie.

– Nie lepiej spać?

– Czy mogę się z czegoś zwierzyć? Wyznać panu tajemnicę?

– Uwielbiam tajemnice. Dlatego zostałem policjantem.

Dotarli do wind. Wcisnęła guzik i zaryzykowała spojrzenie na drzwi swojego mieszkania.

Co zrobi, jeśli się otworzą? Rzuci się ku schodom?

Wtedy po prostu zabiją ją na schodach.

– Potajemnie palę. I skończyły mi się fajki.

– Ach... – Policjant pokiwał głową. – On na pewno wie.

– Hmm?

– Pani mąż. Na pewno wie, że pani pali, ale woli nie poruszać tego tematu. Gdzie pan Perloff?

– Nieprzytomny na kanapie w salonie.

– Jestem pewien, że to także nie przeszkadza pani mężowi – obcy mężczyzna śpiący w waszym domu. Bardzo postępowy ten pani mąż. Do zacofanych na pewno nie można go zaliczyć.

Spojrzała na wyświetlacz nad windą z lewej strony. Kabina utknęła na trzecim piętrze. Ten z prawej w ogóle nie świecił. W nocy winda nie kursowała. Pewnie zatrzymywali ją po to, by zaoszczędzić prąd.

Pierdolone oszczędności, pomyślała i obejrzała się na drzwi.

– Spodziewa się pani, że się otworzą? – spytał Trayvon Kessler.

– Co?

– Drzwi pani mieszkania. Ciągłe pani na nie zerka.

Jeśli Ned i Lars teraz wyjdą z bronią gotową do strzału, zaskoczą Kesslera. Ale jeśli Rachel go uprzedzi – powie mu, że tam są, i ujawni, co zrobili – policjant wyjmie broń, osłoni ją własnym ciałem i wezwie posiłki. I ten koszmar wreszcie się skończy.

Rachel musi mu to tylko powiedzieć. I szykować się na odsiadkę.

– Naprawdę? W tej chwili nie jestem sobą.

– Dlaczego?

– Odkrycie, że mój mąż prowadzi podwójne życie, mogło zrobić na mnie niejaki wrażenie.

– Racja. – Kessler spojrzał na wyświetlacz nad windą. – Może zejdziemy?

Nie zastanawiała się ani chwili.

– Pewnie.

– Nie, zaraz. Już jedzie.

Winda dowlokła się z trzeciego piętra na czwarte, a potem przyspieszyła, śmignęła z czwartego przez piąte, szóste, siódme i ósme na dziewiąte.

I stanęła.

Rachel spojrzała na Kesslera.

Wzruszył ramionami, jakby mówił: „I co ja na to poradzę?”.

– Idę – rzuciła i ruszyła w stronę schodów.

– Znowu jedzie.

Czerwone światelko przeskoczyło z dziewiątki na dziesiątkę, a potem śmignęło z jedenastki na czternastkę. I znowu znieruchomiało. Rachel słyszała dobiegający z szybu śmiech ludzi, którzy najwyraźniej zrobili sobie sobotni wieczór we wtorek.

Trayvon Kessler stał tyłem do korytarza, gdy Ned wyszedł z jej mieszkania. Zastanawiała się, czy nie krzyknąć. Zastanawiała się, czy nie zbiec po schodach, których czerwona tablica przyzywała ją jak ręka Boga. Gdy Kessler powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, Ned podszedł do nich wolnym krokiem, z pustymi rękami i bronią pewnie zatknietą za pasek na plecach, ukrytą pod połą jego chabrowej marynarki.

– Rachel – powiedział. – Kopę lat.

– Ned. – Przez ułamek sekundy dostrzegła zaskoczenie w jego oczach. – Prawie nie wychodziłam z domu. Zamawiałam wszystko przez telefon.

Ned odwrócił się do policjanta.

– Ned Hemple. – Wyciągnął rękę.

– Trayvon Kessler.

– Co sprowadza do Bostonu policjanta z Providence?

Kessler przez chwilę był zaskoczony. Potem zerknął na swój pasek, do którego była przypięta złota odznaka.

– Sprawdzam kilka śladów.

Rozległ się brzęczyk, drzwi windy się rozsunęły.

Wsiadli. Kessler wcisnął parter.

USTNIK

Rachel, wszystko w porządku? – Ned spojrział na nią niczym uosobienie empatii i troski.

– Pewnie. A co?

– Nie, ja tylko... – Ned, jakby speszony, odwrócił się do Trayvona Kesslera. – Mieszkam obok Rachel i Briana. Przepraszam, że też się nie ugryzłem w język.

Kessler skwitował to niedbałym uśmiechem.

– Powinien był się ugryźć w język, Rachel?

– Nie ze względu na mnie.

Trayvon wyciągnął rękę.

– Proszę dalej, panie Hemple.

Ned przez chwilę wzdychał, kręcił się i z uwagą spoglądał na swoje buty.

– Parę minut temu usłyszałem jakieś... hm... krzyki. Pomyślałem, że pewnie poróżniliście się z Brianem. To przecież nic takiego. Ja i Rosemary też tak mamy. Mam nadzieję, że wszystko gra.

– Krzyki? – Uśmiech Kesslera stał się szerszy.

– Ludzie się czasem kłócą – powiadomił go Ned.

– O, wiem o tym. Po prostu dziwię się, że Rachel kłóciła się z Brianem. Zaledwie parę minut temu, tak?

Winda zatrzymała się na siódmym. Wsiadł do niej pan Cornelius, właściciel trzech nocnych klubów na Fenway. Uśmiechnął się do nich uprzejmie i wrócił do pisania SMS-a.

Ned podał ją Kesslerowi na tacy. Nawet gdyby udało jej się jakoś uciec im obu w holu – a nie miała pojęcia, jak miałyby tego dokonać – Kessler wróci do jej mieszkania, tym razem z nakazem rewizji, i znajdzie martwego Caleba. Nie nieprzytomnego. Martwego.

Uświadomiła sobie, że obaj na nią patrzą, czekając na jej reakcję.

– To nie był Brian, Ned, dziękuję.

– Nie?

– Tylko jego kolega. Spotkałeś go parę razy. Caleb.

Ned skinął głową.

– Ten przystojniak.

– Właśnie.

– Ale ja zawsze powtarzam mojej żonie, że uroda przemija – powiedział Ned do Kesslera.

– Chciał wracać do domu, a ja nie mogłam pozwolić, żeby prowadził. Za dużo wypił.

– Ale przecież przyjechał metrem – odezwał się Kessler.

– Co?

– Z Cambridge. Powiedział, że przyjechał metrem.

– Przecież mieszka w Seaport i nie chciał tam wracać metrem. Chciał pożyczyć mój samochód. O to się kłóciliśmy.

Jezu, nad iloma szczegółami będzie musiała jeszcze zapanować?

– Ach.

– To ma sens – powiedział Ned tonem sugerującym coś zupełnie odwrotnego.

– Dlaczego nie wezwał taksówki? – spytał Kessler.

– Ubera – dodał Ned.

– O właśnie, tego czegoś. – Kessler wskazał go kciukiem.

– O to już go spytacie sami, jak wytrzeźwieje – odparła.

Teraz pan Cornelius zaczął się im przyglądać, jeszcze nie wiedział, co się dzieje, ale już wyczuwał konflikt.

Zjechali na parter.

Rachel podejrzewała, że tuż za drzwiami Kessler zostawi ją samą i pójdzie w swoją stronę. Nawet jeśli będzie grała na zwłokę i spróbuje go zatrzymać rozmową, Ned na pewno uda, że odchodzi. I wróci, gdy tylko Kessler odjedzie. Albo po prostu zastrzeli ją, jak będzie stał po drugiej strony ulicy.

Położyła rękę na karku i dotknęła zapięcia naszyjnika. Jeśli lekko je skręci, a potem rozchyli palce, może uda jej się przerwać nitkę. Kiedy koralki posypią się na podłogę, mężczyźni się pochylą, żeby je pozbiierać. A ona ucieknie przez pokój pocztowy.

– Coś panią ugryzło? – spytał Kessler.

– Co?

– Swędzi panią szyja?

Ned spojrzał na nią.

Opuściła rękę.

– Tak. Trochę.

Wyszli z windy. Pan Cornelius skręcił od razu w korytarz prowadzący do wind garażowych. Ned i Kessler ruszyli naprzód.

Siedzący na portierni Dominick zerknął na nich, nieco zaskoczony obecnością Kesslera i Neda. Skinął Rachel głową i wrócił do czytania gazety.

– Nie idziesz do garażu? – spytała Neda.

– Hmm? – Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem skierowanym na drzwi garażu. – Nie.

– Zaparkowałeś na ulicy?

Ned obejrzał się na nią przez ramię.

– Nie, słońko, chcę się przejść.

– Wszyscy chcą się dziś przejść – zauważył Kessler i poklepał się po brzuchu. – Aż mam ochotę odwiedzić siłownię.

Otworzył drzwi wyjściowe – do wewnątrz – i gestem zaprosił ich, żeby wyszli. Ned ruszył pierwszy, po nim Rachel.

– Miłego spaceru – powiedziała Rachel do Neda, gdy znaleźli się na zewnątrz. – Pozdrów ode mnie Rosemary.

– Oczywiście. – Ned wyciągnął rękę do Kesslera. – Miło było poznać.

– Pana także, panie Temple.

– Hemple – poprawił go Ned, ściskając mu dłoń.

– Oczywiście, mój błąd. – Kessler cofnął rękę. – Proszę na siebie uważać.

Przez parę dziwnych sekund żadne z nich nie ruszyło się z miejsca. W końcu Ned odwrócił się i poszedł na wschód z rękami w kieszeniach.

Rachel zerknęła na policjanta, który jakby na coś czekał. Gdy znowu spojrzała na mroczną ulicę, Ned zniknął bez śladu.

– A więc to jest Ned.

– To jest Ned.

– On i Rosemary od dawna są małżeństwem?

– Od wieków.

– A obrączki nie nosi. Nie wydaje się wolnym duchem, który uważa, że obrączka to tylko symbol terroru, którego źródłem jest paradygmat narzucony społeczeństwu.

- Pewnie oddał do czyszczenia.
- Może i tak. Czym się zajmuje nasz przyjaciel Ned?
- A wie pan, że nie jestem pewna?
- Czemu mnie to nie dziwi?
- Chyba jakimś rękodziełem.
- Rękodziełem? W tym kraju już niczego nie wytwarzamy.

Wzruszyła ramionami.

- Wie pan, jak to teraz jest z tymi sąsiadami.
- Proszę mi wyjaśnić.
- Wszyscy strzegą swojej prywatności. – Uśmiechnęła się do niego zimno.

Kessler otworzył drzwi ciemnego czterodrzwiowego forda.

- Podwożę panią po te papierosy.

Obejrzała się na chodnik. Co sześć metrów rozlewała się na nim kałuża światła latarni.

Pomiędzy nimi czaiła się ciemność.

- Dziękuję. – Wsiadła do samochodu.

Kessler zajął miejsce za kierownicą, położył kapelusz między siedzeniami i ruszył.

– Trafiały mi się już popierdolone sprawy – proszę wybaczyć to wyrażenie – ale ta jest w ścisłej czołówce. Mam martwą blondynkę w Rhode Island, zaginionego faceta, który prowadzi podwójne życie, jego kłamiącą żonę...

- Ja nie kłamię.

– O ho, ho! – Pogroził jej palcem. – Kłamie pani, aż się kurzy! Powiedziała mi pani tyle kłamstw, że kurewsko trudno się w tym połapać. A pani sąsiad, ten żonaty facet w marynarce z zeszłego wieku i spodniach z Tesco, za to bez obrączki? Faceci tego pokroju nie mieszkają w takich budynkach. Nawet nie wiedział, gdzie tu jest garaż, a portier widział go pierwszy raz w życiu.

- Nie zauważyłam.

– Na szczęście to ja jestem gliniarzem, a nam, kurwa, płacą za zauważanie takich rzeczy.

- Często pan mówi „kurwa”.

– A dlaczego by nie? To fajne słowo. Można z niego zrobić czasownik, rzeczownik, przymiotnik, znak przestankowy. „Kurwa” jest kurewsko praktyczna. – Skręcił w lewo. – Problem z pani kłamstwami polega na tym, że nie wiem, dlaczego pani kłamie. Za wcześniej na to, żeby zgadywać. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości co do tego, że kłamię pani jak z nut.

Gdy samochód zatrzymał się na światłach, Rachel nabrała przeświadczenia, że za chwilę Ned stanie przy oknie od strony Kesslera i zacznie strzelać.

Światło zmieniło się na zielone. Kessler jeszcze raz skręcił w lewo i zaparkował przed sklepem spożywczym na Boylston, naprzeciwko Prudential. Gdy odwrócił się w stronę Rachel, w jego oczach nie malowało się już bezlitosne rozbawienie. W jego miejsce pojawiło się coś, czego nie potrafiła nazwać.

– Świętej pamięci Nicole Alden została zlikwidowana. Tak profesjonalnej egzekucji nigdy nie widziałem, a miałem już do czynienia z kilkoma. Zatem pani mąż, który prowadzi podwójne życie, może być w tej dziedzinie zawodowcem. Albo on, albo jakiś jego znajomy może złożyć pani wizytę. I, Rachel... – Nachylił się do niej tak blisko, że poczuła zapach miętywki. – On cię, kurwa, zabije.

Nie mógł jej uratować. Nawet gdyby bardzo tego chciał, a szczerze w to wątpił. Jego zadaniem było zamknięcie sprawy morderstwa Nicole Alden. Z charakterystycznym dla policjantów uporem postanowił obciążyć morderstwem Briana. A kiedy on się nie pojawi, Kessler zacznie drążyć. Może się dowie, że Rachel była w Providence krótko przed tym, gdy

ofiara straciła życie. Była pewna, że samochody z wypożyczalni mają nadajniki, żeby firma zawsze wiedziała, gdzie się w danej chwili znajdują. Nie będzie trzeba dokładać szczególnych starań, by dowiedzieć się, że Rachel była na tej ulicy przed domem Nicole Alden. Łatwo przewidzieć dalszy rozwój wypadków – żona odkrywa, że mąż ma drugą żonę, która spodziewa się dziecka, więc zabija rywalkę. A jeśli ten scenariusz wydałby się komuś za mało obciążający, to w mieszkaniu Rachel można znaleźć zwłoki współpracownika jej męża. Sekcja potwierdzi, że był martwy już wtedy, gdy okłamała funkcjonariusza, twierdząc, że cały i zdrowy śpi na jej kanapie.

– Nie lubię zastraszania – powiedziała.

– Nie zastraszam cię. Stwierdzam tylko fakty.

– To raczej domniemania. Przedstawiane w sposób najbardziej zastraszający z możliwych.

– Nie jest domysłem to, że w tej chwili umierasz ze strachu.

– Umierałam ze strachu już wcześniej.

Kessler pokręcił powoli głową – twardy gliniarz patrzący na paniusię bez stałej pracy. Pewnie wyobrażał sobie teraz zawartość jej garderoby, pełnej ubrań od najdroższych projektantów, szpilek od Louboutina czy jedwabnych garsonek, które wkładała, idąc do restauracji. Na tak drogie ubrania nie stać żadnego policjanta.

– Tak ci się wydaje, ale to nieprawda. Na tym świecie istnieje mrok, o którym nie dowiesz się z telewizji ani z książek.

Tamtej nocy w obozie w Léogâne mężczyźni brnęli w błocie i pocili się w upale, przy świetle ognisk, z nożami i butelkami taniego alkoholu w rękach. Koło drugiej w nocy Widdy powiedziała do niej:

– Jeśli do nich wyjdę, może tylko... – zrobiła kółko z palców jednej ręki i parę razy włożyła do niego palec wskazujący drugiej dłoni – ale jeśli każemy im czekać, mogą się rozgniewać i... – Tym samym palcem przesunęła sobie po gardle.

Widdy – właściwie Widelene Jean-Calixte – miała jedenaście lat. Rachel przekonała ją, żeby pozostała w ukryciu. Ale, tak jak przewidziała Widdy, jedynym skutkiem, jaki to spowodowało, była wściekłość mężczyzn. Wkrótce po wschodzie słońca ją znaleźli. Znaleźli je obie.

– Wiem coś o mroku tego świata – powiedziała Rachel do Kesslera.

– Tak? – Zajrzał jej w oczy.

– Tak.

– A co takiego? – szepnął.

– Że jeśli czekasz, żeby cię znalazł, to już nie żyjesz.

Wysiadła z samochodu. Gdy weszła na chodnik, Kessler opuścił szybę.

– Chcesz mi uciec?

– Tak – przyznała z uśmiechem.

– Jestem gliną. Dość dobrze mi idzie niestracenie ludzi z oczu.

– Ale jesteś z Providence. A to jest Boston.

Przyznał jej rację lekkim skinieniem głowy.

– Kiedy spotkamy się następnym razem, będę mieć nakaz rewizji.

– Słusznie. – Ruszyła przed siebie chodnikiem, a on uruchomił silnik. Nawet nie udawała, że wchodzi do sklepu – patrzyła tylko, jak Kessler znika za najbliższym zakrętem, po czym przeszła przez Boylston na postój taksówek przed hotelem. Wsiadła do pierwszej z nich i zamówiła kurs do przystani Port Norfolk.

Parking przy przystani był pusty, więc kazała taksówkarzowi zaczekać parę minut, by sprawdzić, czy ktoś ją śledzi. Na szczęście cała okolica zdawała się pogrążona we śnie. Wokół panowała taka cisza, że Rachel słyszała stuk burt o nabrzeże i skrzypienie starych drewnianych budynków pod naporem nocnego wiatru.

Gdy znalazła się już na łodzi, zeszła pod pokład, włączyła światła i wyjęła klucze z szuflady, w której je zostawiła, jak przycumowali. Potem odcumowała i wypłynęła z przystani przy pełnym oświetleniu. Po dwudziestu minutach w świetle gwiazd zamajaczyła wyspa Thompson, a minutę później Rachel ujrzała miniwyspę z przygiętym do ziemi drzewem.

Wróciła pod pokład i tym razem, korzystając z tego, że czasu miała pod dostatkiem, znalazła sprzęt do nurkowania: maskę, płetwy i butlę tlenową. Poszperała jeszcze trochę i zdobyła nowe trofea – kolejną latarkę i damską piankę średniego rozmiaru, pewnie własność świętej pamięci Nicole Alden. Zdjęła ubranie, włożyła piankę, a potem butlę z tlenem, płetwy i maskę, po czym wróciła z latarką na rufę. Usiadła na relingu i spojrzała w niebo. Chmury, które wcześniej zasłaniały niebo, przepłynęły, odsłaniając gwiazdy skupione w małe grupki, jakby szukały ochrony stada. Rachel odnosiła wrażenie, że to nie niebiańskie istoty, takie jak bogowie czy ich słudzy, ale wyrzutkowie, uchodźcy, zagubieni na tym wielkim atramentowym niebie. To, co z dołu wyglądało jak grupy, w górze stanowiło połączenie ciągnące się przez miliony mil. Najbliższe gwiazdy znajdowały się o lata świetlne od siebie; to był dystans podobny do tego, który dzielił Rachel od jakiejś kobiety z saharyjskiego plemienia z piętnastego wieku.

Skoro jesteście tak samotni, to gdzie tu sens, pomyślała.

I z tą myślą przechyliła się do tyłu i wpadła do wody.

Włączyła latarkę i wkrótce znalazła tamtą pierwszą, zgubioną wcześniej. Mrugała do niej z dna zatoki. Rachel zaczęła ku niej schodzić; osiadła na piasku jakieś dwadzieścia metrów od kamienia, przy którym leżał Brian. Wycelowała promień światła w czubek głazu i przesunęła nim w dół aż na dno.

Na piasku nie było zwłok.

A zatem pomyliły jej się kamienie. Przesunęła latarkę w lewo i dwadzieścia metrów dalej ujrzała kolejny kamień. Podpłynęła do niego, ale w połowie drogi upewniła się, że ma inny kształt i kolor. Zostawiła Briana pod wysoką stożkową skałą. Dokładnie taką jak ta pierwsza. Wróciła, świecąc na lewo i na prawo. I znowu na lewo. I na prawo. Żaden kamień nie przypominał tego, pod którym zostawiła Briana. Ten kamień znajdował się tuż przed nią.

To tu leżał Brian. Była tego pewna. Rozpoznawała głębokość jego szczelin i stożkowy kształt. Może to prąd zabrał zwłoki? Albo, co gorsza, rekin? Przyplłynęła dokładnie w miejsce, w którym widziała swojego męża po raz ostatni. Rozejrzała się, szukając wgłębnie w piasku, śladów nóg lub pośladek Briana, ale woda wszystko zatarła.

Dostrzegła mgnienie czerni głębszej niż kolor skały. Tylko mgnienie, jakby z lewej strony kamienia coś odpadło. Zbliżyła się i poświeciła. Początkowo nie widziała nic.

A potem zrozumiała wszystko.

To był ustnik.

Oplynęła kamień. Ustnik był dołączony do przewodu, a przewód – do butli tlenowej.

Spojrzała na powierzchnię czarnej wody, na której czekała łódź.

Ty żyjesz.

Zaczęła się wynurzać.

Tylko do chwili, gdy cię znajdę.

Podpłynęła do wyspy Thompson i znalazła przystań w odległości czterystu metrów od miejsca, w którym Brian wpadł do wody. Oczywiście łodzi w niej nie było. Ta łódź już dawno zniknęła. A on razem z nią.

Wróciła na przystań i zamówiła taksówkę. Musiała na nią trochę poczekać. Była czwarta nad ranem, a dyspozytor nie wiedział, gdzie znajduje się marina Port Norfolk. Rachel przez prawie pół minuty słuchała kłopotu klawiszy komputera, zanim dyspozytor warknął w słuchawkę „dwadzieścia minut” i przerwał połączenie. Stała na ciemnym parkingu i wyobrażała sobie wszystko, co może się nie udać. Niewykluczone, że Trayvon Kessler już zdobył nakaz. *(Nie, Rachel, będzie musiał wrócić do Providence, znaleźć sędziego, zwalczyć biurokratyczne przeszkody. Może zdąży do wschodu słońca, ale pewnie nie. Oddychaj. Oddychaj).*

Oddychać? Brian żył. Ned strzelił Calebowi w twarz. Widziała mordercę, kiedy to robił; wydał się jej podobny do wilka, całkowicie akceptujący swoją przewagę drapieżnika. Patrzył na człowieka siedzącego metr od niego i zabił go równie łatwo jak jastrząb zabija wiewiórkę. Bez przyjemności, ale i bez żalu. Brian gdzieś tam był, uciekał przed nią. Żył (czy w głębi ducha zawsze o tym wiedziała?). Ale w tej chwili, gdy Rachel stała na pustym parkingu o tej nieludzkiej godzinie, zemsta na mężu wydawała się jej niedostępnym luksusem.

Ned i Lars na nią polują.

Do smartfonów można się włamać. Wróg albo rząd bez trudu zmieni je w urządzenia namierzające i podsłuchowe. Jeśli Ned lub Lars to potrafili, wiedzą, gdzie jej szukać.

Dwieście metrów od niej, u wylotu wyboistej uliczki prowadzącej z Tenean Beach na przystań, pojawiły się reflektory. Bliźniacze światła podskakiwały, przechylały się i lśniły coraz mocniej. Może to taksówka? Albo Ned. Rachel zacisnęła palce na broni w torbie – tej samej, którą mąż próbował ją zastrzelić. A przynajmniej zachowywał się tak, jakby próbował. Wsunęła palec na spust i kciukiem odciągnęła bezpiecznik, choć przyszło jej do głowy, że nie warto. Jeśli to samochód Neda i Larsa, po prostu w ostatniej sekundzie doda gazu i ją rozjedzie. A ona nie zdoła się obronić.

Reflektory omiotły parking i samochód zatoczył łuk, po czym zatrzymał się przed Rachel. Był brązowo-biały, na jego drzwiach widniała bostońska taksówka. Za kierownicą siedziała biała kobieta w średnim wieku, z beżowym afro. Rachel wsiadła do środka i po chwili opuściły przystań.

Kazała się wysadzić dwie przecznice na południe od jej mieszkania. Szła do niego zaułkami i gdy dotarła na miejsce, przedświt zaczął zabarwiać krawędzie nieba szarością. Doszła na Fairfield i zeszła przez rampę do garażu. Wprowadziła swój szyfr na klawiaturze na prawo od kraty, która posłusznie się uniosła, pozwalając jej wejść. Pojechała windą na jedenaste piętro, wysiadła i zakradła się schodami na piętnaste. Wkrótce stanęła pod drzwiami.

Tego momentu bała się najbardziej. Jeśli w mieszkaniu został Ned lub Lars, będzie martwa, gdy tylko przekroczy próg. Ale jeśli nie, to kiedy Trayvon Kessler wróci z tym nakazem i wyważy drzwi, ona musi wiedzieć, co znajdzie po ich drugiej stronie. W drodze powrotnej z przystani zastanawiała się, czy warto tak ryzykować, i doszła do wniosku, że Ned i Lars nie

spodziewają się, że wróci do mieszkania. To nie miałyby sensu. No ale – rozważała, stojąc pod drzwiami z kluczem w ręku – może właśnie liczą na to, że się wygłupi. Nie miała doświadczenia w kontaktach z takimi ludźmi, za to oni mieli mnóstwo doświadczeń ze spotkań z takimi naiwniaczkami jak ona. Za tymi drzwiami czekała albo śmierć, albo wiedza. Oraz zapasik pieniędzy, które Brian trzymał w sejfie ukrytym w podłodze. Niewiele tego, parę tysięcy, ale wystarczy na to, by zorganizować ucieczkę, jeśli Kessler zdążył już zablokować jej karty kredytowe. Wątpiła, żeby miał taką władzę, ale co ona wiedziała o procedurach policyjnych w przypadku podejrzanych o popełnienie morderstwa? A do tej pory mogła już zyskać ten status. Późnym rankiem mogą jej już przypisywać popełnienie dwóch zabójstw.

Spojrzała na zamek w drzwiach. I na klucz. Nabrała tchu. Ręka jej się zatrzęsała, więc ją opuściła. Jeszcze tylko parę oddechów.

Brian żyje. To przez niego znalazła się w tej sytuacji. Musi go jakoś znaleźć i kazać mu za to zapłacić.

Albo umrze w ciągu najbliższych trzydziestu sekund.

Włożyła klucz do zamka, ale go nie obróciła. Wyobraziła sobie grad kul przeszywających drzwi, a potem jej głowę, szyję, pierś. Zamknęła oczy i usiłowała się zmusić, żeby przekręcić klucz, przekręcić klucz, ale wiedziała, że kiedy to zrobi, będzie musiała wejść do mieszkania. A na to nie była gotowa. Nie była gotowa.

Jeśli czekają po drugiej stronie i znajdują się na tyle blisko, że usłyszeli, jak wkłada klucz do zamka, mogą ją zastrzelić przez drzwi. A jeśli tego nie zrobili, nie znaczy to, że ich nie ma. Może czekają cierpliwie po drugiej stronie, wymieniają porozumiewawcze spojrzenia, nawet złośliwe uśmiešky, przykręcая tłumiki, starannie celują i czekają na chwilę, gdy Rachel stanie w drzwiach.

No ale przecież – Rachel, ty tępą dzido – mogą też obserwować cię przez wizjer.

Stanęła na prawo od drzwi, wyjęła z torebki pistolet, znowu go odbezpieczyła. I czekała.

Pięć minut, które dłużyły się tak, jakby upłynęło ich już pięćdziesiąt. Jeszcze raz spojrzała na zegarek.

A nie, jednak pięć.

W innym continuum czasowym wszyscy jesteście martwi od razu po urodzeniu. Zgodnie z tą logiką gdzieś istniała mart-wa Rachel, która patrzyła na tę chwilę przez portal w czasie i uśmiechała się na widok szarpaniny Śmiertelnej Rachel.

Już nie żyję, upewniła się. Obróciła klucz w zamku i otworzyła gwałtownie drzwi, celując w środek mieszkania, kompletnie bez sensu, bo Lars lub Ned mógł stać po prawej albo lewej stronie.

Ale Larsa ani Neda nie było. Za to Caleb i owszem, siedział sobie spokojnie przy stole, biały jak mydło, z poczerniałą zaskorupiałą krwią na środku twarzy. Rachel zamknęła drzwi i skręciła w prawo, przesuując się wzdłuż ściany, aż dotarła do otwartych drzwi łazienki, jak się okazało – pustej. Zajrzała przez szparę między otwartymi drzwiami i framugą. Po drugiej stronie nikt się nie ukrywał.

Zakradła się do sypialni. Drzwi były zamknięte. Rachel położyła dłoń na klamce, ale była tak spocona, że palce się jej ześliznęły. Wytarła je o spodnie, rękawem osuszyła klamkę. Chwyciła ją lewą dłonią, w prawej kurczowo trzymała broń. Pchnęła drzwi do wewnątrz. W tej samej chwili wyobraziła sobie, że Lars czeka na nią, siedząc na jej łóżku. A ona usłyszy ciche pyknięcie i upadnie, brocząc krwią.

Larsa nie było. Pokój wydawał się pusty. Ale Rachel tylko utwierdziła się w przekonaniu, z którym weszła do mieszkania – że oni są w tym lepsi od niej. Gdyby tu zostali, już by nie żyła.

Zajrzała do dużej łazienki. Potem, tknięta złym przecuciem, sprawdziła pomieszczenia,

w których urządzili garderobę jej i Briana. Od czasów Léogâne nie czuła takiej bliskości śmierci. Śmierć wsączała się w szpary między deskami, przenikała jej ciało, mieszała się z jej krwią i wciągała ją pod podłogę, do piwnicy innego świata. Oto co czeka – co od zawsze czekało – na tamym świecie. Czy znajduje się na górze, czy na dole, czy jest biały, czy czarny, zimny, czy ciepły – nie był to ten świat z jego uciechami, rozrywkami i przewidywalnymi smutkami. Może to nicość. Może tylko nieobecność – własnego ja, sensu, duszy czy wspomnień.

Teraz sobie uświadomiła, że na Haiti, jeszcze przed wypadkami w obozowisku, wśród dymiących zwłok na ulicach Port-au-Prince, wśród stert trupów na szpitalnym parkingu, wyglądających jak kupa starych samochodów na złomowisku, prawda tej śmierci stała się jej prawdą: nie jesteśmy nikim wyjątkowym. Oświeć nas od środka pojedynczy płomyk świeczki, a kiedy zgaśnie i światło zniknie z naszych oczu, jest tak, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Nie mamy naszego życia na stałe, wypożyczamy je na jakiś czas.

Kiedy przeszukała resztę mieszkania, stało się jasne, że Neda ani Larsa tu nie ma. Intuicja jej nie zawiodła – gdyby chcieli ją zabić, zrobiliby to w chwili, gdy przekroczyła próg. Wróciła do sypialni i spakowała do plecaka trapery, kilka par ciepłych skarpetek, grubą wełnianą kurtkę. Z torbą na siłownię poszła do kuchni i zabrała stamtąd jeden nóż z szerokim i jeden z wąskim ostrzem, latarkę i baterię, sześć batonów energetycznych, kilka butelek wody i całą zawartość miski z owocami, która stała na blacie. Zostawiła torbę i plecak przy drzwiach i wróciła do sypialni. Tam przebrała się w bojówki, podkoszulek termiczny z długimi rękawami i czarną bluzę z kapturem. Włosy związała w kucyk i przykryła czapką baseballową. Otworzyła sejf i wyjęła z niego gotówkę. Z plikiem banknotów i bronią poszła do łazienki, położyła je na blacie i długo patrzyła w lustro. Kobieta, która odwzajemniała jej spojrzenie, była zmęczona i zła. Także przerażona, ale nie zaszczuta.

– To nie twoja wina – powiedziała współczująco i władczo jednocześnie, jak do młodszej siostry.

Jakie „to”?

„To” oznaczało Widdy, Esther, była zakonnicę Veronique i wszystkich zmarłych w Port-au-Prince.

„To” było toksycznością jej matki, nieobecnością ojca i odejściem Jeremy’ego Jamesa. „To” było rozczarowaniem Sebastiana, którym reagował właściwie na wszystko, cokolwiek robiła. „To” było uczuciem towarzyszącym jej od zawsze – że jest niewybaczalnie niedostateczna, że zasługuje na to, by ją opuścili.

Ten głos w jej głowie zasadniczo miał rację – większość tego wszystkiego nie była jej winą.

Z wyjątkiem Widdy. Widdy stanowiła jej fundamentalny grzech. Widdy nie żyła od sześciu lat. A Rachel, która doprowadziła do jej śmierci, była o sześć lat starsza.

Wzięła z komody zdjęcie swoje i Briana. Ich nieoficjalną fotografię ślubną. Spojrzała w jego kłamliwe oczy, na jego kłamliwy uśmiech i zrozumiała, że sama kłamie tak samo jak on. Poskładała się w postać, którą odgrywała każdego dnia przez większość swojego życia: od podstawówki przez liceum, studia, także te podyplomowe, aż do świata ludzi pracujących. Gdy ta postać przestawała się podobać publiczności, Rachel rozbierała ją na części i składała z niej nową. I tak w kółko. Ale po Haiti, po Widdy, nie potrafiła się przebudować. I został z niej tylko kikut tej pustej w środku, sztucznie stworzonej postaci oraz pełnokrwisty potężny grzech.

Jesteśmy kłamcami, Brian. Oboje.

Wyszła z sypialni. W salonie uświadomiła sobie, że jej laptopa nie ma na blacie, gdzie go zostawiła. Rozglądała się za nim przez parę minut, ale szybko założyła, że zabrali go Lars i Ned.

Niech tam. Został jej smartfon.

Brakowało jej natomiast samochodu. Nawet gdyby Kessler nie zamroził jej kart kredytowych, nie mogłaby żadnego wypożyczyć, bo gdyby to zrobiła, znaleziono by ją w ułamku chwili. Znowu rozejrzała się po mieszkaniu, jakby mogło jej coś podpowiedzieć. Patrzyła wszędzie, tylko nie na zwłoki przy stole w jadalni. A potem uświadomiła sobie, że właśnie tam powinna spojrzeć.

Kluczyki znajdowały się w przedniej kieszeni dżinsów Caleba. Dostrzegła ich wybrzuszony kształt, kiedy zbliżyła się do niego. Nie patrzyła na twarz Caleba. Nie mogła.

Co będzie z Hayą? – pomyślała. Co z AB? Zaledwie cztery dni temu na imprezie Caleb uniósł córkę w powietrze tuż przed swoją twarzą, a ona złapała go za górną wargę i pociągnęła ku sobie jak szufladę. Pozwolił jej na to. Śmiał się, choć najwyraźniej bolało, a kiedy Annabelle go puściła, przytulił ją do piersi, wtulił nos w czubek jej główki i zaciągnął się jej zapachem.

Był aktorem. Tak jak Brian. Tak jak ona. Ale aktorstwo stanowiło tylko część całości. Nie grał ojca. Nie grał miłości. Nie udawał swoich marzeń, pragnień i nadziei na przyszłość.

Uświadomiła sobie, że Caleb był jej przyjacielem. Zawsze uważała go za przyjaciela Briana, za jego współpracownika, bo te role (znowu to słowo) mocno się z nim zrosły, gdy go poznała. Ale czas i dotarcie się sprawiły, że zaczęli czuć się dobrze w swoim towarzystwie, była w tym swoboda i wygoda, które można określić tylko mianem przyjaźni.

Sięgnęła do jego kieszeni. Dżins był sztywny, a zwłoki jeszcze sztywniejsze. Wskutek stężenia pośmiertnego przez dobrą minutę nie mogła wydobyć kluczyków ściśniętych między materiałem spodni a udem. Wtedy dotarło do niej, że gdyby tu nie wrócili, żeby mogła przesłać książkę mejlem, Caleb ocaliłby życie.

Ale nie. *Nie, nie, nie*, szepnął jej do ucha ten głos starszej siostry. Caleb został dłużej, żeby się napić. Został, żeby się zastanowić przed czekającą ich godziną jazdą. A gdyby to jej nie przekonało – to on i Brian zrobili coś, co uruchomiło bieg wydarzeń. Teraz spojrzała na niego. Przyglądała mu się przez całą minutę.

– To nie moja wina. – Z oczu popłynęły jej łzy, które szybko wytarła. – Ale będę za tobą tęsknić – dodała i opuściła mieszkanie.

PRZEPYCHACZ

Zatankowała audi Caleba, a potem zjadła śniadanie w Paramount na Charles Street, bo przypomniała sobie, że od dwudziestu czterech godzin nie miała nic w ustach. Nie czuła głodu, ale jadła tak, jakby czuła.

Pojechała na Copley Square i zaparkowała koło parkometru na Stuart Street. Wróciła małą boczną uliczką między hotelem Copley Plaza a Hancock Tower. Minęła rampę wyładunkową i tylne drzwi, z których Brian wyszedł w tamten deszczowy dzień, by wsiąść do czarnego suburbana. Okrążyła budynek, skręciła w St. James i zobaczyła siebie w dwunastu odślonach, jej sylwetka multiplikowała się na lustrzanych powierzchniach. Utworzyła poszarpaną wstążkę, jak szereg laleczek wyciętych z papieru.

Gdy znowu skręciła, odbicia zniknęły. I nigdy więcej ich nie widziała.

Dochodziła dziewiąta, ulice wypełniły się ludźmi spieszącymi do pracy. Rachel dotarła do wejścia do wieżowca i podążyła za strumieniem ludzi sunących przez obrotowe drzwi. Na prawo od stanowiska ochrony znalazła spis firm. Przejrzała wszystkie na A, ale nie figurowała w nim Alden Minerals. Potem sprawdziła firmy na literę B; nie było żadnej istotnej dla jej poszukiwań. Ale wśród C znalazła – Cotter-McCann, firmę, o której wspomniał Glen O'Donnell. Nie miała gwarancji, ale mogła założyć, że tamtego dnia Brian zjawił się tu na spotkanie z jej przedstawicielami, którym chciał sprzedać swoje akcje w kopalniach.

Po wyjściu z budynku cofnęła się o przecznicę do głównej filii Bostońskiej Biblioteki Publicznej. Przeszła przez budynek McKim do budynku Johnsona, gdzie znajdowały się komputery, i zaczęła szukać informacji o kupowaniu przez Cotter-McCann akcji Alden Minerals. Nie znalazła niczego z wyjątkiem drobiazgu w biznesowej części „Globe”. Glen właśnie stąd musiał zaczerpnąć swoje wiadomości, bo ona teraz nie dowiedziała się niczego nowego.

Następnie wyszukała Baker Lake, otworzyła mapę satelitarną, wyklikała powiększenie tak duże, że zdołała rozróżnić jedyne domy w okolicy, osiem dachów w północno-wschodnim krańcu jeziora koło granicy kanadyjskiej, a także trzy kolejne, które niemal przegapiła, wyglądające spoza drzew nieco bardziej na zachód od pierwszych ośmiu. Wydrukowała kilka zdjęć, za każdym razem w większym zbliżeniu, aż w końcu uznała, że mniej więcej orientuje się w topografii okolicy. Wyjęła strony z drukarki, wyszła z aplikacji, wyczyściła historię przeglądarki i opuściła bibliotekę.

Tuż przed wyjazdem na Haiti realizowała materiał dla Małej Szóstki na temat ulg podatkowych, jakie oferowała Wspólnota Massachusetts, by zwabić hollywoodzki przemysł filmowy. W ocenie wpływu ekonomicznego ulg podatkowych na miejscową gospodarkę pomogły wywiady, które przeprowadziła z dyrektorami hollywoodzkich wytwórni filmowych oraz reprezentantami komisji tworzącej prawa podatkowe, a także miejscowymi aktorami, ludźmi pracującymi przy dokumentacji zdjęciowej i jedną kierowniczką obsady. Nazywała się Felicia Ming. Rachel zapamiętała ją jako zapaloną plotkarę. Zanim Rachel wyjechała do Port-au-Prince, parę razy w miesiącu spotykały się na drinka. Potem straciły ze sobą kontakt, ale po załamaniu dostała od niej parę miłych mejli i nadal miała w komórce jej numer.

Teraz zadzwoniła do niej, stojąc pod gmachem biblioteki, i spytała, jak odnaleźć aktora

grającego w lokalnym filmie.

– Dlaczego chcesz go znaleźć?

Rachel zdecydowała się na wersję niezbyt daleką od prawdy.

– Niedawno pokłócił się po pijaku z moim mężem w barze.

– Co ty nie powiesz!

– Źle się z tym czuję. Solidnie oberwał i chcę go przeprosić.

– Pobili się o ciebie?

Rachel zmówiła krótką modlitwę o to, żeby instynkt jej nie zawiódł.

– Niestety tak.

– Uuu, ktoś wraca do gry! – powiedziała Felicia Ming. – Znowu zawitasz w naszym świecie i rzucisz go na kolana!

Rachel zmusiła się do śmiechu.

– Taki mam plan.

– W jakiej jest agencji? – spytała Felicia.

– Lyric Stage.

– Jak się nazywa?

– Andrew Gattis.

– Daj mi chwilę.

Rachel czekała. Minął ją bezdomny z psem i przypomniała sobie noc, podczas której Brian oddał swój płaszcz potrzebującemu w parku. Pogłaskała psa i dała bezdomnemu dziesięć dolarów. Felicia odezwała się w słuchawce.

– Mieszka w Demange. To osiedle w Bay Village. – Podała Rachel adres. – Chcesz się spotkać na drinka? Skoro już wróciłaś do żywych?

Rachel miała wyrzuty sumienia, że ją okłamała.

– Bardzo chętnie.

Dwadzieścia minut później stała na chodniku w Bay Village i wciskała guzik dzwonka Andrew Gattisa.

Jego głos w głośniku domofonu zabrzmiał bełkotliwie.

– Tak?

– Tu Rachel Delacroix.

– Kto?

– Żona Briana. – Cisza, która zapadła, dłużyła się tak bardzo, że Rachel zapytała w końcu: – Jest pan tam?

– Proszę odejść.

– Nie. – Siła jej głosu zaskoczyła ją samą. – Zaczekam tu, aż będzie pan musiał wyjść. A jeśli wymknie się pan tyłem, przyjdę na pański dzisiejszy występ i tam zrobię scenę. Więc lepiej...

Rozległ się brzęczyk; Rachel chwyciła klamkę i weszła do budynku. W środku było czuć lizol, linoleum i jakąś hinduską potrawę. Na schodach minęła kobietę z sapiącym francuskim buldożkiem na smyczy. Wyglądał jak efekt skrzyżowania mopsa z wombatem.

Gattis czekał na nią w drzwiach mieszkania numer dwadzieścia cztery. Jego pozlepiane w strąki siwe włosy pożółkły od nikotyny. Gdy prowadził ją korytarzem, zwinął je w koczek.

Rozkład mieszkania był prosty – po prawej kuchnia i salon, po lewej sypialnia i łazienka. Za oknem w głębi salonu widać było drabinkę przeciwpożarową.

– Kawy? – spytał Andrew.

– Tak, poproszę.

Rachel usiadła przy małym okrągłym stoliku koło okna. Gattis przyniósł dzbanek z kawą

i dwie filiżanki, postawił na blacie między nimi śmietankę i cukierniczkę. W porannym świetle wyglądał jeszcze gorzej niż tamtej sobotniej nocy. Skóra na jego twarzy była zaczerwieniona i mocno się łuszczyła, a sine naczynka znaczyły nozdrza jak błyskawice. Nie potrafił uspokoić rozbieganego spojrzenia.

– Za godzinę mam próbę i muszę się wykąpać, więc się streszczajmy.

Rachel nalała sobie kawy.

– Pan i Brian byliście aktorami.

– Caleb też – przytaknął. – Brian miał wrodzony talent. W życiu takiego nie widziałem.

Wszyscy wiedzieliśmy, że zostanie gwiazdą, jeśli nie zdoła tego jakoś spieprzyć.

– I co się stało?

– Chyba parę rzeczy. Nie miał cierpliwości. I może, no nie wiem, nie szanował tego daru, bo tak łatwo mu przychodziło? Kto wie? Był wściekły, to pamiętam. Czarujący i wściekły. Przypominał jakiegoś romantycznego bohatera. Babki za nim szalały. Bez urazy.

Rachel wzruszyła ramionami i napiła się kawy. Andrew Gattis miał swoje wady, ale kawę robił dobrą.

– Na co się wściekał?

– Że jest biedny. Musiał pracować. Od rana do nocy przesiadywaliśmy w szkole. Mieliśmy zajęcia z aktorstwa, improwizacji i improwizacji tanecznej. Mieliśmy zajęcia z dramaturgii i reżyserii. Lekcje dykcji, siły i ustawienia głosu oraz czegoś, co się nazywa techniką Alexandra i uczy panowania nad ciałem, żeby można go było używać jak narzędzia. To wszystko była ciężka praca. O szóstej wieczorem podpieraliśmy się już, bolały nas głowa i mięśnie. Człowiek szedł spać albo się napić. Ale nie Brian. Brian musiał pracować do drugiej nad ranem. A potem wracał na zajęcia o siódmej. Większość nas miała po dwadzieścia parę lat, więc, kurde, energia nas rozpieęła, ale nawet wtedy dziwiliśmy się, jak on to wytrzymuje. A potem cały ten tytaniczny wysiłek poszedł na marne, bo go wyrzucili.

– Wyrzucili go z Trinity?

Gattis skinął głową i pociągnął długi łyk kawy.

– Teraz wydaje mi się, że musiał brać speed albo kokainę, żeby pracować w tym tempie.

W każdym razie na drugim roku zaczął się robić coraz bardziej drażliwy. Mieliśmy takiego wykładowcę, prawdziwego arystokratycznego dupka i dyletanta, niejakiego Nigela Rawlinsa. To jeden z tych nauczycieli, co to chcą człowieka złamać, żeby go ukształtować na nowo, ale zawsze podejrzewałem, że na kształtowaniu to on się nie zna, po prostu lubi łamać ludzi. Słyszał z wyrzucania studentów. Zbudował na tym swoją reputację. Pewnego ranka przyczepił się do jedyne go studenta, który był biedniejszy od Briana. Chłopak miał tak samo puste kieszenie jak on, ale nie miał nawet jednej dziesiątej jego talentu. No więc pewnego ranka Nigel Rawlins kazał nam robić etiudę o męskiej toalecie. I ten chłopak dostał monolog o przetykaniu toalety – tylko tyle zapamiętałem, to był chyba jakiś studencki tekst – i po prostu mu nie szło. Szczerze mówiąc, dawał ciała. A to rozjuszyło Nigela, który zaczął wrzeszczeć, że chłopak jest do dupy jako aktor, do dupy jako człowiek, że jest żenującym synem i bratem, hańbą dla wszystkich, którzy mają pecha się z nim przyjaźnić. Już wcześniej dręczył tego chłopaka miesiącami, ale tym razem przeszedł sam siebie. Pastwił się nad nim jak jakiś zaszary Terminator. Mały błagał go, żeby dał spokój, ale Nigel się wkręcił w monolog o tym, że chłopak jest kawalkiem gówna z włosami, które zatyka odpływ, a zadaniem Nigela jest usunąć go z tego odpływu, z tej klasy, zanim pociągnie za sobą innych. A Brian, o rany – nikt nigdy dotąd nie widział, żeby zszedł ze sceny, ale kiedy wrócił, niósł prawdziwy przepychacz do udrażniania toalet, nie jakiś rekwizyt, i ten przepychacz ociekał sikami. Brian przewrócił Nigela na plecy, przyłożył mu gumowy dzwon do nosa i ust i zaczął... przetykać. Raz Nigel zdołał oderwać głowę od podłogi, chwycić Briana za

nogi, a ten zdzielił go pięścią w twarz tak mocno, że plaśnięcie było słychać w ostatnim rzędzie teatru. Po czym znowu zaczął przetykać twarz Nigela, przetykał, przetykał i przetykał tak długo, aż Nigel zemdlał. – Andrew odchylił się na krzesło i wypił kawę do końca. – Następnego ranka Brian został wyrzucony ze szkoły. Przez jakiś czas kręcił się po Providence, dostarczał pizzę, ale chyba zaczęło go to za bardzo krępować, rozumiesz, to, że śmiga z tymi plackami i przyjmuje przepocone banknoty od ludzi, z którymi wcześniej imprezował. Pewnego dnia zniknął i nie miałem o nim wiadomości przez jakieś, czy ja wiem, dziewięć lat.

Rachel przez moment przyswajała sobie to, co właśnie usłyszała, i żałowała, że nie wiedziała o tym wcześniej, bo te wiadomości sprawiły, że znowu polubiła tego kłamliwego gnojka, nawet jeśli ta sympatia miała trwać tylko chwilę.

– Co się stało z tym drugim studentem? Tym dręczonym?

– Calebem?

Zachichotała ze smutkiem i zaskoczeniem. Gattis dolał im kawy.

– Kiedy ostatnio widziałeś Briana, nie licząc tamtej imprezy?

– Jakież dziesięć, może dwanaście lat temu. – Andrew przez chwilę patrzył przez okno. –

Dokładnie nie pamiętam.

– Wiesz, dokąd by mógł pojechać, gdyby nie chciał, żeby go znalezione?

– Do tej swojej chaty w Maine.

– Nad Baker Lake.

Przytaknął.

Pokazała mu zdjęcie satelitarne. Przez moment mu się przyglądał, potem wziął z kubka na parapecie cienkopis. Zakreślił trzy skupione przy sobie dachy.

– Tych osiem domków tutaj stanowi część obozu myśliwskiego. Natomiast te trzy to własność Briana. Gdzieś koło dwa tysiące piątego roku odbył się zjazd absolwentów Trinity. Nie zjawilo się nas wielu, ale było fajnie. Nie pytaj, skąd miał na to pieniądze, bo go o to nie pytałem. Brian najbardziej lubił ten domek w środku. Zielony z czerwonymi drzwiami, przynajmniej tak było wtedy, kiedy go tam odwiedziłem.

– I to było w dwa tysiące piątym roku?

– Może w dwa tysiące czwartym. – Andrew skinął głową w stronę łazienki. – Idę pod prysznic.

Rachel schowała zdjęcie do torby i podziękowała za poświęcony jej czas i za kawę.

– Nie wiem, czy to ci się na coś przyda – rzucił Andrew, gdy była już przy drzwiach – ale nie widziałem, żeby Brian patrzył na kogoś tak jak na ciebie. – Wzruszył ramionami. – No ale to bardzo dobry aktor.

Nie wszedł do łazienki. Rachel zauważyła, że jego oczy się zmieniają, pewnie tak jak jej.

– Czekaj – powiedziała powoli.

Postuchał.

– Zapłacił ci za to, żebyś wtargnął na tę imprezę, tak? I wyreżyserował bójkę i wszystko.

Andrew Gattis pogładził framugę drzwi, która wyglądała na odmalowaną tyle razy, że drzwi pewnie się nie domykały z powodu zbyt wielu warstw farby.

– A jeśli nawet?

– Dlaczego mu pomagasz?

Lekko uniósł ramiona.

– W młodości, gdy kształtowały się nasze charaktery, Brian i ja bardzo się przyjaźniliśmy. Teraz on jest tam, a ja tu – rozejrzał się po mieszkaniu, które nagle wydało się nędzne i byle jakie – i sam już nie wiem, kim jesteśmy. Gdy spędzasz tak wiele czasu w cudzej skórze, że nawet nie rozpoznajesz już własnego zapachu, możesz czuć prawdziwy związek tylko

z ludźmi, których pamiętasz sprzed czasów charakteryzacji i kostiumów.

– Nie rozumiem.

Znowu to niby-wzruszenie ramion.

– Pamiętasz, jak powiedziałem, że na Trinity mieliśmy zajęcia ze wszystkich dyscyplin, nie tylko tych aktorskich – tańca, pisania i tak dalej. – Uśmiechnął się blado, jak z oddali. – No więc jak wspomniałem, Brian był cholernie dobrym aktorem. Ale wiesz, co było jego prawdziwą pasją?

Pokręciła głową.

– Reżyseria.

Andrew zniknął w łazience. Zamknął za sobą drzwi, a Rachel z pewnym zaskoczeniem usłyszała odgłos zasuwki.

WYSTARCZY

Autostrada I-95 prowadziła przez Massachusetts, New Hampshire i tereny, które kiedyś określiłaby jako dalekie Maine, aż do Waterville. Ale w tym miejscu musiała zjechać z autostrady międzystanowej i przeskoczyć na trasę numer dwieście jeden, a tam mijają wsie, potem pola, w końcu dziwnie upiorne pustkowia. Niebo poszarzało jak gazeta, ziemia utonęła w gąszczu drzew wysokich jak drapacze chmur. Wkrótce zniknęło i niebo, a jedyne, co pozostało, to brązowe pnie, ciemne czubki drzew i ta poszarzała droga pod kołami samochodu. Rachel miała wrażenie, że sunie pod grubym kożuchem chmur; wkrótce to uczucie ustąpiło miejsca innemu – że zapadła noc, choć była trzecia po południu pod koniec maja.

Dotarła w miejsce między dwoma lasami. Zieleń ciągnąca się kilometrami zdawała się nie mieć końca. To pewnie jakieś gospodarstwo, pomyślała, choć nie widziała domów ani silosów, tylko łąki i łąki, na których tu i ówdzie pały się krowy, owce i czasem jakiś koń.

Telefon komórkowy leżał w uchwycie na kubek. Rachel zerkała na niego, by się upewnić, że nie ma zasięgu. Gdy podniosła wzrok, półtora metra od maski samochodu zobaczyła owcę albo kozę. Raptownie skręciła i zjechała z szosy, wpadła w płytki rów na tyle gwałtownie, że walnęła czubkiem głowy w sufit, a brodą w kierownicę. Samochód stracił kontakt z podłożem, wyrzuciło ją z rowu jak z katapulty; lewy zderzak przejechał po asfalcie. Poduszka powietrzna wbiła jej się w twarz; Rachel poczuła smak krwi z przeciętego języka. Tył samochodu się uniósł, potem maska znowu oderwała się od nawierzchni. Obróciła się dwa razy przy akompaniamencie brzęku szkła, zgrzytu metalu i krzyków Rachel. Potem nastąpiła cisza.

Rachel uświadomiła sobie, że siedzi wyprostowana. Potrząsnęła parę razy głową; z jej włosów posypały się dziesiątki odłamków szkła. Jeszcze chwilę trwała w bezruchu, z brodą opartą o poduszkę powietrzną jak o prawdziwą poduszkę, aż upewniła się, że nic ją nie boli, prawdopodobnie niczego sobie nie złamała i nic, z wyjątkiem języka, nie krwawi. Czując pulsowanie w potylicy, miała zeszywniałą szyję, a mięśnie położone najbliżej kręgosłupa jakby skamieniały, ale poza tym wydawało jej się możliwe, że wyszła z tego w jednym kawałku. To, co znajdowało się w schowkach w desce rozdzielczej, wypadło i leżało teraz porozrzucane na fotelu i na podłodze – mapy, karty ubezpieczeniowe, rejestracja, paczki chusteczek, monety, długopisy, klucz.

Rozpięła pas.

Pochyliła się nad fotelem pasażera. Odsunęła na bok rozbite ciemne okulary i podniosła klucz. Był mały, płaski i srebrny. To nie był klucz do domu ani do samochodu. To klucz do szafki, kłódki bądź skrytki depozytowej.

Czy to ten? To znaczyło, że miał go Caleb, nie Brian.

A to znaczyło, że Caleb wolał zginąć, niż go oddać.

A może to po prostu zwykły klucz?

Schowała go i wysiadła z SUV-a. Stał na samym środku szosy. Ta owca czy koza już dawno uciekła. Czarne ślady po poślizgu prowadziły na pobocze i urywały się tam, gdzie Rachel zjechała do rowu. Grad szklanych okruchów – przezroczystych i czasem czerwonych – znaczył jej drogę powrotną i zalegał jezdnię wraz z odłamkami chromu, twardego czarnego plastiku i z oderwaną klamką.

Rachel wsiadła i spróbowała uruchomić silnik. Udało się; wraz z warkotem rozległ się

uporczywy sygnał przypominający o zapięciu pasów. Rachel wzięła nóż i przecięła poduszkę powietrzną. Uniosła maskę. Zajrzała do środka; nie dostrzegła żadnych oczywistych uszkodzeń. Sprawdziła opony; one także wyglądały na nietknięte. Włączyła światła – z tym mogła mieć problem. Prawy reflektor był zbity, lewy, chociaż pęknięty, działał. Z tyłu sytuacja przedstawiała się odwrotnie – po świetle hamowania od strony kierowcy została tylko jama w karoserii. Natomiast to po stronie pasażera wyglądało jak chwilę po wyjeździe z salonu.

Rachel pomyślała o tych niekończących się połaciach pól i o lesie za jej plecami i następnym przed nią. Do przybycia pomocy mogły minąć godziny. Albo minuty, nie sposób zgadnąć.

Gdy ostatnio sprawdzała to na mapie, znajdowała się sto dwadzieścia kilometrów od Baker Lake. A było to dziesięć minut przed wypadkiem. Więc teraz tylko sto. Brian zapłacił Andrew Gattisowi za przyście na imprezę i podrzucenie jej szeregu wskazówek. Chciał, żeby dowiedziała się o Baker Lake. Możliwe, że zamierzał ją tu zwać i zabić. Dużo nad tym myślała. Ale gdyby chciał ją zabić, zrobiłby to na łodzi. Tymczasem zasymulował śmierć z jej ręki. Za każdym razem, gdy patrzyła na Baker Lake na mapie, miała wrażenie, że to są drzwi. Na drugim brzegu jeziora zaczyna się inny kraj. Czy Brian doprowadził ją do drzwi?

Bez względu na to, czy tak było, nie miała alternatywnego planu, który nie zakładałby jej pobytu w areszcie, a potem w więzieniu. Na tym etapie chodziło o to, żeby znaleźć Briana w Maine albo się poddać.

– No, to jazda – szepnęła. Wróciła do samochodu i odjechała.
Słońce nad nią też zdawało się uciekać.

Zjechała z dwieściejedyńki w miejscu zwanym Rozwidlenia. Nie rozwidlenie, w liczbie pojedynczej. Rozwidlenia. Podejrzuwała, skąd się wzięła ta nazwa: jeśli ktoś chciał zapuścić się w głąb puszczy, kierując się na północny wschód, wszystkie szosy – na mapie tak niewyraźne jak żyły na zdjęciu rentgenowskim – stanowiły rozwidlenia głównej jezdni, a potem same wypuszczały rozwidlenia, które także się rozwidlały, aż zaczynało się wydawać, że drogę powrotną będzie można znaleźć tylko za sprawą węchu lub cudu boskiego. Zapadł już mrok – mrok z niemieckich baśni, mrok zaćmień słońca.

Rachel skręciła w Granger Mills Passage i jechała dalej kilkanaście kilometrów – a może tylko parę, musiała bardzo zwolnić – zanim uświadomiła sobie, że przegapiła zjazd na Old Mill Lane. Zawróciła i ruszyła przez czerń, aż po lewej stronie dostrzegła anorektyczną dróżkę. Nieoznakowaną, bez drogowaskazu. Wjechała w nią; po jakichś czterystu metrach nawierzchnia się skończyła. Rachel błysnęła jedynym długim reflektorem i zobaczyła przed maską mniej więcej półtorametrowy nasyp i pole po jego drugiej stronie. Ta droga nie była drogą, ledwie kandydatką na nią, ale realizację planu uczynienia jej nią najwyraźniej szybko porzucono.

Nie było miejsca na to, żeby zawrócić, więc Rachel wrzuciła wsteczny bieg i usiłowała wycofać poobijany, skrzypiący i okaleczony samochód, który miał stłuczone jedno światło hamowania. Dwa razy zjechała na pobocze. Na Granger Mills Passage cofnęła się jakieś pięć kilometrów, aż znalazła zatoczkę obok jakiegoś pola. Zaparkowała tam i wyłączyła silnik.

Wokół niej panowały ciemności. Dziś już nigdzie nie pojedzie. Siedziała, otoczona czernią, i modliła się, żeby Brian także nie mógł nigdzie pojechać, przynajmniej do rana.

A gdy tak siedziała, otoczona czernią, uświadomiła sobie, że nie spała od trzydziestu sześciu godzin.

Przezołgała się na tylne siedzenie, wyjęła kurtkę z plecaka i otuliła się nią, a plecak podłożyła sobie pod głowę.

Teraz już nie siedziała, tylko leżała, otoczona czernią. Zamknęła oczy.

Obudziło ją słońce. Było wpół do siódmej rano. Nisko nad polami wisiała mgła, która na krańcach zaczynała się już ulatniać. Jakies trzy metry dalej, za ogrodzeniem, stała krowa, przyglądająca się Rachel uważnie. Ogonem opędzała się od chmary much. Rachel usiadła i od razu pożałowała, że zapomniała szczoteczki do zębów.

Wypiła butelkę wody i zjadła baton energetyczny. Wysiadła z samochodu i leniwie się przeciągnęła; na polu po drugiej stronie szosy we mgle tonęły inne krowy. Było chłodno, choć świeciło słońce. Rachel mocniej otuliła się kurtką i odetchnęła czystym powietrzem. Wysiusiała się za samochodem, pod nieruchomym, obojętnym spojrzeniem krowy, która poruszała ogonem miarowo jak metronom.

Do Baker Lake zostało tylko czterdzieści kilometrów, ale dotarcie na miejsce zajęło Rachel trzy godziny. Wszystkie drogi zasługujące na to miano po jakimś czasie zmieniały się w ścieżki, a Rachel dziękowała sobie w duchu, że poprzedniej nocy postanowiła zrobić postój, bo gdyby nie to, teraz niechybnie skończyłyby w rowie lub w stawie. Wkrótce znalazła się w takiej dziczy, że ścieżki nie miały już oznaczeń, a te, które uwzględniono na mapie, okazały się zarośnięte. Rachel jechała na północny wschód, kierując się kompasem w desce rozdzielczej. Kamienie chrobotwały pod kołami, SUV kołysał się na boki jak samochodzik w wesołym miasteczku, dokładnie takim ruchem, który wywoływał u niej mdłości, ale ścisła kierownicę, wypatrywała ostrych zakrętów lub niespodziewanych skalnych występów i czuła się dobrze. Pola uprawne ustąpiły miejsca bujnym łąkom, a one – lasom, takim, o jakich Brian mówił, że stanowią jego rodzinne dziedzictwo. Teraz uświadomiła sobie, że na swój symbol wybrał swoje dokładne przeciwieństwo. Drewno jest godne zaufania, mocne, można pokładać w nim wiarę przez całe pokolenia.

Natomiast on był największym kłamcą, jakiego znała.

A jako dziennikarka poznała ich wielu.

W takim razie jak zdołał cię oszukać?

Bo mu pozwoliłam.

Ale dlaczego?

Bo chciałam się czuć bezpiecznie.

Bezpieczeństwo to złudzenie, które sprzedajemy dzieciom, żeby dobrze spały.

W takim razie chciałam być dzieckiem.

Ścieżka doprowadziła ją do małej polanki. Dalej nie było już żadnych dróg. Tylko ten mały owal chwastów i piasku, a za nim następny las. Rachel spojrzała na mapę, ale była za mało szczegółowa. Porównała okolicę ze zdjęciami satelitarnymi i poczuła nikłą nadzieję, że dotarła do jasnej plamki, widniejącej na jednym z nich, co mogło oznaczać, że znajdowała się jakieś pięć kilometrów na południe od obozu myśliwskiego. Włożyła trapersy i sprawdziła, czy P380 jest zabezpieczony, po czym wsunęła go za pasek na plecach. Nie uszła nawet dziesięciu kroków, a zaczął ją ocierać tak niemiłosiernie, że schowała go do kieszeni kurtki.

Otaczały ją gigantyczne drzewa. Ich korony zasłaniały słoneczne światło. Rachel podejrzewała, że w tych lasach mieszkają niedźwiedzie, i przeżyła chwilę paniki, gdy nie mogła sobie uświadomić, kiedy miała ostatnią miesiączkę. Ale potem sobie przypomniała – jakieś dziesięć dni temu, więc przynajmniej zapach jej krwi nie zwabi żadnego drapieżnika. Ale w tej puszczy mogła wystarczyć woń jej ciała – na ścieżce, którą szła, od dawna nie postawił stopy żaden człowiek. A myśliwy, który ją poprzedzał, z całą pewnością zachowywał się ciszej. Ona przedzierała się przez zarośla jak typowa dziewczyna z miasta, miażdżąc liście, łamiąc gałązki, sapiąc.

Zanim zobaczyła jezioro, najpierw je usłyszała. Woda nie chłupotała o brzeg.

Przedstawiło się jej jako nisza w powietrzu, brak gęstości, który usunął ciśnienie z jej lewego ucha – ciśnienie, z którego aż do tej pory nie zdawała sobie sprawy. Wkrótce pomiędzy pniami zaczęły się pojawiać przeblęski błękitu. Skierowała się w ich stronę. Po piętnastu minutach stała już nad wodą. Nie było tu plaży, tylko las, i od razu, trzy metry niżej – niebieska tafla wody.

Przez kolejne pół godziny okrążyła jezioro. W końcu światło zmieniło kolor, pnie stały się jaśniejsze, a Rachel przyspieszyła i wyszła na polanę.

Pierwsza chata nie miała szyb w oknach i połowy dachu. Jedna ściana zawałowała się do środka. Ale następna była tą, którą opisał Gattis – zieleń framug i czerwień drzwi spłowiwała, ale chata była najwyraźniej zadbana, niezarośnięta, bez pęknięć w fundamentach, z zakurczonymi, ale całymi szybami i zamiecionymi schodami.

Rachel weszła po czterech schodkach; deski zaskrzypiały pod jej stopami. Wyjęła z kieszeni pistolet i nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się i ze środka buchnęła woń zamkniętego pomieszczenia, ale bez nuty pleśni czy zgnilizny. Czuło się w nim raczej las, igliwie, mech i korę. Kominek był wymieciony do czysta. Nie pachniał spalenizną. Błaty w malutkiej kuchni przykrywała cienka warstwa kurzu. W lodówce, oprócz zapasu wody, stały trzy wysokie puszki Guinnessa, nadal w plastikowej obejmie, i jakieś nieużyte, przedatowane przyprawy.

W gabinecie, także małym – cała chata liczyła nie więcej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych – znajdowała się kanapa pokryta spękana brązową skórą oraz mała biblioteczka pełna powieści przygodowych i podręczników pozytywnego myślenia.

O tak, tu mieszkał Brian. W łazience znalazła jego ulubioną pastę do zębów i szampon. W sypialni – wielkie mosiężne łoże, które skrzypnęło pod jej ciężarem. Jeszcze trochę pokręciła się po pokojach, ale nie znalazła dowodów na czyjaś niedawną obecność. Wyszła na zewnątrz i spróbowała poszukać śladów wokół chaty, ale bez skutku.

W końcu, gdy jej ciało i umysł ogarnęło zmęczenie, usiadła na ganku. Dłonią zwiniętą w pięść otarła łzę, a potem drugą, ale wkrótce wciągnęła gwałtownie powietrze, wstała i potrząsnęła głową jak mokry pies. Nie martwiło jej to, że będzie musiała przedrzeć się z powrotem do samochodu i wrócić do cywilizacji, ani nawet to, że nie zdoła tego zrobić przed zapadnięciem zmroku, i pewnie czeka ją kolejna noc na poboczu drogi. Chodziło o to, że nie miała do czego wrócić. Do tej pory policja na pewno już znalazła Caleba i ustaliła, że Rachel była w Providence w tym samym czasie, w którym zamordowano Nicole Alden. Może dowody okażą się niewystarczające, żeby ją skazać, ale z całą pewnością na rozprawę poczeka w więzieniu. Pewnie rok lub dłużej. A skąd pewność, że nie skażą jej na podstawie dowodów poszlakowych? Zwłaszcza jeśli chodzi o zabójstwo Caleba; wystarczy zeznanie policjanta: skłamała, że ofiara żyje. A jak już raz wpiszą człowiekowi do akt, że skłamał, są w stanie przekonać przysięgłych, że kłamie na każdy temat.

A zatem nie miała już domu. Nie miała dawnego życia. Natomiast miała dwa tysiące dolarów gotówką. I zapasowe ubrania w torbie w samochodzie, który musiała porzucić w pierwszym mieście, w którym będzie przystanek autobusowy.

Ale dokąd ma jechać?

I dokądkolwiek pojedzie, jak ma przeżyć za dwa tysiące dolarów, gdy jej zdjęcie znajdzie się we wszystkich programach telewizyjnych i na wszystkich stronach internetowych w tym kraju?

Gdy człapała przez las, rozważała wszystkie możliwe scenariusze, aż doszła do ponurego wniosku, że ma tylko dwa wyjścia: zgłosić się na policję albo wyjąć z kieszeni broń i użyć jej przeciwko sobie.

Usiadła na kamieniu. Jezioro zostało godzinę drogi za nią. Znow otaczała ją zwarta ściana

drzew. Wyjęła pistolet, zważyła go na dłoni. Brian pewnie jest już na innym kontynencie. Ten szwindel, który robił w Alden Minerals z kopalnią w Nowej Gwinei, najwyraźniej mu się udał. I teraz Brian uciekł z pieniędzmi. A ona została na lodzie. To chyba było najgorsze – że ją wykorzystał i porzucił. Nie wiedziała dlaczego, nie potrafiła odgadnąć, na czym polegała jej rola. Była idiotką, naiwniaczką, karygodnie niewinnym pionkiem.

Jak długo będzie leżeć w puszczy jej ciało, zanim zostanie odnalezione? Kilka dni? Miesiące? A może pożą jej zwierzęta? Za parę lat ktoś znajdzie porzuconą kość i miejscowa policja rozpocznie poszukiwania. Dopiero wówczas wyjaśni się tajemnicze zniknięcie dziennikarki podejrzanej o zabicie dwóch osób. Rodzice będą straszyć tą historią niepokorne nastolatki. Widzicie, powiedzą, nie uszło jej to na sucho. Sprawiedliwość zawsze zwycięża, dostała to, na co zasłużyła.

Widdy stała piętnaście metrów od niej. Uśmiechała się. Sukienkę miała niezakrwawioną, gardło nietknięte. Nie otworzyła ust, kiedy przemówiła, ale Rachel słyszała ją wyraźniej niż głosy ptaków.

Próbowalaś.

– Za mało.

Zabiliby cię.

– Więc powinnam była umrzeć.

I kto by wtedy opowiedział moją historię?

– Twoja historia nikogo nie obchodzi.

Ale ja żyłam.

Rachel zapłakała w ziemię i suche liście.

– Żyłaś biedna. I czarna. Na wyspie, którą wszyscy mają w dupie.

Nie ty.

Rachel spojrzała na dziewczynkę.

– Umarłaś, bo namówiłam cię, żebyś się ukrywała. Miałaś rację. Gdyby znaleźli cię wcześniej, zgwałciliby cię, ale nie poderżnęliby ci gardła, pozwoliliby ci żyć.

I co by to było za życie?

– Ale by było! – wrzasnęła Rachel.

Nie chciałam takiego życia.

– Ale ja chcę, żebyś żyła – powiedziała Rachel błagalnie. – Bardzo tego potrzebuję.

Ale nie żyję. Niech mi panienka da odejść. Panienka pozwoli mi już odejść.

Rachel patrzyła na małą. A potem tylko na drzewo. Otarła oczy i nos rękawem. Odkasznęła. Odetchnęła leśnym powietrzem.

Wówczas usłyszała głos matki. O Jezu. To chyba z odwodnienia, wyczerpania albo niskiego poziomu glukozy we krwi – a może już sobie przyłożyła pistolet do skroni i strzeliła, może już nie żyje, bo oto Elizabeth Childs i jej znikotynizowane struny głosowe.

Polóż się, powiedziała matka ze zmęczoną pobłażliwością, a wkrótce znowu się spotkamy. I będzie tak jak wtedy, gdy chorowałaś przez tydzień, a ja nie odstępowałam cię na krok. Zrobię ci wszystko, co lubisz jeść.

Rachel przytapała się na tym, że kręci głową, jakby matka mogła ją zobaczyć, jakby drzewa ją widziały, jakby nie była tu zupełnie sama. Czy tak się wariuje? Czy skończy, gadając do siebie na ulicy, sypiając w bramach, a jej skórę pokryją wrzody? Pierdolić to.

Schowała broń i wstała. Rozejrzała się po lesie. Zrozumiała, że nie umrze, żeby ułatwić życie Brianowi, Kesslerowi czy jeszcze komuś, kto uważa ją za zbyt słabą na to, by odnaleźć się w tym świecie.

– Ja nie zwariowałam – powiedziała do matki i do drzew. – I nie chcę z tobą spędzić

wieczności, mamó. – Spojrzała w niebo. – Jedno życie z tobą w zupełności wystarczy.

Do SUV-a dowlekkła się około pierwszej w nocy. Dwie godziny zajmie jej powrót na dwieściejedynekę. Trzy godziny – dotarcie do miasteczka, w którym znajdzie przystanek autobusowy. Miała nadzieję, że autobusy przejeżdżają przez tę dziurę także po szóstej wieczorem. O ile szczęście się do niej uśmiechnie i nie zgarną ją za jazdę samochodem, który wyglądał, jakby spadł z dużej wysokości.

Usiadła za kierownicą i wyjechała na piaszczystą drogę. Przez jakieś dwa kilometry nic się nie działo, a potem mężczyzna leżący na tylnym siedzeniu spytał:

– Co, do kurwy nędzy, stało się z samochodem Caleba? Nawiasem mówiąc, ładnie wyglądasz.

I usiadł, uśmiechając się do niej w lusterku wstecznym.

Brian.

PIERWOTNA JAŻŃ

Rachel wdepnęła hamulec, zaparkowała i rozpięła pasy. Brian cofnął się lekko, gdy zanurkowała w przestrzeń między przednimi fotelami i uderzyła go pięścią w skroń. Nie miała doświadczenia w biciu ludzi, zwłaszcza pięścią – kostki zabołały ją niespodziewanie mocno – ale potrafiła rozpoznać udany cios, a ten spowodował odgłos tak głośny i konkretny, że aż miło. Oczy Briana zaszkliły się i straciły przytomny wyraz.

Uderzyła go jeszcze raz. Uklękła na nim, przygważdżając kolanami jego ramiona. Uderzyła go w ucho, oko i znowu w skroń. Usiłował ją zrzucić, ale to, że była od niego lżejsza, działało na jej korzyść, a Rachel wiedziała, że jedyną szansą jest bić tak długo, dopóki coś jej nie przeszkodzi. Słyszała, że Brian błaga ją, żeby przestała, słyszała własny głos powtarzający raz po raz „Ty skurwielu”, widziała jego oczy, zamknięte dla ochrony przed młóćącymi pięściami. Udało mu się wyswobodzić prawe ramię, przez co Rachel przechyliła się w lewo i poczuła, że jest jej niewygodnie. Brian zaparł się nogami o podłogę i siedzenie. Gdy Rachel wpadła w lukę między dwoma przednimi fotelami, on pochylił się ku niej.

Kopnęła go w twarz.

Ten cios był nawet skuteczniejszy niż pierwszy. Rozległ się trzask kości albo chrząstki i Brian grzmotnął potylicą o szybę. Parę razy otworzył i zamknął usta, jakby chciał złapać haust powietrza, a potem jego oczy błysnęły białkami i stracił przytomność.

Znokautowałam. Człowieka.

Zaśmiała się cicho. Oczy Briana drżały pod zamkniętymi powiekami. Jego prawa ręka puchła śliska od krwi. Jego krwi. Gdy uświadomiła sobie, że jej mąż ma pokiereszowaną twarz, przeżyła wstrząs i, ku swojemu zaskoczeniu, poczuła troskę. A dałaby głowę, że jeszcze pięć minut temu jego twarz taka nie była.

To ja mu to zrobiłam?

Wzięła kluczyki i broń, wysiadła i stanęła na szosie. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciało jej się palić, chociaż papierosy rzuciła siedem lat temu. Zamiast tego zaciągnęła się nieprawdopodobnie świeżym leśnym powietrzem. Nie potrafiła rozpoznać siebie w osobie, którą była zaledwie godzinę temu – tej, która rozważała samobójstwo, która chciała się poddać.

A pocałujcie mnie wszyscy w dupę. Poddam się, jak umrę. I na pewno nie z własnej ręki.

Skrzypnęły tylne drzwi i ręce Briana pojawiły się nad dachem. Reszta została w samochodzie.

– Skończyłaś?

– Co?

– Tłuc mnie na kwaśne jabłko.

Prawa ręka bołała ją jak cholera, ale i tak zacisnęła ją na pistolecie.

– Chyba tak.

Brian wychylił się zza drzwiczek. Wycelowała w niego broń.

– Jezu! – Znowu się schował.

Trzema długimi skokami dopadła samochodu i znowu wzięła go na cel.

– Ślepaki?

Brian opuścił ręce i wyprostował się, nagle poddając się losowi.

– Co?

– W tę broń też włożyłeś ślepaki?
Pokręcił głową.
Wycelowała w jego pierś.
– Nie, naprawdę! – Znowu podniósł ręce. Więc może jednak nie całkiem się poddał. –
Tam są prawdziwe ostre naboje.
– Czyżby?
Oczy mu się rozszerzyły, bo nagle nie umiał zinterpretować jej spojrzenia.
Pociągnęła za spust.
Brian padł na ziemię. No, najpierw usiłował uskoczyć w lewo. Odbił się od karoserii, wylądował na ziemi, unosząc ręce w uniwersalnym, choć całkowicie nieskutecznym geście: „proszę, nie strzelaj”.
– Wstawaj – rozkazała.
Wstał, spojrzał na odłupaną korę na pniu cienkiej sosenki po prawej, w którą strzeliła. Krew z nosa spływała mu na wargi i brodę. Wytarł ją przedramieniem. Splunął czerwoną śliną w zieloną trawę na poboczu.
– Wygląda jak prawdziwa. Jak zasymulowałeś sztuczną krew na łodzi?
– Chcesz zgadnąć? – W jego oczach pojawił się uśmiech, który nie przeniósł się na usta.
Rachel wróciła na łódź, wróciła do rozmowy. Zobaczyła go, takiego spokojnego, kiedy rozliczała go z drugiej żony i drugiego życia. A on tylko siedział i jadł.
– Fistaszki – powiedziała.
Nieśmiało pokazał jej kciuki w górę.
– Tak, w dwóch łupinkach była sztuczna krew. – Zerknął nieufnie na broń. – Co ty tu uskuteczniczysz, Rachel?
– Na razie nie zdecydowałam, Brian. – Na chwilę opuściła broń.
Brian zrobił to samo z rękami.
– Jeśli mnie zabijesz – a nie dziwiłbym się – to masz prze-srane. Bez pieniędzy, bez szansy na ich zdobycie, poszukiwana w celu przesłuchania w sprawie zabójstwa i ścigana...
– Dwóch zabójstw.
– Dwóch?
Skinęła głową.
Zastanowił się nad tym i podjął:
– I ścigana przez dwóch bardzo złych facetów. Jeśli mnie zabijesz, czekają cię jeszcze dwa, może trzy dni pobytu na świeżym powietrzu i chodzenia we własnych ciuchach. A wiem, jak ważny jest dla ciebie modny wygląd, skarbie.
Znowu podniosła pistolet. A on zrobił to samo z rękami. Uniósł brew. Ona też. I w tej chwili – bo czemu nie? – poczuła więź łączącą ją z nim, poczuła, że ma ochotę się roześmiać. Dalej była wściekła, czuła się zdradzona i żadna zemsty za to, że zawiódł jej zaufanie, zniszczył jej życie... a jednocześnie na chwilę wróciły wszystkie dawne uczucia.
Musiała bardzo panować nad mimiką, żeby się nie uśmiechnąć.
– Skoro o modzie mowa, nie wyglądasz zbyt stylowo – powiedziała.
Brian dotknął twarzy i spojrzał na umazane krwią palce. Przyjrzał się sobie w szybie SUV-a.
– Chyba złamałaś mi nos.
– I tak to brzmiało.
Uniósł podkoszulek, odsłaniając pierś, i wytarł sobie twarz.
– Nieopodal mam apteczkę. Możemy po nią iść?
– Dlaczego mam ci wyświadczać przysługi, skarbie?

– Bo w tym samym miejscu mam też SUV-a, który nie wygląda tak, jakby ktoś nim zjechał z mostu do rzeki, *skarbie*.

Wrócili na polanę i zagłębili się w las, nie dalej niż piętnaście metrów, i oto ujrzała idealnie zamaskowanego range rovera w kolorze leśnej zieleni, model z wczesnych lat dziewięćdziesiątych, z lekko przerdzewiałymi kołpakami, z paroma wgnieceniami, ale z nowiutkimi oponami. Wyglądał jak samochód, który będzie na chodzie jeszcze przez dwadzieścia lat. Rachel cały czas celowała w Briana, gdy wyjmował apteczkę z płóciennego pojemnika. Potem usiadł w bagażniku pod uniesioną klapą i tak długo grzebał w pojemniku, aż znalazł małe lusterko do golenia. Potem zabrał się do dezynfekowania ran spirytusem salicylowym, od czasu do czasu krzywił się z bólu.

– Od czego mam zacząć? – spytał.

– A od czego możesz?

– O, to proste. Zjawiłaś się, gdy gra trwała od dawna.

– Jaka gra?

– W języku mojego fachu nazywa się to wyłudzeniem.

– A twój fach to...?

Brian spojrział na nią z lekką urazą i niepokojem jak gasnąca gwiazda, która nie została rozpoznana.

– Jestem kanciarzem.

– Oszustem.

– Wolę określenie „kanciarz”. Brzmi bardziej zadziornie. „Oszust” to po prostu jakiś patałach, który sprzedaje ci lewe akcje albo Amwaya.

– Zatem jesteś kanciarzem.

Brian skinął głową i podał jej nasączoną alkoholem watkę do zdezynfekowania kostek. Podziękowała, zatknęła broń za pasek i cofnęła się o parę kroków, żeby zająć się własnymi obrażeniami.

– Jakies pięć lat temu natknąłem się na zbankrutowaną kopalnię w Nowej Gwinei. Była na sprzedaż, więc utworzyłem firmę i kupiłem kopalnię.

– Znasz się na tym?

– A skąd. – Brian zaczął oczyszczać nos za pomocą patyczka kosmetycznego. – Jezu – mruknął jakby z podziwem. – Załatwiłaś mnie, dziewczyno.

– Kopalnia. – Znowu opanowała uśmiech.

– No więc kupiliśmy kopalnię. A Caleb jednocześnie stworzył firmę konsultacyjną z całkowicie fikcyjną, lecz jak najbardziej wiarygodną historią działalności w Ameryce Łacińskiej. Wyglądało na to, że działa tam od pokoleń, jeśli ktoś nie przyjrzał się jej dokładnie. Trzy lata później ta firma – Borgeau Engineering – wykonała „niezależną” analizę stanu kopalni. I wtedy zrobiliśmy przekręt.

– Jaki?

– Rozsypaliśmy w kopalni złoto w miejscach dostępnych bardziej – choć nie za bardzo – niż inne. Chodziło o ekstrapolację – jeśli kopalnia zawiera x procent złota, to można oszacować jej całkowite złoża na podstawie procentu y. Tego właśnie dokonali nasi niezależni konsultanci...

– Borgeau Engineering.

Brian skłonił się jej z uznaniem.

– I wyszło im, że mamy złoża wartości czterystu milionów uncji trojańskich złota, a nie czterech milionów.

– A wtedy wasze akcje poszły w górę.

– Gdybyśmy je mieli. Ale nie mieliśmy. Nie, bo wtedy byłibyśmy potencjalnym

zagrożeniem dla naszej konkurencji w tym regionie.

– Vittermana.

– Więc jednak nas sprawdziłaś.

– Nie zapominaj o tym, że przez dziesięć lat byłam dziennikarką.

– To prawda. Czego jeszcze się dowiedziałaś?

– Że prawdopodobnie macie pożyczkę od koncernu Cotter-McCann.

Brian przytaknął.

– A dlaczego taki koncern miałby nam pożyczyć pieniądze?

– Rzekomo żeby pomóc firmie walczyć z wrogim przejęciem przez Vittermana, dopóki nie wyprowadzicie z niej dość złota, żeby przejęcie przestało wam grozić.

Znowu przytaknął.

– Ale krążą słuchy, że Cotter-McCann to drapieznik.

– Zdecydowanie – zgodził się Brian.

– Więc i tak zamierzał pożreć waszą małą kopalnię wraz z jej dochodami.

– Aha.

– Ale dochodów nie będzie.

Brian przyglądał jej się bardzo uważnie, dotykając wacikiem ostatnich ran.

– Ile wynosiła ta pożyczka? – spytała Rachel.

Uśmiechnął się.

– Siedemdziesiąt milionów.

– Gotówką? – Musiała się powstrzymać, żeby nie krzyknąć.

Skinął głową.

– I jeszcze czterysta pięćdziesiąt milionów w akcjach.

– Ale te akcje nie mają wartości.

– *Sí.*

Zaczęła krążyć w kółko przy akompaniamencie chrzęstu liści i igliwia pod stopami, aż w końcu zrozumiała.

– A tobie od początku chodziło o te siedemdziesiąt milionów.

– Aha.

– I masz je?

Brian wrzucił ostatnie zakrwawione waciki do foliowej torebki i podał ją jej.

– O, czy mam...? Leżą sobie w banku na Wielkim Kajmanie i czekają, aż wejdę i je zabiorę.

Rachel wrzuciła własne waciki do torebki.

– Więc na czym polegał słaby punkt tego wspaniałego planu?

Brian spochmurniał.

– Słabym punktem było to, że kiedy wysłaliśmy pieniądze z konta w Rhode Island, zaczęło nam się spieszyć. Takie transakcje są szybko zauważane, zwłaszcza przez takich jak Cotter-McCann. Popełniliśmy dwa błędy – nie doceniliśmy tego, jak szybko odkryją przelew, bo nie mogliśmy wiedzieć, że mają w banku kogoś, kto oflaguje transakcję jako SAR.

– Czyli?

– Raport o podejrzanej transakcji. Wiedzieliśmy, że zostaniemy oflagowani, ale zwykle istnieje odstęp czasu między oflagowaniem a powiadomieniem klienta.

– Czego jeszcze nie wzięliście pod uwagę?

– Masz godzinę? – rzucił ponuro. – Kiedy porywasz się na coś takiego, pięćset rzeczy może pójść źle, a tylko jedna może się udać. Dlatego nie sądziliśmy, że umieszczą urządzenie namierzające w moim samochodzie. A oni nie zrobili tego dlatego, że nas podejrzewali. To

standardowa procedura.

– I dokąd za tobą pojechali?

– Tam, gdzie i ty – do Nicole. – W jego głosie pojawił się nowy ton. Podejrzewałyby, że to autentyczny żal, gdyby nie wiedziała, jak dobrym jest aktorem. – Pewnie rozminęli się ze mną o dziesięć minut. Ale zastali ją. I zabili. – Odetchnął powoli, przez usta. Gwałtownie podniósł się, zatrzasnął bagażnik i klasnął w ręce. – Chcesz wiedzieć coś jeszcze, co naprawdę nie może poczekać?

– Ze sto rzeczy.

– Coś, co naprawdę nie może poczekać.

– Jak to możliwe, że wyglądałeś na trupa? Na dnie zatoki? Krew z ciebie wypływała i... – Zamachała rękami.

– Aktorskie sztuczki. O krew było łatwo. To wszystko małe petardy. Te na mojej piersi podłączyłem, zanim weszłaś na pokład. Te w ustach, jak wiesz, pochodziły z torebki z orzeszkami. Butla z tlenem czekała na mnie przy skale. Nawiasem mówiąc, szybko zanurkowałeś. Cholera. Prawie nie miałem czasu usiąść.

– Wygląd – rzuciła niecierpliwie. – Patrzyłeś na mnie mart-wymi oczami w martwej twarzy.

– W ten sposób?

Jakby ktoś mu wbił strzykawkę ze strychniną w podstawę mózgu. Światło zniknęło z jego oczu, a potem z twarzy. Nie chodziło tylko o to, że upiornie znieruchomiał – wyglądał, jakby dusza opuściła jego ciało.

Zamachała ręką przed jego oczami, a one pozostały nieruchome, pełne nicości, bez drgnienia.

– Długo tak możesz? – spytała.

Wypuścił powietrze.

– Pewnie mógłbym wytrzymać jeszcze dwadzieścia sekund.

– A gdybym została tam, wpatrując się w ciebie?

– No, może jeszcze czterdzieści sekund, góra minutę. Ale nie zostałeś. I na tym polega dobry przekręt – na przewidywalności ludzkich reakcji.

– Chyba że to Cotter-McCann.

– Racja. – Znowu klasnął w dłonie i upiorna aura śmierci zniknęła z jego twarzy. – No więc nadal bardzo nam się spieszy, więc czy mogę ci powiedzieć resztę po drodze?

– Po drodze dokąd?

Wskazał na północ.

– Do Kanady. Caleb spotka się tam z nami rano.

– Caleb?

– Tak. Gdzie go wyrzuciłaś, w kryjówce?

Rachel znieruchomiała. Nie miała pojęcia, co powiedzieć.

– Rachel. – Zatrzymał się z ręką na drzwiach od strony pasażera. – Proszę, powiedz, że z łodzi pojechaliście do kryjówki.

– Nie udało nam się.

Brian pobladł.

– Gdzie jest Caleb?

– Nie żyje.

Brian zasłonił twarz rękami. Zsunął je w dół i przycisnął do szyb range rovera. Opuścił głowę. Wydawało się, że przez minutę nie oddychał.

– Jak umarł?

– Strzelili mu w twarz.

Oderwał się od samochodu. Spojrzał na nią.

Pokiwała głową.

– Kto?

– Nie wiem. Dwaj mężczyźni szukający jakiegoś klucza.

W oczach Briana pojawiła się bezradność. Gorzej, uświadomiła sobie Rachel. Rozpacz. Powiódł dzikim wzrokiem po drzwiach, jakby miał znowu zemdleć, a potem osunął się po SUV-ie i usiadł na ziemi. Zadrżał. Rozpłakał się. Przez te trzy lata nigdy nie widziała go w takim czy choćby podobnym stanie. Brian się nie poddawał, Brian się nie załamywał, Brian nie potrzebował pomocy. Teraz patrzyła na to, jak się rozpada, jakby z jego wnętrza uleciały ważne elementy. Zabezpieczyła pistolet, wsunęła go za pasek na plecach i usiadła na ziemi naprzeciwko Briana. Otarł oczy i odetchnął wilgotnymi nozdrzami, w których nadal lśniła krew.

Ręce mu się trzęsły tak samo jak wargi, gdy spytał:

– Widziałas jego śmierć?

Skinęła głową.

– Stał tak blisko mnie jak ty teraz. Ten facet po prostu do niego strzelił.

– Kim był? – Oddech wyrывał mu się z ust szybkimi wybuchami.

– Nie wiem. Wyglądali na sprzedawców ubezpieczeń. I to nie najlepszych, raczej takich, jakich się widuje w centrach handlowych.

– Jak się od nich uwolniłaś?

Opowiedziała mu o tym, a on powoli wracał do siebie. Drzenie ustąpiło. Oczy mu obeschły.

– Caleb miał klucz – powiedział. – To już po wszystkim. Koniec gry.

– Jaki klucz?

– Do depozytu bankowego.

Dotknęła klucza w kieszeni.

– W banku na Kajmanie?

Brian pokręcił przecząco głową.

– Na Rhode Island. Tego ostatniego dnia miałem dziwne uczucie, może raczej przecucie. Albo po prostu spanikowałem jak cholerny gówniarz. Odniosłem nasze paszporty do banku. Gdyby coś mi się stało, przypuszczałem, że Nicole do nich dotrze. Ale to oni dotarli do Nicole. Więc oddałem klucz Calebowi.

– Jakie paszporty?

Pokiwał głową.

– Mój, Caleba, Hai, dziecka, Nicole, twój.

– Ja już nie mam paszportu.

Brian wstał ze zmęczeniem i wyciągnął do niej rękę.

– Owszem, masz.

Przyjęła ją i pozwoliła się podnieść.

– Wiedziałabym, gdybym go miała. Mój stracił ważność dwa lata temu.

– Wyrobiłem ci nowy. – Nadal nie puścił jej ręki. A ona jej nie cofnęła.

– Skąd wzięłaś zdjęcie?

– Budka fotograficzna w centrum handlowym.

Nieźle, pomyślała. Nieźle.

Wyjęła z kieszeni klucz. Uniosła go i po raz drugi w ciągu kwadransa zobaczyła, jak Brian zmartwychwstaje.

– To ten?

Parę razy zamrugął. Potem przytaknął.

Schowała klucz do kieszeni.

– Dlaczego miał go Caleb?

– Caleb miał zdobyć paszporty. Każdy z nas potrafił udawać drugiego, nawet we śnie.

Jego wersja mojego podpisu jest bardziej autentyczna niż moja. – Brian spojrział w niebo. – Mieliśmy się wymknąć do Kanady, spotkać się z innymi w Saint-Prosper. Stamtąd – kurwa – stamtąd mieliśmy pojechać do Quebecu i opuścić kraj samolotem.

Rachel spojrzała mu w oczy. Odpowiedział tym samym i żadne nie odezwało się ani słowem, aż powiedziała:

– A zatem nasza szóstka miała razem opuścić kraj?

– Tak zakładał plan.

– Ty, twój najbliższy przyjaciel, jego żona z dzieckiem i twoje dwie żony.

Opuścił rękę.

– Nicole nie była moją żoną.

– A kim?

– Siostrą.

Rachel cofnęła się o krok i przyjrzała mu się uważnie, by sprawdzić, czy mówi prawdę. No ale jak miała to stwierdzić? Żyła z nim trzy lata i nie знаła jego prawdziwego nazwiska, zawodu ani historii. Dwa dni temu odegrał przed nią scenę swojej śmierci. Patrzył na nią niewidzącymi oczami z dna morza. To nie był człowiek, który kłamał jak normalni ludzie.

– Twoja siostra była w ciąży?

Przytaknął.

– Z kim?

– Nie mamy na to czasu.

– Kto był ojcem?

– Niejaki Joel, w porządku? Pracował z nią w banku. Żonaty, trójka własnych dzieci. To była wpadka. Ale Nicole zawsze chciała mieć dziecko, więc choć zerwała z Joelem, nie usunęła ciąży. Nie potrzebowała jego wsparcia; mieliśmy zdobyć siedemdziesiąt milionów. Chcesz poznać Joela? Mogę to załatwić. Spytasz go, czy jego ekskochanka była w szóstym miesiącu ciąży, gdy ktoś zlikwidował ją w jej własnej kuchni, ponieważ jej brat... – Brian zaczął krążyć poruszony – jej głupi jak chuj brat zostawił swój samochód przed jej domem, po czym wrócił do Bostonu, żeby metodą wstrząsową przywrócić cię do rzeczywistości.

Jej śmiech zabrzmiał jak szczenięcie.

– Że co? To miała być metoda wstrząsowa?

Spojrzał na nią jak wcielenie niewinności.

– Tak.

– W życiu nie słyszałam takich chorych pierdół.

– Musiałaś być gotowa do ucieczki. Spodziewałem się, że Cotter-McCann nie zorientuje się przez jakieś trzy miesiące. Albo sześć. Liczyłem na sześć. Ale się pospieszyli, bo są agresywni i chciwi i chcą mieć wszystko na swoich, a nie cudzych warunkach. Nie wiedziałem, że przeleją pieniądze na nasze konto i tego samego dnia wynajmą niezależną firmę konsultacyjną, by zrobiła kontrolną analizę kopalni. Ale to zrobili. I nie przewidziałem, że wynajmą dwuosobowy pluton egzekucyjny dla mnie i mojej ekipy. Ale to zrobili. Musiałem więc zrezygnować z planu A, wyrzucić plan B do śmieci i wdrożyć plan C, zgodnie z którym musiałem tobą potrząsnąć, żeby cię otrzeźwić. No i patrz. Udało się.

– Nic się nie udało, nic...

– Boisz się prowadzić?

– Nie.
– Boisz się jeździć taksówkami?
– Nie.
– Boisz się dzikich pustkowi, otwartych przestrzeni? Albo wind? Nurkowania w morzu?
Miałaś choć jeden atak paniki, odkąd to wszystko się zaczęło?
– Skąd mam wiedzieć? Jestem w panice, odkąd zobaczyłam, jak wychodzisz z budynku w Bostonie, choć miałeś być w Londynie.
– Zgadza się. I przewycięzałaś tę panikę codziennie, żeby zrobić, co trzeba. Włącznie z zabiciem mnie.
– To mi się akurat nie udało.
– No wiesz, bardzo cię przepraszam. – Położył jej ręce na ramionach. – Nie boisz się już niczego, bo przestałaś słuchać wszystkiego z wyjątkiem swojej pierwotnej jaźni. Miałaś wszelkie „dowody”, których potrzebowałaś, żeby znowu żyć jak dawniej. Nie podałem ci wskazówek na tacy, kazałem ci na nie zapracować. Mogłaś zaufać swoim oczom – pieczętki wizowe wyglądały dość autentycznie – ale zaufałaś swojemu instynktowi, skarbie. Zadziałałaś zgodnie z tym – wskazał jej pierś – nie tym. – Wskazał jej głowę.
Długo na niego patrzyła.
– Nie mów do mnie „skarbie”.
– Dlaczego?
– Bo cię nienawidzę.
Zastanowił się nad tym. Wzruszył ramionami.
– To zwykle czujemy do tych, którzy nas budzą.

KRYJÓWKA

Zostawili roztrzaskanego SUV-a Caleba w lesie i pojechali range roverem czterysta kilometrów na południe do Woonsocket w Rhode Island, na południe od granicy Massachusetts i jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na północ od Providence. Po drodze mieli mnóstwo czasu na gadanie, ale niewiele rozmawiali. Głównie wymieniali najważniejsze informacje. Słuchali radia na tyle, by dowiedzieć się, że oboje są poszukiwani w sprawie śmierci dwóch osób w dwóch różnych stanach. Policja z Providence i Bostonu nie odpowiadała na pytania, dlaczego łączy zabójstwo małomiasteczkowej pracownicy banku w Providence z zabójstwem biznesmena z Bostonu, ale usilnie starała się spotkać z Brianem Aldenem, bratem ofiary z Providence oraz współpracownikiem ofiary z Bostonu, jak również z żoną Briana Aldena, Rachel Childs-Delacroix. Broni zarejestrowanej na obie poszukiwane osoby nie znaleziono w ich domu w Back Bay, dlatego uważa się ich za uzbrojonych.

– Moje życie legło w gruzach – odezwała się Rachel gdzieś w okolicach Lewiston w Maine. – Nawet gdybym zdołała oczyścić swoje imię.

– Mało prawdopodobne to „nawet”.

– Zarznęłabym się finansowo.

– I spędziłabyś sporo czasu w pierdlu.

Rzuciła mu brzydkie spojrzenie, którego nie zobaczył, bo obserwował szosę.

– A i tak wykończyliby mnie zarzutami o współudział.

– I o utrudnianie śledztwa. Gliny jakoś się obrażają, kiedy zapomnisz im powiedzieć, że w twojej jadalni przy stole siedzą zwłoki. Opuszczenie miejsca zbrodni, ucieczka, łamanie przepisów drogowych. Na pewno można znaleźć coś jeszcze.

– To nie jest śmieszne – wycedziła.

Zerknął na nią.

– A kiedy sugerowałem, że jest?

– W tej chwili. Jesteś sarkastyczny i złośliwy.

– Mam tak, kiedy się boję.

– Ty się boisz? Ty?

Uniósł brwi.

– Umieram ze strachu. Jeśli nikt nie znajdzie kryjówki i zdołamy zrobić to, co trzeba, jeśli uda nam się niepostrzeżenie wjechać do Providence, dotrzeć do banku i skrytki, w której schowałem paszporty i pieniądze na drogę, jeśli uda nam się wyjść z tego banku i wydostać się z Providence, zabrać Hayę z dzieckiem i znaleźć lotnisko, na którym nikt nas nie będzie szukać, a nasze twarze nie będą się pojawiać na każdym ekranie i w każdym telewizorze w barze, i jeśli nikt od nich nie będzie na nas czekać w Amsterdamie, to tak, może zdołamy przeżyć ten rok. Ale nasze szanse na pokonanie tych przeszkód oceniam na... czy ja wiem? Od marnych do zerowych.

– Amsterdam. Myślałam, że bank jest na Kajmanach.

– Jest, ale tam na pewno będą na nas czekać. Jeśli dotrzemy do Amsterdamu, możemy zrobić przelew do Szwajcarii.

– Ale po co zatrzymywać się w Amsterdamie?

Brian wzruszył ramionami.

– Zawsze mi się podobał. Tobie też się spodoba. Ładne są te stare kanały. Tylko rowerów

od cholery.

– Czy ty mnie zabierasz na wycieczkę turystyczną?

– No, taki jest plan, nie?

– Nie jesteśmy razem.

– Nie?

– Nie, ty kłamliwy gnojku. Od tej pory to układ biznesowy.

Brian opuścił na chwilę szybę, wystawił twarz na powiew wiatru, żeby odzyskać trzeźwość myślenia. Znowu podniósł szybę.

– Dobrze. Dla ciebie to biznes. Ale ja cię kocham.

– Nie masz pojęcia, co to miłość.

– Tu musimy się zgodzić, że się nie zgadzamy.

– Czy ty w ogóle szukałeś mojego ojca?

– Co?

– Kiedy cię poznałam, byłeś prywatnym detektywem.

– To był przekręt. Szczerze mówiąc, mój pierwszy.

– Więc nawet nie byłeś detektywem?

Pokręcił głową.

– Udawałem, żeby mieć dostęp do akt wszystkich pracowników nowej firmy informatycznej, która powstała w tej okolicy.

– I tylko po to stworzyłeś fałszywe biuro detektywistyczne?

– W tej firmie pracowały sześćdziesiąt cztery osoby, o ile sobie przypominam. Sześćdziesiąt cztery daty urodzenia, sześćdziesiąt cztery numery ubezpieczeń społecznych, sześćdziesiąt cztery historie.

– Ukradłeś sześćdziesiąt cztery tożsamości?

Skinął głową. Był to szybki ruch, ale pełen dumy.

– Do jednej z nich należy twój paszport.

– Ale kiedy do ciebie przyszłam...

– Próbowałam cię namówić, żebyś ze mnie zrezygnowała.

– Ale gdy parę miesięcy później wróciłam, wzięłaś moje pieniądze i...

– I zacząłem szukać twojego ojca, Rachel. I się nie opierdalałem. Szkoda, że nie wystarczyło mi rozumu, żeby się domyślić, że James to jego nazwisko. Ale sprawdziłem wszystkich wykładowców o imieniu James, którzy uczyli w tym rejonie przez minione dwadzieścia lat, tak jak ci powiedziałem. Jediną uczciwą robotę jako detektyw wykonałem dla ciebie.

– Dlaczego?

– Bo jesteś dobra.

– Jestem jaka?

– Dobra. Jesteś jednym z nielicznych znanych mi dobrych ludzi. I warto o ciebie i z tobą walczyć. Jesteś warta wszystkiego.

– Kłamca z ciebie. W tej chwili też robisz przekręt. Ze mną.

Zastanowił się nad tym.

– Gdy tamtego wieczora poznałem cię w barze – powiedział po jakimś czasie – Caleb i Nicole powtarzali mi, że mam się ciebie pozbyć. Oszuści nie mają życia miłosnego, tylko erotyczne, oznajmili. Mówiła to również moja siostra, która wkrótce miała zaliczyć wpadkę z zonatym. Ona pouczała mnie w sprawie miłości. I Caleb, który miał poślubić kobietę niemówiącą po angielsku. To byli moi mistrzowie. – Pokręcił głową. – „Nie zakochaj się”. No i patrz, jak nam się to wszystkim efektywnie nie udało.

Ze wszystkich sił zmuszała się, żeby nie patrzeć na niego.

– Zakochałem się w tobie, bo to nieuniknione, gdy się spotyka kobietę, na którą chce się patrzeć w chwili śmierci. Człowiek się zakochuje. Raz po raz. A jeśli ma wyjątkowe szczęście, ta kobieta odwzajemnia jego miłość i już nie jest taki, jaki był, bo gdyby było mu tak wspaniale, nie potrzebowałby tej miłości. A kiedy ja się zakochałem, to na całego. Właśnie zacząłem organizować ten przekręt. Poznałem cię w dniu, w którym podpisałem dokumenty tej kopalni. Caleb miał się ze mną spotkać, żeby to uczcić, ale zobaczyłem cię, napisałem do niego SMS-a, że strułem się tuńczykiem, i Caleb poszedł sam. A ja patrzyłem na ciebie i myślałem: „To jest Rachel Childs. Kiedyś próbowałem znaleźć jej ojca. Oglądałem ją w wiadomościach”. Zastanawiałem się, kim jest ten szczęściarz, który wraca z tobą do domu. A potem ten pijak zaczął się do ciebie przystawiać, a ja ruszyłem ci z pomocą i – o ironio – uznałaś, że to był przekręt. Zawsze mnie to zachwycało. Prawie uwierzyłem w istnienie Boga. Następnie wysłałaś, a ja wybiegłem, szukając ciebie. – Przez chwilę na nią patrzył. – I cię znalazłem. A potem był ten spacer, nagła ciemność i ten niezwykły bar.

– Czyja piosenka leciała, kiedy weszliśmy?

– Toma Waitsa.

– Jaki tytuł?

– *Long Way Home*.

– A powinna być *16 Shells from a Thirty-Ought-Six*.

– Bądź miła. – Brian usadowił się wygodniej, oparł nadgarstek na kierownicy. – Może nie podobają ci się moje metody i może nie zachwyciło cię to, że zarabiam na życie przekrętami. Dlatego możesz się odkochać, ale ja nie przestanę kochać ciebie. Nie potrafię.

Prawie to kupiła, przez sekundę, ale potem przypomniała sobie, kim jest ten człowiek – aktorem, oszustem, kanciarzem, zawodowym kłamcą.

– Ludzie, którzy się kochają, nie niszczą sobie życia – odparła.

Brian roześmiał się cicho.

– Oczywiście, że to robią. Taka jest miłość – tam, gdzie był jeden człowiek, teraz jest para, a to o wiele mniej wygodne, mniej uporządkowane, mniej bezpieczne. Chcesz, żebym przeprosił, że rozwaliłem ci życie? Dobrze. Przepraszam. Ale co ci rozwaliłem? Twoja matka nie żyje, ojca nie znasz, przyjaciele pojawiali się i znikali, a ty nie wychodziłaś z mieszkania. Jakie życie ci odebrałem?

Rzeczywiście, pomyślała, gdy o zachodzie słońca wjechali do Woonsocket.

Było to nijakie przemysłowe miasteczko, gdzieniegdzie odnowione, co jednak nie tuszowało aury opuszczenia. Na głównej ulicy co chwila widziało się puste witryny zamkniętych sklepów. Za budynkami mieszkalnymi wznosiły się fabryki o popękanych lub wybitych szybach, ceglanych ścianach wymazanych girlandami graffiti. Chwasty zarastały ich dolne piętra i rozsadzały fundamenty. To się wydarzyło, zanim Rachel przyszła na świat – cały ten rozkład amerykańskiego przemysłu, przemiana z kultury wytwarzającej cenne rzeczy w kulturę konsumującą rzeczy wątpliwej wartości. Rachel dorastała w tej pustce, wśród cudzych wspomnień o marzeniu tak ulotnym, że prawdopodobnie było skazane na śmierć już w chwili poczęcia. Jeśli nawet kiedyś istniała jakaś umowa społeczna między krajem a jego obywatelami, to już dawno zniknęła – z wyjątkiem hobbesowskiej ugody, która obowiązywała od czasu, gdy nasi przodkowie wyczołgali się z jaskiń w poszukiwaniu jedzenia: gdy dostanę, co moje, radź sobie sam.

Przejechali przez szereg mrocznych stromych uliczek aż do czterech długich trzypiętrowych budynków nad rzeką, które stanowiły kompleks fabryczny. Oprócz nich w okolicy nie było niczego. Każdy ceglany budynek miał co najmniej sto okien wychodzących

na ulicę i tyle samo od strony rzeki. Wysokie okna na środku były dwukrotnie większe od pozostałych. Brian objechał kompleks; z drugiej strony budynku na wysokości trzeciego piętra były połączone zadaszonymi pasażami. Z góry wyglądały jak podwójne H.

– To jest ta twoja kryjówka? – spytała Rachel.

– Nie, to opuszczona fabryka.

– To gdzie jest kryjówka?

– Niedaleko.

Minęli popękane szyby i chwasty sięgające dachu SUV-a. Pod oponami samochodu chrzęścił żwir i drobne kamyki.

Brian wyjął komórkę i posłał komuś SMS-a. Po paru sekundach rozległ się sygnał przychodzącej wiadomości. Brian schował telefon do kurtki. Jeszcze dwukrotnie objechał fabrykę. Na skraju terenu zgasił reflektory i wjechał na małe wzgórze, które, sądząc po odgłosach, znajdowało się tuż koło tamy. Na szczycie wzgórza, częściowo zasłonięty kępą podeschniętych drzew, stał mały, ceglany piętrowy domek z czarnym mansardowym dachem. Brian zatrzymał samochód, ale nie wyłączył silnika. Siedzieli i obserwowali dom.

– To dawna stróżówka. Ten teren należy do miasta od lat siedemdziesiątych, odkąd fabryka splajtowała. Ziemia prawdopodobnie i tak jest zatruta, a nikt nie ma pieniędzy, żeby to sprawdzić, więc kupiliśmy ten dom za grosze. – Brian poprawił się na fotelu. – Ma mocną konstrukcję i nic nie zasłania widoku z okien. Nie można się do niego zbliżyć niepostrzeżenie.

– Do kogo napisałeś SMS-a? – spytała Rachel.

– Do Hai. – Brian skinął głową w stronę domu. – Jest tam z Annabelle. Chciałem ją powiadomić, że się zbliżam.

– Więc czemu nie wchodzimy?

– Wejdziemy.

– Na co czekamy?

– Żeby moje zniecierpliwienie stało się silniejsze od przerażenia. – Brian spojrzął na dom.

Gdzieś w jego głębi paliło się światło. – Gdyby wszystko było w porządku, Haya miała odpisać: „Jest OK. Wchodźcie”.

– I?

– Napisała tylko pierwszą połowę.

– No ale to nie jest jej rodzimy język. I pewnie się boi.

Brian zagryzł wargę.

– Nie możemy jej powiedzieć o Calebie.

– Musimy.

– Jeśli Haya będzie myśleć, że Caleb spotka się z nami w Amsterdamie, jakoś się pozbiera. Ale jeśli nie? – Brian odwrócił się ku Rachel i dotknął jej ręki. Cofnęła ją. – Nie możemy jej powiedzieć. Rachel, Rachel...

– Co?

– Jeśli zawalimy sprawę, zabiją nas wszystkich. Dziecko też.

Spojrzała na niego, ale nie widziała dokładnie wyrazu jego oczu, bo w SUV-ie panował półmrok.

– Nie możemy pozwolić, żeby stała się jeszcze bardziej nieprzewidywalna. Powiemy jej w Amsterdamie.

Skinęła głową.

– Muszę to od ciebie usłyszeć.

– Powiemy jej w Amsterdamie.

Patrzył na nią długo, zanim spytał:

– Nadal masz tę broń?

– Aha.

Sięgnął pod fotel i wyjął dziewięciomilimetrowego glocka. Zatknał go za pasek na plecach.

– Przez cały czas go miałeś – powiedziała.

– No wiesz? – Westchnął. – Mam trzy.

Obeszli dom dwa razy w ciemnościach, po czym Brian poprowadził Rachel po zapadniętych schodkach do drzwi, które przez lata zupełnie oblażyły z farby. Deski parkietu skrzypiały pod ich stopami, a dom jęczał pod smagnięciami zimnego wiatru, bardziej pasującego do jesieni niż początków lata.

Brian obszedł werandę, zajrzał do wszystkich okien i drzwi frontowych, po czym wrócił na tyły domu. Otworzył zamknięte na klucz drzwi.

Po lewej stronie pisnął alarm; Brian wprowadził datę urodzenia Rachel i niepokojące dźwięki ustały.

Główny korytarz prowadził od tylnych drzwi obok dębowych schodów do drzwi frontowych. W domu pachniało czystością i kurzem, może też delikatną nutą pleśni, która uparcie trwała nawet po tysięcznym sprzątaniu. Brian wyjął z kurtki dwie cienkie latarki, podał Rachel jedną i włączył swoją.

Haya siedziała poniżej otworu na listy w drzwiach frontowych. Po jej prawej stronie leżały ulotki. W dłoniach ścisnęła broń.

Brian pomachał jej i podszedł z ciepłym uśmiechem. Haya opuściła broń, a on uściśnął ją niezręcznie, po czym stanęli naprzeciwko siebie.

– Dziecko śpi. – Wskazała sufit.

– Ty też potrzebujesz snu – powiedział Brian. – Jesteś wykończona.

– Gdzie Caleb?

Brian wziął ją za rękę.

– Źli ludzie mogą go śledzić. Nie chciał ich tu doprowadzić. Do ciebie i Annabelle. Rozumiesz?

Jej oddech przyspieszył. Zagryzła górną wargę tak mocno, że omal się nie skaleczyła.

– Caleb... żyje?

Jezu.

– Żyje – potwierdził Brian. – Przedostanie się do nas przez Maine. Pamiętasz, jak o tym mówiliśmy? Pojedzie do Kanady i wyleci z Toronto. W Maine nikt go nie namierzy. Znamy ten teren. Wiesz, co to „teren”?

Haya dwukrotnie kiwnęła głową.

– Będzie... w porządku?

– Będzie – powiedział Brian z pewnością, która w Rachel obudziła obrzydzenie.

– Nie odbiera... komórki.

– Już to wyjaśnialiśmy. Mogą ją namierzyć. Jeśli ktoś z nas sądzi, że jest śledzony, nie korzysta z telefonu. – Brian wziął Hayę za rękę. – Wszystko będzie dobrze. Rano stąd wyjedziemy.

Haya spojrzała na Rachel jak kobieta na kobietę, wzrokiem, który łamał wszystkie bariery językowe: „Czy mogę zaufać temu mężczyźnie?”

Rachel przymknęła powieki w potwierdzeniu.

– Prześpij się. Musisz odpocząć.

Haya weszła po ciemnych schodach. Rachel musiała się powstrzymać, żeby nie pobiec za nią, nie powiedzieć, że to wszystko kłamstwa. Że jej mąż nie żyje. Ojciec jej dziecka nie żyje.

Ona i jej nowo narodzona córeczka będą musiały uciekać z dwojgiem dwulicowych obcych ludzi, którzy ją okłamali i będą ją okłamywać, żeby nie spieprzyła im planów.

Na piętrze Haya skrzyła w prawo i zniknęła z pola widzenia Rachel.

Brian jakby czytał w jej myślach.

– Co chciałaś jej powiedzieć?

– Że jej mąż nie żyje – szepnęła.

– Proszę bardzo. Nie krępuj się. – Wskazał dwornym gestem schody.

– Nie bądź okrutny – mruknęła po chwili.

– Nie oceniaj mnie, chyba że chcesz przejąć moją rolę.

Razem sprawdzili kolejne pokoje na parterze. Były puste.

Dopiero wtedy zapalili światła.

– Czy to mądre? – spytała.

– Gdyby wiedzieli o tym domu, byłiby w fabryce albo na górze z Hayą. Ale ich nie ma, więc kryjówka nadal jest kryjówką. Nicole im nie powiedziała. Pewnie dlatego, że nie przyszło im do głowy, żeby ją spytać.

– Haya ma pokój na piętrze po prawej. – Jego ciało nagle jakby zwiotczało z wyczerpania. Rachel uświadomiła sobie, że sama też jest wykończona. Brian wskazał pistoletem schody. – Koło łazienki jest szafa z pościelą. W pierwszym pokoju po lewej w komodzie znajduje się parę ubrań w twoim rozmiarze. Weźmy prysznic, zrobię kawę, a potem wrócimy do pracy.

– Do jakiej pracy?

– Nauczę cię podstaw fałszerstwa.

WYZNANIE

Rachel – jeszcze z mokrymi włosami, trzymająca w ręce kubek z kawą, ubrana w podkoszulek, bluzę z kapturem i dresy, faktycznie w jej rozmiarze – usiadła przy stole ze swoim mężem (czy nadal nim był?), który położył przed nią notes i długopis. Potem podsunął jej kilka dokumentów z podpisem jego siostry.

– Mam być Nicole?

– Przez tych pięć minut, które zajmie ci wejście i wyjście z banku, będziesz jej ostatnim wcieleniem. – Brian pogrzebał przez chwilę w torbie gimnastycznej i wyjął z niej mały plik spiętych gumką dokumentów i kart kredytowych. Wyjął prawo jazdy z Rhode Island na nazwisko Nicole Rosovich. Kładąc je na stole, potrząsnął konwulsyjnie głową. Rachel odniosła wrażenie, że nie jest tego świadomy.

– Wcale jej nie przypominam – powiedziała.

– Podobna budowa twarzy.

– Oczy mam inne.

– Dlatego przygotowałem kolorowe szkła kontaktowe.

– Mają inny kształt – zauważyła. – I są mniejsze niż jej. A jej wargi są cieńsze.

– Ale nos masz podobny i brodę też.

– Każdy widzi, że ja to nie ona.

– Heteroseksualny facet pod trzydziestkę, z dwójką dzieci, najnudniejszą pracą świata i prawdopodobnie równie nudną żoną, zapamiętał z wizyty seksownej blondynki, która odwiedziła go trzy miesiące temu, tylko jedno – że była seksowną blondynką. Więc zrobimy z ciebie blondynkę. Seksowność już jest.

Zignorowała tę próbę polechtania jej próżności.

– Masz tu farbę do włosów?

– Mam peruki. Te, które nosiła Nicole.

– W bankach mają obecnie programy rozpoznające twarze, wiesz?

– Nie w tym banku. Dlatego go wybrałem. Gdy masz wątpliwości, kieruj się do rodzinnych firm. Ten bank istnieje w Johnston od trzech pokoleń. Bankomat pojawił się tam dopiero cztery lata temu, i to na wniosek klientów. Właściciel, z którym się spotkasz, jest jednocześnie kierownikiem banku i dyrektorem działu skrytek. Nazywa się Manfred Thorp.

– Jaja sobie robisz.

Brian usiadł okrakiem na krześle obok niej.

– Nie, serio. Powiedział, że imię Manfred funkcjonuje w jego rodzinie od tysiąca lat. Podobno w każdym pokoleniu jest jakiś Manfred i padło na niego, jak to ujął.

– Dobrze go znasz?

– Spotkałem go raz.

– Ale wiesz o nim wszystko.

Brian wzruszył ramionami.

– Ludzie lubią do mnie mówić. Mój ojciec miał tak samo.

– Właściwie kim był twój ojciec? – Odwróciła się z krzesłem w jego stronę. – Ten prawdziwy.

– Jamie Alden – powiedział Brian pogodnie. – Ksywka Mikser.

– Bo lubił miksować?

Brian pokręcił głową.

– Bo nie było miejsca ani znajomości, z której by się nie wymiksował. Wymiksował się z wojska, nie powiadając o tym zwierzchników, wymiksował się z trzech małżeństw przed moją matką i z dwóch po niej, wymiksował się z dwudziestu prac. Pojawiał się i znikał z mojego życia, aż w końcu naciął się na jednego jubilera z Filadelfii. Gość był uzbrojony po zęby, a zresztą z Miksera był rewolwerowiec jak z koziej dupy trąba. I facet zabił mi tatę. – Wzruszył ramionami. – Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

– Kiedy to było?

Brian spojrział w sufit, jakby usiłował sobie przypomnieć.

– Kiedy studiowałem na Trinity.

– Gdy cię wyrzucono?

Skwitował to przechyleniem głowy i bladym uśmiechem. Trwał tak przez chwilę, zapatrzony w dal; w końcu przytaknął.

– Dzień po tym, jak dowiedziałem się o jego śmierci, dałem wycisk profesorowi Nigelowi Rawlinsowi.

– Przepychaczem.

– Był pod ręką. – Nagle zachichotał.

– Co?

– To był dobry dzień.

Pokręciła głową.

– Wyrzucono cię ze szkoły aktorskiej za napaść.

Przytaknął.

– I naruszenie nietykalności cielesnej.

– Więc jak to mógł być dobry dzień?

– Posłuchałem instynktu. Wiedziałem, że to, co robił Calebowi, było złe, i wiedziałem, że to, co musiałem zrobić, jest dobre. Nigel zachował pracę. Może ciągle uczy tej drugorzędnej metody aktorskiej. Ale stawiam swój udział w tych siedemdziesięciu milionach, że nigdy więcej nie potraktuje żadnego studenta tak jak Caleba czy swoje wcześniejsze ofiary, bo już zawsze będzie mu towarzyszyć przekonanie, że któryś z nich może zrobić to samo co Świrnięty Brian Alden i wyruchać mu twarz przepychaczem. Tego dnia zrobiłem to, co należało.

– A ja? – spytała po chwili.

– Co „ty”?

– Ja nie słucham instynktu. Unikam świata.

– No tak. Bo wyszłaś z wprawy. Ale znowu się tego nauczysz, skarbie.

– Nie mów do mnie „skarbie”.

– Dobrze.

– Ten przekręt z kopalnią robiłeś... cztery lata?

Brian zastanowił się, coś obliczając.

– Mniej więcej.

– Jak długo udajesz Briana Delacroix?

Przez jego twarz przemknęło coś w rodzaju wstydu.

– Z przerwami prawie dwadzieścia lat.

– Dlaczego?

Brian długo milczał, zastanawiając się głęboko, jakby nikt dotąd nie zadał mu tego pytania.

– Pewnego razu, gdy pracowałem w pizzerii w Providence, kolega powiedział: „W barze

naprzeciwko siedzi twój sobowtór”. Więc poszedłem i rzeczywiście, Brian Delacroix i paru podobnych mu facetów, którzy wyglądali, jakby pochodzili z bogatych rodzin, siedzieli z ładnymi dziewczynami. Krótko mówiąc, pokręciłem się po barze na tyle długo, żeby się zorientować, który płaszcz należy do niego. Ukradłem go. To był piękny płaszcz – czarny kaszmir z krwistoczerwoną podszewką. Gdy go wkładałem, czułem się... – Zastanowił się nad właściwym słowem. – ...znaczący. – Miał spojrzenie chłopca zagubionego w centrum handlowym. – Nie mogłem go często nosić, nie w Providence, za duże niebezpieczeństwo, że spotkam jego właściciela, ale kiedy mnie wyrzucili z Trinity, pojechałem do Nowego Jorku i zacząłem chodzić w tym płaszczu wszędzie. Jeśli chciałem sobie załatwić pracę, wkładałem go i praca była moja. Jeśli zobaczyłem kobietę, która mi się podobała, wkładałem go i – abrakadabra! – łądowała w moim łóżku. Bardzo szybko zorientowałem się, że nie chodziło o płaszcz jako taki, tylko o to, co nim przykrywałem.

Rachel przyjrzała mu się badawczo.

– Płaszcz – wyjaśnił Brian – ukrywał mojego starego, który się na mnie wypiął, i moją pijaną starą, ukrywał mieszkanie, w którym zawsze trochę było czuć tego gościa, co w nim przedawkował, zanim się wprowadziliśmy, ukrywał wszystkie beznadziejne Gwiazdki i urodziny, których nie obchodziliśmy, kontrole kuratora, odcinany prąd i pijanych drani, którzy kręcili się wokół mojej matki, oraz to, że prawdopodobnie pewnego dnia sam stałbym się takim draniem w życiu kobiety podobnej do mojej matki. Miałbym taką samą gównianą pracę i takie same opowieści z baru, sprowadziłbym na świat dzieci, które bym zaniedbywał, aż nauczyłyby się mnie nienawidzić. Ale kiedy wkładałem ten płaszcz, to wszystko znikało z mojej przyszłości. Wkładałem ten płaszcz i przestawałem być Brianem Aldenem, byłem Brianem Delacroix. A bycie nim nawet w jego najgorszym dniu zawsze było lepsze od bycia Brianem Aldenem w jego najlepszym dniu.

To wyznanie w równym stopniu wyczerpało go i zawstydziło. Przez jakiś czas siedział ze wzrokiem wbitym w ścianę. Potem westchnął i zerknął na dokumenty podpisane przez jego siostrę. Odwrócił je do góry nogami.

– Sztuczka z fałszowaniem podpisu polega na tym, by widzieć go jako kształt, nie podpis. Staraj się powielić kształt.

– Ale wtedy będzie do góry nogami.

– Ojej, o tym nie pomyślałem. To lepiej dajmy spokój.

Trąciła go łokciem.

– Zamknij się.

– Uf... – Roztarł zebra. – Pokażę ci, jak to zrobić w normalnej pozycji, kiedy nauczysz się kopiowania odwróconego podpisu. Umowa stoi?

– Stoi.

Uniosła długopis nad kartką.

Słyszała go zza ściany – najpierw, gdy rzucał się na łóżku, potem jego chrapanie. Wiedziała, że leży na plecach, bo tylko wtedy chrapał. To znaczyło także, że ma otwarte usta. Normalnie by go trąciła – delikatnie, to zawsze wystarczało – i odwróciłby się na bok. Wyobraziła sobie, że to robi, ale to znaczyłoby, że musiałaby się z nim położyć, a nie wierzyła, żeby mogła to zrobić i się nie rozebrać.

Wszystko to wyglądało jak definicja szaleństwa – jej życie mogło się skończyć jutro albo nawet tego samego dnia właśnie z powodu tego człowieka. Żadnego innego. To on wypuścił demony z klitek, a te demony nie odpuszczają, dopóki jej nie zabiją albo nie zapędzą do więzienia.

Więc odczuwanie pociągu do niego było dowodem obłąkania.

Ale świadomość, że jej życie mogło się skończyć jutro albo nawet tego dnia, otwierała w niej wszystkie pory i receptory. Przekształcała i wyostrzała każdy widok, zapach, dotyk. Rachel słyszała szum wody w rurach, zapach metalu w rzece, chrobot mysich łapek w fundamentach. Miała wrażenie, że dostała dziś całkiem nowe ciało. Pewnie gdyby chciała, potrafiłaby policzyć, ile jest nitki w pościeli. Krew pędziła przez jej żyły jak nocny ekspres przez pustynię. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że budzi się tak jak w pierwszych miesiącach ich związku, że czuje głowę Briana między swoimi udami, jego język i wargi muskające lekko, bardzo lekko jej fałdki, już tak mokre jak we śnie, w którym brała kąpiel. Gdy tego ranka doszła, kopnęła go lewą piętą w biodro tak mocno, że zrobiła mu siniaka. Chwycił się za obolałe miejsce, nadal rozmasowując zeszywniałą szczękę, i wyglądał tak śmiesznie, a przy tym seksownie, że zaczęła chichotać, jednocześnie drżąc w konwulsjach orgazmu. Kiedy go przeproszała, ciągle porażały ją małe wyładowania. Nawet nie wytarła mu ust, zanim go pocałowała, a gdy już raz zaczęła to robić, nie mogła przestać, dopóki się nie oderwała, żeby zaczerpnąć łyk powietrza, wielki łapczywy haust. Brian wspominał ten pocałunek przez wiele lat jako najlepszy w swoim życiu; tak bardzo się w nim zanurzyła, że czuł, jak niemal unosi się w jego mroku. A potem doprowadziła go do orgazmu i gdy leżeli razem w płataninie pościeli, głupio uśmiechnięci i spoceni, Rachel spytała na głos, czy seks ma własny minicykl życiowy.

– Jak to? – zdziwił się Brian.

– No, zaczyna się od myśli albo mrowienia, czegoś małego, a potem rośnie.

Brian spojrział na siebie.

– Albo się kurczy.

– No tak, po wszystkim. Ale według mojej koncepcji rośnie, zyskuje siłę, potem następuje eksplozja, a następnie coś w rodzaju śmierci albo umierania, zmniejszenie oczekiwań, po czym zamykasz oczy i tracisz przytomność.

Teraz otworzyła oczy w obcym łóżku i doszła do wniosku, że myśli o seksie z mężczyzną, którego obecnie nienawidzi, ponieważ czuje bliskość śmierci. I choć wściekłość na niego buzowała tuż pod jej skórą, musiała powstrzymać potrzebę, by wstać, pójść bosą do jego pokoju i obudzić go tak, jak on ją obudził tamtego ranka.

Potem uświadomiła sobie, że nie chce seksu. Wcale nie. Nawet nie chodziło o dotyk.

Poszła do jego pokoju. Gdy cicho zamknęła za sobą drzwi, jego oddech się zmienił. Wiedziała, że Brian się obudził i usiłuje przyzwyczaić wzrok do ciemności. Zdjęła podkoszulek i majtki i zostawiła je pod drzwiami.

Usiadła przy nim, ale plecami oparta o stopy łóżka, z podeszwami koło jego łokcia.

– Widzisz mnie? – spytała.

– Częściowo. – Położył dłoń na jej stopie, ale nie zrobił nic więcej.

– Chcę, żebyś mnie widział. Tylko tyle, nic więcej.

– Dobrze.

Przez minutę starała się uspokoić. Nie wiedziała do końca, co tu robi, czuła tylko, że to w jakimś sensie obowiązkowe. Konieczne.

– Opowiedziałam ci o Widdy.

– Tej dziewczynce z Haiti. Tak.

– Tej, której odebrałam życie.

– Nie za...

– Zginęła przeze mnie. Nie zabiłam jej własnymi rękami, ale miała rację – gdybym cztery, nawet dwie godziny wcześniej pozwoliła im ją zabrać, nie oszaleliby aż tak. Mogliby darować jej życie.

– Tylko jakie by to było życie?
– To samo powiedziała ona.
– Co?
– Nieważne. – Odetchnęła głęboko, chłonąc ciepło jego dłoni, gdy głaskał jej stopę. – Nie rób tego.

– Czego?
– Nie głaszcz mnie.
Przestał, ale nie cofnął ręki, i to ją ucieszyło.
– Powiedziałam ci, że chciała do nich wyjść, a ja ją przekonałam, żeby tego nie robiła.
A potem ją znaleźli.

– Tak.
– A gdzie byłam w tym czasie?
Otworzył usta, ale nie padły z nich żadne słowa.
– Nie powiedziałas mi tego – odparł w końcu. – Zawsze zakładałem, że jakoś się rozdzieliliście.

– Nie. Byliśmy razem. Prawie do końca. Byłam tuż przy niej, kiedy ją znaleźli.
– I...? – Lekko się podniósł.
Odkasznęła.
– Przywódcą... sfory, nie mam na to innego słowa, był Josué Dacelus. Teraz podobno rządzi przestępczym światkiem, wtedy był tylko młodym bandytą. – Spojrzała przez mrok na swojego męża. Nocny wiatr trząsał framugami okien w starym domu. – Znaleźli nas przed wschodem słońca. Oderwali Widdy ode mnie. Walczyłam, ale przygnietli mnie do ziemi i pluli na mnie. Parę razy kopnęli mnie w plecy i uderzyli pięścią w głowę. A Widdy nie krzyczała, tylko płakała, tak jak dziewczynki w jej wieku płaczą nad martwym zwierzątkiem, wiesz? Na przykład nad chomikiem. Pamiętam, że myślałam, że jedenastoletnie dziecko powinno mieć tylko takie powody do płaczu. I znowu chciałam im przeszkodzić, ale, o rany, jak się wściekli. Może i byłam białą kobietą z legitymacją prasową, może i zgwałcenie oraz zabicie mnie wiązało się z większym ryzykiem niż zgwałcenie i zabicie haitańskich dziewczynek i byłych zakonnic, ale gdybym się upierała, pewnie zapomnieliby o ostrożności. Spojrzałam na Widdy, którą odciągali ode mnie, a Josué Dacelus włożył brudną lufę czterdziestkapiątki do moich ust, przesunął nią jak fiutem po moim języku i zębach i powiedział: „Wolisz być dobrym człowiekiem? Czy wolisz żyć?”

Przez chwilę nie mogła mówić. Siedziała, a łzy kapały jej na ciało.
– Jezu... – szepnął Brian. – Wiesz, że nie mogłaś...
– Kazał mi to powiedzieć.
– Co?
Skinęła głową.
– Wyjął broń z moich ust, kazał mi na nią spojrzeć, kiedy ją ciągnęli, i powiedzieć te słowa. – Wytarła policzki i tym samym ruchem odgarnęła włosy z twarzy. – Wolę żyć. – Opuściła głowę. Włosy zasłoniły jej twarz. – I powiedziałam je na głos.

Kiedy parę minut później się wyprostowała, Brian nadal się nie poruszył.
– Z jakiegoś powodu chciałam ci to powiedzieć – dodała. – Z powodu, którego jeszcze nie znam.

Cofnęła stopę z jego dłoni i wstała. Brian patrzył, jak wkłada majtki i podkoszulek. Zanim wyszła, usłyszała jeszcze jego szept:

– Dziękuję.
===bFltXGIQZ1dkADdUMgE0AjoKM1ZIVDADYVM3ADRSMVI=

BANK

Obudził ją płacz dziecka.

Słońce dopiero wzeszło. Rachel wyszła na korytarz; płacz stracił na sile. Haya zmieniała Annabelle pieluszkę na stoliku stojącym przy łóżeczku. Brian albo Caleb zadbali nawet o powieszenie zabawki nad łóżeczkiem i pomalowanie ścian na różowo. Haya miała na sobie podkoszulek z logo, który Rachel widziała kiedyś u Caleba, i kraciaste męskie szorty. Sądząc po zmiętej pościeli, Haya nie spała spokojnie. Wrzuciła brudną pieluszkę i chusteczki do foliowej torby na podłodze i wyjęła nową pieluszkę z półki pod blatem.

Rachel wzięła torbę.

– Wyrzucę to.

Haya jakby nie usłyszała. Dalej przewijała córkę.

Annabelle spojrzała na matkę, a potem na Rachel. Zatrzymała na niej spojrzenie swoich ciepłych ciemnych oczu.

– Czy Amerykanki mają... tajemnice przed mężami? – spytała Haya.

– Niektóre – powiedziała Rachel. – A Japonki?

– Nie... wiem – odparła Haya, jak zwykle z namysłem. A potem dodała płynnie: – Może dlatego, że nigdy nie byłam w Japonii.

Całkowicie odmieniona Haya nagle spojrzała na Rachel i była to Haya przebiegła, pełna gorzkiej mądrości.

– Nie jesteś Japonką?

– Pochodzę z zasranego San Pedro – szepnęła Haya, patrząc na drzwi za Rachel.

Rachel je zamknęła.

– To dlaczego...?

Haya westchnęła tak gwałtownie, że wargi jej się wydęły.

– Caleb był moim klientem. Od pierwszej chwili wiedziałam, że to oszust. Dlatego tak mnie zdziwiło, że nie przejrzał mojego przekrętu.

– Jak się poznaliście? Podejrzewaliśmy znajomość przez internet.

Haya pokręciła głową.

– Byłam dziwką. A on moim klientem. Burdelmama zawsze mówiła nowym gościom, że jestem w kraju od trzech tygodni, że nigdy tego nie robiłam i tak dalej. – Haya wzruszyła ramionami, wzięła Annabelle ze stolika i dała jej pierś. – Wtedy płacili więcej. No więc pojawił się Caleb i od razu poczułam, że to bez sensu – był zbyt przystojny, żeby za to płacić. No, chyba żeby go kręciła przemoc albo jakieś wyjątkowe dziwactwa, ale nie. W życiu. Normalnie na misjonarza, bardzo czule. Za drugim razem zaczął nawijać, że jestem dla niego idealna – znam swoje miejsce, swoją rolę, nie mówię po angielsku. – Uśmiechnęła się krzywo. – Powiedział: „Nie możesz mnie zrozumieć, ale ja mógłbym się w tobie zakochać”. Spojrzałam na jego zegarek, garnitur i powiedziałam: „Kochać?”. I spojrzałam na niego tak bezradnie jak zagubione dziecko, wskazałam siebie i jego i powiedziałam: „Ja kochać”.

Pogłaskała dziecko po główce i spojrzała, jak ssie.

– A on to kupił. Dwa miesiące później zapłacił burdelmamie sto tysięcy za to, żeby mnie stamtąd zabrać. Od tego czasu patrzyłam i słuchałam, jak razem z Brianem przygotowują ten przekręt.

– Dlaczego mi to mówisz?
– Bo chcę moją działkę.
– Nie mam nic...
– Czy Caleb umarł?
– Nie – powiedziała Rachel z emfazą osoby niemal urażonej absurdem takiego pytania.
– A ja ci jakoś nie wierzę – oznajmiła Haya. – No więc jest tak: jeśli mnie zostawicie, doniosę na was, zanim dotrzecie na lotnisko. I nie pójde tylko na policję. Dotrę do Cotter-McCanna. A oni was znajdą i zajądą was na śmierć.
Rachel jej uwierzyła.
– No ale dlaczego mówisz to mnie?
– Bo Brian by zaryzykował, gdyby wiedział. On lubi ryzyko. Natomiast ty nie masz skłonności samobójczych.
Nie? – pomyślała Rachel. Szkoda, że nie widziałaś mnie wczoraj.
– Mówię ci to, bo ty dopilnujesz, żeby po mnie wrócił. Po nas – dodała Haya, wskazując dziecko.

Haya wróciła do dawnej roli, gdy przy omawianiu, co zrobić, kiedy ktoś się zjawi pod nieobecność Briana i Rachel, spytała znowu, czy Caleb żyje.

Brian okłamał ją tak jak Rachel.

– Żyje. Nic mu nie jest. – A potem spytał: – Jaką roletę opuścisz?

– Pomarańczową – odparła. – W... – Wskazała.

– W spiżarni.

– W spiżarni – powtórzyła.

– A kiedy ją opuścisz?

– Kiedy... wyślesz SMS-a.

Brian pokiwał głową. Wyciągnął rękę nad stołem.

– Haya, będzie dobrze.

Haya spojrzała na niego bez słowa.

Bank Cumberland Savings and Loan był rodzinnym przedsięwzięciem znanym w hrabstwie Providence w stanie Rhode Island. Do późnych lat osiemdziesiątych w miejscu, gdzie obecnie znajdował się sąsiadujący z nim pasaż handlowy, rozciągały się pola. Dawniej właściwie całe Johnston w stanie Rhode Island zajmowały pola uprawne i właśnie do takiej rolniczej klienteli rodzina Thorpów skierowała swoją ofertę. Teraz w miejsce gospodarstw pojawiły się pasáže handlowe, stragany zastąpiły kawiarnie. Synowie rolników od dawna woleli siedzieć za biurkiem zamiast na siodełku traktora, a błaty z trawertynu pociągały ich bardziej niż wiejskie domy.

Sądząc po ilości samochodów na parkingu przed miejscową kawiarnią, lokal był niezwykle popularny. Natomiast przed bankiem stało ich mniej. Rachel, która dotarła tu o wpół do dziesiątej rano, naliczyła ich jedenaście. Dwa znajdowały się blisko wejścia na zarezerwowanych miejscach – czarna tesla na miejscu z tabliczką „prezes banku” i biała toyota avalon na miejscu „pracownik miesiąca”. Ta tesla ją zastanowiła – gdy Brian opisał Manfreda Thorpa, wyobraziła sobie otyłego wieśniaka w żółtej kurtce i krawacie w słoneczniki, może z męskimi cyckami i podwójnym podbródkiem. Ale ta tesla nie pasowała do reszty obrazka.

Rachel podrapała się w nos, żeby zasłonić usta, na wypadek gdyby ktoś ją obserwował.

- Manfred jeździ teslą?
- I co z tego? – spytał Brian leżący na tylnej kanapie pod folią malarską.
- Staram się go sobie wyobrazić.
- Ciemne włosy, młody, wysportowany.
- Powiedziałeś, że jest w średnim wieku. – Znowu podrapała się w nos, mówiąc pod osłoną dłoni. Czują się idiotycznie.
- Powiedziałem „prawie w średnim wieku”. Jest po trzydziestce. Co jeszcze widzisz na parkingu? Udawaj, że rozmawiasz przez komórkę.
- Ach tak. Wspomniał o tym.
- Uniosła komórkę do ucha.
- Dwa samochody przy drzwiach wejściowych. Cztery inne na środku parkingu. Pięć aut pracowników w głębi parkingu, tuż koło pagórka.
- Skąd wiesz, że należą do pracowników?
- Stoją razem na skraju parkingu, choć bliżej jest mnóstwo wolnych miejsc. To zwykle oznacza, że ten sektor jest przeznaczony dla pracowników.
- Ale samochód Manfreda stoi przy wejściu?
- Aha. Obok samochodu pracownika miesiąca.
- Siedem samochodów pracowników? Za dużo na tak mały bank. Widzisz jakieś głowy w którymś z nich?
- Rozejrzała się. Na szczycie pagórka rósł wielki klon, który prawdopodobnie był tu w czasach przybycia pierwszych purytanów. Miał długie gałęzie i bujne listowe i rzucał nieprzenikniony cień na pięć stojących pod nim samochodów. Jeśli miałyby podejrzewać któryś z nich, to typowałyby środkowy. Kierowca wjechał na miejsce parkingowe tyłem. Pozostałe cztery stały odwrotnie.
- Symbol na masce świadczył, że to chevrolet. Biorąc pod uwagę jego długość, przypuszczała, że jest czterodrzwiowy, ale w tym cieniu nie wdziała niczego w jego wnętrzu.
- Trudno stwierdzić – odezwała się. – Stoją w cieniu.
- Sięgnęła po rączkę zmiany biegów.
- Nie, nie, już zaparkowałaś. To by wyglądało dziwnie. Na pewno nie możesz nic zobaczyć wewnątrz samochodów?
- Prawie na pewno. A jeśli będę się wpatrywać, a ktoś tam siedzi, to nie wzbudzę jego podejrzeń?
- Słuszna uwaga.
- Rachel odetchnęła powoli, nieprzerwanie. Krew rwała w jej żyłach, tam-tam serca dudnił w uszach. Chciało się jej krzyczeć.
- Podejrzewam, że na tym etapie możemy tylko zacisnąć zęby – odezwał się Brian.
- Cudownie – powiedziała do telefonu. – Cudownie, po prostu, kurwa, zajebicie cudownie.
- W banku może być ktoś inny. Ktoś, kto przegląda ulotki czy coś. Może pokazać fałszywą odznakę, powiedzieć pracownikom, że prowadzi obserwację, bo coś tam, coś tam. Ja bym tak zrobił.
- Czy ta osoba będzie na tyle inteligentna, żeby rozpoznać perukę?
- Nie mam pojęcia.
- Czy będzie na tyle inteligentna, żeby rozpoznać mnie w przebraniu?
- Nie. Mam. Pojęcia.
- I to wszystko, czym dysponuję? Mam zmówić *Zdrowaś Mario* i do przodu?
- Tak działają wszyscy kanciarze. Witaj w klubie. Składki płatne pod koniec miesiąca

i nie parkuj na trawniku.

– Żebyś zdechł. – Wysiadła z samochodu.

– Czekaj.

Pochyliła się do samochodu po torebkę.

– Czego?

– Kocham cię jak wariat.

– Gnojek. – Zarzuciła torebkę na ramię i zatrzasnęła drzwiczki.

Gdy szła w stronę banku, powstrzymywała chęć, by obejrzeć się na pięć samochodów stojących w cieniu klonu. Słońce znajdowało się w takim miejscu na niebie, że pewnie mogłaby coś zauważyć, gdyby odwróciła się, stojąc w drzwiach, ale nie potrafiła znaleźć wiarygodnego powodu, żeby obejrzeć się tak demonstracyjnie. W szybie drzwi wejściowych zobaczyła swoje odbicie – w miodowych włosach do ramion wyglądała nienaturalnie, choć Brian zapewnił ją, że tylko jej się wydaje, bo nie jest przyzwyczajona. Miała jasnoniebieskie cudze oczy, ciemnoniebieską spódnicę, brzoskwińową jedwabną bluzkę, czarne baletki – mundurek przełożonej ze średniej wielkości firmy informatycznej, w której rzekomo pracowała Nicole Rosovich. Stanik miała dobrany pod kolor bluzki; zdecydowali się na push-up i niezbyt ostentacyjny dekolt, który ukazywał jednak tyle, żeby Manfred Thorp nie mógł się powstrzymać od rzucania na niego okiem. Gdyby to oznaczało, że wtedy nie będzie patrzeć na jej twarz, była gotowa wkroczyć do banku nawet na golasa.

Znajdowała się dziesięć kroków od drzwi wejściowych, a marzyła tylko o tym, żeby odwrócić się i uciec. Dzięki ostatnim atakom paniki przynajmniej dobrze знаła ich objawy – język suchy niczym piaski Sahary, serce w konwulsjach, krew jak płynny prąd, wyostrożony wzrok, nadwrażliwość na dźwięki – ale nigdy nie musiała udawać normalnego zachowania podczas takiego ataku. Jeśli teraz nie odegra roli na miarę Oscara – zginie albo zostanie aresztowana. Trzeciego wyjścia nie widziała.

Weszła do banku.

Jego historia widniała na tabliczce tuż za drzwiami wejściowymi i została uwieczniona na szeregu zdjęć na ścianach. Większość ich była utrzymana w sepiowych tonach, choć bank założono w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, nie tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Oto on plus dwaj mężczyźni w niedopasowanych ubraniach i zbyt krótkich, zbyt wzorzystych krawatach, przecinający wstęgę. Oto on, otoczony kilometrami pól uprawnych. Oto on wśród traktorów i innych sprzętów rolniczych w dniu, który najprawdopodobniej był jakimś świętem.

Drzwi do gabinetu Manfreda Thorpa były równie stare jak pierwsza fotografia. Zrobiono je z grubego drewna, pomalowanego na odcień czerwonego brązu. We wprawionych w nie szybach wisiały żaluzje z drewna lub plastiku udającego drewno. Teraz drzwi były zamknięte. Nie potrafiła stwierdzić, czy prezes jest u siebie.

W banku nie było stanowiska obsługi klientów. Rachel musiała stanąć w kolejce za starszą panią, która ciągle wzdychała, aż dwoje pracowników kasy załatwiło swoich klientów mniej więcej w tym samym czasie. Kasjer z ciemnym wąskim krawatem na koszuli w czerwoną kratę skinał na staruszkę. Kasjerka spytała Rachel:

– W czym mogę pomóc?

Rzuciła jej roztargniony uśmiech kogoś, kto rzadko uważa podczas rozmowy, ale nauczył się tekstów, które to tuszują. Miała koło trzydziestu lat, a bluzka bez rękawów eksponowała jej umięśnione ramiona i opaleniznę z tubki. Proste brązowe włosy sięgały ramion, a na lewym palcu serdecznym lśnił pierścionek z kamieniem wielkości toyoty. Mogłaby być ładna, gdyby nie miała tak napiętej skóry twarzy, że wyglądała jak porażona piorunem podczas orgazmu. Błysnęła oczami, świecącymi jak szklane, i spytała:

– Co możemy dla pani zrobić?

Na identyfikatorze na jej piersi widniało imię Ashley.

– Chciałabym zajrzeć do mojej skrytki depozytowej – powiedziała Rachel.

Ashley zmarszczyła nos.

– Ma pani dowód tożsamości?

– Tak, tak. – Rachel wyjęła prawo jazdy Nicole Rosovich i umieściła je w zagłębieniu pod szklaną ścianką między nią a kasjerką.

Ashley odsunęła je dwoma palcami.

– Nie potrzebuję go. Musi je pani pokazać panu Thorpowi, gdy będzie wolny.

– Czyli kiedy?

Ashley znowu obdarowała ją swoim żadnym uśmiechem.

– Słucham?

– Kiedy pan Thorp będzie dostępny?

– Nie jest pani pierwszą klientką.

– Nie twierdzę tego. Pytam tylko, kiedy pan Thorp będzie wolny.

– Hmm... – Kolejny uśmiech, tym razem napięty z braku cierpliwości. – Wkrótce.

– Czyli za dziesięć minut? Piętnaście? Jak by to pani oszacowała?

– Proszę usiąść w poczekalni. Dam mu znać, że pani tu jest. – Ashley zakończyła audiencję, spoglądając nad jej ramieniem i pytając:

– W czym mogę panu pomóc?

Miejsce Rachel zajął mężczyzna o śnieżnobiałych włosach i nieśmiałym, przepaszającym uśmiechu, który zniknął natychmiast, gdy Rachel cofnęła się od okienka.

Usiadła w poczekalni obok dwudziestoparoletniej kobiety o niebieskoczarnych włosach, szafirowych oczach, z paroma tatuażami na szyi i nadgarstkach. Kobieta miała drogie motocyklowe buty i drogie zniszczone dzinsy, czarny podkoszulek na ramiączkach, założony na taki sam biały, oraz białą bawełnianą koszulę, dwa rozmiary za dużą i idealnie wyprasowaną. Przeglądała miejscową gazetę o nieruchomościach. Rachel zerknęła na kobietę parę razy, co pozwoliło jej stwierdzić, że pod tymi farbowanymi włosami kryje całkiem ładną twarz i że ma figurę właściwą modelkom i licealistkom.

Nie była to osoba, która mogłaby pracować dla Cotter-McCann i spędzać całe dnie w bankach. Prawie nie patrzyła na Rachel pochłonięta lekturą.

Ale to był magazyn przedstawiający podmiejskie domy, domki dla młodych małżonków, a one nie pasowały do tej dziewczyny. Wielkomiejskie lofty w centrum – o, to tak. No ale Rachel też przeglądała w najróżniejszych poczekalniach mnóstwo pism, których normalnie by nie tknęła; raz, czekając na naprawę samochodu, przeczytała cały artykuł o najlepszych chromowanych akcesoriach do harleya, zafascynowana jego podobieństwem do porad, które parę tygodni wcześniej zgłębiła u fryzjera, tyle że tamte dotyczyły dodatków do wiosennej garderoby.

No tak, ale sposób, w jaki ta dziewczyna czytała pismo, ze zmarszczonymi brwiami, ze wzrokiem pilnie – tak pilnie, że mogło to wzbudzić podejrzenia – wbitym w czasopismo, obudził w Rachel zaciekawienie, dlaczego tu przyszła. Jessie Schwartz-Stone, doradca klienta, siedziała w oszklonym gabinecie, uderzając w klawiaturę końcem ołówka. Kasjerzy byli chwilowo wolni od klientów. Gabinet wiceprezesa Coreya Mazzettiego, także oszklony, stał pusty.

Ona czeka na spotkanie z tym samym facetem co ja, pomyślała Rachel.

Może też ma tu skrytkę depozytową? Nieczęsto zdarza się, żeby dwudziestoparolatka miała coś takiego w wiejskim banku oddalonym trzydzieści kilometrów od większych miasteczek, ale mogła ją przecież odziedziczyć po starszym pokoleniu.

Kto przekazuje skrytkę depozytową z pokolenia na pokolenie?

Rachel zerknęła znowu na dziewczynę i napotkała jej wzrok. Dziewczyna uśmiechnęła się – potwierdzająco? triumfalnie? po prostu życzliwie? – i wróciła do lektury magazynu.

Braźowe drzwi otworzyły się i stanął w nich Manfred Thorp w lekkiej prążkowanej koszuli, czerwonym wąskim krawacie i ciemnych garniturowych spodniach. Tak jak powiedział Brian, wyglądał na wysportowanego. Miał ciemne włosy, ciemne oczy, które się jej nie spodobały – wydawały się tonąć w mroku, ale może dlatego, że miał trochę za duże oczodoły. Spojrzał na dwie kobiety w poczekalni.

– Panna... – zawahał się i spojrzał na karteczkę. – Panna Rosovich?

Rachel wstała i wygładziła spódnicę z tyłu, myśląc: „No na kogo ona tu czeka, do kurwy nędzy?”.

Ucisnęła dłoń Manfreda Thorpa, który zaprosił ją do swojego gabinetu. Zamknął za nią drzwi, a ona wyobraziła sobie, że dziewczyna w poczekalni sięga do torby, wyjmując komórkę i pisze do Neda lub Larsa: JEST W BANKU.

A jeśli oni obserwują bank z samochodu zaparkowanego pod wielkim klonem, teraz przeszukają parking. Bez trudu znajdą Briana – ta folia malarska nie jest czapką niewidką. Jeden z nich otworzy drzwi, przyłoży mu tłumik do czoła i – pop! – mózg rozbryźnie się po tylnej kanapie. Wtedy będą tylko musieli poczekać, aż Rachel wyjdzie z banku.

Nie, nie. Brian musi żyć, żeby przesłać pieniądze na ich konto. Więc go nie zabijają. Ale czy będą potrzebować jej?

– Jak mogę pani pomóc?

Manfred patrzył na nią dziwnym wzrokiem. Czekał, aż Rachel się odezwie.

– Chciałam zajrzeć do mojej skrzynki depozytowej.

Manfred otworzył szufladę.

– Oczywiście. Mogę prosić prawo jazdy?

Otworzyła torebkę, pogrzebała w niej chwilę w poszukiwaniu portfela. Wydobyła go wreszcie i otworzyła. Wyjęła fałszywe prawo jazdy, które podała prezesowi.

Nawet nie spojrzał na dokument. Przyglądał się jej. Nie myliła się co do jego oczu – jeśli nie były okrutne, to obojętne i pełne wyższości. Ten człowiek nigdy nie pomyślał niczego niekorzystnego o sobie czy swoim miejscu w świecie.

– Czy my się znamy? – spytał.

– Całkiem prawdopodobne – powiedziała. – Mój mąż i ja wynajęliśmy tę skrytkę jakieś sześć miesięcy temu.

Manfred stuknął w parę klawiszy, spojrzał na ekran komputera.

– Pięć miesięcy.

Powiedziałam „jakieś”, głupi wale, pomyślała.

– I ma pani prawo do nieograniczonego dostępu. – Kolejne uderzenie w klawiaturę. – Więc jeśli tak sobie pani życzy, możemy panią tam zaprowadzić. – Podniósł prawo jazdy do ekranu komputera, być może po to, żeby porównać podpisy. Zmrużył przy tym oczy. Odchylił się na krześle, odjechał na nim o parę centymetrów. Zerknął na nią, potem znów na ekran i na prawo jazdy.

Gardło się jej zacisnęło.

A potem nozdrza.

Tlen nie wchodził ani nie wychodził z jej ciała.

W gabinecie było dziwnie gorąco, jakby znajdował się na cienkiej półce nad kraterem aktywnego wulkanu.

Manfred upuścił dokument na podłogę.

Przechylił się i podniósł go, uderzył nim o kolano. Sięgnął po telefon, a ona zastanowiła

się, czy nie wyjąć broni z torebki, nie wycelować jej w niego i nie polecić mu, żeby natychmiast prowadził ją do skrytek. Nie mogła sobie wyobrazić, że taki scenariusz dobrze by się skończył.

– Nicole – odezwał się Manfred ze słuchawką w rękę.

– Hm? – usłyszała własny głos.

– Nicole Rosovich.

Uświadomiła sobie, że zassała dolną wargę tak mocno, jakby chciała zjeść własną brodę. Rozchyliła usta i spojrzała wyczekująco na Manfreda.

– Ładne imię – oznajmił, wruszając ramionami. – Ma takie twarde brzmienie. – Wcisnął klawisz telefonu. – Trenuje pani?

Uśmiechnęła się.

– Pilates.

– Widać. Przynies klucze do gabinetu, Ash – rzucił do słuchawki i rozłączył się. Oddał prawo jazdy Rachel. – Jeszcze chwila.

Ulga zalała jej ciało jak gorączka, ale Manfred sięgnął do szuflady i dodał:

– Jeszcze tylko mały podpisik.

Przesunął po blacie kartę wzorów podpisów.

– Nadal używacie takich rzeczy? – rzuciła lekko.

– Dopóki stary jest z nami. – Manfred spojrzał w sufit. – I dzięki za to Bogu, jak codziennie powtarzam.

– To on to wszystko stworzył.

– Nie on. Mój dziadek. On tylko... – Manfred urwał. – Nieważne. – Wyjął pióro Montblanc z kieszeni koszuli i podał jej nad białym. – Proszę czynić honory.

Na szczęście nie schowała prawa jazdy do portfela. Leżało na biurku przy jej łokciu. Wczoraj przez dwie godziny ćwiczeń dowiedziała się, że nawet gdy podpis jest odwrócony we właściwą stronę – zwłaszcza wtedy – może go powielić, tylko gdy myśli o nim jako o kształcie. Najlepiej wychodziło jej to, kiedy ogarniała go jednym szybkim spojrzeniem, a potem natychmiast brała się do kopiowania. Ale to było wczoraj, przy kuchennym stole w Woonsocket, bez żadnej presji.

Dam radę.

Spojrzała na prawo jazdy, nasyciła pamięć i przyłożyła pióro do karty. Była w połowie, gdy za jej plecami otworzyły się drzwi.

Nie obejrzała się. Skończyła pisać.

Ashley podeszła do Manfreda i podała mu klucze. Pozostała po jego stronie biurka, wpatrując się w Rachel, jakby wiedziała, że to ona, nie Nicole, jakby widziała wsuwki utrzymujące jej perukę na miejscu.

Manfred znalazł właściwy klucz. Zauważył, że Ashley dalej przy nim stoi.

– Masz przerwę?

– Słucham, Manny?

– Dzięki za klucze, ale bank sam się nie poprowadzi.

Ashley uśmiechnęła się w sposób zapowiadający, że Manfred jej za to zapłaci, i Rachel wiedziała już, że się ze sobą bzykają, co mogło nie stanowić tajemnicy dla nijakiej żony widocznej na zdjęciach w gabinecie, ale mogłoby zdruzgotać dwóch towarzyszących jej pizatych chłopców o niewinnym spojrzeniu.

Ashley wyszła, a Rachel uznała, że Manny zdradza żonę dlatego, że ta jest nijaka, a synów – bo są grubi. I nawet tego nie wiesz, ty sukinsynu, co? Bo nie masz zasad. Dlatego przysięga – ta w kościele i ta, którą powinienes złożyć samemu sobie – nie ma dla ciebie żadnego znaczenia.

Manfred nawet nie spojrział na podpis, jaki złożyła Rachel. Wstał zza biurka.

– No, więc chodźmy.

Za drzwiami okazało się, że kobieta zniknęła z poczekalni. Może czekała na swojego chłopaka lub dziewczynę? Umówili się tu, bo jej druga połowa miała tu coś do załatwienia, zanim wpadną na obiad do knajpki po drugiej stronie szosy. Kobiety nie było już w banku, przynajmniej w miejscach widocznych dla Rachel. To wydawało się jedynym sensownym wyjaśnieniem – spotkała się z kimś, na kogo czekała, i teraz pewnie zamawiają kurczaka po drugiej stronie szosy.

Albo scenariusz numer dwa: sprawdziła Rachel, napisała SMS-a do Neda, Larsa bądź kogoś podobnego, a teraz wraca do domu, a w kieszeni ma dowód na to, że nie było jej tu około dziesiątej piętnaście rano, gdy na parkingu przed bankiem zamordowano kobietę w blond peruce.

Manny zatrzymał się przed trzymetrowymi drzwiami skarbcza. Stał blisko klawiatury i wprowadził jakiś szyfr. Zrobił krok w lewo i przycisnął kciuk do innego czytnika. Drzwi otworzyły się z kliknięciem. Odciągnął je. Za nimi znajdowała się brama. Otworzył ją jednym z kluczy i zaprowadził Rachel do skarbcza.

Gdy stanęli wśród skrzynek depozytowych, Rachel uświadomiła sobie, że nie spytała Briana o numer.

A on go jej nie podał.

Jak można godzinami uczyć kogoś fałszowania podpisu, tygodniami, jeśli nie miesiącami, przygotowywać wyjście awaryjne, fabrykować fałszywe dowody tożsamości, trefne paszporty, wybierać idealny bank... i nie podać swojej żonie numeru tej jebanej skrzynki depozytowej?

Mężczyźni.

– ...na osobności...

Manny coś do niej mówił. Poszła za jego spojrzeniem i zobaczyła czarne drzwi po lewej stronie.

– Czy ostatnio korzystała pani z prywatnego pokoju?

– Nie – usłyszała własny głos.

– Czy dziś będzie go pani potrzebować?

– Tak. – Tych skrzynek było tu z sześćset. Przecież to mała społeczność byłych rolników – co ci ludzie tu przechowywali? Przepis na samogon? Chronometr po tatusiu?

– A więc... – powiedział Manny.

– Więc...

Zaprowadził ją do środkowej ściany. Sięgnęła do torebki po klucz. Pod palcami wyczuła wygrawerowany na nim numer. Położyła go na dłoni – osiemset sześćdziesiąt pięć – gdy Manny włożył własny klucz do skrzynki z tym numerem. Wsunęła swój klucz do drugiego zamka i razem je przekęcili. Manny wyjął skrzynkę, oparł ją na lewym przedramieniu.

– Powiedziała pani, że chce to zrobić na osobności?

– Tak.

Wskazał brodą drzwi, które otworzyła. Pokój za nimi był maleńki, tylko cztery metalowe ściany, stół, dwa krzesła i cienkie białe promienie światła z kinkietów.

Manny położył skrzynkę na stole. Spojrział Rachel w oczy, stojąc zaledwie centymetry od niej; uświadomiła sobie, że ten gnojek serio ma na coś nadzieję, jakby był obdarzony magnetycznym, uniwersalnym urokiem, pod wpływem którego kobiety po prostu muszą się zachowywać jak aktorki z pornosów.

– Wyjdę za parę minut. – Przeszła na drugą stronę stołu i zdjęła torebkę z ramienia.

– Oczywiście, jasne. Do zobaczenia.

Nawet nie odpowiedziała. Podniosła głowę, dopiero gdy zamknął za sobą drzwi.

Otworzyła skrzynkę.

Rzeczywiście, w środku znajdowała się torba, z którą Brian wszedł do banku cztery dni temu. Tylko cztery dni? Miała wrażenie, że tysiąc lat.

Wyszarpnęła torbę z ciasnej skrzynki i ujęła ją za rączki, gdy materiał się rozwinął. Gotówka znajdowała się na górze, tak jak powiedział Brian, to były paczki stu-, a w jednym wypadku tysiąc dolarówek, schludnie spiętych gumkami. Schowała je do swojej torebki. Zostało sześć paszportów.

Wyjęła je i do ust napłynęła jej odrobina żółci i wymiotów, bo paszportów było tylko pięć.

Nie.

Nie, nie, nie, nie.

Spojrzała błagalnie na kinkiet i zimne stalowe ściany: błagam, nie. Nie rób mi tego. Nie teraz. Nie po tym, przez co przesłam. Błagam.

Uspokój się, Rachel. Spójrz na paszporty, zanim całkiem stracisz nadzieję.

Otworzyła pierwszy – ze zdjęcia spojrzała na nią twarz Briana. Jego najnowsze wcielenie: Hewitt, Timothy.

Otworzyła następny – należał do Caleba. Jego tożsamość: Branch, Seth.

Drżącymi rękami sięgnęła po trzeci paszport. Trzęsły jej się tak bardzo, że musiała przez chwilę je zacisnąć, potem złożyć je i oddychać, oddychać, oddychać. Otworzyła trzeci paszport, najpierw zobaczyła imię i nazwisko – Carmichael, Lindsay.

A potem fotografię: Nicole Alden.

Otworzyła czwarty paszport: Branch, Kiyoko. Ze zdjęcia patrzyła na nią Haya.

Wzięła piąty, ostatni. Należał do dziecka.

Nie krzyknęła, nie rzuciła niczym, nie kopnęła krzesła. Usiadła na podłodze, zasłoniła oczy rękami i spojrzała w swój mrok.

Obserwowałam, jak moje życie przemija, pomyślała. Nie działałam i usprawiedliwiałam to, bo tłumaczyłam sobie, że mam być świadkiem wydarzeń. Ale tak naprawdę postanowiłam być bezwolna.

Aż do teraz.

I proszę, na co mi przyszło. Zostałam sama. A potem umrę. Wszystko inne to wyduszki. Ozdóbki. Marketing.

Na dnie swojej torebki, pod plikami banknotów, znalazła paczkę chusteczek. Wytarła paroma twarz. Zagapiła się we wnętrze torebki – po lewej były pieniądze, po prawej jej kluczyki, portfel, broń.

Im dłużej na nią patrzyła – mogło minąć dziesięć minut albo tylko jedna, nie wiedziała – tym wyraźniej docierało do niej, że nie zdoła drugi raz wycelować w niego i wystrzelić. Nie miała aż tyle siły.

Pozwoli mu odejść.

Bez paszportu – niech go szlag, paszport zostanie tutaj – i bez pieniędzy, bo to ona je zabierze. Ale nie zdoła go zabić.

Dlaczego?

Bo, zmiłuj się, Boże, ciągle go kocha. A w każdym razie jego iluzję. Przynajmniej to. Iluzję uczuć, które w niej obudził. I nie tylko w czasie złudnego szczęścia ich małżeństwa, ale nawet przez te ostatnie dni. Wołała znać kłamstwo, które było Brianem, niż prawdę jakiegokolwiek innego człowieka.

Wrzuciła paczkę chusteczek do torby, zepchnęła na nią pieniądze i nagle dostrzegła błysk ciemnoniebieskiego winylu. Wysunął się spomiędzy dwóch plików banknotów.

Wyjęła z torebki paszport USA.

Otworzyła go.

Spojrzała na nią jej własna twarz – jedno z tych zdjęć zrobionych trzy tygodnie temu w deszczową sobotę w centrum handlowym. Twarz kobiety, która ze wszystkich sił stara się wyglądać na silną, choć jeszcze jej się nie udało osiągnąć tego stanu.

Ale próbuje.

Włożyła sześć paszportów do torby wraz z pieniędzmi i wyszła z pokoju.

ROZGRYWKA

Po wyjściu z banku znowu rozejrzała się w poszukiwaniu kobiety z tatuażami na szyi i idealną figurą, ale jeśli znajdowała się w budynku, to tam, gdzie nie sięgał wzrok Rachel. Manny stał za szybą kasy, rozmawiając z Ashley, pochylony nad jej ramieniem. Oboje podnieśli głowy, gdy Rachel skręciła w lewo do wyjścia. Manny otworzył usta, jakby miał za nią zawołać, ale już opuściła bank i znalazła się na parkingu.

Teraz miała idealny widok na samochody pod drzewem. Słońce działało na jej korzyść. Z czterech samochodów, które pozostały, tylko w jednym ktoś siedział – w chevrolecie, który stał odwrotnie niż reszta. Za jego kierownicą dostrzegła mężczyznę. We wnętrzu wciąż panował zbyt gęsty mrok, żeby rozpoznać jego rysy, ale to była z pewnością głowa mężczyzny – kwadratowa, z uszami wielkości portmonetek. Trudno stwierdzić, czy był tu, żeby ją zabić, czy tylko śledzić. A może to po prostu kierownik, który woli się lenić, klient, któremu prostytutka robi łaskę, albo przyjezdny sprzedawca, który zjawił się za wcześnie, żeby uniknąć korków zatykających autostradę w Providence od ósmej do dziesiątej. Patrząc wprost przed siebie, minęła samochód pracownika miesiąca i furgonetkę na miejscu dla inwalidów. Ona także zaparkowała tu tyłem i Rachel wyobraziła sobie odgłos znajdujących się tuż przy jej ramieniu rozsuwanych drzwi, zza których wyłonią się ręce i wciągną ją do środka.

Minęła furgonetkę; z prawej strony zbliżył się do niej długi czarny SUV. Patrzyła z dziwnie obojętną fascynacją, jak przyciemniana szyba od strony kierowcy zjeżdża w dół i wyłania się zza niej ramię. Kierowca miał na sobie ciemny garnitur; zza rękawa wyglądał biały mankiet koszuli. Rachel nie pomyślała, żeby wyjąć broń z torby albo chociaż spróbować schować się za furgonetkę, zanim ramię wyprostowało się na całą długość z papierosem między palcami, a kierowca wydmuchnął z satysfakcją dym, opierając głowę o fotel. Przejeżdżając, rzucił jej leniwy uśmiech, jakby mówił: „W życiu liczą się tylko małe przyjemności, no nie?”.

Gdy ją minął, wsunęła rękę do torby, odbezpieczyła P380 i podeszła do range rovera, nie wypuszczając broni. Otworzyła drzwi lewą ręką i wsiadła. Postawiła torbę na siedzeniu pasażera, ciągle odbezpieczoną broń odłożyła na konsolę między fotelami, nadal nie zdejmując palca ze spustu.

- Jesteś tam jeszcze? – spytała.
- Pod twoją nieobecność parę razy świętowałem swoje urodziny – odezwał się łagodnie.
- Coś ty tam robiła tyle czasu?
- Serio? – Zdjęła palec ze spustu, zabezpieczyła pistolet i wsunęła go w szczelinę między fotelem i konsolą. – Tak mnie witasz?
- Ojejku, skarbie, pięknie wyglądasz. To nowy ciuszek? I chyba trochę schudłaś. Choć nie musiałaś.
- Wal się – mruknęła i z zaskoczeniem usłyszała własny chichot.
- Roześmiał się.
- Wybacz. Jak poszło? Chyba powinnaś już włączyć silnik i zrobić ten numer z telefonem, jeśli zamierzamy rozmawiać.
- Przekręciła kluczyki w stacyjce.
- A nie mogliby założyć, że rozmawiam przez głośnomówiący?
- Nie masz słuchawki w uchu i siedzisz w samochodzie z dziewięćdziesiątego drugiego

roku.

Przyłożyła telefon do ucha.

– Racja.

– W banku była jakaś wtyka?

Wycofała samochód i skierowała go w stronę wyjazdu z parkingu.

– Trudno stwierdzić. W poczekalni siedziała dziewczyna, co do której mam wątpliwości.

– A na parkingu?

– Jeden facet w samochodzie w sekcji dla pracowników. Nie widziałam, czy nas obserwuje.

Dotarli do jezdni.

– Skręć w prawo – powiedział Brian.

Wjechali łagodnym wzniesieniem i minęli stadko drewnianych domków – dużo czerwonych, parę niebieskich, reszta spłowiałych do burego odcienia starej piłki baseballowej. Za domami rozciągała się droga, która biegła między dwoma pastwiskami. Niebo nad nią miało odcień błękitu, który Rachel widywała tylko w snach i na starych filmach w technicolorze. Na południowym wschodzie pojawił się masyw białych chmur, które nie rzucały cienia na pola. Rachel zrozumiała, dlaczego Brian wybrał tę szosę – przez całe kilometry nie przecinało jej ani jedno skrzyżowanie. Resztką pól uprawnych, jakie pozostały w Johnston, najwyraźniej znajdowała się właśnie tutaj.

– No – odezwał się Brian po jakichś pięciu kilometrach.

– No co? – Rachel roześmiała się, nie wiedząc dlaczego.

– Widzisz kogoś?

Zerknęła w lusterko wsteczne. Droga za nimi wyglądała jak metalowa pusta wstążka.

– Nie.

– Jaki odcinek drogi widzisz?

– Pewnie ze trzy kilometry.

Po kolejnej minucie spytał:

– A teraz?

Znowu spojrzała.

– Nie. Nikogo.

– Rachel.

– Brian.

– Rachel.

– Brian...

Brian usiadł i uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, był niemal zbyt szeroki na ten samochód.

– Jak dziś o sobie myślisz? – spytał. – W tej chwili? W chuj dobrze czy w chuj źle?

Zerknęła w jego oczy w lusterku wstecznym i założyła, że jej też tak błyszczą od adrenaliny.

– Czuję się...

– Powiedz to.

– W chuj dobrze.

Klasnął w ręce i krzyknął radośnie. Rachel wdepnęła pedał gazu, uderzyła pięścią w sufit i wrzasnęła.

Dziesięć minut później dotarli do kolejnego małego pasażu handlowego. Rachel przyjrzała mu się podczas jazdy do banku: mieścił pocztę, sklep z kanapkami, monopółowy, odzieżowy i pralnię samoobsługową.

– Co tu robimy? – Brian zerknął na niskie budynki. Wszystkie były szare – z wyjątkiem sklepu z ubraniami pomalowanego na zszarzały odcień bieli.

– Muszę coś szybko załatwić.

– Teraz?

Skinęła głową.

– Rachel – zaczęła i nie udało mu się usunąć z głosu nutki protekcjonalizmu. – Nie mamy czasu na...

– Klótnie? – podchwyciła. – Zgadzam się. Zaraz wracam.

Zostawiła kluczyk w stacyjce, a torbę, którą wyniosła z banku, położyła u stóp Briana. Przebranie się w sklepie odzieżowym z ciuchów Nicole Rosovich w dżinsy, żurawinowy podkoszulek ze spiczastym dekoltem i czarny kaszmirowy sweter zajęło jej dziesięć minut. Wręczyła metki kasjerce, zdjęte ubranie schowała do reklamówki, zapłaciła i wyszła.

Brian zaczął się podnosić na jej widok, ale nagle spochmurniał, bo Rachel pomachała mu i poszła na pocztę.

Wyłoniła się z niej po pięciu minutach. Gdy usiadła za kierownicą, Brian był o wiele bladejszy. I mniejszy, i jakby chory. Jej torba nadal stała u jego stóp, ale widać było, że ją przetrząsał – stosik banknotów wyglądał przez otwarty suwak.

– Zrewidowałeś moją torebkę – zauważyła. – Tyle na temat zaufania.

– Zaufania? – Słowo zabrzmiało ostro i piskliwie jak czkawka. – Nie ma mojego paszportu. Ani twojego.

– Nie.

– Więc gdzie są?

– Ja swój mam – zapewniła go.

– Cudownie.

– Też tak uważam.

– Rachel.

– Brian.

– Gdzie mój jebany paszport? – spytał prawie szeptem.

Sięgnęła do reklamówki z ubraniami i wyjęła z niej potwierdzenie nadania. Podała mu je.

Wyglądził je na udzie i przez jakiś czas się w nie wpatrywał.

– Co to jest?

– Potwierdzenie nadania. Global Express. Gwarancja poczty Stanów Zjednoczonych. W górnym prawym rogu masz numer, po którym możesz śledzić przesyłkę.

– Widzę. Widzę także, że zaadresowałaś ją do siebie jako gościa w hotelu Intercontinental w Amsterdamie.

Skinęła głową.

– Czy to dobry hotel? Mieszkałeś tam kiedyś? Na zdjęciach w internecie wyglądał dobrze, więc zaryzykowałam.

Brian wyglądał, jakby chciał coś uderzyć. Może ją. Albo siebie. Pewnie deskę rozdzielczą. Albo jednak ją.

– Co wysłałaś do hotelu Intercontinental w Amsterdamie, Rachel?

– Twój paszport. – Uruchomiła SUV-a i wyjechała z parkingu.

– Jak to mój paszport? – Jego głos zabrzmiał jeszcze ciszej, o ile to możliwe. Jak zawsze przed wybuchem.

– Tak to – powiedziała powoli jak do małego dziecka – że wysłałam twój paszport do Amsterdamu. Do którego zamierzam wyjechać jutro wieczorem. Ty natomiast pozostaniesz w Stanach.

– Nie możesz tego zrobić.

Zerknęła na niego.

– Tak jakby już to zrobiłam.

– Nie możesz tego zrobić! – powtórzył, ale tym razem to krzyknął. I uderzył w sufit.

Zaciekawiło ją, czy uderzy w coś jeszcze. Gdy przejechali jakieś dwa kilometry, powiedziała:

– Okłamywałeś mnie przez całe nasze małżeństwo i rok przed nim. Naprawdę sądziłeś, że przymknę na to oko? Że powiem: „Oj, ty figlarzu, dzięki, że się mną opiekujesz”? – Skręciła w lewo przy tablicy zapowiadającej autostradę numer dziewięćdziesiąt pięć, nadal prawie dwadzieścia kilometrów.

– Zawracaj, kurwa.

– Po co?

– Po paszport.

– Nie można wycofać przesyłki, którą się nadało. To ma coś wspólnego z ingerencją w pracę urzędnika państwowego.

– Zawracaj.

– I co zrobisz? – Z zaskoczeniem usłyszała swój chichot. – Napadniesz na pocztę? Podejrzewam, że mają tam kamery. Może odbierzesz im paszport, ale wtedy ściągniesz sobie na kark Cotter-McCanna, policję miejscową, stanową oraz – ponieważ to z całą pewnością przestępstwo federalne – FB-kurwa-I. Naprawdę to jest ta opcja, która pociąga cię w tej chwili najbardziej?

Łypnął na nią straszonym wzrokiem.

– Teraz mnie nienawidzisz – powiedziała.

Nadal łypał.

– No tak – powiedziała. – Zawsze nienawidzimy tych, którzy nas budzą.

Znowu walnął w sufit.

– Wal się.

– O, najśłodszy... Chcesz, żebym ci naświetliła pozostałe opcje?

Brian otworzył pięścią schowek na rękawiczki i wyjął z niego papierosy i zapalniczkę. Zapalił papierosa i uchylił okno.

– Ty palisz? – zdziwiła się.

– Wspomniałeś o opcjach.

Wyciągnęła rękę.

– Daj jednego.

Podał jej swojego i zapalił drugiego. Jechali pustą szosą, palili, a ona czuła się w tej chwili wielka.

– Możesz mnie zabić – powiedziała.

– Nie jestem zabójcą – odparł ze zmęczoną urazą, trochę czarującą, a trochę obraźliwą.

– Ale jeśli to zrobisz, nie dostaniesz paszportu. I w tej sytuacji nawet gdybyś znalazł kogoś, kto wyrobi ci następny, ten ktoś pewnie wydarłby z ciebie ostatni grosz, a potem i tak sprzedałby cię Cotter-McCannowi.

Spojrzała mu w oczy i przekonała się, że trafiła w dziesiątkę.

– Nie masz już żadnej zaufanej osoby, co?

Strzepnął popiół przez okno.

– To mi proponujesz? Zaufanie?

Pokręciła głową.

– Tego żądam.

Po chwili spytał:

– A na czym to polega?

– Polega to na tym, że przez parę dni uciekasz jak szczur i wszyscy cię gonią, a ja, Haya i AB zwiedzamy kanały Amsterdamu.

– Podoba ci się ten obrazek.

– A w wyznaczonym miejscu i czasie otrzymasz paszport, który odeślę do Stanów.

Brian zaciągnął się tak gwałtownie, że rozległ się trzask płonącego tytoniu.

– Nie możesz mi tego zrobić.

Ona także strzepnęła popiół na zewnątrz.

– Już to zrobiłam, skarbie.

– Uratowałam cię.

– Słucham?

– Poświęciłem lata na przygotowanie cię do tego wszystkiego! Jeśli to nie jest miłość, to nie wiem co...

– Mam uwierzyć, że mnie kochasz? – Zjechała na pobocze, zahamowała. – To pozwól mi wyjechać z tego kraju, daj mi dostęp do pieniędzy i zaufaj, że przyślę ci paszport. – Dźgnęła palcem powietrze między nimi zaskoczona nagłym pojawieniem się i nieskończoną głębią swojej wściekłości. – Bo wiesz co, Brian? Nie masz innego wyjścia.

Spuścił wzrok i wyjrzał za okno na szarą szosę, niebieskie niebo i pola, których żółta barwa niosła zapowiedź lata. Teraz, pomyślała Rachel, nadchodzi ten moment, kiedy będzie ci grozić.

– Dobrze – powiedział.

– Co „dobrze”?

– Dam ci, czego chcesz.

– Czyli?

– Najwyraźniej wszystko.

– Nie. Tylko zaufanie.

Uśmiechnął się ponuro do swojego odbicia.

– No, przecież mówię.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, napisał SMS-a do Hai. Po raz drugi w ciągu dwudziestu czterech godzin nie spodobała mu się jej odpowiedź.

Zgodnie z umową napisał: „Jak wszystko?”. Gdyby wszystko było w porządku, Haya miała odpisać: „Idealnie”. Gdyby coś poszło nie tak, odpowiedź brzmiała: „Wszystko w porządku”.

Po piętnastu minutach przysłała wiadomość: „Wszystko OK”.

W Woonsocket Brian kazał Rachel wjechać na główne wzgórze, a potem parę przecznic na południe. Następnie skręcili w zakurzoną uliczkę, która kończyła się stertą odpadków, gruzu i pogiętych prętów zbrojeniowych. Z tego miejsca mieli idealny widok na rzekę, fabrykę i była stróżówkę. Brian wyjął ze skrytki na rękawiczki lornetkę i nastawił ostrość na dom.

– Roleta w spizarce jest uniesiona – powiedział.

Wróbel dwukrotnie załopotał w piersi Rachel.

Brian podał jej lornetkę. Spojrzała.

– Może zapomniała.

– Może.

– Ale powiedziałeś jej to bardzo jasno.

– Ale powiedziałem jej to bardzo jasno – zgodził się.

Przez jakiś czas siedzieli i obserwowali dom, odbierając sobie lornetkę. Czekali na jakiś

ruch. W pewnej chwili Rachel wydawało się, że zobaczyła cię w najdalszym lewym oknie na piętrze, ale głowy by nie dała.

A jednak wiedzieli.

Wiedzieli.

Żołądek jej się skręcił i na moment ziemską atmosferę stała się zbyt rozrzedzona.

Po chwili Brian przejął kierownicę i ruszyli z powrotem. Przejechali miejsce, w którym stanęli wczoraj, i zbliżyli się do fabryki położonej o parę przecznic dalej na północ. Na jej teren dostali się starą trasą dla ciężarówek biegnącą równoległe do torów. Za dnia szkielet fabryki prezentował się zarazem żałośnie i bardziej dostojnie, jak wybielone przez słońce kości zamordowanego króla-boga i jego niegdyś majestatycznej świty.

Znaleźli furgonetkę zaparkowaną parę metrów za murami fabryki od strony rzeki. W tym miejscu budynek nie miał północnej ściany i większości piętra. Furgonetka, czarna sierra, była ogromna – czysta funkcjonalność, kanciasta sylwetka, koła i boki obryzane zaschniętym błotem. Brian położył rękę na masce.

– Nie jest gorąca, ale lekko ciepła. Są tu od niedawna.

– Ilu?

Zajrzał do szoferki.

– Trudno zgadnąć. Siedzeń jest pięć, ale wątpię, żeby przyjechało aż tylu.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

– Ludzka praca jest kosztowna.

– Tak jak utrata siedemdziesięciu milionów – zauważyła.

Brian przez chwilę rozglądał się po fabryce. Znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że właśnie się nad czymś zastanawia, wodząc wzrokiem po otoczeniu, którego nie zauważa.

– Chcesz się z nimi spotkać? – spytała.

– Nie powiem, żebym chciał. – Otworzył oczy szerzej. – Ale nie widzę innego wyjścia.

– Moglibyśmy dać sobie spokój z powrotem do domu i po prostu uciec.

Pokiwał głową.

– Chcesz zostawić Hayę i dziecko?

– Moglibyśmy zadzwonić na policję. Haya nic nie wie. Bez trudu uda ofiarę.

– Jeśli ci faceci zobaczą policjantów, co ich powstrzyma przed zastrzeleniem Hai i dziecka? Albo policjantów? Albo wzięcia zakładników?

– Nic – przyznała.

– Nadal chcesz uciekać? Zostawić ich?

– A ty?

– Ja spytałem pierwszy. – Rzucił jej najbledszy z możliwych uśmiechów. – Jak zapytał ten gnój z Haiti?

– Chcesz być dobrym człowiekiem? Czy chcesz żyć?

Brian pokiwał głową.

– Zdołasz nas stąd wyciągnąć? – spytała.

– Zdołam wyciągnąć was. Siebie nie, bo tak to urządziłaś, ale ciebie, skarbie, na pewno.

Zignorowała przytyk.

– W tej chwili?

Przytaknęła.

– W tej chwili.

– Jakie mamy szanse?

– My?

– Ja.

– Pół na pół. Co godzina spadają o pięć procent na rzecz Cotter-McCanna. Dodajmy do tego przerażoną kobietę z dzieckiem – o ile zdołamy ich wyrwać z rąk facetów, którzy potrafią się posługiwać bronią o wiele lepiej od nas – a twoje szanse maleją jeszcze bardziej.

– Więc w tej chwili są mniej więcej równe. Ale jeśli pójdziemy do tego domu... – wskazała stróżówkę – bardziej prawdopodobne jest, że zginiemy.

Oczy mu się lekko rozszerzyły. Parę razy pokiwał głową.

– O wiele bardziej prawdopodobne.

– A jeśli uznam, że chcę uciekać, zabierzesz mnie stąd?

– Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że istnieje taka opcja.

Spojrzała przez poczerńiałe belki i dziurawy dach na błękitne niebo.

– Nie ma takiej opcji.

Brian czekał.

– Albo odejdziemy we czwórkę – odetchnęła szybko parę razy, aż zakręciło jej się w głowie – albo wcale.

– Dobrze – szepnął i zobaczyła, że jest równie przerażony jak ona. – Dobrze.

Postanowiła rzucić jeszcze jedną bombę.

– Haya mówi płynnie po angielsku.

Brian łypnął na nią z niedowierzaniem.

– Wychowała się w Kalifornii. Nabrała Caleba.

Wyrwał mu się cienki chichot.

– Dlaczego?

– Zdaje się, że po to, by uratował ją przed gównianym życiem.

Brian pokręcił głową tyle razy, że zaczął przypominać psa po kąpielii. Potem się uśmiechnął swoim dawnym uśmiechem – zdziwionym, że zaskoczył go bieg wypadków, a jednocześnie jakoś ucieszonym.

– A niech to – powiedział. – W końcu ją polubiłem. – Skinął raz głową. – Powiedziała ci? Rachel przytaknęła.

– Dlaczego?

– Żebyśmy wiedzieli, że nie należy jej porzucać.

– Nie jestem ponad to – powiedział ot tak. – Nigdy nie byłem. Ale nie zostawiłbym dziecka Caleba na śmierć. Nawet za siedemdziesiąt milionów.

Uniósł pokrowiec z bagażnika range rovera i wrócił z krótkim brzydkim karabinkiem z pistoletową kolbą.

– Ile sztuk potrzebujesz? – spytała.

Spojrzał w stronę domu, ładując naboje.

– Widziałas, jak strzelam – marnie. Z karabinka trochę lepiej. – Zatrzasnął bagażnik.

Choć właśnie stwierdził, że nie mógłby zostawić dziecka Caleba, nie zmieniło to faktu, że w tej chwili mógłby ją zabić tą brzydką bronią. Nie byłoby to najbardziej racjonalne postępowanie, ale na tym etapie racjonalne wybory były niedostępnym luksusem.

Najwyraźniej zabicie jej nie wydawało się być pierwszym punktem na jego liście, więc Rachel otworzyła drzwi furgonetki. Wycieraczka na podłodze pod kierownicą była pokryta zaskorupiałym błotem. Rachel zerknęła na stronę pasażera – to samo. Najwyraźniej szukali jej i Briana tam, gdzie musieli brnąć przez trudny teren. Otworzyła drzwi z tyłu – tu maty były nieskazitelnie czyste. Czują ich zapach jak prosto z salonu.

Pokazała to Brianowi.

– Jest ich tylko dwóch.

– Chyba że gdzieś zaparkował inny samochód.

To jej nie przyszło do głowy.

– Myślałam, że jesteś zwolennikiem myślenia pozytywnego.

– Dziś zrobiłem sobie wolne.

– Chciałam... – zaczęła, ale nie mogła skończyć tej myśli. Ręka opadła jej bezwładnie.

Już dawno nie czuła takich mdłości. Powiedziała o tym Brianowi.

– Gdzie są scjentolodzy, kiedy człowiek ich potrzebuje? – Brian wycelował karabinek w ścianę budynku, obok stert ziemi, śmieci i gruzu wydartego z muru przez szabrowników szukających miedzianego drutu. – Tam na końcu znajdują się schody. Zejdziesz nimi i znajdziesz bardzo wąski tunel.

– Tunel?

Skinął głową.

– Kopałem go z Calebem od paru miesięcy. Kiedy myślałaś, że nie ma mnie w kraju.

– Cudownie.

– Doszedłem do wniosku, że jeśli będziemy w domu i zdążymy zauważyć zbliżającego się przeciwnika, uciekniemy do fabryki i dobiegniemy mniej więcej tu, gdzie teraz stoimy. Możesz zejść tunelem...

– Ja?

– No dobrze, możemy. Możemy się przeczołgać i...

– Jak bardzo jest ciasny?

– O, bardzo. Bardziej przypomina kanał. Gdybym zjadł teraz pizzę, pewnie bym w nim utknął.

– Nie zrobię tego – oznajmiła.

– Wolisz umrzeć? – Machnął karabinem, jakby był przedłużeniem jego ręki.

– Tak, wolę umrzeć na ziemi niż pod nią.

– Masz lepszy pomysł? – rzucił Brian ostro.

– Jeszcze nie usłyszałam twojego. Na razie tylko powtarzasz słowo „tunel”. I celuj tym dziadostwem w ziemię, dobrze?

Brian przyjrzał się karabinkowi. Wzruszył przepraszająco ramionami i skierował lufę w dół.

– Mój plan polega na tym – zaczął spokojnie – że wejdziemy tym tunelem do domu. Prowadzi do sypialni na parterze. Oni będą nas wypatrywać z okna, a my zajdziemy ich od tyłu.

– I dlaczego nas nie zastrzelą?

– Bo ich zaskoczymy.

– Zaskoczymy?

– Tak.

– To zawodowcy. Dobry człowiek z bronią nie pokona złego człowieka z bronią, jeśli zły człowiek ma wprawę w walce, a dobry człowiek nie.

– Świetnie. Twoja kolej.

– Co?

– Twoja kolej. Znajdź lepszy pomysł.

Zastanawiała się przez minutę. Trudno jej się myślało w stanie paniki. Mózg nie chciał wyprodukować żadnego innego wniosku oprócz „Uciekaj”.

Przedstawiła Brianowi swój pomysł.

Zagryzł dolną wargę, potem policzek od środka, potem górną wargę.

– Dobrze.

– Serio?

Spojrzał na nią, jakby oceniał, jak dalece może być z nią szczery.

– Nie – przyznał w końcu. – To nie jest dobry pomysł. Ale lepszy od mojego.

Podeszła do niego bliżej.

– Ma jeden wielki minus.

– Jaki?

– Jeśli nie zrobisz tego, co do ciebie należy, za minutę będę trupem.

– Może nawet wcześniej.

Cofnęła się i pokazała mu środkowy palec.

– Więc skąd mam wiedzieć, że dotrzymasz słowa?

Brian wyjął z kieszeni kurtki paczkę papierosów i poczęstował ją. Odmówiła. Włożył papierosa w usta, zapalił go i schował paczkę do kieszeni.

– To na razie, Rachel. – Wzruszył lekko ramionami i odszedł przez fabrykę w stronę stróżówki. Nie odwrócił się ani razu.

ZDJĘCIE RODZINNE

Rachel pojechała range roverem wzdłuż torów biegnących między fabryką a rzeką. Oddaliła się od nich tuż za ostatnim budynkiem z czerwonej cegły. Podskakiwała na kamieniach i kawałkach cementu, modląc się, żeby żadna z tych rzeczy, które drapały podwozie samochodu, nie okazała się na tyle twarda ani wygięta, by przebić zbiornik z benzyną. Tłukła się na wybojach tak długo, aż odnalazła małą ścieżkę, opisywaną przez Briana, a wówczas ruszyła w górę wzgórza, na szczycie którego stała stróżówka.

Pod koniec drogi wdepnęła gaz do dechy, skoczyła naprzód i wyłoniła się na szczycie. SUV przechylił się ostro na lewo, tak ostro, że przestraszyła się, czy się nie przewróci, więc zadziałała wbrew naturalnemu instynktowi i jeszcze mocniej wdepnęła gaz. Pojazd znowu stanął na czterech kołach i wypadł na polankę za domem.

Ned i Lars wyszli na tylny ganek. Byli uzbrojeni. Na widok Rachel Ned przechylił głowę, a na jego twarzy malowało się zaskoczenie, ale także triumf. Małe oczka patrzyły na nią w sposób, którego doświadczyła wiele razy w życiu, a jednak za każdym razem czuła się malutka i rozwścieczona: „Głupia dziewczucha”.

Zaparkowała i wysiadła z samochodu. Stała za nim.

– Nie uciekaj – powiedział Ned. – Wtedy będziemy musieli cię gonić. Skończy się tak samo, tylko bardziej się zmęczymy.

Ned trzymał glocka, z którego zabił Caleba. Tłumik już znajdował się na lufie. Obawiała się, że ostatnim dźwiękiem jej życia będzie ciche „pfft”. No ale przecież Lars miał wielki karabin myśliwski, z którego można by zabić niedźwiedzia, więc jeszcze nie straciła szansy na odejście z hukiem z tego świata.

Obaj jednocześnie zeszli z ganku.

Wycelowwała w nich pistolet.

– Nie ruszać się.

Ned uniósł ręce i obejrzał się na Larsa.

– To już po nas.

Czy Brian przygląda się tej scenie uśmiechnięty, w jakimś bezpiecznym miejscu?

Lars szedł dalej w stronę range rovera, ale ukosem. Podobnie Ned, lecz w przeciwnym kierunku. Z każdym krokiem zbliżali się do niej, a oddalali od siebie.

– Stać, mówię!

Lars zrobił jeszcze parę kroków i znieruchomiał.

Całkiem możliwe, że Brian ma zapasowy paszport. Może skaże ją na śmierć, a sam przehula wszystkie pieniądze.

– Ej, pobawimy się w czerwone światło – zielone światło? – spytał Ned.

Zrobił dwa kroki w jej stronę.

Brian, chciała krzyknąć, Brian!

Wyciągnęła rękę nad maską.

– Powiedziałam „stać”.

– Nie powiedziałaś „czerwone światło”. – Ned zrobił kolejny krok.

– Stać! – Jej głos odbił się od domu i poniósł się echem w dół wzgórza.

Głos Neda pozostał spokojny i wyrównany.

– Rachel, na pewno obejrzałaś parę filmów, w których małe dziewczynki z bronią stawiają opór wielkim złym facetom z bronią. Ale, skarbie, w prawdziwym życiu tak nie jest. Pozwoliłaś nam zejść z tego ganku. A teraz pozwalasz nam się od siebie oddalić. Co oznacza, że teraz, w tym naszym prawdziwym życiu, nie dasz rady zastrzelić nas obu jednocześnie, bo któryś z nas zastrzelił cię. To będzie ja albo on i nie sprawi nam to większego trudu.

Jeżu, Brian. Gdzie jesteś, do kurwy nędzy? Czy mnie opuściłeś?

Ręka tak bardzo jej się trzęsła, że musiała oprzeć łokieć na masce SUV-a. Wycelowała broń w Neda, co uniemożliwiło jej kontrolowanie Larsa.

Ned uniósł brew, patrząc na jej bębniący o maskę łokieć.

– Rozumiesz, o czym mówię?

W mordę. W mordę. W mordę. Zostawiłeś mnie?

Kątem oka widziała, że Lars robi jeszcze dwa kroki.

– Proszę – rzuciła. – Nie ruszajcie się.

Ned odpowiedział uśmiechem. Szach mat.

Na piętrze rozległ się płacz dziecka.

Lars obejrzał się w tę stronę. Ned nie spuszczał wzroku z Rachel.

A na ganku pojawił się Brian, który wycelował i pociągnął za spust.

Pocisk wszedł w plecy Larsa. Wyszedł przez pierś, gdy karabin nadal znajdował się w jego rękach. Kawalki łuski i Larsa uderzyły w range rovera od strony pasażera, karabin wypadł mu z rąk i wylądował na masce. Lars osunął się na kolana, a Rachel strzeliła do Neda.

Nie pamiętała samego naciśnięcia spustu, ale musiała to zrobić, bo krzyknął, jakby darł się na sędziego, który podjął złą decyzję na meczu, krzyknął z pretensją i niesmakiem „Aaaaaa!”, a potem przewrócił się na wznak na schody i już nie trzymał broni.

Rachel obeszła range rovera, nie opuszczając broni. Ned patrzył na nią, patrzył też na Briana, który celował do niego z karabinu. Ręka Briana się trzęsła – o dziwo, jej już nie – ale to w wypadku karabinu nie miało większego znaczenia.

Lars z głuchym tąpnięciem wylądował twarzą na ziemi. Rachel wzięła broń Neda. Własną wsunęła za pasek dzinsów. Stała wraz z Brianem nad rannym zabójcą, zastanawiając się, co dalej.

Pocisk, który wystrzeliła, trafił Neda w ramię. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie, jakby nie chciała już niczego trzymać, więc Rachel założyła, że zdruzgotała mu obojczyk.

Ned spojrzał na nią, oddychając płytko przez usta. Miał zagubione, żalodne spojrzenie komiwojażera pod koniec kiepskiego tygodnia. Krew plamiła mu szarawą koszulę i przemoczyła lewą stronę kurtki, jednej z tych kraciastych, podszytych kożuszkami, które noszą budowlańcy.

– Gdzie twoja komórka? – spytał Brian.

Ned skrzywił się i wskazał prawą kieszeń sztruksowych spodni. Podał Brianowi komórkę z odchylaną klapką.

Brian otworzył ją, przejrzał rejestr połączeń, a potem wiadomości.

– Kiedy przyjechaliście? – spytał.

– Koło dziewiątej.

Brian otworzył jeden z SMS-ów.

– Napisałeś do kogoś „Mamy C”. Co to znaczy?

– Żona Perloff była Obiektem C. Ty jesteś Obiektem A. – Skinął ze znużeniem głową w stronę Rachel. – A ona B.

Znowu rozległ się płacz dziecka stłumiony przez szybę i odległość.

– Gdzie Haya? – spytała Rachel.

– Związana na górze – odparł Ned. – W tym samym pokoju co dziecko. Mała leży

w łóżeczku, jeszcze nie potrafi się z niego wydostać. Nigdzie nie pójda.

Brian jeszcze raz sprawdził spis połączeń i wiadomości. Schował telefon do kieszeni.

– Od wpół do dziesiątej nie dzwoniłeś ani nie pisałeś. Dlaczego?

– Nie było nic do zaraportowania. Czekaliśmy na ciebie. Nie sądziliśmy, że się pojawisz.

– Jak masz na imię? – spytała Rachel.

– Co za różnica? – odparł Ned.

Nie potrafiła wyjaśnić.

– Jak znaleźliście ten dom? – rzucił Brian.

Ned mrugnął parę razy, syknął z bólu, zmieniając pozycję na schodkach.

– Dokumenty z laptopa twojego współlnika. Ten dom kupiła ta sama firma, która dwa lata temu wynajęła w Dżakarcie perforator.

– Gdzie jeszcze szukaliście?

– Przepraszam... Nawet gdybym mógł ci pomóc – a pewnie w tej chwili wyrecytuję wszystko, co wiem, za butelkę wody – to wiem tylko to, co dotyczy mojego projektu i wydziału, nie innych.

Rachel poszła do range rovera po butelkę wody i chciała ją podać Nedowi, ale on jedną ręką mozolił się z portfelem. Wyjął z niego zdjęcie. Portfel spadł na ganek. Gdyby naprawdę była ciekawa, mogła go podnieść i spojrzeć na nazwisko na jego prawie jazdy. Nie zrobiła tego.

Ned podał jej zdjęcie i wziął butelkę. Fotografia przedstawiała małą blondynkę, może jedenasto-, dwunastoletnią, z szeroką brodą, wielkimi oczami i niepewnym uśmiechem. Obejmowała brązowowłosego, parę lat młodszego chłopczyka, który uśmiechał się szerzej i pewniej niż jego siostra.

– To moje dzieci.

Brian spojrzał na nich.

– Odlóż to gównu.

Ned zajął Rachel w oczy, jakby nie usłyszał.

– Caylee, moja córeczka. Jest bardzo mądra, wiesz? Zorganizowała w szkole program pomagania młodszym. Polega na tym, że...

– Milcz – rzuciła Rachel.

– ...starsze dzieci, takie jak ona, opiekują się uczniami z pierwszej i drugiej klasy, przyjaźnią się z nimi, żeby je ośmielić. To pomysł Caylee. Ma wielkie serce.

– Milcz – powtórzyła Rachel.

Ned wychleptał trochę wody.

– A, eee, Jacob to mój syn...

Brian wymierzył w niego broń.

– Zamknij ryj.

– Dobrze! – Ned zachlapał sobie wodą kolana. Myślał, że Brian pociągnie za spust. – Dobrze, dobrze.

Rachel patrzyła, jak pije wodę, dygocząc, i starała się zmienić serce w kamień, ale nie mogła.

Ned przełknął wodę i parę razy oblizwał wargi.

– Dziękuję – zwrócił się do niej.

Nagle straciła ochotę, żeby popatrzeć mu w oczy.

– Mam na imię...

– Nie – szepnęła. – Nie rób tego.

Spojrzała mu w oczy, on odwzajemnił to spojrzenie i patrzył na nią długo, na tyle długo, że zobaczyła w nim jednocześnie chłopca i okropnego mężczyznę. Potem przymknął oczy, jakby

potwierdzał.

Brian podszedł na skraj szczytu wzgórza i rzucił komórką Neda, która zakreśliła w powietrzu wysoki łuk i spadła z pluskiem do wody.

– Co my z tobą zrobimy, człowieku? – odezwał się, nadal stojąc plecami do nich.

– Też się nad tym zastanawiałem.

– Na pewno – powiedział Brian, odwracając się do niego.

– Nie jesteście mordercami.

Brian wskazał głową Larsa.

– Twój koleś mógłby się z tobą nie zgodzić.

– Celował do twojej żony. Był zagrożeniem. Zrobiłeś, co trzeba. To co innego niż egzekucja. Zupełnie, ale to zupełnie innego.

– Co byś zrobił na naszym miejscu? – spytała Rachel.

– O, już byście nie żyli. Ale ja sprzedałem moją duszę dawno temu. Ty jeszcze masz swoją. – Ned poprawił się na schodach. – Czy mnie zabijecie, czy zwięźecie, na jedno wyjdzie. Firma przyśle drugą grupę, jeśli jeszcze tego nie zrobiła. Ja gównem ich obchodzę. Jestem tylko zaszranym cynglem. Czy znajdą mnie żywego, czy martwego, wyjdzie na to samo – będą was ścigać. Może mnie zawiozą do lekarza, może nie, ale efekt będzie taki, jakbyście mnie zabili. Z wyjątkiem tego, że jeśli zabijecie mnie z zimną krwią, będzie wam trudno patrzeć w lustro.

Brian i Rachel rozważyli to, patrząc na siebie.

Ned usiadł powoli, opierając się o połamaną balustradę.

– E! – rzucił Brian ostrzegawczo.

– Jak mam umrzeć, to wolę na stojąco.

Brian spojrział w panice na Rachel, ona odpowiedziała takim samym spojrzeniem. Ned miał rację – strzelanie było łatwe, gdy nie mieli czasu się zastanowić. Ale teraz...

Dziecko na górze krzyczało. Tym razem przeraźliwie.

– Dziwnie to brzmi – powiedział Brian. – Sprawdzisz, co się dzieje?

Rachel ni cholery nie znała się na dzieciach. Nigdy żadnym się nie opiekowała. A myśl, że jeśli na dole coś się wydarzy, znajdzie się uwięziona na piętrze, przerażała ją bardziej od pilnowania więźnia.

– Ja z nim zostanę.

Brian skinął głową.

– Jak się ruszy, strzelaj.

Jak to łatwo powiedzieć.

– Jasne – rzuciła.

Brian wszedł po schodkach i wsunął lufę broni pod brodę Neda.

– Nie odpierdalaj tu niczego.

Ned nie odpowiedział. Spoglądał na coś w okolicy zrujnowanych zabudowań fabryki.

Brian wszedł do domu.

Ledwie zniknął jej z oczu, poczuła, że znika z niej połowa siły, a słabość się podwaja.

Ned zachwiał się, oparty o balustradę. Upuścił butelkę i wyglądał, jakby miał się przewrócić, ale w ostatniej chwili oparł się nadgarstkami o słupek.

– Tracisz za dużo krwi – odezwała się Rachel.

– Tracę za dużo krwi – zgodził się. – Mogę prosić o wodę?

Chciała się pochylić po butelkę, ale znieruchomiała. Zauważyła jego wzrok; na ułamek sekundy przestał być bezbronny. Wyglądał jak wyglądniały i gotowy do skoku.

– Woda – powtórzył.

– Sam se podnieś.

Jęknął i sięgnął po butelkę. Jego palce wbiły się w drewniany stopień tuż nad nią. Na piętrze otworzyło się okno i w ciągu następnych dwóch lub trzech sekund wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Brian zawołał:

– Zabili Hayę!

Ned zerwał się z ganku i walnął Rachel głową w pierś. Sięgnął po jej broń.

Rachel wyszarpnęła rękę z jego uścisku.

Ned uderzył ją zdrowym ramieniem w szczękę.

– Strzelaj! – krzyknął Brian.

Rachel nacisnęła spust i padła na ziemię.

Ned oderwał się od niej; usłyszała jego stęknienie i znowu strzeliła. Za pierwszym razem nie celowała, działała na oślep. Za drugim przetoczyła się, wymierzyła w nogi Neda. Ostatni wystrzał oddała, podnosząc się na kolana. Celowała w jego tyłek, gdy Ned zbliżał się do szczytu wzgórza.

Zniknął za wzniesieniem. Wydawało jej się, że wydał jakiś odgłos po tym trzecim strzale, może skowyt. A może to sobie wyobraziła.

Wstała i pobiegła na skraj wzgórza. Zobaczyła go w dole na kolanach. Skoczyła w krzaki, wysoką trawę, chwasty, butelki i stare opakowania po hamburgerach i zbiegła z boczem wzgórza, trzymając broń przy prawym uchu.

Ned zdążył się już podnieść i kuśtykał w stronę pierwszego ceglanego budynku. Kiedy Rachel dotarła na dół, trzymał się za brzuch i szedł, powłócząc nogą. Udało mu się dobrać do starego zardzewiałego krzesła biurowego. Ktoś przeciął tapicerkę siedzenia; gąbka, która z niego wystawała, była brązowa. Ned usiadł i patrzył na Rachel. Jej telefon zawibrował. Przyłożyła go do ucha.

– Żyjesz? – spytał Brian.

– Tak.

Obejrzała się na wzgórze. Stał na ganku z dzieckiem na ręce i karabinem w drugiej ręce.

– Potrzebujesz mnie?

– Nie – powiedziała. – Ogarnę to.

– Strzelili jej w głowę – dodał Brian zachrypniętym głosem. – W tym samym pokoju, w którym było dziecko.

– Dobrze – rzuciła. – Będzie dobrze. Zaraz wracam.

– Spiesz się.

– Dlaczego musiałeś ją zabić? – spytała Neda, gdy przed nim stanęła.

Przycisnął rękę do rany wylotowej. Jedna z kul – nie wiedziała która – weszła w jego ciało od tyłu i wyszła nad prawym biodrem.

– Wyrabiamy normę.

Ten dźwięk, który wydobył się z jej ust, brzmiał jak śmiech.

– Coś ty powiedział?

Ned skinął głową.

– Nasza stawka godzinowa jest śmiechu warta. Płacą nam od łebka.

Głowa odchyliła mu się do tyłu, gdy obejrzał się na pustą skorupę fabryki.

– Mój stary pracował w takim miejscu w Lowell.

– Cotter-McCann mógł tu wybudować apartamentowce albo centrum handlowe – powiedziała Rachel. – Albo nawet kasyno. Zarobiłby siedemdziesiąt milionów w rok.

Ned uniósł brwi ze zmęczeniem.

– Ziemia jest prawdopodobnie skażona.

– Akurat by ich to obeszło. – Miała nadzieję, że jeśli będzie dalej mówić, Ned się po prostu wykrwawi. – Zanim ludzie zaczęliby chorować, oni już by wycofali swoje pieniądze i zniknęli.

Ned zastanowił się nad tym i zrobił gest, który wyglądał jak skiniecie głowy połączone ze wzruszeniem ramion.

– Ona nic nie wiedziała. Ledwie mówiła po angielsku.

– Policja wynajmuje tłumaczy. A w ostatnich chwilach życia śmigała po angielsku, aż miło. Uwierz. – Poszarżał, ale nadal mocno przyciskał ranę. Spojrzał na nią żalonym, psim wzrokiem. – Nie ja ustalam zasady. Nie ja tu rządzę. Ja tylko wykonuję swoje obowiązki, żeby moja rodzina miała co jeść. Spędziłem kilka bezsennych nocy, jak każdy inny rodzic, martwiąc się, czy moje dzieci będą miały lepsze życie. Czy otrzymają więcej szans.

Poszła za jego utkwionym w fabryce spojrzeniem.

– I jak myślisz, otrzymają?

– Nie. – Ned pokręcił głową. Spuścił wzrok na krew przesycającą jego spodnie i głos mu się załamał. – Myślę, że te dni już przeminęły.

– Zabawne – powiedziała Rachel. – Zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle były.

Ned usłyszał coś w jej głosie i podniósł głowę. Jego ostatnie słowa brzmiały:

– Czekał.

Celowwała w jego pierś, stojąc metr od niego, ale ręka tak jej się trzęsała, że pocisk trafił go w szyję. Ned wyprężył się sztywno, dysząc jak spragniony pies i mrugając z wysiłkiem powiekami. Jego usta się poruszyły, ale nie wydały żadnego dźwięku. Krew wypłynęła z dziury w jego szyi i zaczęła skapywać w szczelinę między metalem a tapicerką krzesła.

Jego powieki znieruchomiały. Usta się zamknęły.

Rachel wróciła na szczyt wzgórza.

Brian stał z Annabelle na ręce. Dziewczynka miała zamknięte oczy i lekko rozchylone wargi. Spała.

– Chcesz mieć dzieci? – spytała Rachel.

– Co?

– To proste pytanie.

– Tak. Chcę mieć dzieci.

– Oprócz tego? Bo zdaje się, że teraz jest nasza.

– Nasza?

– Tak.

– Nie mam paszportu.

– Nie masz. Ale masz nasze dziecko. Chcesz jeszcze jedno?

– Jeśli przeżyję?

– Jeśli przeżyjesz – przyznała.

– Tak.

– A chcesz mieć te dzieci ze mną?

– A z kim?

– Powiedz to.

– Chcę mieć dzieci z tobą. Z nikim innym.

– Dlaczego z nikim innym?

– Bo nikogo innego nie kocham. Nigdy nikogo innego nie kochałem.

– O.

– Właściwie to chcę kilkoro. – Brian skinął głową. – Dzieci.

– Kilkoro?

- Kilkoro.
- Ty je urodzisz?
- Patrz, jak się uzala nad sobą – powiedział do dziecka w swoich ramionach. –

Przyzwyczajaj się.

Rachel spojrzała na dom.

- Pożegnam się z Haya.
- Nie musisz tam wchodzić.
- Muszę. Muszę jej złożyć hołd.
- Odstrzelili jej głowę.

Skrzywiła się. Haya tak bardzo pragnęła grać inną rolę niż tę, którą narzucił jej świat, że Rachel, która poznała jej prawdziwą twarz zaledwie parę godzin temu, nie chciała jej zapamiętać jako mięsnej miazgi w kałuży czarnej krwi. Ale jeśli nie spojrzy, to Haya będzie kolejną osobą, która zniknie w lusterku wstecznym. Wkrótce zbyt łatwo będzie udawać, że nie istniała.

Chciała powiedzieć Brianowi (ale nie powiedziała), że dopóki można, trzeba nieść w sobie pamięć o bliskich zmarłych. To po prostu obowiązek. Trzeba wejść w pole energii czy co tam zostało z ich ducha, duszy, esencji i wchłonąć to w swoje ciało. Może podczas tego przejścia jakaś drobinka ich istoty przylgnie do człowieka, wszczepi się w jego komórki? Podczas takiej komunii martwi zyskują dalsze życie. Lub coś w jego rodzaju.

Ale powiedziała tylko:

- Fakt, że to nieprzyjemne, ale to nie znaczy, że mogę tego uniknąć.

Brian nie był zachwycony, lecz nie oponował.

- A potem musimy spadać.
- Jak?

Wskazał rzekę.

- Mam tu łódź.

– Łódź?

- Dużą. Dopłyniemy nią do Halifax. W dwa dni opuścicie kraj.

– A ty?

– Ukryję się w najbardziej oczywistym miejscu. – Położył dłoń na główce dziecka i pocałował je w uszko. – Pewnie zauważyłaś, że mam do tego dryg.

Skinęła głową.

- Może za duży.

Wzruszył ramionami ze smutkiem.

– A jeśli rejs potrwa za długo? – spytała. – Albo jeśli któreś z nas coś sobie zrobi, złamię kostkę czy co innego?

- Mam plan awaryjny.
- Ile masz tych planów?

Zastanowił się.

- Całkiem sporo.

– A ja?

– Hmm?

- Masz plan awaryjny dla mnie?

Stanął naprzeciwko niej z dzieckiem śpiącym mu na ramieniu, upuścił karabin na ziemię i wziął pasmo jej włosów w kciuk i palec wskazujący.

- Dla ciebie nie przewidziałem planu awaryjnego.

W końcu przeniosła wzrok na dom za jego plecami.

- Idę się pożegnać.

– Czekam.

Zostawiła go i weszła do domu. Ponieważ wszystkie okna z wyjątkiem jednego były zasłonięte, panował w nim chłód i mrok. Zatrzymała się u stóp schodów. Wyobraziła sobie zwłoki Hai i trochę się zachwiała w swoim postanowieniu. Omal nie zawróciła. Ale potem zobaczyła Hayę taką jak tego ranka w sypialni, prawdziwego człowieka, po raz pierwszy patrzącego na nią oczami ciemnymi i intensywnymi jak pierwsza lub ostatnia noc życia. Zdumiała ją jej siła woli – jakie jaja trzeba mieć, żeby stać się kimś innym tak całkowicie, że walka o dominację między pokonanym a zwyciężskim „ja” staje się nie do wygrania? Każda z tych osobowości walczyłaby niezmordowanie w bitwie, która nie ma końca. I, bez względu na wynik, żadna z nich nie wróciłaby do domu.

Podobnie było z Brianem Aldenem od chwili, gdy włożył skradziony płaszcz Briana Delacroix, uświadomiła sobie. I z Elizabeth Childs, Jeremym Jamesem i nawet Lee Graysonem. Na różnych etapach swojego życia stawali się kolejnymi wersjami siebie, a niektóre z nich dotykały Rachel i zmieniały jej życie albo nawet je jej dały. Ale potem znikwały i zmieniały się w kolejne wersje. I jeszcze inne. Później Elizabeth i Lee odeszli dalej, tam, gdzie teraz znajdowała się Haya. Znowu ulegli transformacji. A co z samą Rachel? Czy ona także nie jest w wiecznej podróży? Zawsze w drodze. Równie skłonna do przekształceń jak tamci, ale nigdy do końca.

Weszła po schodach. Idąc, czuła paszport Briana w przedniej kieszeni dzinsów. I czuła, że mrok wokół niej się pogłębia.

Nie wiem, jak to się skończy, powiedziała do tego mroku. Nie znam mojej prawdziwej roli w tej sztuce.

Mrok odpowiedział, ciemniejac jeszcze bardziej.

Ale może na górze będzie jaśniej. Na pewno zrobi się jaśniej, gdy Rachel wyjdzie z tego domu.

A jeśli jakimś dziwnym zrzędzeniem losu tak się nie stanie, jeśli na świecie zostanie tylko noc, od której nie ma ucieczki?

Wtedy trzeba będzie pokochać noc.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję...

Danowi Halpernowi i Zachary'emu Wagmanowi za redakcję i cierpliwość. Ann Rittenberg i Amy Schiffman za rady (i cierpliwość).

Moim pierwszym czytelnikom – Alix Douglas, Michaelowi Koryta, Angie Lehane, Gerry'emu Lehane'owi i Davidowi Robichaudowi – który wypełnił wszystkie luki, jeśli chodzi o telewizję.

I specjalne ukłony dla Mackenzie Marotty za to, że to wszystko się nie rozpadło i jakoś dojechało do celu.

